

SARAH LANGAN

ZARAŻENI

Przekład Maciej Nowak-Kreyer

Dla T. J. Petty

„Kryzysy przyspieszają przemiany”.
Virus. Deltron 3030

PROLOG

ZIMA

Zimą ciemność przychodzi ukradkiem. Dopiero skończyłam obiad, a niebo już jest czarne. Nie ma elektryczności, dlatego nocą chodzę przy blasku świecy. Płomyki budzą cienie, przybierające rozmaite kształty, to dziwaczne, to znów znajome. Wszystkie zwierzęta nie żyją, nawet wiewiórki i zające. Gdyby się zastanowić, to nie słyszałam nawet świerszcza. Przez szczeliny w oknach i przez szyb komina dochodzi tylko wycie wiatru, a na jego tle rozbrzmiewają ledwo rozpoznawalne krzyki.

Ale zacznijmy od początku. Od kiedyś.

Kiedyś Corpus Christi było sennym i spokojnym miejscem. Każdego ranka zajmowało się swoimi sprawami, które zakłócał jedynie dźwięk łyżeczek mieszających kawę i budzików ustawionych tak, by włączać radiowe audycje na ściszonych odbiornikach. Stanowiliśmy zżytą społeczność, a latem nasze dzieci wychodziły na dwór same, bez opieki. Wieczorami młodsze bawiły się w berka na trawnikach, a starsze po kryjomu piły piwo nad rzeką. Wszystkie myślały, że nikt się o tym nie dowie, tak jakby dorośli nigdy ze wzruszeniem nie wspominali takich samych rytuałów dojrzewania.

W przeciwieństwie do reszty środkowego Maine, gdzie jedyne kolejki widywało się pod urzędami pracy, w Corpus Christi życie wręcz kwitło. Nasze szpitale miały najlepszą aparaturę do wykrywania nowotworów na całym Wschodnim Wybrzeżu i wabiły lekarzy z tak dalekiego południa, jak Nowy Jork. Byliśmy naukowcami i bankierami, artystami i nauczycielami, a każdy nasz sklep był rodzinnym przedsiębiorstwem. Co roku WalMart próbował zapaść korzenie przy naszym odcinku autostrady, lecz każdej wiosny, przy jednogłośnie zgodzie, posypywaliśmy mu ziemię solą.

Ale już przed nieszczęsną sprawą z Jamesem Walkerem pojawiały się znaki. Tamtej wiosny pożar w piarni Clott w pobliskim Bedford wyrzucił w nasze niebo siarkowe chmury, które przez kilka dni drażniły oczy. Później w lasach zaszły jakieś procesy chemiczne i drzewa zaczęły umierać. Nie było u nas kolejek bezrobotnych, więc cięcia stanowego budżetu i rozpasani prawnicy właśnie tu zbierali największe żniwo, a my patrzyliśmy, jak podupada nasz szpital. Malowanie, remont dachu, wyklepywanie samochodowych karoserii - to wszystko odkładano na następny rok, potem na jeszcze kolejny i tak dalej. Zupełnie jakbyśmy zarazili się ekonomiczną chorobą trapiącą resztę Maine. Wiedzieliśmy, że wkrótce nastąpią zwolnienia z pracy i zamykanie sklepów. Ale tablice przy wjeździe do naszego miasta wciąż były kolorowe i wesołe, ulice bez dziur, a trawniki przed domami schludni i zielone. Byliśmy dumni z tego, skąd pochodzimy, i spodziewaliśmy się, że przyszłość przyniesie nam same dobre rzeczy.

Jednak znaki się pojawiały. Latem, rok przed tą sprawą z Jamesem Walkerem, mój mąż i ja często budziliśmy się w środku nocy. Zwykle siedziałam wtedy w kuchni, z kubkiem liptona z mlekiem, dopóki świergot ptaków nie oznajmił nadejścia świtu. Czulałam, że coś we mnie czeka, aby otworzyć oczy, jakby moje ciało już wiedziało o czymś, czego umysł jeszcze się nie domyśla. Teraz, z perspektywy czasu, potrafię rozpoznać wszystkie rodzaje znaków. Pamiętam, jak na rodzinnych wakacjach patrzyłam na córkę płynącą przez spienione fale. Ostatnie zatoneły nie jej dłonie, lecz włosy. Wahałam się, zanim skoczyłam do wody i ją wyciągnęłam. Może jakaś część mnie wiedziała to, czego nie potrafił domyślić się rozum, i chciała mi oszczędzić złamanego serca.

Ale wróćmy do tematu.

Mam dla was opowieść. Wybaczcie, jeśli wyda się wam, że mówię o sprawach, o których nie mogę wiedzieć. To małe miasteczko, krążą tu różne plotki. Poza tym umarli potrafią mówić.

Usiądźcie więc w kręgu jak dzieci, gdy nadchodzi czas czytania bajek. Usiądźcie w kręgu i słuchajcie.

CZEŚĆ I

Skazenie

1.

SKĄD PRZYBYWASZ, DOKĄD ZMIERZASZ?

- George? - odezwała się Lois Larkin, stając przed uczniami czwartej klasy. Głos miała przytłumiony, dziennik trzymała blisko nosa. Była środa, słoneczny wrześnieowy poranek, zegar na wieży nie wybił jeszcze dziewiątej.

- Uhm - mruknął George.

Gryzł czerwoną świecową kredkę.

Lois uniosła wilgotne oczy znad dziennika.

- George, nie jedz tego. Będziesz si nie... - Wzięła głęboki oddech, jakby przypomniała sobie o swojej wadze wymowy i poprawiła się: - Będzie ci niedobrze.

Chłopiec wyjął kredkę z buzi. Zęby miał pomazane czerwonym woskiem. Lois pokręciła głową. George Sanford nie należał do najbystrzejszych stworzeń bożych.

Lois Larkin miała dwadzieścia dziewięć lat i uczyła czwarte klasy, od kiedy siedem lat temu wróciła do Corpus Christi. Była szczupła, lecz zaokrąglona - taką figurę barowe ćmy z Kropli Rosy nazywały „apetyczną”. Chłopcy, a nawet niektóre dziewczynki z jej klasy, często fantazjowali o dotyku jej długich czarnych włosów i jej oddechu, przesyconym wonią ciasteczek Nilla.

Uczniowie uwielbiali Lois. Ich rodzice też. Pijacy z uznaniem gwizdali na jej widok, nawet zwierzęta się do niej garnęły. Była śliczna, wyjąwszy jedną wadę: miała przerwę między przednimi zębami tak szeroką, że zmieściłby się tam ołówek. Chcąc się jej pozbyć, przez sześć lat nosiła aparat - w gimnazjum i w szkole średniej - jednak nie minął nawet miesiąc, od kiedy go wyjęto, a zęby wróciły na dawne miejsca i szczelina znów się pojawiła. Gdy się denerwowała, sepleniła, a przez szczyrbę przyskała ślina, ochlapując, bez różnicy, przyjaciół i wrogów. Dzisiaj na przykład wilgotna zrobiła się strona, na której otworzyła dziennik.

- James Walker - wyczytała.

- Obecny.

- James, nie kop... Nogi przed siebie... przed siebie.

- Ftak, panno Łoisz - zaseplenił chłopiec i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Lois w pierwszym odruchu chciała go trzepnąć po głowie dziennikiem, powstrzymała się jednak i czytała dalej.

- Caroline.

- Obecna, panno Lois!

Caroline zamachała rękami i zaczęła się wiercić, jakby chciała siusiu.

Lois przemknęła przez myśl, że tak naprawdę wcale nie lubi dzieci. Wytarła oczy zasmarkaną chusteczką, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Moi drodzy, mam coś, co nazywamy alergią. Wiecie, co to jest? To taka choroba, która polega na tym, że się trochę kicha i cały czas ma się załzawione oczy. Niektórzy ludzie, na przykład Johnnie, kichają przez psy. Ja kicham przez pleśń i pyłki ambrozji. Wcale nie płaczę. Rozumiecie?

Dzieci przytaknęły. Caroline podniosła rękę i zawołała:

- Tak! Tak!

- Słucham, Caroline.

- Ja mam alergię na penicylinę. To taki antybiotyk. Bierze się go, jak się złapie AIDS.

- To bardzo ważne, Caroline, i dobrze o tym wiedzieć. - Lois pokiwała głową i wróciła do odczytywania listy. - Kerry.

- Obecna.

- Alex Fullbright... Michael Fullbright.

Dalej czytała listę.

Lois nie powiedziała dzieciom prawdy. Wcale nie miała alergii, tylko rzeczywiście płakała. Ale dzisiaj mieli jechać na klasową wycieczkę, więc chociaż wolałyby zostać w domu, nie chciała prosić kogoś o zastępstwo. Teraz sepleniała przy czytaniu listy obecności, modląc się w duchu, żeby jakiś urwis w rodzaju Jamesa Walkera nie zapytał o to, co oczywiste - dlaczego pani nie ma na palcu swojego pierścienka zaręczynowego.

Płakała po zerwaniu, ale przecież nie była nim zaskoczona.

W głębi duszy zawsze wiedziała, że Ronnie i Noreen nie są w porządku. Ilekroć mówili jej o swojej kolejnej idiotycznej decyzji - na przykład o wydaniu całej pensji na loterię zamiast na czynsz - widziała, że są beznadziejni. Szybko jednak o tym zapomniała, bo mieszkanie Ronniego przypominało chlew, a kto inny jak nie ona pamiętałby, żeby pootwierać okna i choć trochę posprzątać? Noreen była złośliwa jak Joan Collins na diecie odchudzającej, ale przecież Lois też miała wady. Sepleniała, zbierała owady, a przed okresem jadła surowe mielone mięso.

Poza tym to nie ich wina, że miała kiepskie życie. Nie powinna była po studiach wracać do Corpus Christi. W ogólniaku czuła się jak kościsty wielkolud, ale w college'u chłopcy zapraszali ją na randki. Poznała przyjaciół, którzy dzielili jej zamięłowanie do działu Nauka i Przyroda z podstawowego wydania gry Trivial Pursuit. Przestała też zasłaniać usta przy mówieniu, bo ludzie nie robili problemu z tego, że od czasu do czasu spadała na nich mokra bryza.

Była szczęśliwa na Uniwersytecie New Hampshire do pewnego zimowego dnia, kiedy jej ojciec pojechał drogą łączącą Corpus Christi z Bedford. Jego nissan wpadł w poślizg i zanim wylądował w lesie, dachował. Deska rozdzielcza pękła, gruchocząc kierowcy obie nogi. Stało się to późnym wieczorem, a zamrożone ciało Russella Larkina odnaleziono dopiero nad ranem. Nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego porzucił ciepłe łóżko i śpiącą żonę. Nie miał kochanki, nie palił, nie pił. Kiedy zauważył go kierowca pług śnieżny, wciąż siedział przypięty pasami do fotela. Większość ludzi, nawet z połamanymi nogami, wypełzłaby przez otwarte drzwi od strony pasażera i szukała pomocy. On i nie. W jego kieszeni znaleziono telefon komórkowy, całkiem sprawny, jednak do nikogo nie zadzwonił. Ostatecznie uznano, że to nie było samobójstwo, że Russell po prostu chciał się przejechać, odetchnąć nocnym powietrzem i popatrzeć w gwiazdy.

Lois przyjęła tę oficjalną wersję, ale po pogrzebie ojca jej wyniki w nauce spadły jak odłamki granitu w kamieniołomie. Ledwie zdołała ukończyć college. Zrezygnowała ze studiów doktoranckich, o których wcześniej marzyła, i porzuciła plany pracy na lato,

- Czy już mnie nie kochasz? - zapytał Roddy Chase, z którym chodziła od dwóch lat, w przeddzień promocji.

Siedzieli na ceglany tarasie przed akademikiem, a ona wiedziała, że powinna odpowiedzieć. Ale choć jego głęboki głos zawsze sprawiał, że miała nogi jak z waty, wtedy w jej sercu zabrakło miejsca na miłość. Było tylko miejsce na stężałą twarz ojca leżącego w otwartej trumnie. Kiedy Roddy odchodził, opuścił ramiona, co też przypomniło jej o ojcu. Wtedy zrozumiała, że znowu zamieszka w rodzinnym domu.

Będzie uczyła w podstawówce i chowała opróżnione przez matkę butelki ginu pod butelki wody, którą zaczęły pić po pożarze.

Corpus Christi było urocze, ale jeśli ktoś pragnął czegoś więcej niż praca w szpitalu albo wydawanie pieniędzy rodziców, przeprowadzał się do większego miasta. Lois zaczęła się nudzić już po kilku miesiącach i dlatego pewnego wieczoru, wracając z pracy wstąpiła do Kropli Rosy. Pomyślała, że usiądzie gdzieś w kąciaku, wypije jednego drinka i pojedzie do domu. Gdyby wtedy wszystko poszło zgodnie z planem, jej życie wyglądałoby inaczej. Wróciłaby na uczelnię albo przynajmniej starała się o posadę nauczyciela biologii w liceum. Ale w życiu nigdy nie dzieje się tak, jak powinno.

W Kropli Rosy spotkała szkolną koleżankę, Noreen Castillo, która opiekowała się starszymi pacjentami w Centrum Medycznym Corpus Christi. Noreen była bystra, wesola i złośliwa. W liceum słynęła z odzywek w rodzaju „dupsko robi ci się tłuste” albo „historie, które opowiadasz, są zabawne, ale za długie”. Zawsze przy tym dodawała: „Mówię ci to tylko dlatego, że jesteśmy przyjaciółkami”.

Lois, dostrzegłszy ją przy barze, wiedziała, że powinna się uśmiechnąć i przejść dalej, ale czuła się samotna, a Noreen stanowiła jakieś towarzystwo. Tamtego wieczoru wypily kilka drinków, następnego też. Już niedługo zaczęły robić to regularnie.

Ronnie Koehler i jego koledzy także chodzili do Kropli Rosy. Rekord Ronniego z sezonu 1996 - dwadzieścia jeden strzałów na bazę - wciąż pozostawał w Corpus Christi nie do pobicia i właśnie dlatego T.J. Wainright każdego trzeciego budweisera nalewał mu za darmo. Ronnie nie miał fioła na punkcie swojej popularności w szkolnych czasach. Nie był też rozgoryczony, co Lois uznała za godne podziwu, bo przecież wszyscy spodziewali się, że zostanie zawodowym sportowcem. Kiedy jego dziewczynie z liceum odbiło i uciekła do jakiegoś aśramu w Woodstock, Noreen uganiała się za nim jak szalona. Ale to nie ją, lecz Lois w końcu zaprosił do kina.

Powinna była go splawić. Choćby ze względu na Noreen. Poza tym rzucił Thermos Community College, żeby pracować jako kasjer w Citibanku. Wynajmował mieszkanie z Andrew Lynackiem. Co wieczór przed snem wypalali fajeczkę maine's finest, a co rano, zanim zawiązali w windsorski węzeł pasiaste poliestrowe krawaty, jeszcze smażyli skręta.

Kiedy Ronnie zapraszał Lois do kina, położył jej dłoń na ramieniu. Palce miał grube, sękaty i stwardniałe. Od czasów Roddy'ego nie spotkała mężczyzny, który właśnie tak by ją dotykał. Ciepło jego dłoni przeniknęło przez sweter i dotarło aż do skóry. Wszystko wewnątrz niej podskoczyło i zanim zdążyła się zastanowić, zanim wyobraziła sobie złość Noreen, zgodziła się pójść z nim do multipleksu na *Luźnego gościa* Toma Greena.

W ciągu tygodnia złapała od Ronniego wszy łonowe. Pozbycie się tych małych potworów zajęło jej siedem tygodni. On złapał je od swojej byłej i myślał, że już się ich pozbył. Kiedy powiedziała mu, co się przez niego stało, poczerwieniał jak burak i pozwolił jej przez miesiąc wypożyczać z Netfliksa takie filmy, jakie tylko chce (wybrała francuskie z napisami, których nawet nie lubiła, żeby go ukarać). Gdyby nie fascynowały jej owady, pewnie już wtedy by go rzuciła.

- Ronnie to totalny frajer - skrzeknęła Noreen, zaciągając się camelem ultra light. Siedziały w Kropli Rosy. Podczas kilku tygodni, które minęły, od kiedy Lois zaczęła spotykać się z Ronniem, jej zazdrość kondensowała się, aż wreszcie stała się gęstą czarną zupą. - No i jestem pewna, że jest gejem. On i jego współlokator chcą, żebyś była ich przykrywą.

Lois, zamiast bronić Ronniego, tylko pokiwała głową, a potem zmieniła temat. Noreen nie jest warta tego, żeby z nią walczyć.

I tak nie pamięta połowy rzeczy, które wygaduje po pijanemu, a o drugiej połowie w ogóle nie chce mówić. Co czwartek wypijały kilka drinków w Kropli Rosy Noreen plotła trzy po trzy, a Lois łykała to jak jakieś mądrości.

Nadal spotykała się z Ronniem. Poznawali się coraz lepiej i zaczęło im na sobie zależeć. Dali się w to wciągnąć z nudów. Ale z czasem nuda może zmienić się w miłość.

Trzy lata później dostała się na studia doktoranckie z entomologii na Uniwersytecie Massachusetts. Powiedziała o tym Ronniemu, a on poprosił ją, żeby została w Corpus Christi. Została, ale to nie było mądre. Kiedy zrezygnowała z miejsca na uczelni i dwudziestu dwóch tysięcy dolarów rocznego stypendium - co dawało więcej, niż zarabiała jako nauczycielka - przez trzy dni nie mogła jeść ani spać, świadoma, że popełniła błąd.

Po jakimś czasie sprawy wróciły na zwykły tor i wszystko było w porządku, choć może nie super. Współlokator Ronniego, Andrew, zaczął się spotykać z Noreen. We czwórkę oglądali filmy, chodzili na kręgle, wrzucali w Kropli Rosy ćwierćdolarówki do szafy grającej i upalali się trawką, słuchając Johnny'ego Casha. Lois bardzo lubiła te spotkania. Dzięki trawce wszystko robiło się proste jak pływanie na plecach w podgrzewanym basenie.

A dwa miesiące temu, po sześciu latach spotykania się, Ronnie jej się oświadczył.

Właśnie skończyli spaghetti, na które chodzili w każdy piątkowy wieczór do włoskiej restauracji Monteleone, kiedy on upuścił na jej zatłuszczony talerz pierścionek z brązowym granatem, okolony diamentowym pyłem. Pierścionek obrócił się kilka razy i znieruchomiał. Poczowała w żołądku pęczniejącą bańkę radości, która potem uwięzła jej w przełyku. To była chwila, której wyczekiwała. To było właśnie to.

Spodziewała się, że Ronnie uklęknie przed nią, ale nie zrobił tego. Wzruszył tylko ramionami, tak jakby też nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób dotarli aż tutaj. W myślach już spoglądała dziesięć lat do przodu i widziała tam kanapę w szkocką kratę, gromadkę dzieci i faceta, który nie potrafi utrzymać posady. Fajnego faceta z mnóstwem zalet i wspaniałym uśmiechem. Robił świetne grillowane kanapki z serem i był miły, chociaż uległy. Dokładnie jak jej ojciec. To ona zawsze będzie górą... jak jej matka. Czy chce dominować? „Powiedz nie - szeptał jakiś wewnętrzny głos. - Uciekaj stąd i nawet nie oglądaj się za siebie”.

Podniosła pierścionek i obróciła między palcami. Był miękki, mogłaby go zgnieść, gdyby tylko mocniej ścisnęła.

- Ttak! - krzyknęła. - Ronnie Koehler, wyjdę za ciebie.

Nazajutrz Noreen zgodziła się zostać druhną Lois. Potem przycisnęła śrubę swojemu chłopakowi Andrew. Oznajmiła mu, że skoro Ronnie i Lois się pobierają, oni też powinni. Nawet się nie kłopotał, by z nią zerwać. Po prostu przestał dzwonić. Kilka dni później w Kropli Rosy pijana i zapłakana Noreen nawrzeszczała na Lois. Jej policzki, zaczerwienione od alkoholu, wyglądały, jakby zamiast filtrem przeciwsłonecznym posmarowała twarz ługiem.

- Nie przyjdę na twój ślub - oznajmiła. - Jako twoja przyjaciółka ostrzegam cię, że robisz błąd. On cię nie kocha i dobrze wiem, że spodobał ci się tylko dlatego, że to ja go chciałam, a ty przecież nigdy mi nie pozwoliłaś, żebym była szczęśliwa.

Lois powinna czuć ulgę, że się jej pozbyła, ale przede wszystkim czuła się zraniona. Przez kilka pierwszych tygodni bez swojej najlepszej przyjaciółki miała wrażenie, jakby w żołądku utkwilo jej zgniłe jajo, a jego trujące żółtko krążyło po krwi. No ale trzeba było zaplanować ślub i wesele, a tylko Lois się tym zajmowała. Przesłuchiwała kilku didżejów i zarezerwowała salę w Klubie Motorowym Corpus Christi. Ronnie należał do Kościoła episkopalnego, a ona była katoliczką. Jego rodzice nie chcieli księdza, a jej matka pastora.

- Żaden problem! - uznała, chociaż zawsze chciała wziąć ślub w kościele. - Będzie ślub cywilny.

Ronnie nie miał złamanego centa, a jej matka zainwestowała sto sześćdziesiąt tysięcy z ubezpieczenia na życie Russella w ryzykowne akcje związane z technologią, których wartość w 2002 roku spadła do czterech tysięcy.

- Żaden problem! - oznajmiła Lois. - Wykorzystam karty czekowe Discover, z oprocentowaniem na dwadzieścia procent.

Po co ciężko pracować na kredyt, skoro i tak nie będą mogli sobie pozwolić, by spłacać dom?

Gdy w zeszłym tygodniu Ronnie zaparkował swoje czerwone camaro na jej podjeździe i nacisnął klakson, już wszystko wiedziała. Odczytała to z tego krótkiego, pojedynczego piśnięcia. Nie była zaskoczona, jakby przez cały miesiąc chodziła z metalicznym posmakiem na języku.

Kiedy tak siedzieli w zaparkowanym samochodzie, śmierzącym trawką i starymi pączkami, wiedziała, że przez wzgląd na swoją dumę to ona powinna się pierwsza odezwać. Zamiast to zrobić, zmówiła w myślach całą litanię do Ronniego, z nadzieją że jakoś ją usłyszy: Och, Ronnie, zmień zdanie. Kocham cię, naprawdę. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. Zmień zdanie, proszę. Nie zdołam przeżyć jeszcze choćby jednego dnia z matką. Nie dam rady przespać jeszcze choćby jednej nocy w swojej starej sypialni z zasłonami, które matka kupiła mi, kiedy miałam dziewięć lat. Bez ciebie jestem nikim, Ronnie. Jestem nikim i każdy to wie.

Ronnie nie patrzył jej w oczy, kiedy mówił:

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

Tylko takie pytanie zdołała zadać.

- Nie jestem pewien, czy cię kocham. I czy kiedykolwiek kochałem.

Zacząła płakać, ale potem stało się coś zabawnego. W środku poruszył się jakiś potwór i otworzył oczy. Nagle zapragnęła zrobić Ronniemu krzywdę. Wyobraziła sobie, że gołymi rękami rozrywa go na strzępy, tak jakby skórę miał miękką niczym zgniłe jabłko, że grzebie w jego flakach i je wyciska. Że je pożera, a sok ścieka jej po brodzie. Co ty, do cholery, gadasz? Spotykasz się z kobietą od sześciu lat i mówisz, że nigdy jej nie kochałeś? Jasne, możesz nie chcieć się z nią żenić, ale żeby jej nie kochać?

Poprosił o zwrot pierścionka, oddała mu go. Odbieranie prezentów nie leżało w jego naturze. Owszem, był nieporadny, ale nie złośliwy. Powinna była się domyślić, że ktoś go podpuścił. Zamiast tego zastanawiała się: Dlaczego ja? Dlaczego wszystkim innym bycie dorosłym wychodzi całkiem dobrze, a mnie aż tak źle?

Szlochając, wróciła do domu matki. Do krainy welurowych sof, kuchennych blatów pokrytych okleiną i wyblakłych ścian w łososiowym kolorze. W latach osiemdziesiątych wszystko było tam nowoczesne. Ale teraz już nie. Wróciła do dusznego salonu, o szczelnie pozamykanych oknach, w którym jej matka wylegiwała się pod wełnianym kocem, od kiedy poranne słońce zaczęło się przedzierać przez szczeliny w brązowych żaluzjach z Levolor.

W telewizji leciała powtórka *Milionerów*. Gdy Lois, pochlipując, weszła do pokoju, Jodi Larkin ściszyła dźwięk. Regis pytał właśnie, ile kondygnacji miały w sumie obie wieże World Trade Center, co nawet w swoim pożałowania godnym stanie Lois uznała za niesmaczne. Poprawna odpowiedź, warta osiemdziesiąt tysięcy dolarów, brzmiała „dwieście dwadzieścia”. Tęgawa uczestniczka odgadła. Podskakiwała w szale radości, a jej piersi trzęsły się, jakby nie nosiła stanika, Kiedy zaczęły się reklamy, Lois oznajmiła:

- Mamo, Ronnie i ja się pokłóciliśmy.

Jodi Larkin wahała się krócej niż sekundę; potem jej oczy znowu zrobiły się szklane i zmieniła kanał na TBS, na którym właśnie nadawali serial *Prawo i porządek: sekcja specjalna*. Lois wiedziała, co oznacza taka reakcja. Już dwa razy poznała wyrażane przez nią niewypowiedziane słowa. Pierwszy raz, kiedy poprosiła matkę o pomoc przy opłaceniu ubezpieczenia za samochód, a drugi, gdy zwierzyła się jej, że chyba jest w ciąży. Przekaz brzmiał: Jesteś już dorosła. Nie przychodź do mnie ze swoimi problemami, bo ja mam własne.

Przez następny tydzień Lois zastanawiała się, co zrobiła nie tak. Czy w jego życiu pojawił się ktoś inny? I co, do diabła, ona teraz robi z własnym życiem?

Szkolna wycieczka do Bedford nie była najlepszym pomysłem. Dyrekcja zgodziła się głównie dlatego, że Portland było za daleko dla czwartoklasistów. Lois obiecała, że nie wyjdą z autokaru, dopóki nie dotrą do lasu, którego nie dotknęła katastrofa. Obejrzą miejscowe okazy flory, wysłuchają krótkiego wykładu o historii papiernictwa, zjedzą lunch i wrócą do Corpus Christi. Wycieczka krajoznawcza. Spacer na łonie natury.

Lois chciała zobaczyć Bedford przede wszystkim dlatego, że była ciekawa, jak wygląda po pożarze. Gdy zeszłej wiosny zamknięto Clott Corporation, miejscowi chuligani zdemolowali budynek firmy. Ze złości, desperacji albo zwykłej głupoty podpalili składowane tam chemikalia i obłok dymu ogarnął pół miasta.

Opary spowodowały śmierć około dwudziestu osób, wiele innych zachorowało. Zagładzie uległa też część dzikiej przyrody. Zwierzęta straciły instynkt. Sarny przestały karmić młode. Ptaki zapomniały, jak się lata, i spadały z nieba. Koty umierały z głodu, popełniając dziwaczne samobójstwa. Nawet pająki, jak donosił; „Environmental Scientist”, zaczęły tkać dziurawe sieci.

Kiedyś uczyła się o takim zjawisku na uniwersytecie i wiedziała, że objawy pasują do zatrucia metylem rtęci. Rtęć atakuje obszar mózgu odpowiedzialny za instynkt samozachowawczy. U ludzi uszkadza też ośrodek mowy i wywołuje zespół Tourette’a. EPA, Agencja Ochrony Środowiska, zbadała powietrze i popioły w Bedford. Szukali neurotoksyn, ale żadnych nie znaleźli. Zawartość siarki w gruncie, spowodowana eksplozją, nie przekroczyła poziomu alarmowego. Gleba stała się kwaśna, co mogło zabić pojedyncze drzewa, lecz poza tym nie było groźne. Uznano, że w Bedford jest bezpiecznie. Nikt nie wyjaśnił, dlaczego ptaki spadają z nieba, a drzewa rosnące wzdłuż miejskich chodników zwiędły i skurczyły się jak śliwki w piekarniku. To wszystko nadal stanowiło tajemnicę.

Mimo zapewnień EPA po pożarze wszyscy wyjechali z Bedford. Jedni, na przykład Fulbrightowie, mogli sobie pozwolić na przeprowadzkę do Corpus Christi. Inni po prostu się rozpięchli. Lois słyszała, że w porzuconych domach na podłogach sypialń wciąż leżą rozrzucone ubrania, że zapadłe ciasta pleśnieją w piekarnikach, a z zegarów dobiega tykanie, którego nikt nie słucha. Prawdziwe wymarłe miasto - dzieciaki będą zachwycone!

Dopiero wczoraj dotarło do niej, że w Bedford może być niebezpiecznie. Na zdjęciach z „Sentinela” naukowcy pobierający próbki wody z rzeki mieli na sobie skafandry kosmiczne i aparaty tlenowe. Ale to było kilka miesięcy temu. Teraz w lasach na pewno jest już bezpiecznie, bo deszcz zmył wszystkie pozostałości groźnych chemikaliów. Agencja Ochrony Środowiska chyba nie kłamałaby w tak ważnej sprawie? Poza tym wszystkiemu towarzyszy odrobina ryzyka. Sama stanowiła najlepszy przykład tego, że nawet jeśli przez całe życie unika się lekkomyślnych posunięć, i tak można je sobie zrujnować.

Gdy obudziła się dziś rano, minął już tydzień, od kiedy Ronnie ją rzucił, a jasne słońce zaświeciło jej w twarz trochę mniej wyzywająco. Nie umarła ani nic w tym rodzaju, a wycieczka do Bedford mogła okazać się całkiem fajna. Przez ostatnie lata

spędzone w Corpus Christi zapomniała, że lubi odkrywać nowe miejsca i dowiadywać się nowych rzeczy. Niech żyją przygody!

Żwawo zeszała po schodach, powtarzając sobie w duchu: No dobra, poniosłam porażkę. Ale dam sobie radę. Ronnie to fiut, przejarany trawą, dupkowaty frajer. Pan Zostań w Corpus Christi Zamiast Iść Na Uczelnię, Tak Żebyśmy Oboje Mieli Zastrane Życie. Pan Nigdy Cię Nie Kochałem - Niech sobie wsadzi w dupę cały ten syf. A tak przy okazji, Noreen też niech spada.

Nalała sobie kawy. Matka całą noc spędziła przed telewizorem. Teraz oglądała Regisa i Kelly, którzy kpili z siebie nawzajem. Ciekawe, czy tylko udają, czy naprawdę się nienawidzą? Jodi sączyła gin z sokiem pomarańczowym - ostatni drink przed snem - a Lois grzała dłonie o kubek z kawą. Myślała o złożeniu papierów na uczelnię. O tym, że pewnego dnia opuści ten dom. Powie, że wychodzi po tabletki na zgagę albo po gumę do żucia - i już nie wróci. Tyle że ona dojedzie dalej niż tata. Zachichotała na myśl o tym, jakie miny zrobią Ronnie, Noreen czy matka, kiedy zapukają do jej pokoju, żeby pożyczyć pieniądze albo zrobić sobie z niej worek treningowy, i zobaczą, że nikogo nie ma.

Potem otworzyła poranne wydanie „Corpus Christi Sentinel” i zbladła. Zamknęła oczy pospiesznie odmówiła w myślach Zdrowaś Mario (kiedy Bóg zamyka drzwi, Maria otwiera okno) i znowu spojrzała na gazetę.

Z czarno-białej fotografii uśmiechali się do niej Ronnie i Noreen. Ronnie obejmował szeroką talię Noreen, oboje się uśmiechali. Na policzkach mieli namalowane pasujące do siebie gwiazdki. Zdjęcie pochodziło z festynu z okazji Dnia Pamięci. Wiedziała o tym, bo sama je zrobiła.

Pod spodem znajdowała się zapowiedź ślubu.

Błąd drukarski! Na pewno. Jednak według autora artykułu przyjaźń Ronniego i Noreen kwitła od lat (kwitła jak co, wykwitła na twarzy?). Miesiąc temu odkrył, że łączy ich „wieczna i nieśmiertelna miłość”. Lois patrzyła na tekst, nieświadomie wstrzymując oddech, aż zakręciło jej się w głowie i zsunęła się z krzesła.

Poczuła się, jakby wypila butelkę płynu do udrażniania rur, który teraz wypalał drogę na zewnątrz. Przesączał się do gardła, serca, krocza. Czowała go za oczami, jak łzy, i pod paznokciami. Czowała, jak przepelnia ją goryczą i taką złością, że jedynym kolorem który widziała, był czerwony. Była żądna krwi. Chciała żywcem pożreć Ronniego, Noreen albo nawet siebie.

Matka odwróciła wzrok od reklamy kryształów Folgera i zerknęła na artykuł. Nie wzdrzgnęła się, nie skrzywiła ani nawet nie uśmiechnęła.

- Niesamowite - powiedziała tylko.

Wstawiła pustą szklankę do zlewu i chwiejnym krokiem weszła po schodach.

Lois siedziała jeszcze przez kilka chwil. Potem pobiegła do łazienki i wymiotowała. Dopiero gdy oparła się o chłodną umywalkę, uświadomiła sobie, że okres spóźnia jej się już sześć tygodni i zaczęła płakać.

Nie było czasu na szukanie zastępstwa, znalazła się więc tutaj i pochlipowała na oczach całej klasy, próbując zrozumieć, dlaczego jej życie tak się pokręciło, podczas gdy wszystkim wokół, mającym o połowę mniej rozumu i dwa razy bardziej podłym, wiedzie się całkiem nieźle. Kiedy skończyła sprawdzać listę, klasnęła w dłonie i starała się uśmiechnąć, bo Janice Fischer, matka jednej z uczennic, która miała pomóc w opiece nad klasą podczas wycieczki, patrzyła na nią, jakby myślała, że Lois za chwilę utonie w opryskanym śliną dzienniku.

- Czy wszyscy zabrali lunch? - zapytała Lois.

Dzieci pokiwały głowami.

- Czy wszyscy pamiętają, kogo mają f pfarze?

Nie pamiętali, więc połączyła ich w pary według wzrostu i kazała pilnować się wzajemnie podczas wsiadania do autokaru. Klasowy łobuz James Walker oznajmił:

- Jestem za duży, żeby chodzić w parach.

Właściwie racja. Walker powtarzał klasę.

Nie lubiła tak myśleć o jedenastolatku, ale Walker naprawdę był zakałą. Kiedy jakieś inne dziecko przewracało się albo robiło sobie krzywdę, tak rozjaśniały mu się oczy, jakby znalazł pod choinką wymarzonego szczeniaczka. Martwego szczeniaczka. Dawanie Jamesowi kogoś do pary groziło katastrofą.

- W porządku - odparta Lois. - Będziesz bez pary. James, możesz siedzieć obok mnie.

Wsiedli do autokaru, który ruszył ku szosie łączącej Bedford i Corpus Christi. Przy złej pogodzie drogę zamykano, ale w ten jesienny dzień bez jednego płatka śniegu pozostawała otwarta. Gdy pokonywali zakręt, na którym rozbił się nissan jej ojca, Lois zamknęła oczy, jak zawsze, ilekroć mijala to miejsce. Przejechali tylko kilkanaście kilometrów, ale kiedy dotarli do Bedford, wydawało się, że znaleźli się w innym kraju.

Miasto było opustoszałe. Ulic nie przemierzały samochody, w domach nie paliły się światła, nie było pocztowych furgonetek. Brakowało nawet biura szeryfa. Lois popatrzyła na stos gruzu i betonu, kiedyś papiernię Clott Corporation. Osmalony szkielet budynku otaczał ciężki czarny popiół. Władze stanu nie miały wystarczających funduszy, żeby tu posprzątać; a że w Bedford nie mieszkał nikt, kto mógłby poskarżyć się władzom federalnym, rumowisko zostało.

Autokar jechał główną ulicą. Porzucone domy dosłownie się rozpadały, a rośliny na klombach przed nimi były martwe. Szyldy na opuszczonych sklepach wisiały krzywo albo w ogóle ich nie było. Chodnik popękał, a frontowe drzwi budynków pokrywała sadza. Dzieciaki przyciskały nosy do szyb - jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziały. Pokazywały sobie stary zakład fryzjerski z wybitymi oknami, rachityczną sarenkę szukającą jedzenia w śmietniku i rower górski bez kół na samym środku ulicy. Bedford stanowiło ogromne cmentarzysko pod otwartym niebem.

Gdy zbliżali się do lasu, dostrzegli na poboczu przyczepę kempingową obwieszoną kukłami zrobionymi z bawełny. Jedne były ubrane w dżinsy i robocze koszule, inne w niemodne sukienki. Bawełna się rozeszła, więc nogi i ręce kukieł wyglądały jak macki ośmiornicy. Do każdej kukły przyczepiono tabliczkę ze słowem wypisanym dużymi drukowanymi literami. Razem tworzyły zdanie: „Ona zawsze jest głodna. Ona nigdy się nie nasycy”.

Lois poczuła, jak kurczy się jej żołądek. Kto mógł Zrobić coś takiego? Jakiś dziki lokator? Ktoś miejscowy? Wariat? Ta wycieczka nie była jednak najmądrzejszym pomysłem. Tak jak dawanie Ronniemu pieniędzy na trawkę albo kupowanie ginu matce.

- Co to jest? - zapytał George.

Miał zaledwie dziewięć lat, ale wiedział, że nie ogląda czegoś fajnego.

- Sztuka nowoczesna - wyjaśniła Lois. - Dla zwariowanych ludzi.

- Tata mi opowiadał - zawołała Caroline - że w Bedford mieszkali sami kuzyni. To dlatego spalili papiernię. Wszyscy byli opóźnieni.

Lois tylko spojrzała na dziewczynkę, nie wiedząc, co powiedzieć.

Wysiedli z autokaru przy cmentarzu, przez który szło się do lasu. Pokazała dzieciom, jak pocierając kredką, przenosić inskrypcje z nagrobków na papier. Zobaczyła około dwudziestu mogił, na których położono świeże kwiaty: April Willow, Susan Marley, Paul Martin, Andrea Jorgenson, Donovan McCormack... Pochyliła głowę i odmówiła Ojcie nasz za spokój ich dusz.

Potem weszli w las, który, ku zdumieniu Lois, już nie był lasem. Od ostatniej wizyty specjalistów z EPA wszystkie drzewa umarły. Na ziemi, jak polegli żołnierze, leżały suche łupiny i gałęzie. Rosło niewiele mchu, nie było żadnych wiewiórek ani ptaków.

Zobaczyła zmartwioną minę Janice Fischer i zrozumiała, że powinna zabrać dzieci z powrotem do autokaru. Ale nie zrobiła tego. Chciała nauczyć je dzisiaj czegoś ważnego. Czegoś, co będą pamiętać jeszcze długo po tym, jak zapomną jej nazwisko. Powie im, co dzieje się z miejscami, o które nikt nie dba. Miejscami, którymi kierują tylko złe instynkty.

Zebrała dzieci na obrzeżu lasu i zaczęła mówić:

- Czy wiecie, co się tutaj stało? Kiedy zamknięto papiernię, ludzie, którzy w niej pracowali, wpadli we wściekłość i spalili ją. Spalili własne miasto, bo byli wściekli. Czy to miało sens? Czy gdybyście byli wściekli, zrobilibyście sobie krzywdę?

Dzieci zgodnie zaprzeczyły, a Caroline Fischer, zawsze najbardziej skora, by się odezwać, zawołała:

- Nie, panno Lois!

Lois pokiwała głową.

- Dobrze, jestem z was dumna. A teraz wszyscy zostańcie... zostańcie ze swoją parą. Nie odchodźcie dalej niż za ten dąb z prawej.

Rozpostarła ręce, dając znak, że mogą się rozejść. Dzieci popędziły między drzewa.

Przez prawie godzinę szukały śladów życia pod kamykami i mchem. Chłopcy rzucali w dziewczynki robakami, a dziewczynki piszczały, ale nie strachu, tylko dlatego, bo fajnie jest piszczeć. Lunch zjedli przy drewnianych stołach piknikowych na skraju lasu. Lois zapomniała spakować kanapkę, więc burczało jej w brzucha. Znowu myślała o Ronniem.

Może ten artykuł w gazecie to jakiś kawał. Może Noreen zamówiła go, żeby jej dokuczyć, a teraz Ronnie właśnie jej szuka. Lada chwila zjawi się na skraju lasu, wysiądzie z tej kupy śrub, która według niego przyciąga laski, i na oczach dzieci, kierowcy autokaru, Janice Fischer oraz całego świata wykrzyknie: „Noreen to świnią! Ja kocham ciebie, Lois! Zawsze cię będę kochał!”

Wydmuchała nos tak mocno, że chusteczka pękła i jej rękę pobrudził śluz. Ta wycieczka wcale nie była fajna. Tak naprawdę była do bani. Zauważyła, że dzieci na nią patrzą. Wydawały się smutne i jakby wystraszone. Tylko James Walker na nic nie zwracał uwagi.

- Moje oczy są podrażnione, pamiętacie? - powiedziała. - Jestem bardzo uczulona.

Dzieciaki pokiwały głowami. Są cudowne, pomyślała. Kochała je jak własne. Nawet Jamesa. Tak się zdenerwowała, że prawie o tym zapomniała, ale to przecież prawda.

Caroline Fischer przesunęła po stole swoją paczkę krakersów, aż znalazła się przy Lois.

- Mam jeszcze jedną - zapewniła.

George Sanford, ten który zjadał kredki, poturlał w jej stronę ciastko z jabłkami. Michael i Alex Fullbrightowie dali jej pomarańcze. Donna Dubois wręczyła na wpół zjedzony batonik Kit Kat. Lois westchnęła. Rywalizacja, kto co da nauczycielce, trwała, dopóki wszystkie dzieci nie podarowały jej swoich przekąsek albo połówki kanapek. Wyrosła przed nią góra jedzenia. Lois wzięła głęboki oddech, przerażona, że skończy się to płaczem na oczach dzieci.

- Dziękuję, dzieci - powiedziała, sięgając po szarlotkę.

Później kazała im opróżnić kieszenie pełne patyków i kamieni i wszyscy wsiadli do autokaru. Zaczęła sprawdzać listę, ale zauważyła, że Caroline macha przed siedzącymi obok niej chłopcami pustym opakowaniem po kondomie. Pewnie znalazła je w lesie i raczej nie wie, do czego służy prezerwatywa.

- Tfo śmieci - oznajmiła. Zabrała Caroline opakowanie i pokazała całej klasie. - Nie dotykajcie śmieci, bo nigdy nie wiadomo, gdzie one wcześniej były.

Znowu pomyślała o Ronniem. Czy właśnie teraz jest z Noreen? Czy pracują nad powiększeniem rodziny? A co z jej okresem, spóźniającym się już szósty tydzień?

Przeszła na przód autokaru i wyjrzała przez okno. Nigdzie nie dostrzegła czerwonego camaro. I żadne czerwone camaro się nie pojawi. Ci dwoje ją zdradzili. Nawet nie zadzwonili, żeby powiedzieć: „Wiesz, Lois, pewnie i tak o tym usłyszysz, ale zrozum, poniosło nas i zrobiliśmy coś głupiego”. Istniało jedno proste wytłumaczenie: wszystko sknoćiła. Otoczyła się złymi ludźmi, bo Ronnie, Noreen, a nawet jej matka do dobrych nie należeli.

Ale choć wiedziała, że lepiej jej bez nich, to się wcale nie liczyło. Dzisiaj po szkole pójdzie do Ronniego i zacznie go błagać, żeby do niej wrócił. A on tego nie robi, bo jest przecież z Noreen. Mniej więcej po miesiącu jakoś przełknie to wszystko i pójdzie do Kropli Rosy. Noreen powie coś złośliwego, Ronnie zacznie się śmiać, a ona będzie udawać, że wszystko jest w porządku. Wybaczy im, chociaż jej o to nie poproszą, bo przyjaźnienie się z nimi jest lepsze niż oglądanie Regisa Philbina z pijaną matką. Jak zwykle da się zrobić w trąbę, bo przecież życie Lois Larkin nie ma żadnego cholernego sensu.

- Ruszajmy - poleciała kierowcy.

Janice Fischer smarowała żelem antybakteryjnym ręce córki, która dotykała kondom, a Lois znowu zaczęła płakać. Dopiero gdy wrócili do szkoły, zauważyła, że kształt na siedzeniu obok to nie mały chłopiec, ale plecak i kurtka. James Walker zniknął.

2.

POTWÓR W LESIE

Ziemia pod stopami Jamesa Walkera trzeszczała jak bambusowy ksylofon na lekcji muzyki. To liście, patyki i kamienie, wszystkie suche i martwe. Nad jego głową sterczały bezlistne konary. Podskoczył kilka razy i słuchał, jak wszystko pod nim pęka. Wszystko było martwe.

Zamiast wsiąść do autokaru, udawał, że goni go starszy brat, Danny. Biegał tak długo, aż się zdyszał i stracił z oczu wyjście z lasu. Wiedział, że nie powinien się oddalać, ale nie cierpiał panny Lois. Ilekroć wymawiała jego nazwisko, krzywiła górną wargę, jakby ktoś próbował ją nakarmić śniegiem. Uznał, że jeśli dzisiaj ucieknie, to może tata wścieknie się tak, że wyleje ją z pracy.

Chociaż to nie przez pannę Lois został na drugi rok. Najpierw matka później oddała go do przedszkola, bo był niski jak na swój wiek, a potem pan Crozzier go oblał i napisał na cenzurce, że jest opóźniony psychicznie i emocjonalnie. Właśnie dlatego, mając już jedenaście lat, był dopiero w czwartej klasie. Podczas wakacji raz w miesiącu miał spotykać się z pracownikiem socjalnym i rozmawiać o swoich emocjach. Zazwyczaj nie odczuwał żadnych, więc głównie grali na Xboksie w Iron Mana.

Rodzice Jamesa chcieli, żeby przypominał starszego brata Danny'ego, który dostawał same piątki, grał w la crosse'a i razem z tatą chodził do klubu golfowego Corpus Christi. Nosili takie same koszulki i spodnie khaki, jakby byli członkami drużyny Amerykańskich Dupków.

Danny lubił łapać brata za ręce i bić go nimi po twarzy, pytając: „James, czemu sam się bijesz?” Kiedyś napchał mu do ust i do nosa brudnego śniegu, a potem czekał, dopóki ten nie przelknął. Ilekroć działo się coś takiego, James wyobrażał sobie, że wydłubuje Danny'emu oczy, a potem zjada je jak dwa pulpety, żeby nikt nie mógł mu ich wsadzić do pustych oczodołów.

Teraz wchodził coraz głębiej w las. Trzask, trzask, trzask, rozlegało się przy każdym kroku. Zwalone drzewa były puste w środku niczym łupiny kukurydzy. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł i aż podskoczył z radości. Hulk udawał, że jest silny, ale pewnie miotał takimi pustymi w środku drzewami. Na filmie wyglądały jak prawdziwe, ale to był tylko trik. James uśmiechnął się szeroko, bo sam wymyślił coś sprytnego, co oznaczało, że wcale nie jest opóźniony.

Aby sprawdzić swoją teorię, dźwignął pustą w środku kłodę. Okazała się lekka jak kartonowe pudełko. Pod spodem znalazł ślimaka bez skorupy, więc sięgnął po zapalki, które zwinął mamie z kuchni, i go podpalił. Ślimak zajaśniał, a potem zaczął się kurczyć. Nad jego ciałem wirował kłęb dymu śmierdzącego palącą się oponą. Potem skóra pękła i ze środka wylała się biała maź. Nie chciał, żeby stworzenie cierpiało, więc deptał je, dopóki się nie upewnił, że już nie żyje.

Kiedy miał osiem lat, zakradł się na podwórko pana McGuffina, żeby pobawić się z nowo narodzonymi króliczkami. Jego ulubieńcem był Gimpy, który miał niedorozwinięte tylne łapki. Nie mógł biegać, co oznaczało, że nigdy nie zeskoczy Jamesowi z kolan. Pan McGuffin powiedział, że James może przygarnąć Gimpy'ego, kiedy ten odpowiednio podrośnie.

I pewnego dnia wziął Gimpy'ego. Królik lizał mu palce, a chłopiec zastanawiał się, czy go kocha. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kogoś kochał. Może nigdy. Czerwone oczy królika wyglądały niewinnie, ale James uznał, że Gimpy jest kłamcą. Był taki jak Danny, miły na zewnątrz, lecz zły w środku. Dlatego trochę go przycisnął.

Gimpy nie krzyczał na Jamesa, żeby przestał (teraz, kiedy James miał już jedenaście lat, wiedział, że króliki nie mówią, ale wtedy sądził, że potrafią mówić, tylko nie chcą). Jego oczy zrobiły się wielkie, jakby zaraz miały pęknąć, co wyglądało bardzo zabawnie. James zamierzał go puścić, lecz jeszcze na chwilę przytrzymał mocniej i jeszcze bardziej ścisnął. Robił coś bardzo złego, chociaż chciał być dobry. Nie potrafił się powstrzymać. Czasem zapominał o byciu dobrym.

Oczy Gimpy'ego zrobiły się jeszcze większe. Potem coś trzasnęło i jeden z oczodołów zaczął krwawić. Oko wcale nie było takie fajne jak pulpet. James ścisnął królika jeszcze mocniej. Chciał, żeby wszystko jakoś się odstało, ale nie wiedział, jak to zrobić.

Gdy Gimpy ostatni raz spróbował się wyrwać, James chciał go puścić, lecz się wystraszył. Królik się zepsuł jak zabawka, której już nie da się naprawić. Jeśli pan McGuffin znajdzie brakujące oko, domyśli się, co zrobił James. Ręce chłopca przypominały teraz metalowe klamry, które nie mogą się rozewrzeć. Króliczek zaczął kopać, a potem krzyknął niskim, straszliwym głosem. Słuchanie tego krzyku nie raniło Jamesowi uszu, tylko serce.

Po tym krzyku wszystko w Jamesie ucichło, jakby go tam w ogóle nie było. Tak jakby spał. Jego ciało funkcjonowało dalej, ale nie potrafił nim władać. Nie czuł niczego. To przypominało zapadanie w sen.

Kiedy się ocknął, Gimpy już się nie ruszał. Leżał mu na kolanach wiotki i zimny. James wiedział, że źle jest skrzywdzić zwierzę, wiedział też, że kochał Gimpy'ego, ale w pewien sposób był zadowolony. Zabicie króliczka nie było mądre, lecz z pewnością było czymś odważnym. Większość ludzi by stchórzyła.

Wykopał dołek za klatką i pogrzebał Gimpy'ego. Nie potrafił sobie przypomnieć żadnych pacierzy, więc tylko poprosił Boga, żeby wpuścił królika do nieba, nawet jeśli zwierząt zwykle się tam nie wpuszcza. Inaczej Gimpy zaczęłby go straszyć, a James chciał, żeby był już całkiem martwy. Przykrył zasypaną dziurę liśćmi, żeby pan McGuffin nie zauważył poruszonej ziemi, a potem pobiegł do domu i powiedział mamie, że musi się położyć, bo się czuje chory.

Kiedy ktoś zapukał do drzwi, James modlił się, żeby to nie był pan McGuffin i żeby mógł cofnąć to, co zrobił. Ale to był pan McGuffin. James słyszał, jak rozmawia z jego matką w przedpokoju. Najpierw mówili cicho, a później mama zaczęła krzyczeć i pan McGuffin też.

- Ten świr kiedyś zabije człowieka! - wrzeszczał.

James opatulił się kołdrą i próbował zasnąć. Tak bardzo się bał, że nawet nie mógł płakać. Dlaczego to się stało? Bo on jest zły. Wszyscy to wiedzą, nauczyciele ze szkoły, dzieci, które nigdy nie zapraszają go na urodziny, i Danny, i nawet rodzice. Oni wszyscy już wcześniej wiedzieli o tym, co właśnie sobie uświadomił. Jest zły w środku. Zabił własnego króliczka.

Pan McGuffin nie wbiegł na górę i nie wpadł do jego pokoju. Drzwi wejściowe trzasnęły, a potem zapadła cisza. Później zjawiała się matka, niosąc tacę z sokiem pomarańczowym i tostem. Postawiła ją na łóżku i przysunęła sobie krzesło. (Nigdy nie siadała na jego łóżku, kiedy chciała porozmawiać. Ale na łóżku Danny'ego tak).

- Jak się czujesz? - zapytała.

Była gruba i brzydka. Kiedyś uderzył ją w brzuch i powiedział jej to. Nie wiedział, że zacznie na niego krzyczeć.

- Bardzo źle, Felice - odparł, bo nie reagowała, ilekroć zwracał się do niej „mamo”.

Nie pogłaskała go po głowie ani nie przytuliła.

- Był tu pan McGuffin - oznajmiła. - Powiedział, że znalazł twojego ulubionego króliczka. Ktoś go zabił i zakopał. Myśli, że to byłeś ty, ale powiedziałam mu, że to niemożliwe. Że byłeś pod domem i trenowałeś baseball. Właśnie to robiłeś cały ranek, prawda?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Matka zmrużyła oczy. Niby patrzyła na niego, ale jednocześnie starała się go nie widzieć. Dlaczego skłamała, że był pod domem?

- Jestem chory - wykrztusił.

- Pewnie złapałeś jakiegoś wirusa. - Poklepała go w nogę. - Powinieneś się przespać.

Wstała i po chwili usłyszał, jak zamyka za sobą drzwi. Od tej pory patrzyła na niego inaczej. Nawet jeśli jej usta się uśmiechały, to oczy nigdy.

Tego wieczoru James podsłuchał, jak ojciec rozmawia z panem McGuffinem przez telefon. Powiedział mu, że jeśli zacznie rozpowiadać o zabitym króliku, to go poda do sądu o zniesławienie, a wtedy pan McGuffin nie zdoła spłacić kredytu za dom. A tak swoją drogą, dlaczego samotny mężczyzna zaprasza do siebie dzieci, żeby się pobawiły z króliczkami?

Zabicie Gimpy'ego było najgorszą rzeczą, jakiej James kiedykolwiek się dopuścił. Nie chciał już nigdy robić czegoś takiego. Ale czasem robił.

Teraz się zatrzymał. Myślał o Gimpym, wstającym z grobu i straszącym go w tym lesie - przez co zapomniał, dokąd idzie. Nad głową nie widział już błękitnego nieba,

tylko martwe gałęzie i suche liście, tak gęste, że choć był dzień, wszystko ogarniał półmrok.

Koledzy z klasy mówili, że to miejsce jest pełne duchów, i właśnie dlatego wycieczka do Bedford wydawała mu się taka fajna. Ale nie zobaczył niczego szczególnego poza panną Ciepłe Kluchy Larkin.

Usiadł na kamieniu, który zwisał nad płytkim strumykiem, i nagle poczuł się źle. Nie lubił długo być sam. Czasem myślał o tym, żeby zakraść się do pokoju Danny'ego i przycisnąć mu poduszkę do twarzy, a potem zrobić to samo z rodzicami. Wtedy mógłby mieć nową rodzinę, która nie krzywi się, gdy na niego patrzy.

Wspiął się na nawis i położył na kamieniu. Teraz widział swoje odbicie w wodzie. Chłopiec o blond włosach i niebieskich oczach. Skórę miał bladą, a oczy ciemne. Pomyślał, że to właśnie jest to coś złego, co w nim mieszka. Coś, co lubi robić innym krzywdę.

To coś jest zawsze głodne, pomyślał. Nigdy się nie nasyca. Odbicie mrugnęło do niego. Żyło, chociaż było tylko odbiciem.

- Kim jesteś? - spytał. - Chcesz się pobawić?

W lesie zrobiło się ciemniej, jakby miało zacząć padać. Odbicie też pociemniało. „James” - wyszeptał jakiś głos. Dźwięk rozszedł się echem wśród martwych drzew.

Rozejrzał się dokoła, ale nikogo nie zauważył. W spodniach poczuł coś, co Danny nazywał „stawaniem”. Stawać powinno, kiedy patrzy się na dziewczyny, lecz jemu robiło się tak, tylko gdy się bał albo zrobił coś złego. Ilekroć chciał, żeby to minęło, stawało jeszcze bardziej, więc po prostu wszystko ignorował.

„Pobawię się z tobą, James”. Głos wydawał się wilgotny, jak gdyby dobiegał gdzieś z dna rzeki i rzadko wydostawał się na powierzchnię. Nie wiedział, czy ten głos należy do mężczyzny, czy do kobiety, co było dwa razy gorsze, bo znaczyło, że staje mu też, kiedy słyszy męskie głosy. Ale nie potrafił tego opanować!

Zeskoczył z kamienia i spojrzął w stronę, z której dobiegał głos. Znowu powiało, a on zobaczył ścieżkę. Konary brzoź dźwięczały, usuwając się przed nim. Gałęzie były szpiczaste jak palce wskazujące drogę. Przypomniały mu kreskówkę, którą oglądał w telewizji jako małe dziecko - zaklętym lasem Czerwony Kapturek szedł do domu babci.

Ruszył ścieżką, podążając za głosem. Prowadziła do polany, a kiedy tam dotarł, zamknęła się za nim. Serce mu załomotało. Nie było już mowy, żeby odnalazł drogę powrotną.

„James” - ponagliło go to coś.

Robactwo nagle przestało gryźć. Zniknęły też zwierzęta. Nie było nawet dżdżownic, mchu i purchawek. Może to coś z lasu zrobiło im krzywdę. Potrafił to zrozumieć.

Ziemia zrobiła się czarna niczym atrament z kałamarnicy i gorąca; grzała mu stopy, mimo że miał buty Nike na grubych podszewkach. To był taki sam rodzaj ciepła jak od ognia, który zapłonął mu w brzuchu, kiedy umarł Gimpy. Tak zimno, że aż gorąco. Paliło na wszelkie złe sposoby.

Wiedział, co ma zrobić. Głos mu kazał. Wziął ostry kamień i zagłębił w czarną ziemię. Wiatr przybrał na sile, gałęzie szeleściły, jakby na lekcji muzyki nakręciła je kofeina; grały bez melodii, nie zważając na nic. „To jest dobre, James” - oznajmił głos, tyle że już nie był poza nim. Pełzał wewnątrz niego. Ślizgał mu się gdzieś za uszami. Spoglądał w las przez jego oczy. James zaczął płakać i uderzył się w twarz.

- Wyłaż! - krzyknął.

„James, nie chowaj się przede mną - powiedziało coś. - Znam cię”. Głos przypominał jęczyczek Gimpy'ego, kojący i szorstki. Tęsknił za Gimpym. Tęsknił za

czyimś dotykiem. To coś poruszyło się wewnątrz niego, spoczęło w przestrzeni między uszami.

Ile czasu minęło, od kiedy jakiś kolega przyszedł do niego, żeby się pobawić? Miesiąc? Nie, więcej. Co najmniej rok. W szkole przezywali go zjadaczem siuszków.

„Znam cię, James, a tak w ogóle, to cię lubię” - oznajmił głos. James uśmiechnął się, bo to coś pokazało mu wizerunek Gimpy’ego, kiedy się szarpał, i już wiedział, że wszystko dzieje się naprawdę.

Przestał płakać i zaczął kopać. Błoto między jego palcami było gorące i czarne jak atrament. Nieprzyjemne w dotyku, jakby ugotowane. Podniósł jego garść, potem jeszcze jedną. Dołek zrobił się większy. Kopał dłuższy czas, aż w końcu wszystko zaczęło go boleć. Kopał jednak dalej, dopóki nie pojawił się nowy, jeszcze gorszy ból. To coś siedzące w jego głowie pokazywało mu obrazy. Złe obrazy, ale jemu się podobały.

Kopał mimo bólu pleców, zdrętwiałych nóg, krwawiących palców. Kopał mimo swojego ciężkiego oddechu, mimo świadomości tego, co robi i dlaczego. Głos go kołysał, czuł się, jakby się położył do ciepłego łóżka. Chociaż już niczego nie mówił, James czuł go wewnątrz siebie. Pomyślał o Gimpym, o swojej rodzinie i o pannie Lois, która, choć bardzo tego nie chciał, pierwszego dnia szkoły zapytała go przy całej klasie: „James, widzę, że jesteś starszy niż inni. Czy to znaczy, że wymagasz jakiegoś specjalnego traktowania?” A po chwili nie myślał już o niczym. Wszystko skryła ciemność. Zasnął, nawet jeśli myślał, że nie śpi, tak jak wtedy z Gimpym. Wciąż jednak kopał.

Obudził się wśród mroku, ktoś wykrzykiwał jego imię. Stał w głębokiej jamie i kopał dalej. Jak mogło tak szybko zrobić się tak późno? Zaledwie pięć minut temu słońce stało wysoko na niebie, a teraz były tam tylko gwiazdy. Ręce miał zakrwawione, a plecy i nogi bolały tak bardzo, że nie potrafił się schylić bez jęknięcia. Jak długo już kopie?

- James - zawołał z oddali jakiś głos.

Czy to ten jego nowy kolega? Nie, głos był pełen złości i zbyt wyraźny.

- James, słyszysz mnie?

Krzyk rozległ się ponownie i chłopiec się przeraził, bo go rozpoznał.

To panna Lois wróciła, żeby go szukać. Tyle że przyprowadziła ze sobą jego ojca. Miller Walker wołał przez megafon:

- Chodź tu natychmiast!

James wziął głęboki oddech. Piersi miał tak obolałe, że aż zakłuło go w płucach. Imadło skurczonych mięśni mocno ścisnęło go, dopóki się garbił. Najbardziej bolały zakrwawione palce. Chuchał na nie, by nie myśleć o bólu.

Wewnątrz niego otworzyło się oko, zamrugało. „Kop dalej, James - powiedziało to coś. - Wiem, czego chcesz. Dam ci to”. Tak, pomyślał James. To coś zna prawdę. On jest zły. On jest tym chłopcem z wody, o bladej cerze i czarnych oczach. On zabił swojego króliczka.

Podniósł kolejną garść ziemi. I następną. Może w tym dole leży Gimpy, czekając, aż tamta zła rzecz się odstanie. Jeżeli James postara się wystarczająco mocno, zdoła wszystko odwrócić. Wiedział, że to niewykonalne. Ale przecież to miejsce było zaklęte. Nagle w ziemi coś bardzo brzydko zapachniało. Jak zgniłe jajko. Odór wydobywał się z jamy pod postacią mgiełki i wypełniał las. On jednak kopał dalej. Po kolejnej garści ziemi dotknął czegoś twardego i gorącego. Odgarnął ziemię dokoła znaleziska, aż wreszcie zdołał je wyjąć. „Mądry chłopiec” - powiedział głos, a on uśmiechnął się, bo zabrzmiała w tym duma. Jest mądry, prawda?! Bez niczyjej pomocy domyślił się, o co chodzi z Hulkiem.

Przedmiot był brązowy i twardy. Lżejszy od kamienia i dłuższy niż linijka. Opuścił go na ziemię, bo palił mu ręce jak dotyki mroku. To kość, uświadomił sobie. Kość z łapy jakiegoś zwierzęcia. Nie, nie Gimpym. O wiele za duża jak na królika. Pachniała tak brzydko, że oczy zaszyły mu łzami. „To wszystko, czego chcesz, James” - powiedział głos i chłopiec wiedział, że już nie będzie się przejmował Gimpym. Teraz chciał tego czegoś, co było zakopanie. Chciał zobaczyć twarz tego głosu.

Jego tata cały czas krzychał przez megafon, lecz było już za późno, żeby wracać. Panna Lois nigdy mu nie wybaczy, a od kiedy został na drugi rok, ojciec przestał patrzeć mu w oczy i nazywać „dobrym chłopakiem”. Kopał dalej i wyciągnął jeszcze jedną kość. Stracił paznokcie. Zdarł go z palca wskazującego i nawet tego nie zauważył. Znalazł jeszcze więcej kości. Wygrzebywał ziemię wokół ich krawędzi, dopóki nie dawało się ich wyjąć. Z dłoni kapłała mu krew, kiedy je układał na atramentowoczarnej ziemi obok jamy. Czaszka i kości palców. Uśmiechnął się. Czaszka była ludzka.

Ułożył kości w czerwony stos. Coraz bardziej krwawił. Całe dłonie i przedramiona miał poranione i nawet nie pamiętał, jak to się stało. Wzmógł się wiatr. Martwe drzewa skrzypiały, aż ich odgłosy przestały być muzyką. Stały się krzykiem.

Z czoła kapłał mu pot, twarz zastygła jak gipsowy odlew. Jego krew spadała na kości. Ale nie czuł bólu. Część niego - większość niego - spała. W spodniach czuł coś gorącego. Znowu mu stanął? Nie, posikał się.

Dostrzegł - nie miał pojęcia, dlaczego wcześniej tego nie zauważył - że wzdłuż krawędzi polany leżą martwe zwierzęta: skunksy, wiewiórki, ptaki i sarny. Ich szczątki znaczyły jej brzegi niczym stosy drewna. Wszystko stanowiło dzieło tego zakopanego czegoś. Dostało się do ich głów i kazało się nawzajem atakować, tak by pod ziemią mogło posmakować rozlanej krwi. Wcale nie atrament sprawił, że ziemia stała się czarna.

James poczuł tę złą emocję. Nie potrafił jej się oprzeć. Klasnął w dłonie i się roześmiał.

„Wszystko, czego chcesz” - obiecało to coś i chłopiec zrozumiał, że to prawda. Oczami duszy widział zmasakrowane ciała rodziców. W jego umyśle Danny był niedorozwinięty, a on, James, zasiadał na tronie rodziny Walkerów.

Z lasu wyszedł szop pracz. Zęby miał obnażone, oczy czarne. Przyszło ich więcej. Opasłe ciała, chwiejąc się, zbliżały się ku niemu. Kołysały się na małych nóżkach, jakby były chore, a pachniały tak brzydko, że zasłonił twarz pokaleczonymi dłońmi i wstrzymał oddech.

One zwariowały, pomyślał, tak jak ja.

Wiedział, co się stanie. To coś szeptało mu do ucha. Gdyby był normalnym małym chłopcem, mógłby uciec. Zataczające się szopy zgrzytały zębami. Jego krew skrapiała kości. Myślał o Gimpym, Teraz, w tych ostatnich chwilach, wiedział, jak czuł się jego króliczek.

CZEŚĆ II

Inkubacja

3.

ROZBIJANIE ATOMÓW

Rankiem tego wtorku, w który James Walker został uznany za zaginionego, Meg Wintrob czołgała się pod fundamentami swojego domu. Gazeciarz znowu nie trafił, rzucając „Corpus Christi Seritinel”, i żeby wyciągnąć gazetę, musiała pełzać na czworakach. Jej uda zaproteowały, z bólu przygryzła dolną wargę, Zapalenie torebek stawowych. Trzymała się nieźle, a panna Clairól farbowała jej włosy na kruczą czerń, ale właśnie rzeczy takie jak ta nie pozwalały zapomnieć, że była już w średnim wieku.

Przestrzeń pod fundamentami miała niecały metr wysokości i biegła wokół domu. „Sentinel” nie upadł daleko, ale kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła karuzelę swojego syna Davida, która zawieruszyła się piętnaście lat temu, kłęb roślin o potrójnych liściach, podejrzenie przypominających trujący bluszcz, i cały zbiór gazet sprzed kilku dni, miesięcy i lat. Dzisiejszą chyba obsikały skrzaty, bo strony przylgnęły jedna do drugiej, tworząc wilgotny zlepek kartek. Potrząsnęła gęstymi czarnymi kędziorami i pomyślała: Czy chociaż raz miasto mogłoby zatrudnić gazeciarza, który nie rzuca gazet jak łajza?

Musiała się tak czołgać już wielokrotnie. A teraz poczuła, jak przylepia jej się do policzka jedna z tych lepkich pajęczyn. Drewniane dźwigary widziane z dołu wydawały się solidne, a betonowa podstawa nie miała ani jednego pęknięcia. Meg czuła się bezpiecznie. Ale było jej niewygodnie.

Trzymając w garści wilgotny papier, obróciła się na brzuch. Kiedy pełzła w stronę schodów, bluszcz otarł się o jej wyblakły szlafrok frotte. Listki wyglądały jak plastikowe. Nie była alergiczką, ale wiedziała, że powinna unikać takich roślin. Zrobiła jednak coś, co stanowiło jedno z instynktownych zachowań, tak jak czekanie do ostatniej chwili, nim minie się leżącą na drodze butelkę, która wypadła nie wiadomo skąd. Chciała poczuć to pnącze, rozetrzeć je między palcami, posmakować językiem. Zjeść białe trujące jagody tylko po to, żeby sprawdzić, co się wydarzy. Zerwała kilka i schowała do kieszeni.

Wyczołgała się na zewnątrz i usiadła na podeście. Miasto, łącznie z jej rodziną, wciąż spało. Czerwonopomarańczowe promienie świtu przenikały przez gąszcz sosen rosnących na podwórzu. Na ulicy nie było żadnego samochodu ani żadnego sąsiada. W domu grubo zmielona kawa parzyła się na gazowym płomieniu. Trzeba ugotować jajka. Ustalić terminy wizyt. Teoretycznie dzień przynosił wiele obietnic.

Czuła smutek, od kiedy David wyjechał dwa tygodnie temu na Uniwersytet Kalifornijski. Teraz tlenił włosy i brwi i nosił błyszczące koralowe naszyjniki, w których było mu... ładnie. Albo chce wyglądać jak surfer, albo zbiera się na odwagę, by wyznać, że jest gejem. Podejrzewała raczej to drugie. Chociaż Fenstad nigdy by tego nie powiedział, wiedziała, że to ją by winił. Przez swoją nadopiekuńczość zrobiła z chłopaka maminsynka. Robił takie aluzje, ilekroć ona i David szli na długi spacer, laskotali się albo razem piekli ciasteczka. Wchodził wtedy do kuchni z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia, jak gdyby David był jej kochankiem, a on właśnie ich przyłapał na gorącym uczynku.

Potem mówił coś głupiego - w rodzaju „Mężczyzna powinien stać twardo na ziemi” - i ani ona, ani David nie mieli pojęcia, co na to powiedzieć. Fenstad potrafił czasem zachowywać się jak dupek.

Brakowało jej Davida bardziej, niż się spodziewała, co pewnie tłumaczyło, dlaczego w zeszłym roku wdała się w romans z Grahamem Nero. Maddie i Fenstad oczekiwali od niej ciepłych posiłków i opłacania rachunków, czystego domu i mądrej rady. Oczywiście doceniali wszystko, co robiła, nie była jakąś cierpiętnicą. Ale tylko takich rzeczy oczekiwali.

Choćby Maddie. Latem przebiła sobie pępek kolczykiem w kształcie kółka, używając tylko wacika nasączonego alkoholem, a jako znieczulenia kostki lodu. „Ale jestem hardcorowa” - wołała, kiedy wpadała do kuchni, wznosząc dłonie z wyprostowanymi kciukami, tak jak prawdziwa heavymetalowa laska. Tyle że krew ciągle nie przestawała plamić tych jej majteczek w niebieskie grochy od kostiumu kąpielowego. Chcąc, żeby ostrze łatwiej przebiło skórę, posmarowała jego końcówki crisco, nieświadoma, że ta maść działa przeciwzакrzepowo. Tam, gdzie się ją naniesie, nie robią się strupy. Dopiero gdy już prawie jechali na pogotowie, wreszcie poszła po rozum do głowy i wyjęła ten cholerny kolczyk, aby rana mogła się zagoić. Cała Maddie. Najpierw coś robiła, a dopiero potem myślała. Nie rozglądała się, przechodząc przez ulicę, uśmiechała do obcych ludzi, a ostatnio ufarbowała włosy na fioletowo, zanim przeczytała na ulotce, że kolor jest trwały.

No i jeszcze Fenstad. Gdyby zostawić go samemu sobie, pewnie jadłby tylko suszoną wołowinę i nosił bieliznę z dna kosza, śmierdzącą jak brudna pacha. Dwadzieścia lat małżeństwa, a nie nauczył się nawet gotować makaronu. Często patrzyła na swoje dwa utrapienia, siedzące po drugiej stronie stołu, i zastawiała się: Gdzie ja, do cholery, jestem?

Teraz odwróciła się na podeście. Zdrętwiały jej nogi. Czowała ukłucia od stóp aż do pośladków. O Boże, starzeje się. Ktoś powinien dać jej tubkę ben-gaya, parę butów ortopedycznych i święty spokój.

Dzisiaj temperatura miała sięgnąć piętnastu stopni. Świetna pogoda na sweter. I na wagary. Powinni wziąć sobie z Fenstadem chorobowe, pojechać do Parku Stanowego Baxtera, wejść na Katahdin i objadać się jagodami rosnącymi wzdłuż ścieżki. Zawsze chcieli robić takie rzeczy: jeździć na wycieczki, wynajmować pokoje w tanich motelach i uprawiać seks jak aerobik, a wieczorami chodzić na kręgle. Cały czas o tym rozmawiali, ale nigdy tego nie robili. Jakoś nie mieli czasu.

Zabawne, że to się mogło stać. Nie, wcale nie, to w ogóle nie było zabawne.

Po pożarze w Bedford Fenstad sugerował, żeby sprzedali dom i przeprowadzili się do Bostonu. Obawiał się, że znaki ostrzegawcze przy drodze numer 117 zapowiadają katastrofę. Ale wkrótce znaki zostały usunięte, a rozmowa o przeprowadzce zapomniana. Meg pomyślała, że sprzedadzą dom, gdy Maddie skończy szkołę, i pójdą swoją drogą. Przeprowadzą się, dopóki jeszcze nie są starzy. Takie myśli były dla niej niczym gorący metal zastygający we krwi. Zbyt bolesne, aby je pielęgnować - a jednak wciąż obecne.

Meg nie miała zwyczaju marudzić. Z ptasiego gniazda na rynnie pierwszego piętra zaczął dobiegać świergot. Drozdy? Kosy? Wróble? Nie wiedziała. Z ptaków najbardziej lubiła kolibry. Trzepotały maleńkimi skrzydełkami tak szybko, że wyglądały jak rozmazana niebieska plama, a wszystko po to, by nie ruszyć się z miejsca. To jest dopiero poświęcenie.

Meg wsadziła ręce do kieszeni. Jagody bluszczu się zgniotły. Fenstad pewnie już wstał. On i Maddie ostatnio nie rozmawiali ze sobą. Żałował, że córka przestała być małą dziewczynką, ona pewnie też. Teraz ignorowali się wzajemnie, bo nie potrafili wymyślić, co innego mogliby robić. W przeciwieństwie do Maddie, której nastroje

wahały się, zależnie od tego, co właśnie zjadła, czy i układało jej się z chłopakiem i od fazy cyklu, Fenstad stanowił głos rozsądku. Cichy, rozsądny, logiczny, rzadko się śmiał i jeszcze rzadziej płakał. Tak naprawdę był zimny. Zimny jak sopel lodu.

Meg wyrzuciła jagody na ścieżkę. Potoczyły się. Na ramionach i nogach dostała gęsiej skórki. Poza szczytem głowy goliła praktycznie całe ciało, skórę miała więc gładką jak woskowana brzoskwinia. Jej dziadkowie ze strony obojga rodziców pochodzili z północnych Włoch, toteż większość rodziny miała jasną cerę, tylko ona, była śniadym wyrzutkiem z innego pokolenia. Zaczęła dojrzewać, gdy skończyła zaledwie jedenaście lat, a w czasie wakacji przed rozpoczęciem siódmej klasy dostała pierwszą miesiączkę. Uciążliwym dodatkiem do tego wszystkiego okazał się puszysty czarny wąsik nad górną wargą, przypominający zagubioną gąsienicę. W szkole kpiono z niej bez ustanku. Więcej złośliwych dwunastolatków, niż potrafiła zliczyć, udawało, że chce się z nią umówić, („Wyjdiesz za mnie, Psia Mordko? - błagał Phil Payne, a wyciśnięte śmiechem łzy spływały mu po twarzy. - Kocham cię, Psia Mordko!”) Przez napis w ubikacji rozniosła się też pewna wstrętna plotka i jej dawne koleżanki twierdziły, że jest obojnakiem. Jedna z dziewczyn mówiła nawet, że w damskiej przebieralni widziała u niej penisa.

Podczas ferii bożonarodzeniowych kupiła sobie domowy zestaw do depilacji woskiem. Szybko nauczyła się woskować, golić i odżywiać tak, że zmieniła się w wypolerowaną wersję dawnej Meg Bonelli. Mimo uporczywych plotek, że coś jej wisi między nogami, w ósmej klasie chodziła na randki z kapitanem szkolnej drużyny zapaśniczej, a pod koniec ostatniego roku liceum zajęła czwarte miejsce w konkursie na Miss Klasy. Gdy ogłoszono zwyciężczynię, ukryła łzy, zamykając się na dwadzieścia minut w łazience. Ale Fenstad, którego poznała trzy lata później, nigdy się nie domyślił, że nosiła kiedyś przezwisko Psia Mordka i że jeśli przez tydzień nie depilowała woskiem podbródka i górnej wargi, okrywał je straszliwy cień zarostu. Czowała kobiecą dumę z faktu, że nadal o tym nie wiedział.

Po dziś dzień bała się powrotu tamtych drwin. Zadawała sobie dużo trudu, aby kanty na spodniach zaprasowywać w prościutkie linie, a włosy suszyć tak, by stawały się prostymi krawędziami okalającymi jej pociągłą twarz. Nauczyła się doceniać klarowność prostych linii, urok błyszczącego białą uśmiechu i zarys swojej smukłej talii w dopasowanej plisowanej spódnicy. Żałowała, że tego perfekcjonizmu nie odziedziczyła po niej Maddie, która na śniadanie wysysała cząstki grejpfruta, po jednej naraz.

Meg zmrużyła oczy. Słońce było coraz wyżej, miasto zaczynało się budzić. Z jej domu przy River Street rozciągał się widok na śródmieście Corpus Christi. W oddali widziała przysadzisty budynek szpitala i przyległy do niego, czteropiętrowy parking. Dalej wznosił się kościół episkopalny, zwieńczony prostym krzyżem z pozieleniałej miedzi. Wzdłuż River Street stały piętrowe sklepy. Po ulicy toczyły się samochody wiozące do szpitala lekarzy, pielęgniarki i administratorów.

Wszystkie trawniki w mieście były schludne i zielone. Ogrodnik przychodził do niej raz w tygodniu i niczym czarodziej obsiewał ziemię i przycinał żywopłot. Z zachodu przyjeżdżał autobusem cały legion osób, które pracowały na czarno. Sprzątali domy, czyścili podłogi i półnaczy pocili się w upale. Nigdy nie rozmawiała ze swoim ogrodnikiem ani z kobietą, która w środy po południu przychodziła sprzątać. Zostawiała im tylko koperty z pieniędzmi, bo tak właśnie postępowano w Corpus Christi.

Meg zaburczało w pustym brzuchu. Pomyślała o kawie i jajkach, ale nie weszła do domu. Patrzyła na miasto rozpościerające się przed nią i czuła smutek. Tęskniła za wszystkim tutaj, chociaż jeszcze nie przeminęło. Kochała to w sposób, w jaki kocha się coś, co ma się wkrótce stracić.

O tamtym słowie myślała przez cały czas, jaki minął od katastrofy z Grahamem Nero. W nocy nie pozwalało jej spać, unosząc się na powierzchni złowrogo jak niezidentyfikowane brudy, które przez całe lato spływały z Bedford rzeką Messalonski. Myślała o nim, kłócąc się z Maddie, płacąc rachunki, oglądając telewizję, całując męża na dobranoc. Niezależnie od tego, jak głęboko pragnęła je pogrzebać, nie chciało się schować. Rozwód, myślała przynajmniej raz na godzinę między przebudzeniem się a zaśnięciem. Rozwód. Rozwód. Rozwód.

Ptaki wyleciały z gniazda i zaczęły dziobać przy ścieżce. Główki miały czarne, a piersi białe. Ich śpiew był przyprawiającym o zawrót głowy ćwierkaniem. Meg wreszcie sobie przypomniała, jak się nazywają: sikorki. Ściągnęła kapcie i wstała. Czemu nie? Co ją powstrzymuje? Maddie wyjeżdża w przyszłym roku, a syn już wyjechał. Co ma do stracenia?

Wilgotna trawa wbijała gwoździe chłodu w podeszwy jej stóp. Gęsia skórka zrobiła się jeszcze silniejsza, a gazeta w dłoni tak ciężka, że ją upuściła. Miała czterdzieści pięć lat i jeszcze nigdy nie pływała nago, nie paliła skręta, nie stłukła specjalnie naczyń. Chciała poturłać się po trawie jak mały dzieciak. Chciała wziąć tydzień wolnego i bawić się z mężem, naprawdę się bawić, tak żeby wieczorem kładli się do łóżka z brzuchami obolałymi ze śmiechu.

Chciała podejść pod jego okno niczym wyzwolona Julia i zawołać, że zasługują na coś lepszego. Fenstad, David, Maddie i każde z nich. Po prostu sobie odpuśćmy! Odwróciła się i już miała to zrobić, ale coś ją powstrzymało. Coś związanego z ptakami. Nie potrafiła tego dokładnie określić. Sikorki dziobały ziemię. Jedna z nich połknęła jagodę, jej jagodę. I wtedy sobie przypomniała.

Serce Meg Wintrob zaczęło bić szybciej. Czy te ptaki nie potrafią wyczuć trucizny? Co one wyprawiają? Ale przecież ponoć zjadają suchy ryż sypany na ślubach, a potem piją wodę, dopóki nie eksplodują im żołądki. A może to tylko taki mit? Serce biło jej jak szalone, pompując krew do twarzy, aż zrobiła się czerwona niczym walentynkowe serduszko. Co one wyprawiają?

Wszystkie jagody zniknęły. O nie! Meg pomasowała czoło. Jeden z ptaków przestał dziobać. Zamachał skrzydłami, lecz zbyt słabo, by odlecieć. Podskakiwał wzdłuż ścieżki, zataczając się. Wyglądał jak pijany i byłby całkiem zabawny, gdyby nie wiedziała, co się naprawdę dzieje. Przestał trzepotać skrzydłami i poruszał się coraz wolniej. Podniosła go, schowała w dłoniach i wyczuła słabnący oddech.

Nie powinna się przejmować. Ten ptak był głupi. Nie zasługiwał, by się rozmnożyć i przekazać swoje marne geny następnym pokoleniom. Instynkt miał całkiem do niczego. Ptaki nie powinny jeść trucizny. Dlaczego więc płakała?

Nie próbował wyrwać się jej z dłoni. Jego klatka piersiowa, pełna pustych w środku kości, bardzo powoli unosiła się i opadała. Meg pochyliła się i czubkiem nosa dotknęła jego dzioba. Nie zareagował.

Miała już dwa psy, cztery czy pięć króliczków i mnóstwo złotych rybek. Wyjąwszy psy, nigdy nie uroniła nawet jednej łzy. Ale ten ptak już stygł. Chciała odłożyć go tam, gdzie go znalazła. Udawać, że nigdy go nie widziała. Nie mogła. Nie mogła pozwolić umrzeć mu samotnie. Poczekała jeszcze kilka minut, aż przestał oddychać, i wtedy położyła go na ziemi.

Płakała na środku swojego trawnika. Przejeżdżający obok sąsiedzi zwalniają, aby jej się przyjrzeć. Zakryła twarz dłońmi, udając, że osłania oczy przed słońcem. Była w starym szlafroku, bo ten dobry leżał wśród ubrań do prania. Włosy miała w nieładzie. Czuła, że marzną jej stopy. Dlaczego jest tak zimno? No tak. Zdjęła kapcie. Ptak. Piękny ptak. Sikorka.

Jakiś samochód na ulicy zwolnił. Szef Fenstada, dyrektor szpitala, odsunął szybę i zawołał:

- Co słyhać, Meggie?

Miller Walker należał do grona popaprańców, którzy wymyślają ludziom różne przezwiska, na przykład „mój główny żołnierz”, „Fennus” czy „Meggie”. Na dorocznym balu bożonarodzeniowym zawsze się popisywał, szczypiąc ją w tyłek, a potem udając, że to świetny kawał.

Wyszczrzyła się w nieszczerym uśmiechu i pomachała energicznie, mając nadzieję, że Walker jest za daleko, by dostrzec jej łzy. Potem odwróciła się i weszła do domu.

Fenstad Wintrob wyglądał przez okno. Mięśnie bolały go tak, jakby wcale nie spał, tylko przez kilka godzin walczył z Mikiem Tysonem. Dręczyły go koszmary. Kopał, jęczał i mamrotał przez sen, ale rano niczego nie mógł sobie przypomnieć. Biedna Meg. Co jakiś czas pokazywała mu siniaki, jakie jej ponabijał, albo budziła go w nocy, bo zabrał całą koldrę. Tego ranka nie słyszał, jak wstawała, co było nietypowe, gdyż oboje mieli lekki sen. Ale przecież ostatnie wydarzenia pokazały mu, że Meg, jeśli chce, potrafi być niedostrzegalna.

Patrzył na nią, jak wypełza spod ganku. Zrobiła to jednym płynnym ruchem. Najpierw wysliznęły się złączone nogi, a potem reszta ciała. Pacnęła rozmokłą gazetą o drewniane stopnie. Trzy szybkie uderzenia, przy których krople wody poleciały niewielkimi tukami.

Fenstad był średniego wzrostu i wyjąwszy ciemnozielone oczy, wyglądał bardzo przeciętnie. Ale potrafił uważnie słuchać i nigdy nie przerywał kontaktu wzrokowego. Właśnie dlatego ludzie pamiętali go, nawet jeśli spotkali go tylko raz. Pamiętali, że gdy się śmieje, robią mu się zmarszczki wokół ust, i że ma duże dłonie, przez które wydaje się znacznie silniejszy, niż sugerowała jego postura.

Był wyjątkowo spokojny, a Meg bardzo niecierpliwa. Nawet zadowolona bębniła palcami w drewniane powierzchnie, kierownicę samochodu lub własne uda. Wyciszała się, jedząc batoniki Snickers i w deszczowe dni, bo wtedy nie martwiło jej, że nie wychodzi na dwór. Chociaż akurat w tym momencie wydawała się zrelaksowana. Jej włosy tworzyły niesforny gąszcz wokół ramion, tak jak lubił. Patrzyła na ulicę, zamyślona. Stała swobodnie, jak gdyby poranna rosa rozpuściła ten klej, który ostatnio blokował wszystkie jej stawy. Wyglądała pociągająco. Nawet seksownie.

Wystraszył go dźwięk głośnego brzęczyka. Budzik Maddie. Kiedy była mała, to on przychodził ją budzić. „Pobudka!” - wołał, a potem odsuwał rolety, żeby słońce świeciło, prosto na łóżko. Teraz tylko Meg wchodziła do jej pokoju, bo córka spała nago. Co rano przynajmniej godzinę spędzała w łazience, opryskując się kobiecymi pachnidłami i nakładając niebieski cień na powieki. Miała też chłopaka. Enrique Vargas raz w tygodniu przychodził do nich na obiad, a Fenstad musiał się wtedy uśmiechać i gawędzić z dzieciakiem, który przypuszczalnie posuwał jego córkę.

I jeszcze David. Jak to się stało, że wychował syna, która farbuje włosy niczym klaun z cyrku?

Na dole Meg cisnęła coś na ścieżkę. Rozsypało się jak kamyki. Pomyślał, żeby pójść do niej. Mógłby ją zniecka pocałować w szyję. Ale rankiem bywała kaśliwa. Lepiej się nie zbliżać.

Przypomniał sobie koszmar z ostatniej nocy. Jego dom stał się wręcz ogromny. Tuziny pokoiów prowadziły do jeszcze większej liczby kolejnych, wszystko zaś, niczym labirynt, wiodło do holu. Zasady geometrii Euklidesa nie obowiązywały - podłogi były krzywe, sufity wysokie i zaokrąglone, a kąty miały mniej lub ponad dziewięćdziesiąt stopni. Drzwi wejściowych pilnował wielki warczący pies. Wyglądał jak owczarek niemiecki sąsiada, tyle że miał dzikie oczy. Widział je wyraźnie: zielone źrenice rozszerzały się falującym ruchem, niezależnie od światła. Już po tym rozpoznał, że

zwierzę jest albo rozdrażnione, albo wściekłe. Na drzwiach widniał napis „Uwaga niebezpieczeństwo!”, a na zewnątrz mężczyźni w plastikowych kombinezonach upychali jego sąsiadów do czarnych sedanów. Gdy do pokoju weszły Meg i Maddie, pogrążone w rozmowie, zawołał, żeby się zatrzymały, ale był jak widmo i go nie słyszały.

Pies rzucił się na Meg. Jego rozwarte szczęki wyglądały jak pułapka najeżona stalowymi kłami. Zanim zdołała uciec, zatopił zęby w jej łydce. Upadła, krew popłynęła po perskim dywanie. Maddie ciągnęła matkę za rękę, chcąc ją uwolnić. Fenstad wzdrygnął się na myśl, że w jego głowie mogło się zrodzić coś podobnego. Maddie ciągnęła w jedną stronę, a pies w drugą, jak dwie bestie walczące o kość.

Nic dziwnego, że rano czuł się tak podle. Czuł się winny, że śnił o czymś takim. I bał się o Meg.

Chwilę później drzwi sypialni otworzyły się szeroko i do pokoju wpadła jego żona. Oczy miała czerwone, jakby płakała, a stopy bose.

Zmarszczył brwi.

- Co się stało?

Oparła mu głowę na ramieniu. Milczała. Zaprowadził ją do łóżka.

- O co chodzi? - spytał, gdy usiedli.

Nie odpowiedziała, tylko wzruszyła ramionami. Pod oczami miała ciemne sińce. Pasek szlafroka poluzował się i Fenstad widział jej małe, jędrne piersi. Wyszła z domu bez bielizny. Zastanowił się z nagłą wściekłością, czy któryś z sąsiadów nie podejrzwał jej wygolonego krocza.

- Graham Nero znowu cię niepokoił?

Pokręciła głową.

- Nie, ptak - odparła.

Ptak? Jakiś ptak ją zaatakował? A może to pierwszy objaw guza mózgu? Czekał, aż Meg powie coś jeszcze, ona jednak sięgnęła nad jego biodrami i zerwała z nich wilgotny ręcznik. Powinien był się domyślić, ale wszystko stało się tak nieoczekiwanie, że nawet kiedy już poczuł jej język w ustach, minęła dobra chwila, zanim nabrał pewności.

Przymknął oczy i westchnął. Minęły całe lata, odkąd ostatni raz to robiła. Już zapomniał, jak bardzo to lubi. Jeśli spojrzy teraz na nią albo pogłaszcze ją po głowie, może zepsuć piękno chwili. Uśmiechnął się więc i pomyślał, jak to cudownie, że po tylu latach Meg wciąż potrafi go zaskoczyć. Nienawidziła poranków i mógł na palcach jednej ręki zliczyć, ile razy w ciągu małżeńskiego życia zdarzyło im się kochać przed śniadaniem.

Pachniała potem i solą, co pogrzebałaby pod prysznicem. Nigdy nie wierzyła Fenstadowi, kiedy mówił, że najbardziej mu się podoba w szortach i podkoszulku. Właśnie takich rzeczy nie potrafiła zrozumieć. Kochał ją, bo dobrze się czuła we własnej skórze i pozwalała mu patrzeć, jak sama robi sobie przyjemność, czego nauczyła się dopiero po narodzinach Maddie. Kochał ją, bo nosiła w łonie jego dzieci.

Zwiększyła tempo. Chciał krzyżeć, lecz tego nie zrobił. Próbował zatrzymać jej wargi, uspokoić ją, patrzeć na nią. Poruszała się coraz szybciej i szybciej. Kiedy dotarł do kresu, odepchnął ją na łóżko. Zaczęli się kochać. Nie zdołał powstrzymać się tak długo, jak by chciał. Był już zbyt blisko. Zaiskrzyło i nastąpiła eksplozja. Maddie była na dole w holu, więc żadne z nich nie wydało dźwięku.

Potem leżeli obok siebie.

- Nieźle - powiedział, a to znaczyło „fantastycznie”.

Miała gorący oddech. Pomyślał o psie ze swojego snu i objął Meg ramieniem, jakby chciał ją przed nim ochronić. Dzisiaj kupi jej kwiaty.

A wieczorem zabierze ją na kolację.

Oparła głowę o jego pierś. Była drobna, ale jej łokcie dźgały go w żebra.

- Jakiś ptak umarł pod domem. Skonał mi na rękach.

O czym ona mówi? Nie widział żadnych ptaków.

- Pod domem rosły trujące jagody, a ja je zerwałam i rzuciłam na ścieżkę. Zjadł je ptak. Umarł mi na rękach.

Jej głos, zwykle spokojny, zadrżał. Czy Meg starała się coś mu przekazać? Czy chodziło o Grahama Nero? Czy to był jakiś wyszukany sposób wyjaśnienia tego, co zrobiła? Ptaki nie umierają od jedzenia jagód.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - spytała.

Zaskoczyła go złośliwość w jej głosie.

- To musiał być głupi ptak - odparł.

Jej oczy zwęziły się z wściekłości. A co miał powiedzieć? „Dziękuję” albo „Super mi obciągnęłaś, mała! Fajnie było, co?” Śmieszne. Przecież ona jest jego żoną. Dlaczego miałby mówić coś odpowiedniego do takiej okazji?

- Fenstad, tak zimno - powiedziała i w pierwszej chwili sądził, że ma na myśli temperaturę. Jednak po wyrazie jej twarzy poznał, o co chodzi, i poczuł, jak cały się zapada. Co za rozczarowanie.

- Powinieneś się urodzić jako pstrąg - oznajmiła. Odwróciła się i ruszyła w stronę łazienki. - Byłbyś szczęśliwszy jako ryba. Oboje byśmy byli.

Po chwili usłyszał szum wody, ale jeszcze przez jakiś czas nie wstawał. Pościel była wilgotna i nagle się zawstydził, jak pies, który nasikał na łóżko. W holu na dole słyszał kroki Maddie na drewnianej podłodze. Była szczupła jak matka, ale kompletnie pozbawiona wdzięku.

- Nikt mnie nie obudził! - wydarła się. - Dlaczego nikt mnie nie obudził?!

Przeszła do kuchni, gdzie zaraz wyssie sok z ćwiartki grejpfruta, wyrzuci mięsz, po czym oznajmi, że już się najadła. Potem będzie się żreć z Meg, a on pójdzie do pracy i żadna z nich nawet nie zauważy, jak wychodzi.

„Czy nie zdajecie sobie sprawy, że poza tym domem są ludzie, którzy naprawdę mają problemy? - miał ochotę zawołać. - Czy nie rozumiecie, jakie my mamy szczęście?” Ale ludzka psychika jest taka sama jak system odpornościowy. Kiedy brakuje wrogów, sama, ich sobie stwarza.

Fenstad czekał, aż Meg wyjdzie spod prysznic. Drzwi otworzyły się w kłębach pary. Skórę miała czerwoną, jakby próbowała zdrapać jego dotyk. Kiedy przechodziła obok niego, wzdrygnięciem zareagowała na musnięcie jego ręki, tak jakby był odrażający.

Wszedł do łazienki i zatrzasnął drzwi. Tak mocno pachniało tam perfumami, że aż kichnął. Zamknął oczy i pomyślał o tym, jak Meg wyglądała na trawniku przed domem. Niepewna, jakby nie wiedziała, czy ma dzisiaj iść do pracy, jak w ogóle znalazła się w Corpus Christi i czy nie powinna cofnąć się do środka. Miał wrażenie, że zakłada maskę każdego ranka, a dziś wyszła z domu bez niej i na chwilę stała się wolna. Zastanowił się nad tym, a potem jeszcze nad czarnym psem ze snu i satysfakcjonującym dźwiękiem, jaki wydały jego zęby, zatrzasnął się na jej kościach.

WOJNA MIĘDZYSTANOWA

W czasie, kiedy Lois Larkin odkryła, że swojego najmniej lubianego ucznia zostawiła przypadkiem w opustoszałym lesie pod Bedford, Meg Wintrob wertowała podwójny, wrześnieowy numer „Publishers Weekly”. Czerwonym flamastrem zaznaczała tytuły książek dla młodzieży, które planowała sprowadzić. Na razie wybrała *Pracowite pszczołki* J.T. Petty’ego i *Złośliwą śmierć* Stefana Petruchy i Thomasa Pendletona.

Bibliotekę w Corpus Christi zbudowano w latach siedemdziesiątych, co tłumaczyło, dlaczego wyglądała jak paskudna kupa betonu. Gabinet Meg był niewielką przestrzenią ogrodzoną pleksiglasem, pośrodku głównej kondygnacji. Jedne drzwi otwierały się na dział ze słownikami, drugie prowadziły do biblioteki dla dzieci. Miała tyle prywatności co złota rybka w akwarium.

Kanapka z serem i pomidorem, którą wzięła na lunch, leżała nietknięta na biurku. Po porannych przeżyciach nie miała ochoty jeść. I chodziło nie tyle o ptaka, ile o Fenstada. Pewnych rzeczy się nie krytykuje, a należą do nich łózkowe dokonania mężczyzny. To było okrutne. Ona była okrutna. Ale problem polegał na tym, że kiedy chodziło o Fenstada, czasem nie potrafiła się powstrzymać. Wydawał się taki zimny, że męczyło ją obejmowanie go i zaczynała go podszczypywać tylko po to, by się upewnić, czy jeszcze cokolwiek czuje.

- Mhm, mhm - chrząknął Albert Sanguine bibliotecznym szeptem.

Siedział przy stanowisku internetowym, zwrócony twarzą w stronę biurka Meg. Widziała, jak mruczy coś pod nosem, a potem zastyga wpatrzony w ekran. Włożył dziwaczne ubranie, nawet jak na siebie: wiedenki, czarny golf, a do tego kamuflażowe wojskowe spodnie z kieszeniami wypełnionymi czymś, co wyglądało na stare katalogi L.L. Bean.

Meg sięgnęła po kanapkę. Miała dzisiaj ochotę pobawić się w wykwintną kucharkę i dodała octu balsamicznego, przez co chleb rozmiękł.

- Mhm, mhm! - chrząknął Albert trochę głośniej. Nie była pewna, czy oczyszcza sobie gardło, czy też ma jakiś skurcz. Postukała ołówkiem w pleksiglas. Pomachała dłonią, dając znak, że zrozumiał, i nadal wpatrywał się w monitor.

Lata picia zniszczyły mu system nerwowy i teraz cierpiał na wywołany alkoholem zespół Tourette’a. Po obcięciu przez stan dotacji zakład psychiatryczny w Bangor usunął wszystkich nieagresywnych pacjentów, niezależnie od tego, jak poważne były ich dolegliwości. Czwooro pochodziło z Corpus Christi i kiedy wrócili do domu, Fenstad zorganizował dla nich w szpitalu poradnię psychiatryczną. Kiedy nie siedzieli tam na spotkaniach, wałęsali się po jedynym publicznym miejscu, skąd ich nie wyrzucano: bibliotece. Kilku mieszkało w schronisku nieopodal Motelu 6, w jedynej części miasta niezajmowanej przez stateczną klasę średnią. Żyli z zasiłków dla niepełnosprawnych i z darów. W bibliotece spędzali czas na czytaniu książek, serfowaniu po Internecie i drzemkach w czytelni na skórzanych fotelach, których zakup sfinansowała rodzina Walkerów. Ludzie narzekali, ale zdaniem Meg biblioteka stanowiła dobro wspólne, więc dopóki nikogo nie zaczepiali, mieli prawo w niej być.

Albert należał do jej ulubieńców. Niczym koneser smakujący burgunda rocznik 2001, wachał każdą nową książkę przed otwarciem. A co ważniejsze, wszystkie oddawał w terminie. Był czytelnikiem wręcz zachłannym i przez lata zgłębiał różne dziedziny wiedzy, od termodynamiki, poprzez hematologię, aż po swoją obecną pasję: obozy jenieckie z okresu wojny secesyjnej. W tym miesiącu zgłębiał lektury na temat obozu Andersonville w Georgii, w którym przez dwa lata zginęło trzysta tysięcy

jeńców, żołnierzy Unii. Pobliscy farmerzy milczeli, nawet gdy wzdłuż granic obozu zaczęły się pojawiać masowe groby.

Meg niechętnie wspierała dosyć makabryczne zamiłowania Alberta, ale gdy już na coś się uparł, trwał przy tym niewzruszenie, niewiele więc mogła zrobić.

- Dlaczego wojna secesyjna? - zapytała w zeszłym tygodniu.

Nie podnosząc oczu znad *Procesu straży obozowej w Andersonville*, odpowiedział:

- To jest jak organizm z chorym układem odpornościowym. Mhm. Mhm. Jak ciało atakujące samo siebie.

I na tym właśnie polegała tragedia - Albert nie był idiotą. Miał trzydzieści trzy lata, a załamania psychicznego doznał, gdy pojechał na studia w Massachusetts Institute of Technology, żeby zostać inżynierem do spraw planowania. Świetnie radził sobie z nauką, przerosły go jednak presja grupy i poznawanie nowych ludzi. Zaczął mieć omamy, twierdził, że coś go wzywa, by znowu zamieszkał w Maine. Rzucił studia i wrócił do domu. Teraz, piętnaście lat później, wciąż był chory. Odmawiał leczenia antypsychotykami, a zamiast tego praktycznie każdego wieczoru upijał się do nieprzytomności. Lata takiego życia zmieniły go w starca. Stracił większość zębów, a resztki włosów na głowie miał siwe. Kiedy nie mógł już sobie pozwolić na kupno alkoholu, zaczął sam go pędzić. Filtrował przez chleb płukanek do zębów Scope i trzymał w słoikach pod łóżkiem, gdzie fermentowała. Potem wypijał płyn, który nazywał chlebowym puddingiem. Było powszechnie wiadome, że to robi, bo powstawał przy tym obrzydliwy smród. Właściciel domu już sześć razy pozywał go za naruszenie norm higieny, ale starzejący się rodzice, którzy mieszkali po drugiej stronie miasta, za wszystko płacili.

Zawsze uważała go za delikatną i tragiczną postać dużego formatu, lecz podczas ostatniego ataku delirium tremens uderzył czternastoletnią wolontariuszkę pięścią w krtań. Dziewczyna była bulimiczką, więc mięśnie krtani miała cienkie jak papier. Albert zrobił jej dziurę w przełyku. Po trzygodzinnej operacji doszła do siebie, ale jej zainteresowanie medycyną, co rozumiało, osłabło. Albert zachował się wtedy agresywnie pierwszy raz, jednak dla Fenstada ten jeden raz wystarczył. Powiedział Meg, żeby więcej nie wpuszczała go do biblioteki. Wręcz rozkazał.

Oczywiście miał rację. Z każdym kolejnym dniem Albert zachowywał się coraz gorzej. Kilka tygodni temu przyznał się jej, że w swoim mieszkaniu złapał szczura, obdarł ze skóry, upiekł nad płomieniem zapalniczki Bic, a potem zjadł. Lata picia chlebowego i puddingu zbierały swój plon. Napady powiązane z zespołem Tourette'a nasilały się, więc bez wątpienia nie powinien przebywać w pobliżu dzieci. Jednak Meg lubiła Alberta, a nie lubiła, jak wydawano jej rozkazy. Dopóki zatem nie pokazał, że jest naprawdę agresywny, zostawał. Skoro w całym kraju zamyka się szpitale psychiatryczne, gdzie ludzie tacy jak on mają się podziąć?

- Mhm. - Albert chrząknął tak głośno, jakby chciał wyksztusili co najmniej goryla.

Meg kilka razy zastukała ołówkiem w ściankę z pleksi, on jednak nie zareagował. Wziął głęboki oddech, co wyglądało, jakby za chwilę miał zacząć wyć. Albert, nie teraz, pomyślała. Cholera, naprawdę nie mam ochoty, żeby dzisiaj jeszcze komuś odbiło. Walnęła pięścią, aż ścianki boksu zadrżały. Po drugiej stronie Albert zatrzymał się w pół oddechu. Teraz stali oboje, rozdzieleni pleksiglasem.

Miał prawie dwa metry wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt kilogramów. Ona mierzyła tylko nieco ponad metr pięćdziesiąt i nosiła dziesięciocentymetrowe obcasy. Ściągnęła brwi i wolno pokręciła głową. Albert oblał się rumieńcem.

- Przepraszam, pani Wintrob - wymamrotał i osunął się z powrotem na krzesło.

Meg też usiadła. Zwykle dzieliła gabinet z kierownikiem i zastępcą bibliotekarza, ale odeszli z pracy, kiedy w zeszłym miesiącu miasto zmniejszyło im pensje. Ciągłe

szukano kogoś na ich miejsce. Reszta personelu składała się z wolontariuszy. Mieli zwyczaj zbierać się przy stole w recepcji, gdzie mogli pić kawę i spokojnie czytać książki, nie wystawiając się na czujne spojrzenie Meg Wintrob.

Sięgnęła po „Publishers Weekly” i ugryzła kęs rozmokłej kanapki. Myślała o Fenstadzie. Kiedyś go kochała, ale nie potrafiła sobie przypomnieć kiedy. Teraz, gdy widziała męża, miała ochotę go uderzyć. Przypomniała sobie ptaka z dzisiejszego poranka i oczy zaszczyły jej łzami. Bezmózgi ptak.

Pięć minut później zerknęła na zegarek. Dochodziła druga, musiała się przygotować na godzinę czytania bajek. Wrzuciła do kosza prawie nietkniętą kanapkę i wstała. Albert siedział spokojnie. Słyszała tylko uderzenia jego palców w klawiaturę. Pewnie szuka zdjęć z Andersonville. Postukała w pleksyglas i pokiwała w jego stronę, licząc, że będzie się tak samo zachowywał, kiedy ona wyjdzie. Potem otworzyła drzwi do biblioteki dziecięcej.

Na ścianach namalowano tam niebo z chmurkami, a w środku pomieszczenia stał krąg plastikowych pomarańczowych krzesłek, które miały wyglądać jak Barbapapa. Sala dziecięca stanowiła dla Meg powód do dumy. Przez cały dzień coś się tutaj działo. Teraz niemowlaki raczkowały po dywanie w tęczy wzór, a siedem matek i dwóch ojców trajkotało o swoich pracach na pół etatu, prognozach z „Almanachu Rolnika” na zbliżającą się zimę i dawnych dobrych czasach sprzed pojawienia się dzieci, kiedy to szósta po południu była godziną koktajlową.

Meg otworzyła książkę z obrazkami o stanie Iowa, zatytułowaną *Niebo dookoła*. I zaczęła czytać. Ilekroć w książce wspomniano o niebie, pokazywała białe cumulusy wymalowane na niebieskim suficie. Pokazywały na nie także dzieci, z wyjątkiem Isabelle Nero, która trzymała w ustach palec wskazujący, jakby był gryzakiem.

Matka Isabelle, Caitlin, była młodą, bardzo atrakcyjną blondynką. Sama szła ładne sukienki dla córki, rano pracowała w dziale reklamy „Corpus Christi Sentinel”, a wieczorami robiła mężowi masaż pleców. Meg wiedziała o tym wszystkim, bo mężem Caitlin był Graham Nero.

Sprzedawał długoterminowe ubezpieczenia, pracował dla firmy inwestycyjnej z siedzibą w Bostonie, a w wolnym czasie pożądliwie gapił się na kelnerki roznoszące drinki. Na miejsce ich schadzek wybrał pokój 69 w Motelu 6. Meg zgodziła się na romans częściowo dla dreszczyku emocji, a częściowo po to, by zmusić Fenstada do rywalizacji. Kilka pierwszych razy seks z Grahamem był fantastyczny, prawdopodobnie dlatego, że nie lubiła go na tyle, by mieć jakieś zahamowania. Jeśli jednak sypiasz z mężczyzną, musisz w końcu spojrzeć mu w oczy i okazać szacunek. Z Grahamem coś takiego nie wchodziło w rachubę. Popatrzyła na niego i aż się skuliła.

Fenstad dowiedział się o ich pierwszej wizycie w pokoju 69 po miesiącu. Nie stanął z nią do konfrontacji ani nawet nie wyjaśnił, skąd zdobył tę informację. Pewnego wieczoru, zamiast włączyć telewizor i obejrzeć wiadomości, usiadł przy kuchennym stole. Od razu zauważyła, że coś jest nie tak.

- Myślę, że masz nowego przyjaciela - oznajmił.

- Tak - przyznała. - Przykro mi.

Czekała, aż walnie pięścią w stół i wrzaśnie, że jedno z nich musi się wyprowadzić. Właśnie tego się spodziewała. Ale on nic nie powiedział. Pokiwał tylko głową, jakby uznał, że jakoś przetrwa burzę jej przelotnego szaleństwa, bo przecież wcześniej czy później wróci do zdrowych zmysłów.

Najbardziej złościło ją to, że miał rację. Jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniła do Grahama. Fenstad siedział przy stole i słuchał.

- Nie mogę się już z tobą widywać. Mój mąż wie.

- Mówi się trudno, skarbie - odparł Graham, co nieźle go podsumowywało. Siedzący przy stole Fenstad nawet nie przerwał lektury gazety, co z kolei jego nieźle podsumowywało.

Kiedy Meg zakończyła czytanie *Nieba dookoła*, skierowała rodziców i dzieci do półek z wybranymi przez nią książkami o stanie Iowa oraz niebie.

- Dziękuję, Meg. Tak dobrze ci wychodzi czytanie dzieciom - powiedziała Caitlin, uśmiechając się nieśmiało.

- Zawsze się staram - odparła Meg.

Było jej żal Caitlin. Graham, choć nie do końca zły, był samolubny. Zajeździ ją, aż biedna kobieta wreszcie straci zdrowie. Miała na tyle mało rozumu, by mu na to pozwolić. Meg poczuła się winna. Miała zastrzeżenia co do tego, jak jej mąż zachowuje się w łóżku, ale Fenstad był przynajmniej porządnym facetem.

Nagle w dziale z encyklopediami ktoś zaczął krzyczeć.

- Hej. Hej-y! Hej-yyy!!!

Głos bez wątpienia należał do Alberta. Zmarszczyła brwi. Jeszcze nigdy tak głośno się nie zachowywał.

- Zaraz wrócę - oznajmiła, wybiegając z sali.

Zastała Alberta walącego dłońmi w boki używanego iMaca, przy którym pracował. Pleksiglasowa ścianka drżała.

- Hej-yyy!!! - krzyknął.

Między jego ustami a klawiaturą wisiały lepkie pasma oblepione perełkami ze śliny. Meg nie zaskoczyło, że trzy starsze panie, które pracowały jako wolontariuszki, schowały się za stołem recepcji. Z oddali widziała czubek siwego koka Molly Popek.

- Albercie, co się stało? - zapytała.

- Hej-yyy!!! Pszessań! - zawołał, nie przestając uderzać w komputer.

Przetłumaczyła sobie ten bełkot jako: „Hej, ty! Przestań”.

- Zamknij się! - pisnęła Sheila Haggerty, miejscowa kloszardka. Na stole przed nią leżał stalowy łańcuch z kłódką, który codziennie przynosiła do biblioteki, ale nigdy nie pamiętała, żeby swój wózek z supermarketu przyczepić nim do stojaka na rowery.

- Nienawidzę jęczących krzykaczy! - darła się. - Mój mąż mógłby cię zastrzelić!

- On wykopuje! - wrzeszczał Albert. - O Boże! On wykopuje moje piękne kości!

Po policzkach w różnych kierunkach płynęły mu strugi śliny.

- Hejyyyprzessań! - wrzasnął jeszcze raz, waląc rękami w monitor.

Meg usłyszała głośny trzask. Albert nadal uderzał, a jego lewy nadgarstek odchyłał się teraz równolegle do dłoni, co nie pozostawiało wątpliwości, że jest złamany. Najbardziej ją przerażało, że uraz nie spowolnił jego ruchów.

- Molly! - zawołała. - Dzwon na policję.

Molly wstała, patrzyła na nią przez sekundę, a potem skierowała wzrok na Alberta, nie unosząc jednak słuchawki. Było mało czasu, lecz Meg zdążyła skłąć w myślach cholernych, żłopiących kawę wolontariuszy. Zebrała się na odwagę i podeszła bliżej. Na monitorze komputera zobaczyła miejsce pochówku ofiar obozu Andersonville. Żołnierze Unii leżeli w otwartym grobie. Ich wychudzone nagie ciała były zgniecione jak dopasowane kawałki puzzli.

- Albercie! - krzyknęła Stał plecami do niej i w dalszym ciągu uderzał dłońmi w plastikową obudowę.

- Albercie! - powtórzyła Sheila historyczną inkantację. - Al-bercie! Al-bercie!

Bram i Joseph, pozostali dwaj członkowie upośledzonego psychicznie kwartetu, któremu Meg udzielała schronienia w bibliotece, także zaczęli krzyczeć. Sala rozbrzmiała nagłym chórem, a ona poczuła się jak królowa obłąkanych.

Po drugiej stronie biblioteki rodzice wymykali się chyłkiem, niosąc niemowlaki na rękach. Niestety, dzisiaj żaden z nich nie wypożyczył ani nie zwrócił żadnej książki.

- Przepraszam - wymamrotała do Christen Fowler, która pokręciła głową z dezaprobatą, tak jakby Meg wywołała całe zamieszanie.

Po jakimś czasie Albert zmęczył się i przestał łomotać. Sheila nadal wykrzykiwała jego imię, aż wreszcie Meg posłała jej jedno z najgroźniejszych spojrzeń, jakie zdołała wypracować: ściągniętej brwi, wydęte wargi. Potem odwróciła się do Alberta, lecz przezornie trzymała się na dystans.

- O co ci chodzi? - spytała.

Albert dyszał ze strachu i wyczerpania.

- Tak mnie swędzi. W środku! - wyszeptał. - Hej-yyy, przestań kopać!

- Chodźmy na zewnątrz. Przejdziemy się - starała się mówić spokojnie, ale głos jej drżał.

Ten mężczyzna był prawie dwa razy większy od niej.

Albert miał oczy nabiegłe krwią.

- Swędzi mnie w kościach - mamrotał. - W całym ciele. Jaki taki mały chłopiec mógł zrobić coś tak złego?

Ruszył w jej stronę. Pomyślała o tamtej wolontariuszce ze szpitala i zakryła gardło.

- Molly! - wrzasnęła. - Wykręć dziewięć, dziewięć, jeden, prędko!

Molly zamrugała, ale się nie poruszyła. Kątem oka Meg dostrzegła, że ojciec Liny Varvaran, Rich, wyjmując z kieszeni komórkę. Stał z córką w drzwiach budynku, aby mieć lepszy zasięg.

Albert miał poranione czubki palców i wciąż dyszał, cały mokry od potu. Z wolna opadł na krzesło, jakby stracił siły. Uznała, że jest już bezpiecznie. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego czoła, by sprawdzić, czy nie dostał gorączki. Skórę miał wilgotną i chłodną. Jej dotyk go uspokoił. Wyraźnie się odprężył.

- Czy to swędzenie jest takie, jakby mrówki chodziły ci po skórze? - zapytała Meg.

Pokręcił głową. W oczach miał łzy. Zrobiło jej się go żal, tak jakby w jakimś innym wymiarze istniał gładko ogolony Albert Sanguine, który budował mosty i troszczył się o rodzinę, lecz tutaj, na tym świecie, dostał same złe karty.

Rozszerzyły mu się źrenice i przez to jego brązowe oczy teraz wydawały się czarne.

- Proszę mnie puścić. Proszę, pani Wintrob - wymamrotał niewyraźnie.

- Pileś dzisiaj ten swój chleb? - spytała.

Znowu pokręcił głową.

- Tak mnie swędzi. Jak wtedy, kiedy stopa ci gnije, a mech rośnie w środku, gdzie nie jest jego miejsce. Tak bardzo boli.

Zaczął płakać.

Meg ujęła jego podbródek i spojrzała mu w oczy. Nawet kiedy siedział, wydawała się przy nim malutka.

- Weź się w garść - powiedziała miękko. - Spróbuj, Albercie.

- To się obudziło - wyszeptał, a jej ciarki przeszły po plecach.

Co się obudziło? Demon, który kazał mu pić? A co, jeśli ten głos, o którym mówi od piętnastu lat, jest prawdziwy? - przemknęło jej przez głowę.

Źrenice powiększyły mu się jeszcze bardziej, tak że już wcale nie widziała białek. Jakiś atak? Nie miała pojęcia. Nagle jego oddech się uspokoił. Cały zeszywniał. Nawet drżenie zniknęło. Nie umiała powiedzieć, skąd to wie, ale Alberta Sanguine'a nie było już w tym budynku. Alkohol ostatecznie zniszczył resztki duszy, zgasła ostatnią iskra osobowości.

- Albert? - spytała.

To stało się błyskawicznie. Zakrwawionymi dłońmi ścisnął jej ramiona. Szarpnęła się, żeby wyrwać, był jednak silny. Pociągnął ją między nogi i napiął łądźwie w

seksualnym geście. Zachłysnęła się ze zdumienia. Albert, Jej Albert. Jak on mógł to robić?

Znalazła się między jego kolanami niczym w kleszczach.

- Przestań! - krzyknęła.

Wykrzywił się we wściekłym grymasie, odsłaniając bezzębne dziąsła, pochylił i przycisnął wilgotne usta do jej ucha. Szarpała się, zdecydowana, jeśli okaże się to konieczne, odgryźć mu nos i postarać się niczego nie połknąć. Czuła zapach alkoholu przesączonego przez chleb, woń octu i smród kału.

- Meg, gdzie popełniłem błąd? - wyszeptał niskim głosem.

Zastygła bez ruchu, bo rozpoznała ten głos.

Nie. Niemożliwe. A jednak...

- Gdzie popełniłem błąd? - powtórzył, a ona nagle znowu stała się dziewczyną, która rzuciła studia prawnicze, by poślubić Żyda, którego nie akceptował jej ojciec i w dniu ślubu córki, zamiast powiedzieć, że zawsze ją kochał, zapytał: „Gdzie popełniłem błąd?”

- Ta-ta? - Meg zaczęła się jękać.

Odepchnął ją, a ona spojrzała na niego. Bezzębne usta, zniszczona twarz, siwe włosy, przekrwione oczy pełne urażonej miłości.

Jedynego rodzaju miłości, którego, jak sobie uświadomiła, nigdy nie rozumiała. Ale przecież ojciec nie żyje? Już dawno uwolniła się od człowieka, który nigdy nie był z niej zadowolony, i odnalazła spokój.

Wstał gwałtownie i Meg znalazła się w jego ramionach. Wiedziała, co się teraz stanie, lecz zabrakło czasu na walkę. Cisnął ją na pleksiglas jak ptaka o pustych w środku kościach. Usłyszała świst powietrza, a potem uderzenie i drżenie plastiku. Przypominało muzykę techno. Leżąc już na podłodze, dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, jak się na niej znalazła.

Nie ruszała się, tylko zwinęła w kłębek i udawała nieżywą. Nic się nie działo, więc podniosła głowę i zobaczyła, jak Albert otwiera drzwi do sali dziecięcej. Po chwili dotarły do niej otaczające ją dźwięki, których wcześniej nie słyszała.

- Zamknij się! Zamknij się! - pisała Sheila.

Bram podarł na kawałki swój egzemplarz „Corpus Christi Sentinel” i cisnął nimi w stronę Alberta, jakby chciał zasypać go konfetti. W sali dla dzieci panowała złowieszczą cisza.

Lewa kostka bolała ją jak diabli, ale Meg pokuśtykała w stronę swojego gabinetu. Zatrzymała się, gdy uświadomiła sobie, że stara się tam dostać tylko dlatego, by zadzwonić do Fenstada. Chciała usłyszeć jego spokojny, łagodny głos. Chciała mu powiedzieć, że może go nie lubi, ale na pewno kocha.

Po drugiej stronie pleksiglasowej ściany coś trzasnęło. Czyżby Albert przewrócił regał z książkami? Potem jakiś głosik zapiszczał „Ratunku”, a w żyłach Meg popłynęła adrenalina tak szybko, że czuła jej pęd. W sali zostało jakieś dziecko. Małe dziecko.

Kuśtykając, ruszyła do szarzy. Potrzebowała jakiegoś planu, bo inaczej Albert rozgniecie ją jak muchę. Kostka bolała tak bardzo, że musiała przygryzać wargę, by nie zemdleć. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Na pewno jest tu coś, co będzie mogła wykorzystać.

Spojrzała na półki z książkami, na sofę, na komputery (porazić go prądem?), ołówki Bica, które nie były na tyle ostre, by wydłubać oko, i wreszcie zobaczyła to, czego potrzebowała: długi na prawie metr łańcuch Sheili.

- Zamknij się! Zamknij się! - krzyczała Sheila, gdy Meg podniosła go ze stołu i pokuśtykała do sali dziecięcej.

Albert stał na tęczowym dywanie, plecami do niej. Osaczył Caitlin Nero i jej córkę Isabelle, stojące za krzesłem Barbapapy.

Meg podkraǳła się do niego. Miała mrocuki przed oczami, a obrzeża pola widzenia się zamgliły. Ból w kostce stawał się nie do zniesienia. Zagryzła mocno wargę, aż poczuła krew. To pozwoliło jej się skupić. Poluzowała łańcuch trzymany w dłoniach, aby dało się go rozkołysać.

Minęła sekunda, potem kolejna. Meg czekała. Może wcale nie trzeba tego robić. Może to ona jest wariatką, kołyszącą łańcuchem z kłódką niczym współczesna wersja Bemiego Goetza. Właśnie tak giną ludzie. Ktoś nerwowo przesadza z reakcją. Już miała zluzować chwyt, ale wtedy Isabelle zakasłała, a Albert ruszył do ataku.

Meg wyprostowała ręce i zamachnęła się sekundę przed tym, jak Albert złapał Caitlin, która rzuciła się między niego a małą Isabelle. Zamachnęła się tak silnie, że aż zawirowała i straciwszy równowagę, upadła.

Łańcuch śmignął wokół pleców Alberta i uderzył go w miednicę. W pierwszej chwili pomyślała, że nie zamachnęła się wystarczająco mocno, ale potem Albert zachwiał się i upadł. Runął tuż obok niej. Katalogi L.L. Beana wypadły mu z kieszeni i rozsypały się po tęczowym dywanie.

Wcale nie wyglądał jak Albert. Usta miał wykrzywione, a odór bimbru w jego oddechu był zjełczały. Leżeli niczym nieszczęśliwi kochankowie ledwie centymetry od siebie.

- Gdzie popełniłem błąd? - spytał, a potem zatrzepotał powiekami i zaniknął oczy.

Stały nad nimi Caitlin z zapłakaną Isabelle. Meg dopiero teraz zauważyła, że obie mają na sobie różowe kwieciste sukienki.

Caitlin zmarszczyła brwi w grymasie nienawiści. Meg uświadomiła sobie, że to nienawiść wcale nie jest zwrócona przeciw Albertowi. Ona wie, co robiłam z jej mężem, pomyślała ze wstydem, który bolał jak otwarta rana. Ale dlaczego w dalszym ciągu przychodzi tutaj co tydzień?

Coś ciepłego płynęło jej między palcami; przypuszczała, chociaż wolałaby się mylić, że to krew Alberta. Przez chwilę wydawało jej się, że Caitlin zaczęła na nią krzyczeć, mogła wręcz przysiąc, słyszy słowo „dziwka!”, ale potem uświadomiła sobie, że to wyjące w oddali syreny.

5.

ROBITUSSIN CIĘ UKOI!

Gdy Meg Wintrob uderzyła stalowym łańcuchem Alberta Sanguine'a, Fenstad Wintrob słuchał paplaniny swojej pacjentki. Jej głos przypominał chińską torturę kropli wody. Był nudniejszy niż kolacje z Andre, bardziej powierzchowny od wiecu na rzecz wolnego Tybetu i boleśniejszy od fazy gorączki krwotocznej, której towarzyszy krwawienie z gałek ocznych.

Lila mówiła od dwudziestu minut. Obecnie rozważała kwestię zmiany pór roku i fakt, że jesień zawsze wygląda jak koniec czegoś.

- Czegoś, czego się już nigdy nie odzyska, bo nawet gdy przychodzi następne lato, już nie jest takie samo. To już inne lato.

Jej nieprzytomny uśmiech sprawiał, że przypominała kogoś, kto przeszedł lobotomię szpikulcem do lodu. Nie umiała rozmawiać z mężczyznami, nawet z własnym psychiatrą, by przy okazji z nimi nie flirtować. Ale Fenstad pozostawał obojętny, mimo jej telefonów późną nocą, krótkich spódniczek i śladów szminki, które ciągle zostawiała mu na policzku, całując na pożegnanie. No, może nie do końca. Ciało miała jędrne i kształtne jak pin-up girl z lat czterdziestych. Nigdy jednak

nie traktował jej awansów poważnie. Po pierwsze, była jego pacjentką. Po drugie, zdrada nie należała do rzeczy, które Meg by mu wybaczyła.

Skrzywił się na myśl o dzisiejszym poranku. Zimny, tak go nazwała. Potem pokiwała głową jak męczennica, a on zastanawiał się, czy wszystkie kobiety są takie kapryśne i sądzą, że czterdziestoosmiolatek może się jeszcze zmienić.

Poza tym jego chłód wcale nie był zły. Oznaczał, że jest człowiekiem rozsądnym, na którym można polegać. Ludzie mu ufali. Właśnie dlatego został psychiatrą. Nigdy nie roztrząsał problemów, tylko je rozwiązywał.

Zawsze wzbudzał zaufanie. Na przykład dzieciaków z drużyny sportowej, które wciąż moczyły się w łóżko (no, tylko jednego), nauczycieli, którzy nie potrafili umówić się na randkę, i studentów medycyny mających problemy z narkotykami. To do niego pierwszego się zwracali ze swoimi kłopotami.

Nawet matka miała zwyczaj mu się zwierzać. Jej głos przecinał powietrze jak ostra woń amoniaku.

- Fennie! - wołała, kiedy tylko usłyszała człapanie małych stóp syna.

Od dzieciństwa spędzał całe godziny przy łóżku matki, słuchając opowieści o jej licznych dolegliwościach. Pod kołdrą z misternie tkanej egipskiej bawełny płakała nad dawno zmarłym dziadkiem i nad swoim urojonym rakiem, który, jak była przekonana, zżerał szpik w jej kościach. Z jakiegoś powodu - którego po dziś dzień nie odkrył - pokój pachniał kiszoną kapustą i piżmem. I po dziś dzień ten zapach kojarzył mu się z niezdiagnozowaną depresją maniackalną.

Kiedy dorósł na tyle, by sam wychodzić z domu, od razu zaczął to robić. Zapisał się do drużyny lekkoatletycznej, a po treningach siadywał na trybunach sali gimnastycznej, dopóki woźny nie pogasił świateł. Wieczorem tylnymi drzwiami zakradał się do domu, zjadał to, co zostało w szczelnie zamkniętym plastikowym pojemniku, a potem padał na łóżko, nie zdejmując butów. Ze słuchawek stereo, które miał na uszach, płynęły kołysanki Warrena Zevona i Lynyrd Skynynd.

Ale i tak nie zdołał całkiem uniknąć spotkań z Sarą Wintrob.

- Fennie - wołała w weekendowe poranki, słysząc, jak drepce na paluszkach w podgumowanych trampkach.

Posłusznie odwiedzał jej pokój, a matka mówiła mu: „Twój ojciec już mnie nie kocha. Zostawi mnie i będziemy całkiem sami”, albo jeszcze lepiej: „Fennie, myślę, że umieram. Serce przestaje mi bić, a potem bije od nowa”.

Mimo ciągłych narzekań potrafiła sporo zrobić, gdy Fenstada i jego ojca nie było w domu. Gotowała, chodziła na zakupy, prała. Nawet „Hustlery”, które Fenstad chował po materacem, raz na miesiąc - regularnie niczym w zegarku - trafiały do kosza.

Incydent, który najbardziej chciał zapomnieć, wydarzył się, kiedy Fenstad kończył już liceum. Właśnie wrócił do domu, wykończony po trzykrotnym przebiegnięciu na czas dystansu ośmiuset metrów. Sara zawołała go do swojego pokoju. Gdy schodził po schodach, musiał przytrzymać się poręczy. Wreszcie dotarł do jej łóżka. Oddychała szybko i ciężko.

Hipochondria, przyszło mu do głowy, a potem, nawet jeśli wiedział, że to nieprawda pojawiła się myśl: atak serca.

- Źle się czujesz? - zapytał.

Koszulę nocną miała owiniętą wokół bioder. Zauważył, że nogi wciąż ma mocne, chociaż wydawało się, że prawie ich nie używa. Ciemne włosy wisiały w mokrych od potu strąkach. Chwyciła jego dłoń i położyła na swojej piersi.

- Myślisz, że to guz?

W tamtym okresie ciągle myślał o dziewczynach, chociaż jeszcze żadnej nie tknął. Tak bardzo podniecało go samo patrzenie na nie, że musiał przywoływać obrazy

uchodźców z Kambodży albo zakażonych grzybicą paznokci stóp swojego ojca, by nie eksplodować. Zastanawiał się nawet, czy nie jest jakimś zbrodniarzem, bo ilekroć jego pięćdziesięcioletnia nauczycielka biologii o wielkim, tłustym tyłku wstawiała za biurka, wyobrażał sobie, jak opiera ją o krzesło z metalowym oparciem i bierze od tyłu.

A teraz trzymał dłoń na piersi matki. Coś poruszyło mu się pod palcami. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś owad. Ale to nie był robak, tylko jej twardniejący sutek. Uświadomił sobie z zażenowaniem, że on też twardnieje.

- Fennie, czujesz to? Myślisz, że to guz?

Gdy spojrzał jej w oczy, skrzywiła się. Oboje wiedzieli, że nie ma żadnego guza.

Sara i Ben nadal mieszkali w Wilton w Connecticut. Ben nigdy nie odszedł od żony, a ona nie umarła. Dzwonili raz w tygodniu i jeśli akurat Fenstad odebrał telefon, przekazywał słuchawkę Meg, twierdząc, że ona lepiej sobie radzi z takimi rozmowami. Fenstad bardzo chciał przebaczyć matce tamten drobny akt szaleństwa, ilekroć jednak budził się z niespokojnego snu, pełnego zapachu sfermentowanej kapusty, wiedział, że to jeszcze nie nastąpiło. Wystarczyło, by ktoś powiedział do niego „Fennie”, a ciarki przechodziły, mu po plecach, siekąc jak zerwane linie wysokiego napięcia podskakujące na asfalcie.

Niedługo po epizodzie z matką i jej cienką koszulą nocną coś w nim pękło. Przestał radzić sobie z emocjami, zupełnie jak mały dzieciak. Ciągłe płakał i dosłownie wszędzie zostawiał po sobie mokry ślad niczym ślimak. Usłyszał, że ludzie głodują w Afryce - płakał. Ojciec podniósł głos - cały się trząsał. Kolega ze szkoły zapytał, dlaczego nie obchodzi świąt Bożego Narodzenia - przez cały weekend nie wychodził ze swojego pokoju. Było coraz gorzej i wreszcie wpadł w taką depresję, że z trudem wstawał z łóżka. Nie mógł czytać, spać ani nawet zawiązać sobie butów, nie krztusząc się przy tym łzami. Co gorsza, zaczął sobie wyobrażać, że pokryta dywanem podłoga w sypialni rodziców jest mokra od krwi. Ilekroć po niej szedł, wydawało mu się, że jego stopy wyciskają krew z grubych włókien, a potem one z młasniciem zamykają mu się na bucie.

Nigdy się nie otrząsnął z tamtego załamania. Ale po jakimś czasie, jakby w Fenstadzie przesunął się jakiś wyłącznik, depresja nagle się skończyła. Zastąpił ją chłód. Życie stało się znacznie łatwiejsze. Minęło pieczenie w żołądku, które potem zdiagnozował jako młodzieńcze wrzody. Chociaż był jednym z zaledwie trojga Żydów w miasteczku zamieszkanym przez białych o anglosaskich korzeniach, przestał się przejmować faktem, że gdy dzieciaki krzyczą za nim „koszerny”, myślą coś znacznie gorszego, na przykład „ty parchu”. Zamiast się wściekać, uśmiechał się promiennie i mówił coś w stylu: „A co, do diabła, jestem z tego dumny”. Umówił się z najładniejszą dziewczyną, jaka chodziła na zajęcia z historii Ameryki w zimowym semestrze pierwszej klasy. Nazywała się Joanne Streibler i pozwoliła mu poślinić palec wskazujący, a potem zbadać nim swoje miękkie, aksamitne miejsca.

Nie odczuwał już niczego tak intensywnie jak wcześniej. Nie był nawet zachwycony, kiedy pierwszy raz kochał się z Joanne w furgonetce chevy G20 swojego kuzyna. Nie skakał z radości, gdy przyjęto go na Harvard ani gdy w Sądzie Pokoju stanu Massachusetts Meg przyrzekła kochać go i szanować. Był jednak zadowolony, a to mu wystarczało. Zresztą Meg odczuwała wszystko za nich dwoje.

Wiedział, że zdradza objawy psychopatii. W innych okolicznościach mógł zostać przestępcą, złodziejem albo nawet mordercą. Kiedy dowiedział się o romansie Meg, miał ochotę ją zabić i podejrzewał, że ta chęć trwała u niego dłużej niż u normalnego człowieka. Wyobrażał sobie, jak zakopuje ją żywcem pod domem, zamyka w spalarni odpadów, w której temperatura sięgała tysiąca sześciuset stopni, albo dusi jej perłami - a ona błaga o litość. Jednak w końcu jej nie zabił. Wybaczyl jej.

Było oklepane i infantylne to, że winił matkę o to, kim się stał i że wybrał zawód lekarza, aby ją ocalić i ocalić siebie samego przed nocnymi koszmarami, w których czuł zapach sfermentowanej kapusty i przesiąkniętego krwią dywanu. Ale cóż, nic nie możesz poradzić na to, skąd pochodzisz i jaki kierunek to pochodzenie ci wskaże.

Miał się na co uzalać, lecz nawet jeśli był zimny, z tego, czym obdarzył go los, zrobił jak najlepszy użytek. A los dał mu znacznie więcej niż Lili Schiffer.

- Wczoraj w telewizji - mówiła Lila - gościem doktora Phila był facet, który mówił o diecie węglowodanowej. Twierdził, że powinno się jeść tylko czerwone mięso. To dla mnie nie ma większego sensu, ale skoro powiedzieli tak w Doktorze Philu, to musi być prawda. - Przesunęła palcami wzdłuż nogawki dżinsów i kontynuowała: Jesienią zawsze przybieram na wadze...

Jęknął w duchu. Ona znowu mówi o zmieniających się porach roku. Jak może smęcić o tym przez tyle sesji, nie uświadamiając sobie nawet, że tak naprawdę uzala się nad własną więdnącą urodą.

- Jesienią pojawiają się muchy. Nienawidzę robactwa. Czasem tak bardzo bym chciała, żeby zniknęły, że aż mnie kusi, by je zjadać.

Fenstad pomyślał o Meg, o tym, że nazwała go zimnym. Ta dziwka rozłożyła nogi dla najbardziej obleśnego skurczybyka w całym Corpus Christi i uważa, że z ich dwojga to właśnie on jest winny. Pomyślał o chińskiej torturze, wodzie skapującej tak długo, aż człowiek wariuje. Pomyślał o izolatce z pluszowym niebieskim dywanem skąpanym we krwi i dźwięku, jaki wydawałyby jego stopy, gdyby po nim szedł.

Lila uśmiechnęła się szeroko. Zastanowił się, czy w domu, przy dzieciach, też jest taką smęcącą jędzą, która budzi je z cudownych snów. Jak Sara Wintrob. Przez chwilę nienawidził Lili, swojej żony, swojej, matki, a zwłaszcza Freuda.

Podniósł wzrok i zorientował się, że Lila przestała mówić. Czekał, aż zacznie znowu, ale nie zaczęła. Chyba się zmęczyła.

Chrząknął. Czas kończyć to gównu.

- Czegoś unikasz. Powiedz mi, co się stało w tym tygodniu.

Podniosła głowę, lecz Lila nadal milczała. Miała na sobie wyjątkowo dużo ubrań. Zwykle nosiła się jak kelnerka: obcisła bluzka i krótka spódniczka. Dzisiaj bluzkę z długimi rękawami zapięła powyżej linii stanika, a dżinsy sięgały na tyle wysoko, by ukryć motyla wytatuowanego na biodrach.

Zegar tykał. Wiedział, że powinien uważnie słuchać, ale zamiast tego myślał o Meg. Ostatni rok był wspaniały, aż do teraz. Wprawdzie miewała swoje humory, ale sądził, że żyje im się coraz lepiej. A potem ten komentarz o rybie. Co ona chciała przez to powiedzieć? Że jest kiepski w łóżku? Więc przez dwadzieścia lat udawała, że jest inaczej?

- Zrobiłam błąd - zaczęła Lila - ale bardzo mały. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, jakby przyłapano ją na wypełnianiu kwestionariusza długopisem zamiast ołówkiem. - Myłam zęby i pomyślałam, że tylko go spróbuję...

- Znowu piłaś robitussin? - spytał.

Przytaknęła.

- Na przeziębienie. Przynajmniej był bez cukru.

- Ile?

- Pół butelki. Ale potem to zwymiotowałam.

Robitussin zawierał około piętnastu procent alkoholu. Był niegroźny, chociaż szklaneczka szkockiej smakowała o niebo lepiej.

- Możesz opisać, co skłoniło cię do picia?

Przygryzła wargę, jakby się nad czymś zastanawiała. Niedawno rozwiodła się z mężem, który nie pozwalał jej bez swojej zgody nawet ruszyć palcem, zapłacić rachunku czy wybrać sukni na bal w klubie golfowym. Była jak jakaś piłeczka

pingpongowa w oceanie, szukająca oparcia. Dzieci podśmiewały się z niej i nazywały bezużyteczną. Koleżanki nigdy jej nie akceptowały, bo była niewykształcona, za to biła je na głowę świetnym wyglądem, przez co uważały ją za konkurencję. Eksmąż ożenił się ponownie z jakąś młodszą laską. A teraz zaczęła pić syrop na kaszel, bo bała się, że sąsiedzi wezmą ją na języki, jeśli w miejscowym sklepie będzie kupować alkohol.

Za rok czy dwa pozna innego mężczyznę i przy odrobinie szczęścia wyjdzie za niego. Jeśli dopisze jej więcej szczęścia, on umrze ze starości albo na atak serca, zanim zdąży ją wymienić na nowszy model. A chodziło o to - co próbował wytłumaczyć jej Fenstad - że to żaden sposób na życie. Lila nie wierzyła mu, więc najlepsze, co mógł zrobić, to skanalizować jej potrzebę upijania się syropem w rygorystyczny trening joggingu, dopóki nie zjawi się jakiś mężczyzna, który nie oznajmi jej, że jest piękna.

Lila uśmiechnęła się smutno. Kim jest kobieta, która chowa się pod tym uśmiechem? - zastanowił się. Takie pytania sprawiały, że codziennie przychodził do pracy. Ludzkie tajemnice. Ukryte pod warstwami różnych wymysłów, które złuszczały się przez tygodnie, miesiące i lata terapii. Hipochondria, nerwice, samobiczowanie. Kim naprawdę jesteś? - zastanawia się, gdy spotykał nowych ludzi. To samo pytanie często zadawał sam sobie.

- Poruszyło mnie coś, co widziałam w dzienniku - wyznała Lila.

- W dzienniku?

- Tak. Oglądałam *Entertainment Tonight* i puścili tam reportaż o ślepcu. Aran i Alice mieli odrabiać lekcje, ale nie odrabiali. Wiedziałam, że powinnam ich skrzyknąć, ale oglądałam ten reportaż. Mieszka w Seattle i daje sobie radę tylko dzięki swojemu golden retrieverowi. Lubię psy, ale wie pan, do czego to zmierza.

Przypomniał sobie ujadającego psa ze snu.

- Przylapała mnie pani - odparł. - Nie wiem, do czego to zmierza.

- Pies przewodnik. Musieli go zwolnić, bo za bardzo się postarzał, żeby opiekować się tym człowiekiem. Wylali go, rozumie pan? Przez ten reportaż przypomniałam sobie swojego pierwszego psa, którego oddano do uspienia, bo ugryzł mojego brata Toma. Mieszkaliśmy w Bedford, wie pan? W przyczepie. Zwykle tego nikomu nie mówię. Wyprowadziłam się, dopiero gdy wyszłam za Arana seniora. - Westchnęła i mówiła dalej: - Myślałam o tym psie, o deszczu, o tym, jak w Seattle wszędzie robi się mokro. I o moim bracie. Bardzo za nim tęsknię. Zginął podczas pożaru w Bedford. Był astmatykiem. W każdym razie powiedziałam dzieciakom, że idę się wykąpać, a one odrzekły: „No dobra, Lilo”, bo mówią mi po imieniu, chociaż tego nienawidzę. Ale szukałam brzytwy, wie pan? Takiej prostej, którą dostałam od Arana, bo była stara, a on lubił takie rzeczy. Kiedy się wyprowadzał, wszystko zostawił. Podejrzewam, że tylko udawał, że podobają mu się prezenty, które dostawał ode mnie. Te ładne kryształowe geody i maszyna do pisania Underwooda z 1917 roku. Potraktował je, jakby były niczym. A potem przypomniałam sobie, że trzeba ciąć wzdłuż, jak drewno. I tak zrobiłam.

Podwinęła lewy rękaw bawełnianej bluzy. Na nadgarstku miała prymitywny opatrunek z gazy i plastra. Skóra była zaczerwieniona od zapalenia.

Fenstada poczuł ucisk w żołądku. Po raz pierwszy od długiego czasu czuł się rozczarowany samym sobą. Zawiódł Lilę. Utrwalił sobie błędną opinię na temat tej kobiety, którą mąż wyrzucił jak zużytą prezerwatywę. Zapomniał, że miał być jej adwokatem. Do cholery, on miał być jej przyjacielem.

- Tylko jedna ręka. - Uśmiechnęła się, - Nie jestem jakąś wariatką...

- Mów dalej.

- Woda zrobiła się różowa, a ja pomyślałam o tym, co się stanie, kiedy mnie znajda. Dzieciaki niczego nie zauważą, dopóki nie będą chciały umyć zębów. Nie będą

rozpaczać, tylko zadzwonią do niego. Są mi bliskie, ale jemu ufają. Tak więc minęłoby kilka godzin, zanimby mnie znalazł. Do tej pory krew dotarłaby już do dna wanny. Wszystko by się lepilo jak cement. Byłaby też we włosach. No ale jego nowa żona jest przecież ruda... - Głos miała wyprany z emocji. Właśnie taka była prawdziwa Lila, na spotkanie z którą czekał cały rok. Wreszcie nastąpił przełom. - Pomyślałam, że on mnie znajdzie, a ja będę wyglądała jak Grace Kelly. - Roześmiała się. Jej śmiech rozbrzmiał upiornym echem. - Ale wie pan, moja skóra zrobiłaby się pomarszczona i cienka. No i przytyłam jakieś trzy kilo. Sam diabeł by się wystraszył, gdyby mnie taką zobaczył. On też na to zasłużył! Przez resztę życia miałby wyrzuty sumienia przez to, co mi zrobił. Sama nie wiem dlaczego postanowiłam nie podcinać sobie drugiego nadgarstka!

Próbowałam zatamować krew. - Uniosła rękę. - Jednym z tych gazowych opatrunków z zestawu pierwszej pomocy. Pewnie jest bardziej brudny niż papier toaletowy, ale zna mnie pan, nie potrafię o siebie dbać.

Palce miała smukłe, a długie paznokcie pomalowane czerwonym lakierem.

- A potem zobaczyłam robitusin i pomyślałam, że przynajmniej to nie jest na zawsze i nikt się o niczym nie dowie.

- Mogę obejrzeć twoją rękę? - zapytał.

Zacisnęła dłoń w pięść i odwinęła rękaw, zasłaniając ranę.

- Jestem lekarzem - nalegał. - Jeśli trzeba coś z tym zrobić, zrobię to.

Nie poruszyła się i zrozumiał, że wcale nie ufa mu tak bardzo, jak zakładał.

- Lilo, bądź rozsądna. Rana może być zakażona.

Wzruszyła ramionami i podała mu rękę. Gdy podwinął rękaw bluzki, odwróciła głowę, jakby robił coś wstydliwego.

Brzegi rany pokrywała skrzepnięta ropa; pewnie roilo się w niej od bakterii. Znalazł nożyczki i odciął luźne krawędzie gazy. Potem przemył nadgarstek wodą utlenioną z apteczki, którą trzymał w dolnej szufladzie biurka, i delikatnie oderwał gazę od strupa. Rana zaczęła się sączyć, lecz tylko powierzchwniowo. Cięcie było głębokie, przypominało pionowe usta. Lila podcięła sobie żyłę umiejętnie, otwierając około ośmiu centymetrów arterii. Gdyby zasnęła w wannie, mogłaby się już nigdy nie obudzić.

Opatrzył ranę, przykładając więcej gazy, a potem zalepił plastrem. Było już za późno na założenie szwów, więc na nadgarstku zostanie brzydka blizna. Dał Lili tubkę maści antybiotykowej i powiedział:

- Powinnaś była do mnie zadzwonić.

- Wiem, ale nie chciałam zawracać panu głowy - odparła. - I tak za dużo mówię.

Pojawiła się między nimi nic porozumienia, a Fenstad pojął, że teraz zastępuje jej nieobecnego męża, ojca, brata, syna. Lila chciała ich ukarać. Chciała ukarać także jego.

- Myślisz, że powinnaś spędzić jakiś czas w szpitalu? - spytał.

Pokręciła głową.

- Nie. Nie zrobię tego więcej.

- To poważna sprawa - przekonywał. - Cieszę się, że mi powiedziałaś, ale martwię się o twoje bezpieczeństwo i o bezpieczeństwo twoich dzieci.

Uśmiechnęła się szeroko, znów swobodna i uwodzicielska. Uniosła głowę jak dziewczyna na balu debutantek rozmawiająca z najlepszą partią w sali.

- Obiecuję, doktorze Wintrob, że już nigdy tego nie zrobię. Naprawdę. To przez ten dziennik. Już nie będę oglądała dziennika.

Gwałtowność tej przemiany zaniepokoiła go. Wiedział, że na tę noc powinien zatrzymać Lilę w szpitalu. Ale nie miała rodziny ani przyjaciół, więc musiałyby zadzwonić do byłego męża i poprosić i go, żeby zaopiekował się dziećmi. A Aran

senior tylko czekał na sposobność, by uzyskać pełną opiekę nad dziećmi. Lila załamałaby i się pod naciskiem i scedowała na niego prawa rodzicielskie. Tak mogła się zacząć jej spiralna droga w dół, której właśnie starał się zapobiec. Podjął decyzję.

- Chcę, żebyś dalej robiła notatki. Postaraj się zapisywać, co czujesz, kiedy masz ochotę się napić albo okaleczyć. Zrobisz to? I przyniesiesz mi swoje notatki za tydzień?

Skinęła głową.

Godzina minęła już pięć minut temu, więc wypisał jej receptę na tygodniowy zapas antydepresantu, stelazyny.

- To powinno cię wyciszyć.

Złożyła receptę i dyskretnie wsunęła do torebki, jakby dał jej swój numer telefonu.

- Dzwonź do mnie, jak tylko poczujesz, że niepokój wraca - poprosił.

- Oczywiście, doktorze Wintrob.

Uśmiech miała szeroki i jakby nieobecny. Nawet nie zauważyła, że maść poplamiała rękaw jej jedwabnej bluzki. Odśloniła się dzisiaj i nawet o tym nie wiedziała. On zaś był zaskoczony i trochę zakłopotany swoim współczuciem dla niej. Jeszcze raz przemyślał swoją decyzję i uznał, że jednak należy ją hospitalizować.

Już miał jej o tym powiedzieć, kiedy do gabinetu wpadła sekretarka z wiadomością, że ktoś napadł na jego żonę.

6.

MELANCHOLIJNY CHÓR

Tamtego wtorku o siódmej wieczorem dzień chylił się ku końcowi. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, a latarnie uliczne świeciły żółtawym blaskiem. Na sklepach zapaliły się tablice z napisem „Otwarte”, a ci, którzy wyszli ze szpitala po dziennej zmianie, opuszczali rolety w otwartych oknach, by cieszyć się ciepłą nocą.

Na bieżni pod liceum truchtały muskularne nastolatki. Od sierpnia dni robiły się coraz krótsze. Ludzie, świadomi, że lato nieubłaganie odchodzi i zbliża się surowa zima, wybierali obowiązki zamiast przyjemności i pracę, jaka została im do zrobienia, zamiast wódki z tonikiem.

Lois Larkin stanowiła wyjątek. Nie myślała o planie szkolnych zajęć, o aplikacji na uczelnię ani o tym, by błagać Ronniego, żeby do niej wrócił. Myślała tylko o małym chłopcu, którego zgubiła. Nie miał kurtki i szalika, więc teraz pewnie drży z zimna. Ale Jamesa Walkera mogło spotkać coś gorszego od ciarek na plecach.

Leżała w pozycji embrionalnej na tylnym siedzeniu niebieskiego policyjnego dodge'a. Chciała zamknąć oczy i sprawić, aby zdarzył się cud. Wiedziała jednak, że cud się nie zdarzy.

Kiedy wczesnym popołudniem wrócili do szkoły, policzyła dzieciaki. Zamiast dwudziestu sześciu było ich dwadzieścia pięć. Zrozumienie, co się stało, zajęło jej kilka sekund, bo nie potrafiła uwierzyć, że mogła być taka głupia. Dopiero gdy policzyła jeszcze raz, przypomniała sobie o Jamesie, który nie chciał z nikim iść w parze. Zanim wywołała jego nazwisko i nie usłyszała odpowiedzi, już wiedziała, że to jego brakuje.

Zostawiła dzieci pod opieką Janice Fischer, a kierowcy autokaru kazała zawracać do lasu pod Bedford. Była pewna, że James Walker zrobił głupi kawał. Nie czuła się zdenerwowana, tylko rozdrażniona, że ją przechytrył.

Potem była rozmowa z dyrektorem, Carlem Fritzem, czterdziestoletnim kawalerem, który miał skarpetki zawsze dopasowane do koszuli w jaskrawe wzory. Uważała go za geja do dnia, kiedy powiedział, że nie sądzi, by znała swoją prawdziwą wartość, patrząc przy tym łakomie na jej piersi. Wtedy zrozumiała, że jego sympatia nie jest czysto braterska.

Gdy powiedziała Carlowi, co się stało, ciężko opadł na blat biurka i jęknął jak zdychająca ropucha.

- Zgubiłaś go? - powtórzył, jakby uważał, że Lois po prostu się przejęzyczyła.

- Tak, Carl - potwierdziła. - Zgubiłam go.

Nie patrzył na nią. Przyglądał się zdjęciom z corocznych spotkań kółka dyskusyjnego, staroświeckiemu plakatowi *Deszczowej piosenki* i wreszcie własnym drżącym dłoniom, których paznokcie pielęgnował co tydzień w salonie kosmetycznym.

- Wysłałam... wysłałam po niego kierowcę autokaru, ale na wszelki wypadek powinniśmy zadzwonić na policję i do jego rodziny. To taki kafwalarz, tyle że wredny. Będzie się chował, dopóki nie stwierdzi, że czas wyjść.

Carl nie reagował, więc podniosła słuchawkę telefonu i wcisnęła przycisk numer 2, uruchamiając tryb szybkiego wybierania, który dodał po masakrze w liceum Columbine.

- Mów - oznajmiła, podając mu słuchawkę. - To od ciebie powinni to usłyszeć.

Kiedy tylko padło nazwisko Walker, Carla połączono z szefem policji Timem Carrollem. Tim, usłyszawszy, co się stało, powiedział, że natychmiast wyjeżdża i spotkają się na skraju lasu.

Następny telefon był znacznie trudniejszy. Ale Carl nie oszczędzał Millera Walkera.

- Pańskiego syna nie było w autokarze, który przyjechał ze szkolnej wycieczki - oznajmił bez ogródek. - Wracamy po niego do Bedford. Jestem pewien, że nic mu nie jest. Chciałem tylko pana poinformować.

Odpowiedź Walkera, którą Lois usłyszała, bo stała bardzo blisko, brzmiała:

- Chcę, żeby ta nauczycielka jeszcze dziś złożyła wymówienie.

Powiedział „ta nauczycielka”, bo pewnie nie znał jej nazwiska.

- Oczywiście - odparł Carl i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Przepraszam, Lois, ale tu chodzi także o moją głowę”.

Pojechali do lasu pod Bedford zielonym audi Carla. Kiedy tam dotarli, James nie czekał na nich przy pokrytym okruciami stole piknikowym. Ogryzek jabłka, który Lois tam zostawiła, jeszcze nie zdążył zbrązowieć. Poczowała ucisk w dołku, ale się nie zamartwiała. Na pewno odnajdą chłopca.

Zaraz po niej i Carlu przyjechało wszystkich siedmiu policjantów. Wspólnie przetrzasali las. Rozglądając się za tropami, dotknęła świeżych śladów szkolnego autokaru. Po mniej więcej dwóch godzinach zjawili się Walkerowie w czerwonym mercedesie z silnikiem Diesla. Felice została w aucie, a Miller poprawił krawat, krzywo spojrzął na Lois i przyłączył się do poszukiwań.

Wtedy jeszcze nie czuła strachu. Myślała o Ronniem, o Noreen i ogłoszeniu o ich zaręczynach w porannej gazecie. Myślała o tym, że wracając do domu, musi kupić test ciążowy. Myślała o matce, teraz pewnie już pijanej, i o tym, że cała sprawa z Jamesem jest kolejnym dowodem na to, że świat zwrócił się przeciwko niej.

Do trzeciej temperatura spadła poniżej czterech stopni Celsjusza. Natomiast jej niepokój rósł. Rozprzestrzeniał się jak swędzenie, a nie mogła się podrapać. Żaden mały chłopiec by się tak długo nie chował, nawet tak głupi jak James. On na pewno się zgubił. A może jednak nie? Może zaatakowało go dzikie zwierzę albo jakiś pedofil zamknął w bagażniku i teraz wiezie ku kanadyjskiej granicy?

Zgubiła dziecko. Chłopiec, którego miała pod opieką, mógł zostać ranny, porwany albo przytrafiło mu się coś jeszcze gorszego.

O szóstej wieczorem las przeczesywało już ponad dwadzieścia osób. Strażacy, komitet rodzicielski, pedagodzy, sąsiedzi i przyjaciele Millera Walkera. Tak zdeptali okolicę, że proste sosnowe igły i źdźbła trawy wyglądały jak skamienieliny wciśnięte w ślady butów.

Kiedy zapadł zmierzch, Tim zorganizował dokładniejsze poszukiwania. Ustawili się w linię jak wyrafinowani uczestnicy gry w polo. Żadna z przerw między nimi nie miała więcej niż trzy metry. Szli przez las, nawołując. Promienie ich latarek padały na martwe drzewa. Lois szukała gorączkowo. Swędzenie w żołądku rozeszło się na piersi, nogi, nawet na gardło. Las przeczesano, a chłopiec nadal pozostawał zaginiony. To jest jej problem, myślała. Musi odnaleźć Jamesa Walkera. Musi to załatwić. Zrobiło się całkiem ciemno, a godzina szósta stała się siódmą, lecz Jamesa wciąż nie znaleziono.

Chciała opaść na kolana i zacząć się modlić, jednak nie zrobiła tego. Jeśli inni jeszcze się nie domyślili, jak poważna to sprawa, jej widok pogrążonej w modlitwie mógł im dać świetną wskazówkę! Kto teraz wierzył specjalistom od ochrony środowiska? Drzewa wyglądały jak puste łupiny orzecha. Nic tu nie żyło! Nie było żadnych, ptaków. Żadnych saren. Niczego. A co, jeśli Jamesowi zachciało się pić i ugasił pragnienie skażoną wodą z rzeki albo zjadł jakieś liście pełne Bóg wie czego? W tym lesie mieszkali wariaci. Tacy, którzy pozwalają swoim samochodom rdzewieć pod domami i wieszają kukły na przyczepie kempingowej. Tacy, którzy zostają w skażonym mieście, jeszcze długo po ucieczce wszystkich zdrowych na umyśle.

Zaczynała przegrywać. Miała problem. Całe jej życie było problemem, ale własna przegrana to jedno, a sknocenie życia dzieciakowi to już całkiem co innego. James zaginął sześć godzin temu i do tej pory niczego nie znaleźli. Choćby skrawka materiału, kosmyka włosów albo kartonika po soku. Nic.

Po policzku spłynęła jej łza, ale jej nie wytarła. Wiedziała, że jeśli to zrobi, popłynie ich więcej. Zacznie beczeć na oczach Millera Walkera, Tima Carrolla, Carla Fritza i tego całego cholernego komitetu rodzicielskiego. Poprosiła Tima o kluczyki do jego dodge'a i zwinęła się w kłębek na tylnym siedzeniu.

Ledwie to zrobiła, zaczęło wirować jej w głowie. Ronnie, jej matka, Noreen, a teraz James Walker, któremu nigdy nie dała szansy i do którego nigdy nie podeszła, żeby mu pomóc w dzieleniu. To dziecko mogło przecież kiedyś okazać się w porządku, nawet jeśli teraz takie nie było. Mogło odkryć lekarstwo na raka albo wynaleźć bezbolesny aparat na zęby. Tyle że ona mogła się już o tym nigdy nie przekonać.

Rozmyślała o tym wszystkim, a potem nagle z jej ust wyrwali się krzyk. Krzyk, który brzmiał jak płacz bez łez. Trwało to jakieś pięć sekund i ustało równie nagle, jak się zaczęło. Położyła dłonie na piersiach i ścisnęła je, jakby szukała ukrytego tam zwierzęcia. To dziwne, że potrafiła wydać z siebie taki dźwięk. Jakby coś obudziło się w jej płucach i postanowiło zaskowytać.

Nad lasem unosiły się opary. Wyglądały jak brudna mgła. Płynęły w dół wzgórz i sączyły się przez otwory wentylacyjne samochodu. Śmierdziały jak skunks. Kolejny dowód, że nie powinna była organizować szkolnej wycieczki do tego lasu. Teraz każdy z poszukiwaczy musiał pomyśleć: Co za kretynka z tej Lois Larkin!

W pewnej chwili usłyszała dziecięcy głos dobiegający gdzieś spoza samochodu. Wysoki, ale nie dziewczęcy. Był stłumiony, nie mogła zrozumieć, co mówi. James? Czy on tam jest? Znaleźli go?

Wysiadła z auta. Przy krawędzi lasu stały SUV-y, audi, saaby i hondy. Słyszała nawołujących się poszukiwaczy, ale wcale nie brzmiali tak, jakby go znaleźli. Od

strony lasu też dobiegał głos. Stłumiony, ale na pewno dziecięcy. Odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu. O, dzięki Ci dobry, słodki Panie.

Pobiegła do lasu; teraz już słyszała, co mówi chłopiec.

- Lois! - wołał.

James, pomyślała z ulgą tak słodką, że jej ślina smakowała niczym wafelki Necco. Tylko taki łobuziak jak Miller mógł wołać ją po imieniu.

Minęła linię poszukiwaczy. Czoło pokrył jej pot, zaczynała dyszeć.

- To pani, panno Larkin? - spytał jakiś strażak i zaświecił jej w twarz latarką.

Zasłoniła oczy dłońmi.

- Tfact, to ja.

- Dobrze. Tylko spokojnie. Znajdziemy go.

- Jasne.

Gdzieś głębiej w lesie głos odezwał się ponownie.

- Lois!

Część tego głosu dobiegała z lasu, ale dobiegał też skądś bliżej. Łagodny i prawie bezcielesny. Uświadomiła sobie, że słyszy go we własnej głowie.

Czy tak bardzo chciała odnaleźć chłopca, że to sobie wymyśliła? Możliwe. Chociaż James mógł gdzieś tu być. Jeśli go znajdzie, uda jej się wydobyć z problemów, które sama sobie narobiła. Podniosła bluzkę i zaczęła drapać się po brzuchu. Swędzenie z jej wnętrzości doszło aż do skóry.

Dotarła do rzeczki, gdzie poszukiwacze zawrócili, i przeszła na drugi brzeg. Rozciągała się tam niewielka polana. Głos już jej nie wzywał, ale potrafiła go wyczuć. Czuliła go w środku. Czy wpadła w obłęd? Może? To nie miało znaczenia. Tak czy owak, zamierzała odnaleźć Jamesa Walkera.

W rzece odbijał się blask księżyca, więc na polanie było jasno! Tak silnie pachniało siarką, że aż oczy zaszyły jej łzami. To pewnie popioły z papierni. Gdy zbliżyła się do polany, na ziemi czarnej od sadzy dostrzegła coś czerwonego. Podniosła to. Kaptur od dziecięcego sweterka, o poszarpanych brzegach, jakby oderwano go gołymi rękami. Silnymi rękami.

Potem zobaczyła jamę, głęboką na mniej więcej metr. Czy to James ją wykopał? Czy w niej leży? Zajrzała do środka, ale poza kilkoma kamieniami było tam pusto.

„Lois” - odezwał się głos. Dochodził z dwóch miejsc. Muskał jej uszy, koł swędzenie jak deszcz koł spragniony kwiat. To jakaś sztuczka, pomyślała i jęknęła. Ten głos jest jakaś sztuczka. James zrobił ją w balona... Nie, przecież żaden mały chłopiec nie wie, jaki robić takie sztuczki. Ronnie? Noreen? Czy to byli oni?

Głos jej odpowiedział, tyle że już nie brzmiał jak głos dziecka. Stał się głęboki, gardłowy.

„Lois, on jest ze mną, tu na dole”.

Znowu wydała z siebie ten skowyt bólu. Zakręciło jej się w głowie, musiała uklęknąć przy pustej jamie, żeby nie upaść. James nie żyje, uświadomiła sobie. On nie żyje.

Coś poruszyło się wewnątrz niej. Odczołgała się kilka metrów od jamy, tak że nogawki spodni poczerniały od sadzy. To coś spoglądało teraz jej oczyma. Czuliła to. Jakiś wróg wśliznął się jej za uszy.

„Lois” - szeptał głos. Serce jej waliło i przez chwilę czuliła pokusę, aby wydłubać sobie oczy, wyciągnąć to coś.

A potem usłyszała dziecięcy głos dobiegający z jamy.

- Jestem, panno Lois - zawołał, jakby właśnie wyczytała go przy sprawdzaniu listy. Zagryzła wargi i chciała krzyknąć, z radości albo ze strachu, sama nie wiedziała. Czy on żyje? Czy wpadł do tej dziury? A może jest... czymś jeszcze. Uniosła dłonie do ust, chcąc wezwać pomoc, lecz głos ją powstrzymał. „Jeśli coś powiesz, zabiję go. A to

ciebie oskarżają. I co się z tobą wtedy stanie? Będziesz oglądała *Milionerów* w telewizji?”

Lois ścisnęła poszarpany czerwony kaptur.

- Proszę - błagała - gdzie on jest?

Głos nie odpowiedział, a ona zaczęła słyszeć okrzyki poszukiwaczy. Upuściła kapturek. Intuicja coś jej podpowiadała, starała się w nią wsłuchać. Istnieje coś, czego powinna się domyślić, jeśli tylko się nad tym zastanowi. Głos brzmiał znajomo. Znała go. Ale powietrze było gęste od zapachu siarki, kręciło jej się w głowie.

„On umrze bez ciebie, chyba że naprawisz wszystko, co zepsułaś. Zrób to porządnie” .

Zostaw mnie, chciała odpowiedzieć, ale nie potrafiła. Bała się, że jeśli krzyknie, jeszcze bardziej skrzywdzi Jamesa.

„Kochana Lois - powiedział głos. - Przestań się ukrywać za tym cierpiętniczym uśmiechem. Napraw wszystko”.

- Proszę, gdzie on jest? - powtórzyła.

W odpowiedzi to coś prześliznęło się za uszami. Dotknęło ją tam, gdzie od długiego czasu nikt jej nie dotykał. Pokazało, że nigdy nie miała wysokiego mniemania o Ronniem, Noreen, a nawet o swoich rodzicach. Trochę ich nienawidziła. Trochę chciała, żeby umarli. Zasługiwali na to po tym, co zrobili.

O czym ona w ogóle myśli?

„Posprzątaj ten swój bałagan, Lois, a obiecuję, ci, dostaniesz wszystko, czego chcesz, nawet Jamesa. Zwłaszcza Jamesa”.

- Pomóż mi! - zawołało jakieś dziecko z głębi jamy. Brzmiało jak James Walker, tylko słowa miały jakąś taką płaską intonację. Bez życia. Lois poczołgała się w kierunku, z którego dobiegał głos. Wiedziała, że powinna uciekać, bo to coś znajdowało się wewnątrz niej i przestała już być kapitanem własnego okrętu.

- Czy naprawdę go boli? - zapytała.

„On cały krwawi”.- odpowiedział głos, a Lois pojęła, że nawet jeśli to jakaś sztuczka, musi spojrzeć. Jest jego nauczycielką. Taką ma pracę. Klękła na krawędzi dziury. Kamienie stuknęły o siebie, a wydany przez nie dźwięk był znacznie głębszy, niż się spodziewała. Przyjrzała im się dokładniej i z trudem łapiąc powietrze, uświadomiła sobie, że to kości. Potem pojęła jeszcze coś, co wcześniej umykało jej uwagi. Ten dźwięk, ten skowyt, dobiegał z niej. Oddychała tak szybko, że tchawica grała niczym róg.

Polanę otaczały zwierzęta. W myślach widziała, co zrobiły. Niecałe siedem metrów od niej leżała martwa sama. Na brzuchu miała zdychającego kreta, który wygryzł jej połowę podbrzusza i nurzał się w posoce.

W tym miejscu nie istniał szacunek ani dla żywych, ani dla umarłych.

„Powstrzymywali cię. Przez nich byłaś słaba. Nie wiedzą, kim jesteś i kim możesz być, ale ja wiem. Lois, napraw to wszystko, ostatnio popsułaś”. Tak mówiło to coś, a ona tego czegoś nienawidziła. Nienawidziła, bo do niej przemawiało... Dlaczego więc czuła się tak dobrze?

Ziemia pachniała jak miedź (a może jak krew?). To coś wślizgiwało się w Lois. Było balsamem na swędzenie. Pomyślała o Noreen i Ronniem. O swojej matce i o swoim tacie, który żył tak, jakby za to przeproszał. Pomyślała o małym łobuziaku, Jamesie Walkerze, który wykrzykiwał jej imię: „Panno Lois, pomocy!” Ale tak naprawdę wiedziała, że to nie był jego głos. To była czyjaś sztuczka. Może nawet jej sztuczka. Pomyślała o ścieżce, którą mogła wyjść z lasu, o tym, że zawiedzie ją do żalu i baru Kropla Rosy.

„Lois, wiesz, co masz robić. Posprzątaj bałagan, a ja dam wszystko, czego chcesz”.

Oczami duszy widziała swoich uczniów, jak szczerzą się do niej w uśmiechach. Widziała siebie, wychodzącą z tego lasu z Jamesem na rękach. Ale przede wszystkim widziała rozlaną krew tych, którzy ją skrzywdzili, co również jej się podobało.

„Napraw wszystko” - powiedział głos, a ona oblizała wargi.

Ziemia była wilgotna. Przesunęła po niej palcami. Zbliżyła do niej twarz i powąchała. Swędzenie w brzuchu wróciło. Rozeszło się po krwi. Zaczęło pełzać po skórze. Ożyło za jej oczyma. Tak bardzo tego chciała.

„Napraw wszystko”.

Jej żołądek zawył. Była taka głodna. Głodna bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Jej instynkt krzyczał. Kazał uciekać, bo w tej ziemi mogła zobaczyć krew Jamesa. Ale przez całe życie podejmowała złe decyzje. Przejmowała się innymi i nic z tego nie miała. Może nadszedł czas, by wsłuchać się w lepszy głos.

„Napraw wszystko, co ostatnio zepsułaś, kochana Lois”.

Przywarła twarzą do ziemi i szeroko otworzyła usta. Gлина i piasek, żelazo i granit. Tak wspaniale smakowały, a ona uświadomiła sobie, że każdy błąd, jaki popełniła, każda zła ścieżka, którą wybrała, teraz okażą się dobre, bo zaprowadziły ją właśnie tutaj.

Polizala kości i poczuła smak krwi. Krwi Jamesa. Ogarnęła ją pewność, że Ronnie wcale jej nie wykiwał, bo to ona udawała, udawała przez cały czas.

„Napraw to, Lois”. To coś wymawiało jej imię z taką czułością, jakby składało pocałunek. Poczula, że robi jej się ciepło między nogami. Wiesz, że tego chcesz. Zagubiła się i nawet nie wiedziała, że to się stało, bo przecież była zagubiona już od długiego czasu. Jadła błoto całymi garściami, dopóki krew całkiem nie zniknęła.

Gdzieś w oddali poszukiwacze nawoływali Jamesa, ale jego już nie było. Dopadł go ten głos. Głos, który żył teraz w niej. Głos, któremu udzieliła schronienia.

Ronnie, Noreen, jej matka. Tim Carroll. Carl Fritz. Miller Walker. Fenstad Wintrob. Ta suka z salonu, która zawsze mierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, tak jakby nie była wystarczająco dobrze ubrana. Ten dupek T.J. Wainright z Kropli Rosy, który rozwadniał jej apple cosmos. Teraz pożałują.

Lois przełknęła kolejną garść ziemi. Tym razem nie prześliznęła się w dół, lecz utkwiała w gardle. Żołądek się skurczył, a potem zwinął. Zwymiotowała. Do oczu napłynęły jej łzy. Tyle czasu minęło, od kiedy ostatni raz wymiotowała (sylwester 2000?), że nie wiedziała dokładnie, co się właściwie dzieje. Całym jej ciałem szarpały spazmy. Wyrzucała z siebie błoto. Spływało jej po podbródku, ochlapało kołnierz różowego jerseyu i kapturek Jamesa. Płynęło strumyczkiem do niewielkiego wgłębienia w ziemi i gromadziło się wokół jej kolan.

Przy skraju polanki widziała szczątki zwierząt Szopów, ptaków i tej sarenki, którą widziała dzisiaj rano, jak wyjadała resztki ze śmietnika. Szkliste oczy zwierzaka wpatrywały się w nią. Wtedy sobie przypomniała, gdzie jest, co robi i co zrobiła. Jakaś dżdżownica wierciła się w szparze między zębami. Lois zakrztusiła się, miażdżąc ją. Wypluła na dłoń razem z kolejną garścią błota.

Na dłoń spadło coś twardego. Spojrzała, żeby zobaczyć, co to. Przedmiot był mały i okrągły. Miękkawy, lecz jednolity. Skóra odchodziła od kości i gdzieś zniknął paznokieć, ale kształtu nie dawało się pomylić z niczym innym. Palec dziecięcej stopki.

Otworzyła usta do kolejnego szlochu bez łez, lecz tym razem wrzasnęła.

Och, moja droga, nie opuszczaj mnie

- Pańska żona jest na intensywnej terapii. Przyjechała karetką - powiedziała Val Pliner, sekretarka Fenstada.

Zamrugnął i kilka razy powtórzył te słowa w myślach, by się upewnić, że dobrze zrozumiał. Meg nigdy nie chodziła na zwolnienia, a dowody swoich dolegliwości (chusteczki i tylenol cold) nosiła w torebce, ukrywając niczym alkoholizm. Musiała zająć jakąś pomyłkę.

- Jesteś pewna, że chodzi o Meg?

Gęste włosy Val były ściągnięte w praktyczny, choć nieładny koński ogon. Przytaknęła. Na czole miała niebieski ślad po tuszu w kształcie kciuka. Skupił się na nim, starając uspokoić.

- Zadzwonili do mnie, jak tylko przeczytali jej nazwisko - odparła.

Byli jedną z zaledwie dziesięciu żydowskich rodzin w mieście, więc ludzie zwracali uwagę na nazwisko Wintrob.

- Jest ranna?

- Tak Została zaatakowana. Nie wiem przez kogo.

Fenstad widział czerwień. Skapywała na podłogę, tworząc kałuże wokół butów, i wsysała je niczym spragnione usta. Znowu był dzieciakiem z Wilton w Connecticut. Grzął w dywanie pełnym krwi. Zaczepnął powietrza. Wszystko z nią w porządku. Wziął jeszcze jeden oddech i krew zniknęła. Trzeci raz nabrał powietrza, bo chciał przestać wreszcie czuć to walenie w piersi.

- Co się stało? - zapytał, próbując panować nad drżeniem głosu.

W drzwiach kołysała się Lila.

- Doktorze Wintrob?

Bluzkę miała pobrudzoną maścią; wiedział, że chciał jej coś powiedzieć, ale teraz nie pamiętał co.

- Zobaczymy się za tydzień - oznajmił.

Twarz Lili stężała.

- Ale...

- Nie teraz.

Pokręcił głową.

Lila precyzyjnie się obok Val i wyszła na korytarz. Jej obcasy stuknęły nierówno, jakby buty stały się za duże. Fenstad wiedział, że powinien za nią pójść, ale nie potrafił. Jakiś ciężar zgniatał mu pierś, a w jego głowie podłoga była wilgotna od krwi.

- W jakim jest stanie?

Val bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Wiem tylko, że została napadnięta. Zadzwoń tam i dowiem się czegoś więcej.

Te ostatnie słowa już ledwo słyszał. Nie chciał czekać na telefon. Intensywna terapia znajdowała się sześć korytarzy, trzy oddziały i jedno piętro w dół. Biegł, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy. Skórzane podeszwy z piskiem przeslizgiwały się po kafelkach jak buty koszykarzy w sali gimnastycznej.

To ten cholerny Graham Nero. Na pewno. Już dawno chciał złożyć wizytę temu skurczybykowi i powiedzieć mu, co o nim myśli. Ale czas mijał i jego gniew ustąpił zimnemu rozsądkowi, pozwolił więc sprawom się zatrzymać, co okazało się najgorszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjął.

Pewnie ten zadowolony z siebie fiut planował wszystko od miesiący. Sterczał pod domem, obserwował i czekał na odpowiednią porę. A dziś rano zobaczył nogi Meg rozłożone na trawniku i zauważył, że nie ma na sobie majtek.

Gdy Fenstad poszedł do pracy, a Maddie do szkoły, wszedł na podjazd, potem na taras i do środka. Pewnie podkradł się do niej, kiedy wieszala pranie. Muzyka z radia zagłuszyła jego kroki. Graham był zbyt cwany, żeby użyć spluwy. Prawdopodobnie wziął z chlebaka ten ząbkowany nóż, którym Fenstad kroił sobie bułki i przytknął jej do szyi.

Fenstad przebiegi z niebieskiej linii do czerwonej. Minął jakiegoś grubasa ubranego w jasnoróżowy kitel, a także dwóch pacjentów na wózkach. Oddech miał szybki, rzęzący, głośniejszy od jego myśli. Wyobraził sobie, jak Graham Nero rozrywa szlafrok Meg. Jak rzuca ją na podłogę w kuchni. Wyobraził ich sobie w łóżku w pokoju 69.

Kiedy dotarł na oddział intensywnej terapii, był cały mokry. Cyril Patrikakos, recepcjonista kulturysta, nawet się nie odezwał, gdy Fenstad przebiegał obok niego, tylko wskazał salę 132. Fenstad wpadł do środka. Na łóżku leżała jakaś krwawa miazga podczepiona do kroplówki. Nie widział twarzy pacjenta, bo salę przegradzało zbyt dużo białych zasłon. Oddech uchodził z niego, jak powietrze z balonu, a kolana się ugięły. Oparł się o ścianę i osunął w dół, aż przykucnął. Cholerny Graham Nero.

Wzdrygnął się, kiedy ktoś dotknął jego ramienia. Meg. Meg! Opierała się na aluminiowych kulach, lewą nogę miała usztywnioną jeszcze wilgotnym gipsem.

- Właśnie miałam do ciebie dzwonić.

Jej włosy, zwykle proste, teraz stały się nieporządnymi kędziorami, w bluzce brakowało guzika.

Objął ją i mocno przytulił. Przez chwilę wciągał jej słonawy oddech głęboko w płuca, a potem wyprowadził żonę na jasno oświetlony korytarz. Tam zapytał:

- Co się stało?

Pokręciła głową.

- Przepraszam. Martwiłeś się? Chciałam do ciebie zadzwonić.

Wiedział, że to nieprawda. Meg nie zwykła zdawać się na innych, zwłaszcza na niego. Bardziej prawdopodobne, że chciała pojechać ze szpitala prosto do domu, jak zwykle ugotować obiad, a wieczorem, kiedy on zauważy jej złamaną nogę, powiedzieć coś w stylu: „A, ta stara sprawa? Prawie o tym zapomniałam”.

- Ty masz dziewięć żyć. Wiedziałem, że nic ci nie jest - stwierdził. - Co ci się stało w nogę?

- Zostałam pobita.

Fenstad zaciskał szczęki tak mocno, że aż rozboleła go głowa. Zdołał jednak zachować lekki ton.

- Przez kogo?

- Albert Sanguine dostał ataku szału - odparła. - Więc uderzyłam go łańcuchem do przypinania roweru.

- Albert?

Przytaknęła.

- W bibliotece jest straszny bałagan. Będę miała szczęście, jeśli teraz mnie nie wyleją.

Fenstad zerknął na salę, w której popiskiwał monitor akcji serca, a potem z powrotem na żonę.

- To jest Albert?

Skinęła głową. Patrzyli na siebie przez kilka długich sekund. Albert był chudy, ale wysoki. Kiedy zebrał pod Citybankiem, dostawał więcej pieniędzy niż ktokolwiek inny właśnie dzięki tym wielkim rozmiarom.

- Rąbnęłaś go łańcuchem do przypinania roweru? - wyszeptał Fenstad.

Wzruszyła ramionami.

- Nic lepszego nie miałam pod ręką.

Wyglądała śmiertelnie poważnie, ale po chwili oboje uśmiechali się szeroko. Meg Wintrob z biegiem lat stawała się coraz ładniejszą i coraz bardziej pewna siebie.

Oparła się na jego piersi, a on wziął jej kule.

- Co się dokładnie stało? - zapytał.

Opowiedziała mu o nerwowym zachowaniu Alberta i jego ataku szału. Na koniec dodała jeszcze:

- Twój kolega, internista Mike Yunes, powiedział mi, że wątroba Alberta jest... zaraz, jakie to było słowo...

- Marska.

Przytaknęła.

- Kiedy uderzyłam go łańcuchem, pękła. Zaczął krwawić z ust. Milce powiedział, że i tak już umierał. A teraz to się stanie trochę szybciej.

- Ale tobie nic nie jest?

- Nie, tylko okropnie mi wstyd. To by się nie wydarzyło, gdybym słuchała tego, co mi mówiłeś o Albercie.

- To prawda - przyznał. Jej uśmiech zniknął, więc szybko się poprawił: - Ale to nieważne. Co z twoją nogą?

Spojrzała w dół. Gips zaczynał się u podeszwy stopy, a kończył tuż przed kolanem, posiniaczonym i fioletowym.

- Złamanie kostki. Mike powiedział, że nie jest skomplikowane, ale będzie się zrastać powoli.

Pokręcił głową, szczerze zdumiony.

- Złamanie?

- Tak, właśnie dlatego noga jest usztywniona.

- Myślałem, że to tylko skręcenie. Chodząc ze złamaną kostką większość ludzi zemdlalaby z bólu.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Nie jest tak źle - zapewniła.

- W ogóle nie jest źle - odparł.

Po złożeniu zeznań zastępcy szefa policji (Tim Carroll był zajęty poszukiwaniami Jamesa Walkera, więc raport sporządził Gabe Simpson) Meg poszła do damskiej łazienki umyć twarz, a Fenstad wrócił do sali 132.

Było tam pusto, wyjąwszy pogrążonego w śpiączce Alberta Sanguine'a. Na karcie przypiętej do jego łóżka napisano, że szok pooperacyjny po zabiegu hamującym krwotok z wątroby tylko przyspieszyłby zgon. Fenstad nachylił się nad łóżkiem. Albert śmierdzał bimbrem i żółcią. Siwe włosy miał zaczesane na bok, a skórę na twarzy żółtą i jakby obwisłą. Wyglądał na sześćdziesiąt lat.

Fenstad westchnął. Dał się ponieść emocjom. Od tamten historii z Grahamem Nero w zeszłym roku nie czuł się nawet w przybliżeniu tak zrównoważony, jak wcześniej. Czasem zachowywał się zupełnie niedorzecznie. Wiedział, że ma ze sobą jakiś problem, ale nie chciał przyznawać się do tego zakładowemu psychiatrze. Gdyby jego nazwisko pojawiło się wśród kandydatów na szefa oddziału, zła opinia o stanie zdrowia psychicznego mogłaby zablokować mu awans. A zarobki ordynatora wynosiły, pół miliona dolarów rocznie. Wziął głęboki oddech. Zareagował przesadnie, i tyle. Ale teraz miał już wszystko pod kontrolą. Lekarzu, lecz się sam.

Albert zachłysnął się, ale się nie obudził. Chociaż kilka miesięcy temu uderzył wolontariuszkę, Fenstad nie przypuszczał, że będzie zdolny zaatakować dwie drobne

kobiety i małą dziewczynkę. Było mu głupio, że w głębi duszy domyślał się, co może się stać, ale nie zrobił nic, by temu zapobiec.

Od sześciu lat był lekarzem Alberta. W tym czasie zajmował się jego urojeniami, kilkukrotnymi próbami rzucenia picia i jedną próbą samobójczą. Na terapii grupowej Albert nie paplał bez końca o sobie tak jak pozostali, tylko słuchał. Kiedy sesja się kończyła, niezależnie od tego, jak bardzo źle czuł się po bimbry wypitym poprzedniego wieczoru, każdemu podawał rękę i życzył miłego tygodnia. Był wyjątkowy, przez co jego odmowa zażywania lekarstw wydawała się jeszcze bardziej przykra.

Przemoc nie leżała w jego naturze. Ale przecież każdy ma swoją ciemną stronę, Fenstad patrzył na człowieka, który cisnął jego żonę o ścianę z pleksiglasu, jakby była porcelanową lalką. Przez chwilę miał ochotę wyciągnąć kroplówkę z jego przedramienia, bo wiedział, jak silny jest ból maskowany przez Meg uśmiechem.

Sanguine otworzył oczy. Przez moment skupiał spojrzenie, a kiedy rozpoznał Fenstada, twarz ściągnął mu grymas bólu.

- Biblioteka - wychrypiał.

Próbował unieść głowę z poduszki, ale nie zdołał.

- Spokojnie - powiedział Wintrob.

Widząc zapadnięte oczy Alberta, nie dawał mu nawet kilku dni życia. Najwyżej kilka godzin.

- Pani Wintrob, czy ona... żyje? - zapytał Sanguine.

- Ma złamaną kostkę.

Albert skrzywił się i spojrzał przez zmrużone powieki.

- Nie chciałem jej zrobić krzywdy - wyszeptał. - Zawsze była dla mnie taka miła.

Uwielbiam ją.

Fenstadowi zaschło w gardle,

- Mnóstwo ludzi uwielbia Meg.

Albert przytaknął. Włosy miał białe jak poduszka, a nieliczne zęby, które mu zostały, brązowe.

- Pan tego nie czuje? - spytał drżącym głosem.

- Tutaj jesteś bezpieczny, Albercie.

Sanguine pokręcił głową.

- Nie, nie jestem - wyszeptał. - Słyszałem, jak to woła pośród lasu. Pan nie?

Rozprostował dłoń i poruszył palcami. Fenstad złapał go za rękę. Zazwyczaj nie przekraczał bariery fizyczności z pacjentami, zwłaszcza takimi, którzy pobili mu żonę, ale z drugiej strony, jego pacjenci rzadko umierali.

Kiedyś po Albercie spodziewano się wielkich rzeczy. Miał planować ruch nowych pociągów tranzytowych w Los Angeles i projektować nadbrzeżne parkingi przy wstążkach autostrady na Florydzie. A teraz czekała go przedwczesna śmierć w pohańbieniu.

- To nie w porządku, prawda? - zapytał Fenstad.

Przez chwilę obaj milczeli, a potem Albert zaczął szeptać tak cicho, że ledwo było go słychać.

- Niech pan mi położy poduszkę na twarzy. Umrę, a temu czemuś nie spodoba się mój smak.

Fenstad puścił jego dłoń.

- Odpocznij. Jutro wrócę.

- Trzask! Prask! Za tydzień nie będzie was! - wykrzyknął Albert.

Przez puste miejsca po zębach bryznęła ślina.

- Albercie, to wcale nie mieszka w lesie, tylko w tobie. To jesteś ty.

Po policzku Sanguine'a spłynęła łza.

- To jest prawdziwe. Sam pan zobaczy. Poduszka, proszę.

W głosie Alberta było coś złowróżbnego, jak de ja vu i jak szczekanie psa. Fenstad pokręcił głową, wyprostował się i ruszył do drzwi.

- Odpoczywaj - powiedział i wyszedł.

Spotkał się z Meg w recepcji. Włosy znowu miała proste, a bluzkę spięła agrafką. Razem wyszli ze szpitala. Podtrzymał ją, gdy mozolnie kuśtykała po asfalcie.

- Przyprowdzę samochód - zaproponował, ale Meg ruchem głowy wskazała kule.

- Powinnam się nauczyć ich używać. Będą mi towarzyszyć przez najbliższych sześć miesięcy.

Zapadł zmierzch, na parkingu było ciemno. Meg stękała przy każdym kroku, lecz dobrze wiedział, że nie ma sensu proponować, że ją przeniesie. Wsiadając do jego cadillaca escalade, skrzywiła się z bólu. Uświadomił sobie, że zapalenie torebki stawowej w biodrze musi jej przysparzać straszliwych mąk. O próżności, pomyślał, two imię brzmi Meg Wintrob.

Kiedy jechali wzdłuż sklepów przy River Street, zapytał:

- Wzięłaś kodeinę?

- Musiałam - odparła. - To naprawdę boli.

- Wiem. Widzę, jak się pocisz, i myślę, że nadal boli.

Nie odpowiedziała, a on już się nie odzywał. Kiedy dotarli do domu, nie wysiadła z auta. Roweru Maddie nie było w garażu. Pewnie pojechała do swojego chłopaka do sklepu Puffin Stop, na co powinna dostać ich pozwolenie.

- Wiem, co myślałeś - powiedziała Meg.

Czy mogła się domyślić, co wyobrażał sobie w związku z Grahamem Nero?

- To moja wina - przyznała. - Nie powinnam była wpuszczać Alberta. Aż boję się pomyśleć, co teraz o mnie sądzą ci wszyscy rodzice.

Westchnął.

- Jakiś wariat rzucił cię na ścianę. Nikt nie ma o to do ciebie żalu.

- Ale ty wiedziałeś, że tak się stanie. Ostrzegałeś mnie.

- Ja się tylko cieszę, że to nie ty leżysz pod kroplówką.

Otarła oczy. Pomyślał, że ją zapiekły, ale potem zauważył, że płacze. Na to potrafił odpowiednio zareagować. Przesunął się na skórzanym siedzeniu i objął ją. Najpierw zeszytniała, lecz potem mu uległa. Wytarła nos grzbietem dłoni.

- No chodź - powiedział.

Chcąc być rycerski, zaoferował jej rękaw koszuli. Uśmiechnęli się do siebie, a potem Meg wybuchała płaczem.

- Przestraszyłam się - mówiła z twarzą przyciśniętą do jego piersi.

Uznał, że łatwiej jej się do czegoś przyznać, kiedy nie musi na niego patrzeć. Ja też się przestraszyłem, pomyślał. I wciąż się boję.

- Chciałam do ciebie zadzwonić. Chciałam cię zobaczyć. Tylko tego chciałam, kiedy to się stało. Czy to nie głupie?

Poczuł, jak opuszcza go napięcie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł się... w porządku.

- Nie - rzekł miękko. - To nie jest głupie.

- Chciałam ci powiedzieć, że cię kocham - szepnęła, a on przytulił ją mocniej.

Meg płakała, on zaś patrzył na ich dom, który oczarował go od pierwszego dnia, kiedy się tu sprowadzili piętnaście lat temu, na ogród, w którym dopiero niedawno opadły płatki kwiatów, i na piękną kobietę w swoich ramionach. Zastanawiał się, czy mimo tego, co się między nimi wydarzyło, da się jeszcze wszystko naprawić. Może się da, pomyślał z nadzieją.

GŁÓD

Danny Walker oglądał swój ulubiony program telewizyjny, *Elimirandkę*. Jeśli chcesz popatrzeć na prawdziwą rozróżbę, to zapomnij o Jerrym Springerze, tutaj dzieją się jeszcze lepsze hece. W dzisiejszym programie cztery zdziiry na zmianę całowały z języczkiem jakiegoś chudego wsioka z Duluth. A on musiał wyrzucić tę, która najslabiej się liże. Potem ten burak i pozostałe laski mieli sobie pobaraszkować w jacuzzi. Przy odrobinie szczęścia, licytując się o to, która jest najgorętsza, wszystkie zdejmą staniki. Całe towarzystwo było już porządnie nawalone, co wyjaśniało, dlaczego nie przejmują się tym, że zachowują się jak degeneraci, w programie] emitowanym na cały kraj. A może wśród żuli coś takiego uchodzi za sławę.

Danny zaczął sobie wyobrażać, co on by robił z dziewczynami, gdyby znalazł się na miejscu tego wsioka. Trzy były blondynami o wielkich cyckach, jak podejrzewał - sztucznych. Wiedział, że silikon powinien go brzydzić, ale sześć sterczących cycków wyglądało naprawdę nieźle.

Na kolanach trzymał bezprzewodowy telefon. W każdej chwili mogli zadzwonić rodzice z wiadomościami o Jamesie, dlatego dziś wieczorem tylko raz zwałił konia.

Czwarta dziewczyna, naprawdę nieźła laska z długimi rudymi włosami, miała trochę wystający brzuszeczek, więc po rundce pocałunków z języczkiem blondynki nazwały ją krówskiem. W odpowiedzi wywalila język, uniosła koszulkę i błysnęła diamentowym kolczykiem w pępku, co - jak pewnie sądziła - miało wszystkich olśnić. Pozostałe próbowały poklepać ją po fałdkach, przez co o mało nie doszło do rękoczynów Wtedy wsiok oznajmił:

- Drogie panie, nie bijcie się! Starczy mnie dla wszystkich!

To upewniło Danny'ego, że facet musi być nieźle podjarany, no bo czy w jego żalonym życiu jeszcze mu się zdarzy, żeby były się o niego cztery dziewczyny? Właśnie bójki stanowiły tę część *Elimirandki*, którą lubił najbardziej. Laski szarpały się o frajerów, którym normalnie nie pozwoliłyby nawet postawić sobie kolacji.

Na koniec wsiok wykopał tę gorącą sztukę, bo, jak stwierdził, „za dużo ciała jej Bozia dała”.

- Co za pojeb! - zawołał Danny i cisnął w ekran zmiętą torebką po chipsach.

Kiedy nią rzucał, przypadkiem wcisnął przycisk odbioru na słuchawce i zabrzmiało wybieranie tonowe, które wziął za dźwięk dzwonka. Przez chwilę naprawdę miał nadzieję, że tata powie coś nowego o Jamesie. Ale nic się nie stało. Danny wyłączył telefon i osunął się na kanapę. James pewnie się zgubił. Był za bardzo porąbany, żeby ktoś go chciał porywać. Przecież kiedyś zabił swojego króliczka, chociaż nikt nie chciał tego przyznać. Ten dzieciak jest kompletnym psycholem.

Ale z drugiej strony, James jest jeszcze mały i niewiele ma w głowie. Miesiąc temu wlał sobie do płatków sok pomarańczowy, bo skończyło mu się mleko. Skrzywił się, kiedy przełknął jeden łyk i poczuł, że to smakuje jak szczyny.

W *Elimirandce* cztery sztuczne cycki wychynęły w jacuzzi na powierzchnię wody niczym żołnierze w *Czasie apokalipsy*.

Powinien być miłszy dla Jamesa. Ojciec i Fenstad Wintrob, uważali go za psychola, więc dzieciak nie miał szans w życiu. Nie powinien był mu dokuczać, kiedy razem czekali na przystanku. Powinien czasem coś mu doradzić, na przykład powiedzieć o haku na pana Crozziera, nauczyciela, który zostawił go na drugi rok. Jeśli chciało się dostać u niego szóstkę, wystarczyło napisać dwa akapity o historii Irokezów albo o Cudownym Psie Balto. Ale Danny nigdy mu czegoś takiego nie doradził i James został na drugi rok.

A co, jeśli dzieciak został ranny albo nawet zabity? To przecież możliwe. Danny nie chciał się nad tym zastanawiać, ale jego brat pozostawał zaginiony już od dziewięciu godzin. Jeżeli stało się najgorsze, ojciec jakoś sobie z tym poradzi. Przez jakiś czas będzie wypijał w klubie po litrze szkockiej, doprowadzi do wylania paru osób ze szkoły, ale poradzi sobie. Za to matka na pewno dostałaby kolejnego załamania. Pierwsze przyszło wkrótce po narodzinach Jamesa. Jego wywołany kolkami nieustanny płacz sprawił, że i tak zawsze nerwowej Felice Walker całkiem odbiło. Gdy zabierali ją sanitariusze, nie poznawała ani swojego trzymiesięcznego synka, ani męża, ani nawet Danny'ego. Nigdy nie zapomniał, jak bardzo bolało, kiedy pomachał jej na pożegnanie, a ona nie odmachwała. Jakaś jego część wciąż ją za to nienawidziła.

Kiedy w szkole ktoś chciał go wkurzyć, wystarczyło, że powiedział „twoja matka jest psychiczna”. Ale większość dzieciaków wiedziała, że lepiej go nie drażnić. Ostatnim razem coś takiego stało się dwa lata temu. Złamał wtedy nos Pete'owi O'Donnellowi. Felice ciągle łykała całe garści prochów, a przy kolacji, albo gdy wieczorem oglądała powtórki programów, wyglądała na kompletnie nieprzytomną, chociaż wcale nie była pijana.

James na wiele się nie przydawał, wszystko więc spadało na Danny'ego. Musiał być przyjacielem dla swojego taty, chociaż Miller był nieźle popieprzony. W country klubie lubił brać numery telefonów od irlandzkich kelnerek, a potem puszczał oko do syna; tak jakby bzykanie się po kątach było tylko drobnym psikusiem płatnym mamie. To Danny zmywał naczynia i to on pytał Felice, jak minął jej dzień, bo nikogo innego to nie obchodziło.

Jęknął. James. Gdzie on się podział? Nigdy nie był miły dla brata, dlatego teraz drażniło go, że tak bardzo chce, aby nic mu się nie stało. No ale James to jego brat, więc nie miało znaczenia, że jest opóźniony. Danny i tak go kochał.

Usłyszał pukanie do drzwi. James? Nie, on by nie pukał. Gliny? Może znaleźli ciało Jamesa gdzieś przy rzece albo w izbie tortur urządzonej przez jakiegoś pedofila w piwnicy? A może ten gnojek je teraz czerstwe pączki w Puffin Stop razem z ćpunami i latynoskimi sprzątaczkami, które czekają na ostatni autobus z Corpus Christi? Boże, miał nadzieję, że chodzi właśnie o te pączki.

Otworzył drzwi, ale nikogo za nimi nie było. Wyszedł w ciemną noc. Latarnie uliczne świeciły chorobliwie żółtym blaskiem. Przejechało kilka samochodów. Wieczór był chłodny, a Danny nie miał na sobie swetra. Zaczął drżeć z zimna i już chciał wracać do środka, ale przecież gdzieś tutaj mógł się chować James. Może boi się wejść do domu, bo dzisiaj w tym lesie dopuścił się czegoś gorszego niż zamordowanie króliczka? I co wtedy zrobią? Wynajmą prawnika? Przekupią sędziego, aby dzieciak dorastał ze świadomością, że nawet morderstwo może mu ująć na sucho? Pierwszy raz od długiego czasu Danny zastanawiał się, czy pieniądze ojca to dla nich błogosławieństwo, czy klątwa.

Okrzyknął dom. Największy w mieście, lecz na niewielkiej działce. Rano słyszał mieszkających po sąsiedzku Wintrobów, jak kłóć się z Maddie. Sam nie nazywał nikogo dziwakiem, ale ilekroć usłyszał to słowo, przed oczami od razu stawała mu Maddie Wintrob o fioletowych włosach.

Złożył dłonie w trąbkę i zawołał:

- James!

Nikt nie odpowiedział.

Danny uśmiechnął się, bo jedna z cykut rosnących przed domem zadrżała, jakby ktoś się za nią chował.

- James, wszystko w porządku - mówił, podchodząc do krzaka. - Nie wściekam się. Przysięgam. Wszyscy za bardzo się martwią, żeby się wściekać.

Zbliżając się, mówił coraz ciszej, żeby podkraść się do dzieciaka. Przypomniało mu się, jak, kiedy byli mali, udawał, że jest Michaeliem Myersem z *Halloween*. On szedł przez dom, nic nie mówiąc, a James uciekał. W końcu jednak mały tracił zimną krew i zaszywał się w jakimś kącie. Tam Danny mógł do niego podejść bezszelestnie jak upiór i spuścić mu manto.

- Mama i tata naprawdę się martwią - mówił Danny. - Mama pewnie kupi ci króliczka, tak się ucieszy, że wróciłeś.

Krzak przestał się ruszać. Danny był już bardzo blisko. Odsunął gałęzie jednym szybkim ruchem i... tak, kulił się tam James. O, do diabła, znalazł go! Udusi tego mutanta za to, że go tak wystraszył.

James stał na czworakach. Podniósł wzrok. Jego oczy nie miały normalnego koloru. Zamiast niebieskie, były teraz duże i czarne.

I trzymał coś w zębach. Danny się odsunął. Żołądek podjechał mu do gardła.

Mimo ciemności dostrzegł krew ściekającą Jamesowi po brodzie. Zaciskał szczękę na kłębku futerka z wiszącymi łapkami.

Danny próbował powiedzieć coś śmiesznego, na przykład „Hej, popaprańcu, chcesz chusteczkę?”, ale w gardle miał mnóstwo jakichś bąbli i to wszystko podchodziło do góry, aż zaczęło parzyć mu język.

James wypuścił kłęb futra i wyskoczył z krzaków. Instynkt kazał Danny'emu szykować się do walki, ale zmusił się, żeby nie zacisnąć pięści.

- James, nic ci nie jest? - spytał.

James obnażył zęby. Skoczył w stronę Danny'ego, lecz akurat wtedy na podjeździe pojawił się jakiś samochód, którego reflektory go i oślepiły. Upadł. Znaleźli się na tyle blisko siebie, że Danny dostrzegł krew na koszulce brata i na jego nagich, pokaleczonych stopach.

James popatrzył na niego, ale po jego twarzy nie było widać, że go rozpoznał. Światło zalało trawnik i James zaczął biec. Pędził na czworakach przez podwórze niczym zwierzę, odpychając się nogami i opadając na ręce. Podeszwy stóp i tych kilku palców, które jeszcze zostały, miał czarne.

Danny wziął kilka głębokich oddechów. Skądś, wydawało mu się, że z miejsca odległego o tysiące kilometrów, słyszał, jak ojciec zatrzaskuje ciężkie drzwiczki mercedesa. Na ziemi leżało truchło królika. Ze zwierzaka została tylko skóra i kilka skrawków mięsa przy kręgosłupie, a na nich ślady małych ząbków Jamesa.

Część 3

Infekcja

9.

LUDZKA SZTUCZKA

Poszukiwania Jamesa Walkera trwały całą noc. Policjanci i ochotnicy przeczesywali okolice Bedford. Na jakiejś polanie, mniej więcej kilometr od skraju lasu, Tim Carroll się potknął. Poświecił latarką i zobaczył, że zahaczył stopą o poroże jakiegoś widłoroga, skierował promień na jego niewidzące oczy. Między zębami tkwił pysk oposa. Ziemia była atramentowo czarna od krwi. Ze świstem wypuścił powietrze. Potem omiótł okolicę światłem i stwierdził z przerażeniem, że wokół polany leżą dziesiątki martwych zwierząt. Wszystkie miały obnażone zęby. Zrobił krok w tył. Już wiedział, że Jamesa nie porwał pedofil. Chłopiec znalazł to straszne miejsce, w którym zwierzęta nauczyły się pewnej ludzkiej sztuczki. Nauczyły się mordować.

Wtedy usłyszał krzyk. Brzmiał jak skowyt, nie wydało go zwierzę. Gdy poświecił latarką, zobaczył Lois Larkin klęczącą nad jamą pośrodku polany. Twarz miała umazaną błotem, a oczy, tak jak martwy widłoróg - czarne.

- Lois! - zawołał.

Nie przestała wrzeszczeć, dopóki nie zdjął swojej służbowej wełnianej kurtki i nie narzucił jej na ramiona.

- Widziałem Jamesa - powiedział Danny rodzicom. - Zabił jeszcze jednego królika.

Miller Walker dźgnął syna palcem wskazującym w pierś.

- Przestań gadać bzdury o jakimś cholernym króliku - warknął.

W środę rano do miejscowych policjantów i ochotników dołączyli policjanci przybyli z Augusty. Rejon poszukiwań rozciągał się teraz od Bedford po obrzeża Corpus Christi. Ale Jamesa nadal nie znaleziono.

Lois Larkin obudziła się przy szeroko otwartym oknie, chociaż ubiegłego wieczoru zostawiła je zamknięte. Światło poranka raziło ją, więc zasunęła zasłony i schowała głowę pod kołdrę. Dopiero późnym popołudniem zauważyła kupkę piór na parapecie. Miała tam karmnik dla kolibrów. Czy jakiś pies dobrał się do któregoś z nich? Przesunęła językiem wewnątrz ust i w przerwie między zębami wyczuła okrytą pierzem chrząstkę. Zanim uświadomiła sobie, co robi, wysssała z niej resztki krwi.

Meg Wintrob nie poszła do pracy. Fenstad kazał jej zostać w domu, co uznała za przyzwolenie, żeby trochę się poobijać. Czytała „Boston Globe”, a w telewizorze leciały *Dni naszego życia*, *Ophra Winfrey* i *Dr Phil*. O trzeciej była już tale znudzona, że rozwiązała krzyżówkę i zaczęła na swojej liście spraw do załatwienia wpisywać takie rzeczy, jak „sprzątnąć śmieci spod lodówki”. Pomyślała, że chyba nie potrafi się zrelaksować.

Fenstad, jak zwykle w środy, był w pracy. Pierwszą rzeczą, jaką miał dziś zrobić, był telefon do Lili Schiffer. Wczoraj chciał zatrzymać ją w szpitalu, ale gdy dowiedział się o napaści na Meg, całkiem o tym zapomniał. Lila miała reakcje pasywno-agresywne, więc mogła podciąć sobie żyły tylko po to, aby zrobić mu na złość. Na

szczęście okazało się, że niepotrzebnie się martwił. Odebrała telefon cała i zdrowa. Oznajmiła mu z radością, że pielęgnuje swoje przeziębione dzieci. Tak im się spodobały jej tosty cytrynowe i masaże pleców, że po raz pierwszy od wielu miesięcy nazwały ją mamą.

- Może to stelazyna, doktorze Wintrob - powiedziała - ale jestem w znakomitym humorze. Do zobaczenia za tydzień!

Kiedy słońce zaszło i nastał środowy wieczór, Lois Larkin leżała w swoim łóżku ze słonawą chrząstką na języku. Wróciło mgliste wspomnienie, jak zeszłej nocy otworzyła okno i sięgnęła do karmnika. Przyznała się przed sobą do czegoś, czemu dotąd starała się zaprzeczać: teraz tamto coś żyje w niej, a w ciemnościach zaczyna mówić.

James z trudem rozumiał słowa i nie rozpoznawał twarzy. Nie pamiętał o drzewach pustych w środku ani o Hulku. Utracił jakąś część siebie. Jak to się nazywało? Dłonie? Nie, nie dłonie. Coś innego. Buty. Stracił kawałki tego, co chowa się do butów.

Ubiegłej nocy odwiedził połowę domów dzieci ze swojej klasy. Chciał im pokazać, że teraz jest kimś wyjątkowym. Jedne gryzł, inne tylko opluwał. Teraz wspinał się po tarasach i wychodzących na ogrody gankach, idąc do pozostałych. Zanim środa zmieniła się w czwartek, wirus już się rozprzestrzenił.

10.

DZIECI W LESIE

W czwartek po południu Madeline Wintrob jechała Silver Street na swoim rowerze marki Trek z dwunastoma przerzutkami. W przeciwieństwie do innych uczniów ostatniej klasy liceum Corpus Christi, nie jeździła samochodem. Jej brat David przed wyjazdem do college'u w Kalifornii kupił zdezelowane volvo kombi, ale skoro jej nikt nie uważał za odpowiedzialną na tyle, by mogła sama prowadzić, to nie miała ochoty męczyć się przez sześć sobotnich poranków na kursie jazdy.

Zresztą i tak nie chciała samochodu. To przez samochody w ciągu najbliższych stu lat roztopią się czapy polarne, a zima przejdzie do historii. Dolary przestaną być walutą, zastąpią je ziarno i bydło. Tropikalne huragany sprawią, że Wschodnie Wybrzeże będzie niezdatne do mieszkania, a Kanada zamknie granice, więc uciekać będzie można tylko do Meksyku - a kto by chciał tam mieszkać? Ci wszyscy cholerni dorośli przejmują się tylko jakością splotu w ich ręcznikach frotte albo tym, ile palą ich monstrualne SUV-y. A przecież koniec świata jest już bliski. Cała rodzina miała ją za świra, ale się mylą. Ona wcale nie ześwirowała. To reszcie świata odbiło.

Urwała się ze szkoły, by spotkać się w lesie z Enrique. Ostatnią lekcją były dzisiaj zajęcia praktyczno-techniczne. Ci, którzy zostali, uczą się teraz, jak łać sos serowy na ziemniaka gotowanego dwie minuty w mikrofali, a ona cieszy się wolnością. Nie chciała być jak te roboty, które przez całe życie stawiają nogę za nogą i marnują czas. Ona zamierzała wycisnąć z życia, ile tylko się da.

Niebo nad jej głową było niebieskie jak toń jeziora, a temperatura na pewno przekroczyła dwadzieścia stopni. Maddie zmarszczyła brwi. To na pewno skutek globalnego ocieplenia. Kiedy ludzie się starzeją, przestają się zajmować takimi sprawami jak emisja gazów cieplarnianych czy topnienie pokrywy lodowej. Kupują

domy na kredyt, więc nie mogą sobie pozwolić na utratę pracy. Tak się męcząc wiodąc żyde, którego nienawidzą, że w końcu ich serca stygną niczym zakrzepła krew. Jej coś takiego nigdy się nie przydarzy. Jej serce zawsze będzie gorące, nawet gdyby to miało boleć. Kogoś musi.

Nie potrafiła przestać się tym wszystkim zamartwiać. Nigdy nie stanie się jedną z tych dziewczyn o starannie wymodelowanych włosach i ustach pomalowanych różową szminką, tych, które dostają świetne stopnie tylko z nieważnych przedmiotów, a do szkolnej gazetki pisują artykuły o modzie. Do cholery, świat zmierza ku zagładzie, więc jak można się przejmować krojem spódnic! Jasne, wielu ludzi udaje, że martwią się wzrastającym poziomem estrogenu w wodzie pitnej, co kiedyś może uczynić mężczyzn bezpłodnymi. Jej rodzice też byli niby przeciwni nafaszerowanym hormonami stekom z Omaha, ale zawsze je przyrządzali z okazji odwiedzin Davida, tak jakby jego wizyta była nie mniej ważna od ponownego przyjscia Jezusa na ziemię. Kiwali głowami, zmartwieni jedzeniem niższych ogniw łańcucha pokarmowego, a potem grubo smarowali swoją krowią padlinę sosem.

Zeszłego wieczoru mama naprawdę ją zirytowała. Kuśtykała po kuchni niczym kapitan Ahab, gdy Moby Dick odgryzł mu nogę. Maddie miała nawet ochotę przyłożyć Albertowi Sanguine'owi za to, co zrobił. Bo co to za facet, który bije czyjąś mamę? Ale potem, przy kolacji, Meg zmusiła ją do zjedzenia pięciu kawałków lasagne z serem, chociaż wcale nie czuła się głodna. Przez całą noc ta lasagne leżała jej na żołądku. Nakarmiono ją na siłę niczym uwięzione w klatkach maciory, które obrońcy praw zwierząt zawsze chcą uwolnić. Wtedy Maddie pomyślała, że matka zasłużyła sobie na to, co ją spotkało.

Chociaż z drugiej strony, dzisiejszy ranek okazał się całkiem miły. Kiedy zeszła do kuchni, zobaczyła, jak rodzice się całują, czego nie robili od co najmniej roku. A przed wyjściem do pracy dali jej jeszcze buziaka na do widzenia. Każde cmoknęło Maddie w policzek. Kiedy to zrobili, powiedziała, że są wapniakami. Ale tak naprawdę spodobało jej się to tak bardzo, że nawet nie miała ochoty wstać z krzesła, byle tylko móc pławić się w miłym uczuciu.

Ledwo wyszli, pomyślała sobie: Skoro wokół panuje atmosfera miłości, czemu właśnie nie dziś?

- Oczywiście - odpowiedział Enrique, kiedy zadzwoniła do niego i spytała, czy nie wybrałby się po południu do lasu.

- Ale weź te rzeczy - dodała.

- Jakie rzeczy? - zdziwił się.

Zanim sam się domyślił, odparła:

- Gumki!

- Och, racja... Wezmę - obiecał.

Hura!

Teraz pedałowala zawzięcie. Miała na sobie trampki z Converse'a, koronkowe pończochy, filcową spódnice do kolan rozciętą z boku i rozpinany sweter z czerwonej wełny. Strój był dziwaczny, ale jej się podobał. Poza tym, jeśli chce się mieć fioletowe włosy, trzeba dopasować do tego resztę. Rano pod szkołą ludzie się na nią gapili, jakaś para wręcz wytykała ją palcami, ale to nie szkodzi. Bo dziś myślała tylko o spełnieniu swoich zachcianek, o dostaniu tego, na co miała ochotę. Uśmiechnęła się i przyspieszyła. W myślach słyszała słowa piosenki: „Dziewczyno, już niedługo staniesz się kobietą”. Kurczę, nie mogła się doczekać!

Enrique stał na skraju lasu, tam, gdzie się umówili, z bukietem bławatków z Puffin Stop w dłoniach. Zachichotała, chociaż wcale nie uważała tych kwiatów za coś śmiesznego. Uznała, że są romantyczne.

Enrique był niewysoki, śniady i bardzo szczupły. Niezależnie od tego, jaką dietę by stosowała, i tak zawsze ważyłaby więcej od niego. Jego rodzina pochodziła z Meksyku, więc gardłowo wymawiał „r” i ostrożnie dobierał słowa, jakby w myślach tłumaczył sobie wszystko z hiszpańskiego. Gdy zeskoczyła z roweru, złapał go za kierownicę i odprowadził do lasu. Uwielbiała go za to, że robili takie męskie rzeczy.

Kiedy weszli między drzewa, postawił jej rower obok swojej skutera. Potem powymyślał gałązki, które wplątały się we włosy Maddie. Zachichotała, bo przypominało to iskanie się małp. Pomyślała o rybkach słonaczkach, nazywanych morskimi małpkami, o sofach, na jakich siadają sobie na dnie akwariów, i znowu zachichotała.

Enrique szedł dalej. Zapomniał dać jej bławatki i zahaczał kwiatami o gałęzie, przez co jasnoniebieskie płatki spadały na ścieżkę za nimi. Jeśli zabłądzą, pomyślała, bez trudu znajdą drogę powrotną. Enrique był bardzo powściągliwy. Nawet nie pocałował jej na powitanie. Wiedziała, że to głupie, ale zastanawiała się, czy on ma jakieś wątpliwości.

Spotykali się od ponad roku. Na wuefie dziewczyny zawsze gadały o seksie, o robieniu laski i o orgazmach. Same takie rzeczg, przez które się czerwieniła, nie dlatego, że były świńskie, ale dlatego, że przyłapywała się na potakiwaniu, choć przecież nigdy nie robiła żadnej z nich. Udawała kobietę, a jeszcze nią nie była.

Przez kilka ostatnich miesięcy, nawet po tym, gdy mu powiedziała, że tego chce, Enrique się ociągał. Ilekroć robiło się między nimi gorąco, znajdował jakąś wymówkę, tak jakby tylne siedzenie hatchbacka jego ojca nie było wystarczająco fajne. Tłumaczył że czeka na odpowiedni moment, ale ona zaczynała podejrzewać że czeka na odpowiednią osobę, a tą osobą nie była neurotyczna Maddie Wintrob. Pewnie wolałby jakąś ładną meksykańską dziewczynę o wielkich oczach, taką, która by nie wszczyniała kłótni, i która umiałaby zrobić grillowany ser i go nie przypalić. Nie powinna mieć do niego pretensji. Wiedziała przecież, że jest dziwna.

Ale gdy byli razem, świat nabierał sensu, a z każdym dniem, kiedy Enrique kazał jej czekać, bo postanowił traktować ją jak kwiat, nie jak dziewczynę, ufała mu coraz mniej. Zabijał jakąś część tego, co istniało między nimi.

- Jeśli zamierzasz mnie wystawić, to będziesz miał kłopoty - powiedziała. - Mówię serio. Stłukę cię.

Enrique pokręcił głową.

- Madeline - wymamrotał. - Ale ty jesteś zwariowana.

Jego akcent sprawił, że od razu się uspokoiła.

Mieszkańcy Corpus Christi długo myśleli, że Enrique nie zna angielskiego. Tymczasem on pisał wiersze i czytał T.S. Eliota. Kiedy dwa lata temu jego ojciec przeszedł zawał serca, porzucił naukę w college'u i zajął się sklepem. Miał pięcioro młodszego rodzeństwa (cztery siostry i brata), więc tak naprawdę stał się głową rodziny.

Teraz, gdy ojciec znów mógł pracować, Enrique zaciągnął się do wojska. Chciał odsłużyć jedną turę i po powrocie ubiegać się o stypendium, by studiować poezję na którejś stanowej uczelni w kraju. Rozkaz wyjazdu miał nadejść w ciągu tygodnia. Maddie bardzo się martwiła o Enrique. Sądził, że wszyscy są tacy jak on: porządni i uczciwi. Właśnie przez taką głupotę wraca się do domu w plastikowym worku.

O tym także myślała, dzwoniąc do niego dzisiaj rano. Chciała uprawiać z nim seks, zanim wyjedzie. Potem, nawet jeśli stanie mu się krzywda albo wróci do domu odmieniony i przestanie ją kochać, przynajmniej pozostaną dla siebie tymi pierwszymi. Ale tak naprawdę nie chciała, żeby w ogóle wyjeżdżał. Miała nadzieję, że cały świat eksploduje. To byłoby łatwiejsze niż życie bez niego.

Enrique miał spocone dłonie. Szedł przodem i odgarniał gałęzie, żeby nie uderzały Maddie po nogach i twarzy. Minęli kilka polanek, które by się nadały, ale chciał znaleźć miejsce, gdzie podłóże będzie miękkie, a kłód i patyków mało.

Miał nadzieję, że nie zaraził się chorobą, jaką złapali chyba wszyscy, którzy przyszedli dzisiaj do sklepu. Kasłali, mieli wypieki, a niektórzy nawet wysypkę na odsłoniętej skórze. Wiedział, że nie dostali alergii sezonowej, ale nie mieściło mu się w głowie, że jakaś choroba może przenosić się tak szybko.

Znal Maddie, zanim każde z nich urosło na tyle, by sięgnąć lady w Puffin Stop. Ale dopiero gdy jego ojciec zachorował i Enrique przejął sklep, zaczęła odwiedzać go regularnie. Przychodziła kilka razy w miesiącu w drodze ze szkoły i piła czarną kawę, przeglądając żurnale mody, albo zaciągała się marlboro light przy krawężniku przed sklepem. Nie miała przyjaciół. Najpierw sądził, że to dlatego, że jest nieśmiała, ale potem uświadomił sobie, że była za bardzo postrzelona.

I zepsuta. Nosila nowe i czyste ubrania, nogawki džinsów zawsze miała zaprasowane w perfekcyjne kanty, co oznaczało albo meksykańską służącą, albo matkę mającą za dużo wolnego czasu. Nie pracowała, ale za papierosy i magazyny „OK!” płaciła nowiutkimi banknotami dwudziesto-, pięćdziesięcio-, a nawet studolarowymi. Bywała też arogancka, jakby spodziewała się, że wszystko potoczy się dokładnie tak, jak chce. „Nie, Enrique, nie ta czerwona. Ja chcę niebieską zapalniczkę”. „Cześć, mamó. Nie, teraz jestem w sklepie. Mogę zająć się kolacją, ale nie będę odgrzewała twojego fettuccine. Jest paskudne. Raczej zamówię pizzę bez sera albo usmażę coś na szybko. Tata i tak to woli”.

Gdy mniej więcej półtora roku temu przyszła do sklepu, skomplementował leśną zieleń jej swetra, bo pasowała do jej oczu. Potem wkładała ten sweter, ilekroć przychodziła. To właśnie wtedy nabrał pewności, że jej się podoba. Ale nie zaprosił jej na randkę z dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy nie miał śmiałości do kobiet. Po drugie, wyglądało na to, że przy niej mógłby się nieźle umęczyć.

Tamtego lata rodzice pozwolili Maddie wracać do domu później, o dziesiątej. Zaczęła przychodzić do Puffin Stop wieczorami. Czasem podrzucał ją brat, David, tak jakby sklep stanowił główny cel podróży, i patrzył na Enrique wzrokiem mówiącym: Wybacz stary, zmusiła mnie. Kiedyś nawet, kładąc na ladzie kilka energetycznych batonów PowerBar o smaku bananowym, pochylił się i wyszeptał:

- Wiesz, co bierze sobie czterystukilowy goryl? - Wskazał na chudą Maddie. - Wszystko, czego chce.

Ale Enrique lubił jej towarzystwo. Maddie była zabawna. Chodziła zamaszycie, jakby sądziła, że ludzie zwrócą uwagę na to, że właśnie się pojawia. Kiedy nie paliła, żuła gumę winogronową i wydmuchiwała balony. Gdy dochodziła pora zamknięcia sklepu, czytała plotki o gwiazdach w „OK!”, nie płacąc za gazetę, a on mopem zmywał podłogę (nigdy nie zaproponowała mu pomocy). Odkąd zaczęło się coś między nimi, chodził do niej do domu i rozmawiali o wszystkich ważnych dla niej sprawach, na przykład czy goście w programie Jerry’ego Springera są prawdziwi i o topniejącej arktycznej zmarzlinie, z której uwalnia się metan.

- Niedługo wszyscy umrzemy - oznajmiła mu kiedyś bez śladu uśmiechu. Potem dodała ni stąd, ni zowąd: - Dzięki za pałeczki FunDip. Są zajebiste!

Nie wiedział, czy mu na niej zależy, dopóki nie przestała go odwiedzać. Przez pierwszy tydzień ledwie dostrzegał jej nieobecność. W drugim tygodniu uznał, że pewnie znalazła sobie chłopaka. Inny facet patrzył teraz na nią i słuchał o katastrofie ekologicznej i biednych szympankach trzymanyh w klatkach, żeby można było prowadzić na nich eksperymenty. Inny facet znalazł tę jedyną dziewczynę na świecie, która czytywała Octavia Paza.

Okazało się, że pojechała z rodzicami na wakacje do Gettysburga. Kiedy znowu zaczęła się szkoła, postanowił się z nią umówić. Jednak ilekroć widział Maddie, słowa więzły mu w gardle niczym kawał zeschniętej owsianki. Nie miał nawet tyle pieniędzy, by zaprosić ją do kina. Gdzie mogliby pójść? Poza tym Maddie miała jasną skórę, była wysoka i zgrabna, a on był chłopakiem ze sklepu, z pięciorgiem młodszego rodzeństwa, tak jakby pochodził z Trzeciego Świata. Wreszcie wściekł się, że przez nią czuje się jak ktoś drugiej kategorii, i przyrzekł sobie, że jak już armia ufunduje mu naukę w college'u, to dostanie Nagrodę Nobla z literatury. Za piętnaście lat wróci do Corpus Christi z żoną jeszcze bielszą i ładniejszą od Maddie Wintrob, a ona dopiero wtedy będzie żałować.

Właśnie takie myśli chodziły mu po głowie w pewien rześki wrześnieowy wieczór, kiedy Maddie pochyliła się nad ladą i go pocałowała. Niezdarnie, bez wprawy, pachnącymi nikotyną rybimi ustami. Ale to wystarczyło. Przepadł. Chodzili ze sobą już od ponad roku, a jedyne, czego żałował, to że nie on zrobił pierwszy krok.

Teraz trafili do tego lasu. Spociał się pod pachami, mimo że spryskał je chyba połową butelki Right Guard. Za jego plecami Maddie coś mamrotała. Pewnie narzeka. Szli już jakiś czas. Im bardziej zbliżali się do Bedford, tym ciszej śpiewały ptaki i brzęczały komary. Ludzie mówili, że powietrze tutaj jest już dobre, ale on w to nie wierzył. Od czasu pożaru cuchnęło siarką i nawet w Corpus Christi ptaki zaczynały spadać na ziemię i umierać, jakby zapominały, jak się lata. Właśnie tutaj zaginął James Walker, a od matki słyszał, że dzisiaj w nocy zniknęło więcej dzieci w jego wieku. Martwił się, że to nie jest bezpieczne miejsce, ale bez samochodu i mieszkań gdzie indziej mogli pójść?

Przed nimi rozciągała się trawiasta polana. Serce zaczęło bić mu szybciej i pomyślał, czy nie zawrócić, zanim Maddie ją zauważy. To co chcieli zrobić, było nieodwołalne. Szedł jednak dalej, aż wreszcie oboje stanęli na granicy polany. Byli trochę zdyszani, ale nie ze zmęczenia. Maddie pachniała grejpfrutami i różanym tonikiem do twarzy.

Trawa w większości uschła. Dostrzegł pozostałości ogniska i kilka pustych puszek po piwie, leżących tu od tak dawna, że zesza z nich kolorowa farba.

- Ale śmietnik - stwierdziła.

Była wysoka jak na kobietę i nie chciał, żeby oglądała jego nagie ciało, bo w porównaniu z nią wydawał się chudzielcem. Szturchnęła go, a on trącił stopą jej kolano. Straciła równowagę i z łupnięciem upadła na pupę. Dziewczyny, z którymi spotykał się przed nią (tylko dwie), zachichotałyby i udały, że coś im się stało, ale nie Maddie. Ona zaczęła się śmiać i jednocześnie wołać: „Ciii, ciii”, jakby to on robił cały ten hałas.

Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Pociągnęła tak mocno, że wylądował na ziemi obok niej. Zanosila się śmiechem, aż pociekły jej łzy, i pomyślał, że może ona też się denerwuje. Siedzieli tak przez jakiś czas. Potem Maddie wyjęła kocyk z torby, rozpostarła go na wietrze niczym żagiel i położyła na trawie.

Usiedli. Rozpięła bawełnianą bluzkę i zobaczył czerwony koronkowy stanik. Potarł dłonie o nogawki džinsów, chcąc je rozgrzać. Wszyscy myśleli, że oni już to ze sobą robili. Ludzie, którzy przychodzili do sklepu, rodziny ich obojga. Nawet jego brat żartował o pilnowaniu, żeby nie było dzieci.

Ale Maddie była jego dziewczyną i chciał dobrze wypaść. Pokazać, że się dla niej nadaje. Z tego samego powodu zaciągnął się do wojska. Miał już dość ludzi pytających, czy tęskni za ojczyzną - a przecież urodził się w Bangor. Maddie pewnie nie wiedziała o czymś takim, jak czekanie na odpowiednią chwilę, ale on tak. Ma się tylko jedną szansę, żeby wypaść dobrze.

Kiedy dłonie zrobiły się ciepłe, sięgnął pod jej wełnianą spódnicę. Włosy goliła w tym miejscu na kształt serca. Przesunął palcami wzdłuż jego krawędzi. Widział, że jej się podoba. Dzień po dniu uczył się rzeczy, sprawiających, że będzie wiła się z rozkoszy.

Ona też go dotknęła. Przymknął powieki. Czy nadeszła odpowiednia pora? Jedno oko miała nieco większe, ale trzeba się było dobrze przyjrzeć, aby to zauważyć. Rozpiął dzinsy.

Zębami rozdarł opakowanie prezerwatywy Trojan Ultra Pleasure. Wiedział, co teraz robić, ćwiczył to po ciemku w domu, a dowody wyrzucał, żeby nie znalazła ich rodzina. Kosz na śmieci na Micmac Street był pełen nadziei. Wyciągnął gumkę. Rozwinął. Nałożył. Maddie wygięła się w łuk, przycisnęła go brzuchem. Jednak coś zrobił źle. Prezerwatywa nie rozwijała się dalej. Ledwie okrywała szczyt członka. Krew uderzyła mu z krocza do twarzy. Zepsuł coś naprawdę ważnego. Odwrócił się na bok, żeby niczego nie dostrzegła.

- Poczekaj! - wychrypiał.

Jej milczenie było jak ciężar gniotący mu pierś. Wiedział, że ona patrzy. Jej wzrok palił mu skórę na plecach.

- Nie chcesz? - szepnęła.

- Chcę - odpowiedział.

Jak miał jej to wyjaśnić? Mężczyźna nie powinien psuć takiej chwili; powinien wziąć kobietę w ramiona i obiecać, że będzie delikatny.

- No to o co chodzi? - zapytała.

- Pora nie jest odpowiednia - odparł, zanim uświadomił sobie, jak mogła odebrać te słowa. Chciałby zatrzymać czas i je cofnąć.

Głos miała zimny. Wściekły.

- Ja nie jestem jakimś cholernym kwiatkiem.

Skinął głową.

- Wiem. Jesteś Maddie. Wiem.

Grzebał po kieszeniach, szukając innej prezerwatywy. Dlaczego nie kupił dwóch? Czy ta otwarta będzie się nadawać, jeśli wywróci ją na drugą stronę?

Obrócił się i spojrzał Maddie w oczy. Brwi ściągnęła w jedną czarną linię, a fioletowe włosy miała pełne liści jak mściwy leśnej duszek ze sztuki Szekspira.

- Czy ja ci się nie podobam? - spytała.

- Jasne, że mi się podobasz - zapewnił, ale już robił się miękki

- To o co chodzi? -

Jęknął. Czy ona naprawdę nie wie? Czy nie domyśliła się po tym, jak się szamotał?

- Nienawidzę cię! - krzyknęła.

Zapięła bluzkę i poszła między krzaki.

Co z nim jest nie tak? - zastanawiał się, Kiedy był sam, robił to wszystko jak zawodowiec. Czy ma raka prostaty, a to pierwsze objawy? Chciałby. Ale to żaden rak. Zamierzał wyjaśnić Maddie Wintrob, że wszystko przez nerwy, bo inaczej ona jeszcze sobie wmówi, że romansuje z jej bratem.

W tym momencie usłyszał przenikliwy wrzask. Serce zabiło mu szybciej, bo Maddie często krzyczała, ale nigdy nie wrzeszczała. Popędził w las. Otoczył go obrzydliwy smród zgniłych jaj.

Znalazł Maddie klęczącą przy jakimś szarym kamieniu. Pochylił się obok niej i z trudem złapał oddech. To nie był kamień, tylko mała kość, połączona z innymi niewielkimi kosteczkami! A wszystkie kości łączyła cienka okrywa czegoś, co przypominało; łupinę kukurydzy. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że tą łupiną jest zeschnięta skóra.

Maddie odwróciła ku niemu zwilgotniałe oczy. Jej ręce błędziły nad trupem, prawie go dotykały. Wiedział, że chce ukołysać ją w ramionach, chronić przed tym, co wydarzyło się dawno temu. Na czaszce była kępka czarnych włosów. I właśnie te włosy przekonały go, że oglądają ludzkie niemowlę.

- Kto? - zapytała Maddie, a on wiedział, że wcale nie pyta o dziecko. Ona pytała: Kto zrobił coś tak strasznego?

Bezradnie pokręcił głową. Wtedy usłyszał trzask gałązek pękających gdzieś w lesie. Poderwał się błyskawicznie i pociągnął ją za siebie. Razem patrzyli na krzaki. A potem to zobaczył. Postać na czworakach. Patrzyła na nich, a Enrique zrobił krok do przodu, chcąc chronić zarówno Maddie, jaki szczątki niemowlęcia.

- Wynocha stąd - krzyknął.

Postać spojrzała na niego, a jemu oddech uwiązł w gardle. Postać jęknęła przejmująco, przeskoczyła przez leżącą kłodę i niezgrabnie odeszła. Dopiero gdy zniknęła w krzakach, do Enrique dotarło, że to nie było zwierzę. To był Albert Sanguine w szpitalnej koszuli, o ustach pomazanych krwią.

11.

BYŁO TAK SMUTNO, ŻE AŻ ŚMIESZNIE,
A MOŻE TAK ŚMIESZNIE, ŻE AŻ SMUTNO.

- I tak czuję się z tym dosyć kiepsko - oznajmił Ronnie Koehler swojej nowej narzeczonej.

Noreen przewróciła oczami. Dostała dzisiaj wieczorem dodatkowy dyżur w szpitalu, bo sporo pielęgniarek zachorowało na grypę. Tego ranka nie kłopotowała się przebieraniem w cywilne ciuchy, od razu włożyła obszerny różowy kitel ze spodniami. Siedzieli na kraciastej kanapie i palili blanta. Skręcił go bardzo mocno i palili już z dziesięć minut. Kiedy Ronnie był na hajcu, powietrze wydawało mu się gęste jak grochówka, a wszystkie problemy mniej ważne. Ciągle jednak nie potrafił wyrzucić z myśli Lois Larkin.

Noreen wycelowała mu pilotem w głowę, jakby chciała go wyłączyć. Może żartowała, a może nie. Lubiła złośliwe żarty. W telewizji Amerykańska Pokojówka, superbohaterska sprzątaczką, ciskała butem na obcasie ostrym jak sztylet w plecy bandyty rabującego banki. Ronnie zachichotał. Nie ma co, *Kleszcz* to najśmieszniejsza kreskówka na świecie. Noreen posłała mu przez czaszkę promień z pilota i *Kleszcz* zniknął. Zastąpił go jej ulubiony serial *Kocham kłopoty*. Na ekranie pojawiło się zbliżenie matki i córki, jednocześnie płaczących i śmiejących się. Było tak smutno, że aż śmiesznie, a może tak śmiesznie, że aż smutno.

Nie po raz pierwszy dzisiaj Ronnie zateęsknił za Lois, która pozwalała mu oglądać to, na co miał ochotę. Nagle dotarła do niego myśl, której unikał. Uderzyła jak spadające ptasie gówno: teraz, kiedy był z Noreen, czeka go mnóstwo kiepskiej telewizji.

- O cholera - wymamrotał.

Noreen uśmiechała się szeroko, jakby właśnie potrafiła siwiuteńką staruszkę.

- Rory jest w ciąży - wyjaśniła, a potem hałaśliwie przełknęła kupione w Puffin Stop korzenne piwo Slurpee. - Nie naprawdę. Tylko na filmie.

Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił sobie przypomnieć co. Wziął kolejnego macha, co, jak przypuszczał, mogło rozwiązać problem. Potem sobie przypomniał.

Noreen bez jego wiedzy dała do „Corpus Christie Sentinela” ich zdjęcie i zapowiedź ślubu. Właśnie z gazety Lois Larkin dowiedziała się, że on się żeni z jej najlepszą przyjaciółką.

- Mam wyrzuty sumienia z powodu Lois - powiedział.

Uśmiech Noreen zniknął.

- Ja też - mówiła do niego, ale patrzyła w telewizor. Jakaś modelowa rodzina, tak różna od niego i Noreen, że równie dobrze mogłaby składać się z Marsjan, przerzucała się dowcipnymi uwagami w luksusowej restauracji, gdzie podawano owoce morza. Jedli ostrygi małutkimi widelczykami. Noreen mówiła dalej, ale widział, że bardziej interesują ją ci wytworni ludzie z wytwornymi widelczykami. - Zakochaliśmy się, prawda? A Lois i tak by się o tym dowiedziała. Chyba lepiej, że przeczytała o tym w gazecie. Tak było jej łatwiej, nie musiała przy nas krztusić się łzami.

Ronnie kiwnął głową. Tak, to brzmiało przekonująco. Noreen odstawiła piwo na stolik do kawy, gdzie odcisnę krąg pasujący do wszystkich innych kręgów, jakie zbierały się przez lata na tym blacie. Właściwie już się tu sprowadziła, więc współlokator Ronniego, Andrew, przeniósł się do mieszkania na przeciwnym krańcu miasta.

Z jednej strony, tak było dobrze; nie musiał wskakiwać w gacie, jeśli chciał się z nią zobaczyć. Z drugiej strony, czuł konsternację, bo w jednej chwili siedział w Kropli Rosy spity do nieprzytomności, a w następnej jego apteczkę wypełniły tampony i podpaski Stri-Dex.

Mieszkanie śmierdziało jak spleśniały ser. Lois odkurzała raz w tygodniu i myła naczynia. Ożeniłby się z nią, gdyby nie zjawiała się Noreen i jasno mu wszystkiego nie wytłumaczyła. Miesiąc temu w Kropli Rosy stuknęła się swoim apple cosmopolitan z jego jim beamem i oznajmiła:

- Myślisz, że ją kochasz, ale ty jej nie kochasz. Chodzi ci tylko o wygodę. - Trąciła go biodrem, jak jakąś bronią i podjęła: - Weźmy choćby ciebie i mnie. Jest między nami większa chemia niż u kogokolwiek innego w tej sali. I właśnie o to chodzi w miłości, a nie o jakąś dziewczynę, która ci rozkazuje i robi ci pranie.

Ronnie był zaszokowany. Jego rodzice kochali Lois. On też ją kochał... zazwyczaj. Ale słowa Noreen przesączyły mu się przez czaszkę niczym ług. Lois mu rozkazywała, a ostatnio zastanawiał się, czy to małżeństwo nie okaże się pomyłką. Nie był gotowy na dzieci. Nie chciał zostawać czyimś tatusiem ani nie miał zamiaru rzucać gandzi. No i w łóżku nie było mu już z nią tak dobrze. Było poniżej przeciętnej, więc Ronniemu zaglądała w oczy perspektywa średniej wynoszącej dwa razy w tygodniu przez najbliższych pięćdziesiąt lat, co nagle zaczęło przypominać wyrok więzienia, a nie małżeństwo.

- Powiedz mi, Ronnie, czy kiedykolwiek sobie wyobrażałeś, że dobierasz się do moich majtek? Powiedz, że nie, a przestanę gadać, wezmę drinka i pójdę stąd.

Noreen wskazała tłumek mężczyzn przy stole bilardowym.

Była niska. Miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt i zimne szare oczy.

Tamtego wieczoru Lois poszła do swojej mamy, żeby zaplanować rozmieszczenie gości przy weselnym stole, co jemu wydawało się głupie. Dlaczego ludzie nie mogą usiąść tam, gdzie znajdują wolne miejsce? Ronnie nigdy nie myślał o dobraniu się Noreen do majtek, ale gdy ona wsadziła ten pomysł do jego pustej głowy, chwilę objął się w środku, aż wreszcie utkwił na stałe. Gdyby teraz zabrał Noreen do siebie, ktoś mógłby powiedzieć o tym Lois, ona by go rzuciła i w ciągu kilku dni stałby się wolnym człowiekiem. Właśnie ta myśl sprawiła, że pocałował Noreen Castillo. Pocałunek wypadł słabo, bo oboje byli kompletnie pijani. Jak przez mgłę pamiętał, że wsunął dłoń pod jej obszerny podkoszulek, ale nie wiedział, czy to się działo przed czy po tym,

jak wyszli z baru. Następnego ranka obudził się z łupaniem w głowie i grubą dziewczyną w ramionach. Nie wiedział, co jest gorsze. Wkrótce potem zerwał z Lois.

Noreen beknęła głośno i podrapała się po brzuchu. Była taka ordynarna. Początkowo wydawało mu się to fajne, bo znaczyło, że mu odpuści, jeśli chodzi o zachowanie przy stole i pleśń w lodówce. Ale teraz już nie miał pewności, czy to dobrze, że oboje są niechlujni. Nigdy nie planował przerzucania się z dziewczyny na dziewczynę. Zakładał, że będzie wolny jak ptak, a zamiast tego wpadł w niezłe bagno: kolejny ślub! Ta myśl poruszyła gniazdem os w jego żołądku, więc pociągnął kilka machów, żeby się uspokoić. Potem uśmiechnął się szeroko, bo przypomniał sobie o czymś dobrym. Przy Noreen nigdy nie będzie musiał rzucać trawki.

Rozmawiali, ale nie potrafił sobie przypomnieć o czym. Aha, oLois.

- Myślę, że powinienem się z nią zobaczyć.

Noreen nie odpowiedziała. Złapała jointa, pochlapała całego slurpee, a potem mu oddała.

- Lois trzymała cię za jaja, Ronnie. A jeśli teraz do niej pójdziesz, już nie będzie taka miła. Nie uwierzyłbyś, jak na ciebie narzekała. Po prostu daj sobie z nią spokój i dziękuj Bogu, że się uwolniłeś.

Jak większość rzeczy, które mówiła Noreen, brzmiało to rozsądnie, dopóki się nad tym nie zastanowił. Lois nie miała w sobie żadnej złości. Popatrzył na ekran telewizora. Jakiś mężczyzna w czarnym garniturze jechał SUV-em po Arktyce przy piosence Rolling Stonesów *Free*. Arktyka wyglądała fajnie. Pomyślał, że chciałby kiedyś tam pojechać. Ale czy Arktyka jeszcze w ogóle istnieje?

- Pójdę do Lois - oznajmił i gdy tylko to zrobił, stało się coś, co działo się rzadko: nabrał pewności.

Musi zobaczyć się z Lois. Musi jej wszystko wytłumaczyć. Potrzebował jej przebaczenia, bo sumienie gryzło go teraz tak mocno, że nawet trawka nie pozwalała zapomnieć.

Noreen skrzywiła się, jakby był największym frajerem na świecie. Wiedział, że powinien się przyzwyczaić do tego spojrzenia.

- Skoro ty idziesz, to ja też. Później możesz mnie podrzucić do pracy. Nie ufam ci na tyle, żeby cię puścić samego.

Uśmiechnęła się, jakby żartowała, ale wiedział, że wcale tak nie jest.

Kiedy Jodi Larkin otworzyła drzwi, Ronnie od razu zauważył, że jest trzeźwa. Widział białka jej oczu.

- Pani Larkin... eee... Jodi - wyjąkał, bo zawsze nie bardzo wiedział, jak się do niej zwracać.

Przynajmniej już nie będzie musiał do niej mówić „mamo”.

Noreen mocno ścisnęła spoconą ręką jego dłoń. Jodi patrzyła na nich gniewnie i najwyraźniej nie zamierzała ich wpuścić do środka.

- Czy Lois jest w domu? - spytał i uśmiechnął się, licząc, że to okaże się zaraźliwe.

- Czego od niej chcecie? - warknęła Jodi.

- Chcemy wytłumaczyć - powiedział Ronnie.

Jodi patrzyła na nich w milczeniu. Zgryzota wyryła krzyżujące się linie nad jej ustami i pod oczyma. Nie wyglądała na starą, tylko zmęczoną życiem.

- Wiecie o Jamesie Walkerze? - odezwała się wreszcie.

- A co z nim? - zapytała Ronnie.

- Nie musicie wiedzieć. Ale nie wspominajcie o tej sprawie Lois, bo całkiem jej odbije.

Ronnie był zaskoczony, ale nie lubił rozmawiać z Jodi, więc nie pytał o szczegóły.

- Możemy się z nią zobaczyć?

Jodi wzruszyła ramionami,

- Dzięki, Jodi! - oznajmiła Noreen. Uśmiechała się tak, jakby życie stanowiło całonocny laserowy show Pink Floydów. - Naprawdę bardzo chcemy zobaczyć się z Lois!

Jodi odsunęła się na bok, wpuszczając gości. W mrocznym holu unosił się zapach ginu. Materiał dywanika tak się wytarł, że widać było brązową matę utrzymującą chodnik w całości. Panował porządek, co oznaczało, że Lois tu sprzątała.

Jodi zaprowadziła ich do jej pokoju.

- Naprawdę. Bardzo mi przykro - zaczął Ronnie, ale Jodi nie reagowała.

Przypominała pozbawioną życia kukłę. Nigdy nie widział jej uśmiechniętej, a teraz pewnie jeszcze się na niego wściekała! Otworzyła drzwi pokoju córki bez pukania, co uznał za dosyć paskudne.

W środku panował chłód, taki jak w głębokim oczku wodnym, przez który aż drętwiąć palce u stóp. Śmierdziało skunksem. Za zasuniętymi zasłonami zachodziło słońce, barwiąc ściany czerwienią. Nie widział twarzy Lois, tylko gąszcz kruczoczarnych włosów rozsypanych na poduszce. Przypomnił sobie salę Maine Heritagel Museum poświęconą Indianom. Wisiał tam w szklanej gablocie cały pęk skalpów, które walczące plemiona zabierały wrogom jako trofea. W dzieciństwie zastanawiał się, kto mógł być dumny z takich pamiątek.

Kształt na łóżku drgnął, a Ronniego ścisnęło w gardle. Nagle zapragnął, żeby wszystko dało się odwrócić. Żeby nigdy nie pocałował Noreen i poślubił Lois, choćby po to, aby nie znaleźć się tutaj i nie musieć stawiać czoła temu, co zrobił.

- Ona jest chora - powiedziała Jodi. Zadrżała i rękami oplotła się w talii. - Boiler się zepsuł. Bardzo źle, że nie ma tu mężczyzny, żeby go naprawił.

Nie był pewien, czy Jodi go obraża, czy też prosi o pomoc. Zanim zdążył się nad tym zastanowić, przysunęła krzesło do łóżka i córki i usiadła.

Ronnie i Noreen podeszli bliżej. Lois rzeziła. Domyślił się, że jest przeziębiona. Jodi odsunęła koc i zobaczył trupio bladą twarz dziewczyny. Z ust odpłynęła cała krew, tak że zrobiły się sine. Jęknął.

Jodi szarpnęła Lois za ramiona. Starła się być delikatna, ale nie potrafiła. Mocno ścisnęła córkę. Skórę Lois pokrywały czerwone krosty. Ronniego kusiło, aby wziąć ją na ręce i wynieść. Nie zrobił tego. Ona była typem delikatnej dziewczyny, ale on nie był rycerzem w lśniącej zbroi.

Obudziła się. Zrenice miała rozszerzone, jakby naćpała się anielskiego pyłu. Wychudła na twarzy, więc zęby wydawały się wielkie. Chciał się do niej uśmiechnąć, bo kiedyś była jego ukochaną i miała dobre słowo nawet dla najgorszych wrogów. Ale się nie uśmiechnął. Bał się.

- Czego chcesz? - zapytała Lois.

Nie powiedziała „cześć” albo „Ronnie, co u ciebie?” Wciąż była ładna - Lois Larkin nigdy nie wyglądała brzydko - ale była też zmaltrretowana. Szkoda, że nie wypalił fajeczki, zanim zadzwonił do drzwi.

Noreen stanęła u jego boku i poczuł się trochę lepiej.

- Ronnie i ja pobieramy się - wyrzuciła z siebie. - Tak jakoś wyszło. Nigdy nie chcieliśmy cię skrzywdzić. Ale zakochaliśmy się w sobie.

Jej głos brzmiał, jakby wcale nie miała pewności co do tego, o czym mówi.

- Bardzo nam przykro z powodu tego artykułu w gazecie. Powinniśmy ci to powiedzieć osobiście - odezwał się Ronnie.

Popękana dolna warga Lois lekko krwawiła. Zaczęła ją ssać.

- Hm - wymruczała, jakby jej smakowało. Szpara między zębami się zmniejszyła. Czy znowu zaczęła nosić aparat? - To śpi za dnia, przywykło do życia pod ziemią. Słyszę to głównie w nocy - oznajmiła.

- Co? - spytała Noreen.

Wymieniła spojrzenia z Ronniem. Spodziewali się wzruszającego uścisku ramion, kilku porcji „przepraszam”, a na koniec czegoś w stylu „do zobaczenia w Kropli Rosy”.

Spodziewali się łatwego przebaczenia, a może nawet kawałka wiśniowego placka Lois. Lecz na nic takiego się nie zanosilo.

- Mówiłam wam. Dziewczynie całkiem odbiło. Powinna strzelić sobie ginu. - Jodi zmarszczyła brwi.

- Co słyszysz? - zapytał Ronnie, ale Lois już nie zwracała na niego uwagi.

Zaskoczyło go to, choć przecież się spodziewał, że teraz będzie inaczej. Kiedy się spotykali, spijała każde słowo z jego ust, tak jakby bez jego głosu tonęła.

- Walczę z tym, ale nie wiem dlaczego. To nie jest warte tego, o co walczę - powiedziała Lois.

Rozkasłała się i na podbródku wylądowało jej sporo flegmy. Nikt nie podał jej chusteczki, więc otarła śluz koszulą nocną. Potem podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

- Potrzebuję steku i mężczyzny. Ale ty byś nie dał rady, Ronnie, prawda? Przyznaj się. Nigdy nie dawałeś rady.

Poczuł łaskotanie w żołądku, jak podczas swobodnego spadania w lunaparku Six Flags, i - Boże dopomóż! - chociaż to była słodka Lois Larkin (nie, to nie ona, wszystko w nim krzychało, że to wcale nie jest Lois), zacisnął pięść, jakby chciał ją uderzyć.

- Lois, proszę - błagała Jodi.

Mówiąc, załamywała dłonie i zostały jej na nich czerwone zagniecenia. Ronnie pomyślał, że nie upiła się, bo córka jej potrzebowała. Nic tak nie przeraża pijanego człowieka jak czyjeś szaleństwo.

Lois spojrzała na niego. Oczy miała jak tnące lasery. Wnętrznosci Ronniego wypłynęły na podłogę. Nie patrzył w dół, ale czuł je, czuł, że wszystko ma na wierzchu. Czuł się zażenowany, jakby był nagi. Jego flaki wały się po parkiecie.

- Czy wierzysz w nieśmiertelną duszę? - spytała. - Bo ja myślę, że moja dusza umiera.

Zastanawiał się, czy doprowadził ją do obłędu tym, że ją porzucił. Jego kumpel Andrew chwaliłby się czymś takim, ale Ronnie zwyczajnie źle się poczuł.

- To złożyło we mnie swoje nasienie, a ja próbuję to zagłodzić. Twoje nasienie też próbuję zagłodzić, Ronnie - oznajmiła Lois.

Nie wiedział, co to ma znaczyć. Nie chciał wiedzieć. On i jego koledzy z liceum mieli taki zwyczaj, że gdy człowiek wypił za dużo i lądował na podłodze albo całował kibel, nie zwracał nikomu gitary. Po prostu krzychał „bawcie się dalej”, koledzy szli szaleć na imprezie, bzykali się ze swoimi dziewczynami, a on troszczył się sam o siebie. Ronnie chciał, żeby Lois zawołała „bawcie się dalej”, a on mógł stąd spadać.

- Muszę iść do pracy - powiedziała Noreen i gdyby już jej nie kochał, to pokochałby właśnie w tej chwili.

Ścisnęła jego dłoń i teraz się z tego ucieszył.

W pokoju zrobiło się prawie całkiem ciemno. Oczy Lois były jak lśniące czarne kule i chociaż chciał odejść, nakazywały mu stać w miejscu. Dotykały jego skóry, aż przechodziły go dreszcze. Przez chwilę miał wrażenie, że czuje ją wewnątrz siebie. Zastanowił się, czy kiedykolwiek tak naprawdę znał Lois.

- Czy to było warte tego, co mi zrobiłaś? - spytała.

- Zakochaliśmy się - powtórzyła Noreen, ale zabrzmiało to jak pytanie.

Lois wyszczerzyła się w uśmiechu. Nie przypominała już dziewczyny, z którą się spotykał. Nie była delikatna ani słodka. Zrobiła się zgorzkniała, zupełnie jak matka,

- Możesz przyjść na ślub - wymamrotała Noreen.

Zabrzmiało to tak absurdalnie, zapewne nawet w uszach jej samej, że w pokoju zapadła cisza.

Potem Lois się roześmiała. I nie był to jakiś słaby chichot, lecz jednostajny, głośny ryk.

Ronniego przeszedł dreszcz, a Noreen zaczęła dygotać. Sądził, że tylko drży, dopóki na nią nie spojrział. Płakała. Wytarła nos rękawem różowego kitla.

- Ja po prostu robię takie rzeczy - wykrztusiła. - Nie umiem nic na to poradzić, Lois. Ale byłaś moją najlepszą przyjaciółką. Naprawdę. Brakuje mi ciebie. Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro.

Zdumiało go, że jej słowa brzmiały tak szczerze. To wyschnięte coś na łóżku śmiało się, gdy Noreen płakała, a on był już pewien, że to nie jest Lois Larkin. Każdy, kto ma serce, nawet jego kumpel Andrew, pożałowałby Noreen. Zrozumiałby, że ona się stara, a jeśli chodzi o Noreen, starania znaczyły naprawdę wiele.

Lois zanosila się coraz głośniejszym rykiem. Ronnie uświadomił sobie, że dziś wieczorem ani razu nie zasepleniła. To coś - ta nie-Lois - stanowiło zagrożenie.

Objął Noreen i razem zaczęli się wycofywać. Już nie płakała, ale nadal się trzęsła, również wystraszona.

Zanim odwrócił się do drzwi, dostrzegł czerwony refleks na okiennej szybie. Krew! - pomyślał w pierwszej chwili, ale to nie była krew, tylko odbicie światła. Na zewnętrznym parapecie stał karmnik, bo Lois lubiła patrzeć, jak się tam gromadzą i swiergoczą ptaki. Zwierzęta lgnęły do niej, niczym do dobrej wróżki. Kiedyś na pikniku na jej żółtym swetrze wylądowało całe stado biedronek. Chodziły po niej, tak że sweter wyglądał, jakby ożył, i Ronnie pomyślał wtedy, że Lois Larkin ma w sobie magię.

Na parapecie piętrzył się stos piór w kolorze purpury. Skupił na nim wzrok i dostrzegł drobne ptasie kostki. Leżały daleko, ale rozpoznał czaszkę z małym dzióbkiem.

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Ronnie! - zawołała Lois.

Szedł spokojnie, jak tylko potrafił. Proszę, myślał, tylko tego nie mów. Błagam cię, Lois Larkin. Nie mów tego.

- Mówiłam ci, że jestem głodna.

Pobiegł, trzymając Noreen za rękę.

12.

BÓG JEDEN WIE

Fenstad Wintrob pogwizdywał *God Only Knows* Beach Boysów, idąc szpitalnym korytarzem. Przez kilka ostatnich nocy on i Meg zasypiali przytuleni jak łyżeczki i pierwszy raz od dłuższego czasu nie męczyły go koszmary.

Maddie spokorniała, jakby po wypadku matki uświadamiała sobie kruchość zdrowia rodziców. Tego ranka, przy śniadaniu była naprawdę miła. Zjadła całego grejpfruta, posprzątała ze stołu i włączyła zmywarkę. Jak zwykle przywdziała strój nadwornego błazna (T-shirt i koronkowe pończochy), ale ani on, ani Meg nie zaprotestowali. Było to na swój sposób urocze.

Przed wyjściem do pracy pocałował córkę w policzek. Uśmiechnęła się szeroko, jej zielone oczy zaśniły, a on uświadomił sobie, że pewnego dnia ktoś oprócz Enrique

Vargasa zauważy pod tymi ciuchami z lumpeksu i grubym makijażem łabędzia, którym tak naprawdę była.

Miał dziś zacząć od grupowej terapii pacjentów ambulatoryjnych. Sheila, tęga kloszardka, matka bogatego syna, zjawiła się pierwsza.

Przewiązała się łańcuchem od rowerowej kłódki niczym pasem. Kiedy usiadła na kanapie, łańcuch szczękął.

- Co ty założyłaś? - spytał Fenstad.

Pewnie to ten sam łańcuch, którym Meg zamachnęła się na Alberta, pomyślał.

Pretensjonalnym gestem uniosła jedno ogniwo, a potem je puściła, tak że z brzękiem opadło.

- Mój amulet! - odparła.

Bram i Joseph przyszli wkrótce po niej. Bez Alberta sesja była dziwnie ponura. Fenstad starał się zająć ich smutkiem, nie byli jednak na to gotowi, więc tylko sprawdził dawkowanie zażywanych przez nich leków.

- To mogłam być ja - mruknęła Sheila, zaciskając łańcuch wokół talii, jakby obejmowała się w autystycznym uścisku. - Widziałam wyraz jego twarzy. Mnie też by wałnął.

- On jest bardzo chory - tłumaczył Fenstad.

Wtrącił się Bram. Radził sobie najlepiej z całej grupy, od dwóch lat udawało mu się utrzymywać w pracy. Redagował maszynopisy dla „Sentinela”.

- Albert był moim przyjacielem - powiedział.

- Będzie mi go brakowało - wyznał Fenstad i mówił to szczerze. Naprawdę będzie mu brakowało bezzębego Alberta Sanguine’a z zespołem Tourette’a. Bo mimo tej całej paskudnej sprawy Albert w głębi duszy był dobry. Po prostu przyzwyczajony.

Po terapii grupowej Fenstad był wolny, bo wszystkie wizyty umówione na dzisiaj odwołano z powodu grypy, która nękała miasto. Postanowił odwiedzić Alberta. Kiedy wszedł do jego sali, zahaczył stopą o stojak od kroplówki. Metalowa podstawa zadrzęła. Przewód biegł przez całą długość stojaka, a przyczepiona do niego igła leżała na podłodze. Fenstad dostrzegł plamkę zeschniętej krwi na białej pościeli. Wyjąwszy tę plamkę, po Albercie nie było śladu.

Ostatniego wpisu na karcie pacjenta wiszącej na łóżku dokonano zaledwie godzinę temu. Fenstad wyjrzał przez otwarte okno. Od parkingu dzieliły go ponad trzy metry. Nie ma mowy, żeby Sanguine zdołał wyskoczyć. Brakowało mu sił nawet na to, żeby wstać z łóżka.

Powiadomił lekarza prowadzącego. Ochrona szpitala sprawdziła każdą ścienną szafę i każde łóżko na kółkach, lecz Alberta nigdzie nie znaleziono. Fenstad, pochłonięty poszukiwaniami chorego psychicznie pacjenta, nagle coś sobie uświadomił. Jeśli Sanguine w jakiś sposób wyrwał się na wolność, to Meg może być w niebezpieczeństwie. Natychmiast do niej zadzwonił.

- Co u ciebie? - spytał, kiedy podniosła słuchawkę.

Jęknęła.

- Nikt nie przyszedł na czytanie bajek. Molly mówi, że to wszystko moja wina, że zabiłam bibliotekę. - Ściszyła głos i dodała wesoło: - Jędza!

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Albert Sanguine zniknął. Kiedy ostatnim razem do niego zaglądałem, był już jedną nogą w grobie, ale teraz prawdopodobnie uciekł. Chciałem, żebyś o tym wiedziała, bo on może wrócić do biblioteki. - Meg milczała, więc ciągnął: - W środę wieczorem nie mógł nawet podnieść głowy z poduszki. Podejrzewam, że poczołgał się po coś do picia i tam umarł.

Nie odpowiadała. Próbował znaleźć jakieś uspokajające słowa, ale miał pustkę w głowie.

- Fenstad? - spytała wreszcie.

- Tak?

- Chcę wrócić do domu. - Jej głos zadrżał.

Szeptala, żeby Molly niczego nie słyszała. Nie zdziwiło go, że tak szybko przeszła od wesołości do płaczu. Nadal była w szoku. Dwa dni temu przyjaciel pobił ją, a ona, broniąc się, rozwalila mu wątrobę. Dojście do siebie po takiej traumie potrwa jakiś czas. Nie powinna była w ogóle przychodzić dzisiaj do pracy.

- To dobry pomysł - odparł.

- Nie chcę być sama.

Na jedną krótką chwilę opuścił go rozsądek. Ale przecież Meg nie mogła mówić o Grahamie Nero...

- Zostaniesz ze mną? - zapytała.

Przymknął oczy. Kciukiem i palcem wskazującym ścisnął grzbiet nosa. Jak mógł tak idiotycznie zinterpretować jej słowa? Czy to możliwe, że dzieje się z nim coś naprawdę złego?

- Tak. Moi pacjenci odwołali wizyty. Wracam do domu.

Został Meg na kanapie przed telewizorem. Oglądała *Wszystkie moje dzieci*. Pomyślał, że musi z nią być naprawdę źle. Nie oglądała telewizji w ciągu dnia od czasu, kiedy wpadła w depresję po narodzinach Maddie. Wtedy przez dwa miesiące nie chciała czesać włosów i groziła, że go rzuci. A potem i tak samo nagle, jak nagle stała się kimś obcym - wróciła do siebie i znowu zaczęła zajmować się domem.

W pokoju było ciemno, bo szczelnie zaciągnęła zasłony. Tak silne przeżywanie jakichkolwiek wydarzeń zupełnie nie pasowało do Meg, więc bardzo się o nią martwił.

- On nie przyjdzie po ciebie - powiedział. - A jeśli nawet przyjdzie, ja go zatrzymam.

Nie odpowiadała przez dłuższą chwilę. Na ekranie Susan Lucci wyznała mężowi, że jest jego dawno zaginioną przyrodnią siostrą, dlatego muszą się rozwieść, ale wciąż mogą sobie wysyłać kartki na Boże Narodzenie.

- To nie tylko to, Fenstad. Stało się jeszcze coś.

Pokój 69 w Motelu 6, przemknęło mu przez głowę.

- Co takiego? - spytał, siląc się na spokój.

- Chcę udawać, że tylko sobie to wyobraziłam - odparta.

Usiadł koło niej i zaczął głaskać ją po włosach.

- Słucham.

To był taka ich zabawa w domowego psychiatrę, który zawsze słucha uważnie. Porzucili ją, kiedy Fenstad zaczął pracować za ciężko, aby wracać na kolację, pomagać w domu albo choćby przypilnować dzieci. Jednak teraz Meg się uśmiechnęła, jakby dzielące ich problemy były rzeką, która już wyschła.

- Pamiętasz, jak tata nie przyszedł na nasz ślub?

Jej ojciec był jowialnym, brzuchatym wiceprezesem filadelfijskiej firmy produkującej męskie mokasyny. Nigdy nie zaakceptował zięcia i umarł, nawet nie ujrzawszy wnuków. Pozostałe jego dzieci wciąż mieszkały w rodzinnym domu i wykonywały różne dziwne zawody, na przykład ekspedienta albo akwizytora. Żadne nie zawarło małżeństwa. Frank Bonelli nie znosił konkurencji, dlatego niszczył w swoich potomkach wszelkie odruchy, które choćby trąciły niezależnością czy ambicją. Meg, jako najstarsza, była jego ulubienicą, więc tylko ona miała tyle siły, żeby odejść.

- Świetnie pamiętam twojego tatę - powiedział Fenstad.

- Mówiłeś o nim Albertowi podczas terapii grupowej?

Pokręcił głową.

- Żadnych informacji osobistych. Dobrze wiesz.

Wzruszyła ramionami, jakby nie była pewna, czy mu wierzyć.

- Nie powiedziałem ani słowa - rzekł z naciskiem.

Zmarszczyła brwi.

- Więc chyba musiałam zwariować... Albert zmusił mnie, żebym usiadła mu na kolanach, nie mówiłam ci o tym, bo wiedziałam, że się zdenerwujesz, a potem mnie objął. Myślałam, że chce... no, domyślasz się czego.

Dłoń Fenstada zatrzymała się w pół ruchu. Co za podstępny skurczybyk, pomyślał.

- Mów dalej - powiedział.

- Trzymał mnie tak mocno i ciągnęła Meg. - A później powiedział mi to samo, co powiedział tata tego ranka, kiedy się pobieraliśmy. „Gdzie popełniłem błąd?” A najgorsze, że jego głos brzmiał zupełnie jak głos mojego taty. Naprawdę.

Gdyby powiedziała to jakakolwiek inna kobieta, uznałby, że wciąż jest w szoku i ma jakieś urojenia. Ale Meg nie przejawiała najmniejszych skłonności do fantazjowania. Gdyby nie wiedział, że takie rzeczy są po prostu niemożliwe, to by jej uwierzył.

- Brzmiał tak jak twój ojciec?

Oczy miała mokre od łez. Wreszcie zrozumiał, co ją dręczyło. Ojciec umarł dziesięć lat temu, jednak dla Meg wspomnienia o nim wciąż pozostawały żywe. Frank Bonelli ciągle jej powtarzał, że nic z tego, co zrobiła i co kocha, nie jest wystarczająco dobre. To tłumaczyło jej złość i fakt, że czasami patrzyła na niego i na Maddie jak na obcych. W pewien sposób wyjaśniało nawet Grahama Nera.

Westchnęła.

- Teraz, gdy ci o tym mówię, wiem, że to nie może być prawda. Ale wtedy nie wiedziałam. Czułam się, jakbym patrzyła na tatę, nie na Alberta Sanguine'a...

- To ma sens - zapewnił. - Albert jest chory, ale jest też bystry. Ludzie tacy jak on potrafią manipulować innymi, nawet o tym nie wiedząc. Znał cię od lat. Może kiedyś wspomniał mu o tacie, a on się domyślił, że to bolesna sprawa. I wykorzystał to.

Przez jakiś czas nic nie mówiła, wreszcie pokiwała głową.

- To ma sens - przyznała.

Poczuł się silny i potrzebny, jak prawdziwy mężczyzna.

- Skombinuję coś do jedzenia - zaproponował.

Chciał wstać, ale Meg pociągnęła go z powrotem na krawędź kanapy i rozpięła bluzkę.

- Gdy mi to powiedział, pomyślałam o tobie. O tym, że jesteś znacznie lepszy niż większość mężczyzn, jakich poznałam.

Patrzyła na niego i wiedział, że mówi szczerze.

Wisiołek z brylantem, który podarował jej na dziesiątą rocznicę ślubu, migotał między piersiami. Położył na nim dłoń i obserwował jej reakcję. Wygięła plecy.

- Potrafisz być czuły? - spytała.

- Mogę spróbować - odparł.

W WOLNYM CZASIE ZAWIERAJ PRZYJAŹNIE
I TROP PRZESTĘPCÓW!

To przeznaczenie, pomyślała Jean Rizzo, kiedy w zeszłym tygodniu zobaczyła ogłoszenie. Właśnie jadła kanapkę z masłem orzechowym, zamknięta w kabinie łazienki, kiedy zauważyła niebieską kartkę przyczepioną taśmą do ściany „Zostań pomocnikiem detektywa z Baker Street. W wolnym czasie zawieraj przyjaźnie i trop przestępców! - Towarzystwo Miłośników Sherlocka Holmesa”. Tak się tym podekscytowała, że aż upuściła kanapkę na zasikaną podłogę.

Sherlock Holmes zawsze zachowywał zimną krew. Bystry. Elegancki. Wprawdzie był samotnikiem, ale ludzie go szanowali. Nawet Data ze *Star Treka* chciał przypominać Holmesa. Hura! Teraz ona zostanie pomocnikiem detektywa z Baker Street. Ostatni rok szkoły będzie zarabisty.

We wrześniu zawsze próbowała czegoś nowego. Siódma klasa była rokiem spodni disco i dobranych do nich spinek z piórami. Chciała wyglądać jak Olivia Newton-John w *Xanadu*, ale zamiast tego wyszedł jej transwestyta-z-czymś-do-udowodnienia. W ósmej klasie starała się ciągle uśmiechać. Doszła do wniosku, że znani i lubiani są zawsze szczęśliwi, więc jeśli będzie szczerzyć zęby jak głupia, wszyscy uznają ją za kogoś z nich.

- I czego się tak cieszysz, Jeannie? - kpił Justin Ross, który siedział za nią (dlaczego ich nazwiska sąsiadowały ze sobą w dzienniku?).

Była jeszcze próba zostania cheerleaderką. Nawet nie chciała wspominać tamtych pomponów. Ale gdy patrzyła na ogłoszenie o Sherlocku Holmesie i wygrzebywała pomiędzy zębów resztki chleba, postanowiła, że teraz wszystko się zmieni. Już nikt nie będzie rzucać jej we włosy papierowych kuleczek, które widać dopiero po powrocie do domu, a tata nie zapyta z tym swoim złośliwym uśmiechem: „Z nieba leciały te plwociny, czy co?”. Justin Ross nie będzie wyciągał spod niej krzesła, tak żeby spadła na tyłek. Nauczyciele przestaną zerkać do dziennika, żeby przypomnieć sobie jej nazwisko. Tak, ten rok będzie całkiem inny.

Po pierwsze, miała swoją wcale-nie-taką-tajną broń. Latem wydarzył się cud i piersi urosły jej z rozmiaru A do pełnego C. Żeby je wyeksponować, podwędziła z Targeta sukienkę bez ramiączek za dziewiętnaście dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Wcisnęła ją do plecaka, a potem kupiła przy ladzie malinowy błyszczek Bonne Bell, żeby ochrona nie nabrała jakichś podejrzeń. Dzisiaj założyła tę kieckę, spojrzała w lustro i uznała, że jest podobna jak kropla wody do seksownej Mary Ann z *Wyspy Gilligana*.

Teraz dumnie kroczyła przez gimnazjum, a cycki jej podrygiwały (skoro je masz, to się nimi chwal!). Lekcje się skończyły i wszyscy poszli na Dzień Klubowy. Wszyscy, czyli ci, którzy zjawili się dzisiaj w szkole. Mnóstwo dzieciaków się pochorowało.

Wszechobecne reklamy z kartonu zachwalały zespół prowadzący szkolną kronikę, programowanie komputerów i projektowanie dekoracji teatralnych. Szukała Towarzystwa Miłośników Sherlocka Holmesa, ale go nigdzie nie widziała. „Cheerleaderki są S-E-X-Y!” - głosiła jedna z reklam, a wokół niej, leniwie jak wygrzewające się jaszczurki, leżały dziewczyny o doskonałych figurach i z dołeczkami w policzkach. Minęła je tak szybko, jak mogła, bo gdy w zeszłym roku sama starała się o miejsce w drużynie cheerleaderek, eliminacje okazały się jedną wielką ściemą. Członkinie komisji wybrały do zespołu swoje młodsze siostrzyczki. Zawsze tak było w Corpus Christi. Mówili ci, że wszystko się odbywa sprawiedliwie, ale to było gówno prawda.

Spróbowała, bo tata zawsze powtarzał, jakie to ważne być po stronie tych, którzy wygrywają, a cheerleaderki zawsze wygrywały. Kiedy przyszła jej kolej, niemal wykrzyczała płuca, stojąc przed prawie wszystkimi koleżankami ze swojej dziewiątej klasy. Chyba każda dziewczyna w Corpus Christi chciała zostać cheerleaderką. Machała więc rękami, poruszając się nie tylko energicznie, ale i z wdziękiem. Niektóre dziewczyny uśmiechały się, jakby były pod wrażeniem, a Jean pomyślała: Trzy tygodnie wyrzaskiwania „Do boju” w wilgotnej piwnicy taty i wreszcie odkryłam coś, w czym jestem dobra.

Nagle jedna z członkiń komisji zachichotała. Zęby miała olśniewająco białe, jakby płukała usta wybielaczem, i ledwo się powstrzymywała od wybuchnięcia śmiechem, tak bardzo ją bawił widok Jean Rizzo udającej, że trzyma pompony, bo prawdziwych pomponów zabrakło w magazynie. Wtedy Jean uświadomiła sobie, że wszystkie znane i lubiane dziewczyny dostały pompony, a frajerkom nie dano nawet batut. Dziewczyny z pomponami znalazły się na uprzywilejowanej pozycji, reszta zaś, nieważne, jak ciężko pracowały i ile zniosły gwizdów, miały nie dać rady.

Uszła z niej cała para. Wyszepiała ostatnie „Do boju, Trojanie!”, rzuciła udawane pompony i zeszła z boiska. Może szczęściary, które weszły do drużyny, wciąż o tym pamiętają albo nawet czują się z tym źle. Ale raczej mają to gdzieś, bo przecież dostały to, czego chciały. Kiedy tego wieczoru ojciec zobaczył łzy w jej oczach, błysnął tym swoim pewnym siebie uśmiechem i zapytał:

- Nie podpasowałaś im, co?

Teraz, gdziekolwiek spojrzała, dzieciaki śmiały się i gadały, jakby szkoła należała do nich. Jakby byli tu królami. Nawet ci ohydni chłopcy z drużyny strzeleckiej, o gębach pokrytych meszkiem niczym brzoskwinie, wyglądali, jakby tylko czekali na apokalipsę, żeby wszystkich powystrzelać. Mijając rzędy stołów, miała wrażenie, że idzie pod rzędami chłuszczących ją kijów: majsterkowicze ze sklepów samochodowych, palacze trawki z klubu ekologów, młodzi republikanie z Ligi Bluszczonej.

Tacy już byli ludzie z tej budy. Nawet gnojki miały łatwo. Jasne, czasem zachowywali się przyzwoicie. Jeśli za bardzo jej dokuczali, robiło im się głupio i przepraszali. Ci najbardziej pokręceni mówili nawet, żeby usiadła z nimi w stołówce, ale koniec końców, wszyscy okazywali się tacy sami. Mieli jedwabne życie. Dziewczyny myślały tylko o balach, chłopakach i o tym, czy dostaną się do college'u w innym stanie. Nie musiały kraść ciuchów i nikt im nigdy nie wciskał zmielonych pianek w słoiku, mówiąc, że to mleko. Kiedy wracały do domu, dostawały normalny obiad, a nie jakiś cholerny uśmieszek.

Ale od dziś, postanowiła sobie Jean, wszystko się zmieni. Znajdzie ludzi, którzy tak jak ona uwielbiają Sherlocka Holmesa. Może utworzyli jakieś tajne stowarzyszenie i to oni rządzą szkołą. Dopisze swoje nazwisko do listy, a wieczorem odbierze anonimowy telefon. Tajemniczy głęboki głos oznajmi: „Te niewidzialne ręce, które wybierają przewodniczącą klasy, Królową Balu, zwycięzców konkursów muzycznych, to właśnie my, Towarzystwo Miłośników Sherlocka Holmesa. Obserwowaliśmy cię. Przykro nam, że ostatnie lata były dla ciebie takie ciężkie, ale musieliśmy się upewnić, że jesteś w porządku. Teraz witamy na pokładzie. Pierwsze spotkanie odbędzie się w piwnicy u Danny'ego Walkera. Włóż czerwoną sukienkę. Wyglądasz w niej jak Mary Ann z *Wyspy Gilligana*”.

Na samym końcu rzędów stołów znalazła wreszcie Towarzystwo Miłośników Sherlocka Holmesa. Nie było tu tłumu ani listy, na którą można by się wpisać. Nie było też znanych i lubianych ludzi, którzy na jej widok milkną i kiwają głowami. Przy stole siedział dwunastoletni genialny świeżak, który przeskoczył ze dwie klasy.

Zarzucił na ramiona wełniany kocyk w kratkę i przygryzał ozdobną fajeczkę zrobioną z kaczana kukurydzy.

Był pulchny, jakby nocami podjadał masło orzechowe palcami prosto ze słoika, i patrzył na jej cycki. Skrzyżowała na nich ramiona, ale nie przestał się jednak gapić, więc zaczęła go po prostu nie cierpieć. Tylko fajni chłopcy mieli oglądać zarys jej sutków i, urzeczeni ich widokiem, potem oświadczyć, że kochają ją na zabój i umrą za nią, a co najmniej postawią jej befsztyk.

Genialny świeżak przygryzał fałszywą fajeczkę, którą pewnie kupili mu rodzice jako pamiątkę z rezerwatu Indian na Penobscot Island.

- Potrzebujemy trzech osób, żeby utworzyć klub, bo inaczej szkoła nie przydzieli nam opiekuna - oznajmił i rzucił Jean listę do zapisów, jakby robił jej łaskę.

Jakby uznał, że nie jest wystarczająco sprytna, by rozwiązywać zagadki Sherlocka Holmesa, ale potrzeba kogoś, żeby zgadzała się liczba członków.

Spadaj, świeżaku, powinna była mu odpowiedzieć, lecz wymamrotała tylko:

- To chyba nie trening cheerleaderek. - I odeszła.

Odpięła swój rower w kolorze rdzawej czerwieni, który tata znalazł na złomowisku, kiedy była mała. Już z niego wyrosła i teraz, jadąc, prawie szorowała kolanami o asfalt. Ulica była pusta, bo wszystkie dzieciaki z Corpus Christi siedziały w szkole. W Dniu Klubowym nawet drużyna futbolowa odwoływała trening. Pewnie teraz wszyscy się śmieją z tego, jak wybiegła ze szkoły. Gdy tylko wyszła, od razu zaczęła się zabawa. Wyłączyli światło i bzykają się po kątach. A ten genialny świeżak to był tylko test. Towarzystwo Miłośników Sherlocka Holmesa to tak naprawdę tajne stowarzyszenie znanych i lubianych dzieciaków, które chciały, żeby pocałowała tego pierwszorocznika w dupę. Dosłownie.

Ojciec miał rację. Zachowywała się jak ostatni frajer.

Sfrustrowana, kopnęła rower. Przez palce stopy przemknęły iskry bólu, lecz nie zwróciła na to uwagi. Kopnęła ponownie i tym razem zabolęła cała stopa. Rower upadł, więc zaczęła po nim skakać, aż rama się wygięła, łańcuch zluzował, a od kierownicy odpadł plastikowy kwiatek. Wyobrażała sobie, że ten rower to jej szkoła, jej ojciec, ten genialny pierwszorocznik o nalanej twarzy i jej gówniana sukienka bez ramiączek z Targetu. Zdyszała się po kilku minutach. Rower był cały pocięty. Lakier zdarty o cement błyszczał jak pył czerwonego granitu. Po twarzy Jean spłynęła kropla potu. Zlizwała ją i popatrzyła na rower. Leżał bez ruchu. Nie żył.

Dalej poszła pieszo. Chrzanić rower, pomyślała. Chrzanić wszystko. Chciałaby mieć jakiś nóż, żeby się nim pociąć. Chciałaby móc zmiażdżyć szkołę w dłoni, tak żeby wszystko w niej zginęło - a ona by się tylko śmiała. Chciała, żeby popękały naczynia krwionośne w jej głowie i żeby zapadła w śpiączkę, a wtedy wszyscy mogliby mówić, że bardzo im przykro, że odsuwali ją od siebie przez te wszystkie lata i że tylko żartowali, bo naprawdę ją lubili. Żeby powiedzieli: „Przesadziliśmy z tymi żartami”.

Ale tak się nie stanie. Ten rok nie będzie się różnił od poprzedniego. Chociaż sukienka opinała ją bardziej niż skóra kielbasę, nikt nie chciał się z nią umówić. I poza porąbanym pierwszorocznikiem nikt się na nią nie gapił. Miała kiepskie stopnie, tylko z plastyki dostawała czwórki. Nie lubili jej nawet znajomi z Internetu. Na początku pisali do niej długie listy, lecz po jakimś czasie, chociaż wysyłała im wiadomości dziesięć razy dziennie, nie odpowiadali albo nawet blokowali jej e-mail. Nie miała ani żadnego talentu, ani ładnej buzi. Nie umiała szybko biegać ani tańczyć i nigdy nie udało jej się rozwiązać zagadki Sherlocka Holmesa przed końcem książki. Czasem nie rozumiała nawet, o co chodziło, gdy książka już się skończyła. Ten rok będzie taki sam jak poprzedni.

Bo ona jest nikim. Chodzącym wstydem. Kupą gówna.

Nie chciała wracać do domu, ale nie miała pojęcia, gdzie indziej mogłaby pójść. Poszwenda się jeszcze parę godzin, a po zmroku wejdzie frontowymi drzwiami i powie tacie, że wstąpiła do jakiegoś klubu i nawet została wybrana na jego przewodniczącą. Może jej uwierzyć. A przynajmniej powstrzyma się od tego okropnego uśmiechu, który wyglądał, jakby ojciec się cieszył, że oboje taplają się we frajerstwie i nie musi brnąć przez nie sam.

Kilka minut później dotarła do Puffin Stop. Zerknęła przez witrynę, ale nie zobaczyła Enrique Vargasa. Za kasą stał jego młodszy brat. Enrique był miły. Pozwalał jej kręcić się po sklepie, nawet gdy niczego nie kupowała. Dwa razy udał, że nie widzi, kiedy sięgnęła do obrotowych rożnów i zwinęła skurczone hot dogi Ball-Park. Podkochiwała się w nim. Napisała nawet trzy listy miłosne, lecz schowała wszystkie pod obluzowaną deską w piwnicy, żeby tata ich nie odnalazł. Powinna je spalić, ale gdyby to zrobiła, przyznałaby, że to, co w nich jest, nigdy się nie spełni.

„Mój Ukochany - pisała w jednym z nich - chociaż jesteś obcokrajowcem, umarłabym za ciebie. Jesteś jak Leo w „Titanicu”, więc wiem, że umarłbyś za mnie”.

Ale młodszy brat Enrique był okropny. W szkole szydził z niej, bo nie była ładna, i wiedział, że ujdzie mu to na sucho. Pewnie uznał, że dzięki temu inni zaczną go lubić mimo jego obcego akcentu.

Chciało jej się pić, ale chociaż miała przy sobie dolara pięćdziesiąt pięć na puszkę coli, poszła dalej. Przekroczyła granicę miasta i skierowała się w stronę lasu. Żałowała, że nie ma kurtki albo przynajmniej swetra. Ale cóż, za bardzo się podjarala tą swoją obcisłą sukienką i wielkimi cyckami.

Gdy dotarła do szosy łączącej Corpus Christi z Bedford, przypomniała sobie, że zaginął jakiś dzieciak i teraz szuka go pół miasta.

Był synem dyrektora szpitala, więc wszyscy bardzo się przejęli. W zeszłym roku jej tata wyleciał z pracy w szpitalnej kostnicy, bo za długo był na chorobowym. Teraz, gdy kończyły się pieniądze i jego odprawy, powinien zwlec się z kanapy i zacząć się rozglądać za jakąś robotą, ale Jean wątpiła, by to zrobił. Pewnie nadal będzie popijał piwko, aż w końcu straci dom, a wtedy gdzie ona zamieszka?

Przestali jeść na mieście i robili zakupy tylko w Puffin Stop. Nie odmawiali też modlitwy przed posiłkiem, tak jak kiedyś, zanim jej siostra wyjechała pracować w barze na Florydzie. Trawnik przed domem nawet latem był brązowy. Nie pozdrawiali machaniem rąk sąsiadów, a sąsiedzi nie machali do nich.

Piwiarnia taty mieściła się w ruderze, niecałe dwa kilometry dalej przy szosie. Większość jej bywalców pochodziła z Bedford, bo mieszkańcy Corpus Christi zazwyczaj należeli do klubu golfowego. W piwiarni tata spotykał się z kolegami i grał w karty. Od czasu pożaru w piarni nie odwiedzał jej zbyt często. Większość bywalców się wyprowadziła.

Drogą w każdą stronę co kilka minut przejeżdżał samochód. Domyślała się, że to gliniarze i wolontariusze szukający Jamesa Walkera. Mijając ją, zwalniali. Kiedy dostrzegali, że nie jest nikim znajomym, ewentualnie że znają ją za dobrze, by zaproponować podwózkę, znowu przyspieszali. Jeden z samochodów prawie się przy niej zatrzymał. Odwróciła się, aby posłać kierowcy wściekłe spojrzenie, bo naprawdę miała już wszystkiego dosyć. Wesółch cheerleaderek, swojego taty, głównianego rozwalonego roweru i pianek Fluffernutter. Pianki to przecież nie jest żaden nabiał, prawda? Już miała pokazać kierowcy środkowy palec, ale zamiast to zrobić, oblała się rumieńcem. Samochodem okazał się stary żółty saturn, za kierownicą siedział jej ojciec.

Był chudym facetem o dużej głowie z kędzierzawymi ciemnymi włosami, którymi szczylił się jak głupi. Spotykał się z całą masą wdów i rozwódek około trzydziestki, ale żadna nie została z nim na dłużej. Ojciec nie potrafił trzymać języka za zębami.

Pewnie po tygodniu czy dwóch każdej mówił: „Jesteś brzydka, głupia, leniwa, w ogóle do niczego”. Wiedziała, bo właśnie tak rozmawiał z nią, też nie potrafił utrzymać języka za zębami.

Miał na sobie ulubiony szary dres. Ulubiony i jedyny. Na siedzeniu pasażera leżały trzy duże puszki budweisera, co znaczyło, że kolejne trzy puste leżą na podłodze. Jeździł sobie, popijał i czekał, aż otworzą piwiarnię. Przez chwilę widziała w nim nie swojego tatę, ale pijaka w średnim wieku, próbującego bzyknąć małolatę na poboczu. Było jej za niego wstyd. Co gorsza, wyglądał na rozczarowanego, jakby sądził, że dziś dopisze mu szczęście, a spotkał dziewczynę, na którą najmniej chciałby się natknąć.

Ale na zewnątrz było zimno, bo słońce już zaszło. Nie miała kurtki, tylko cienką sukienkę, w dodatku przy drodze nie paliły się latarnie. Musi myśleć pozytywnie. Przynajmniej ma jakąś podwózkę. Ciężko opuściła ramiona jak ktoś, kto tak się przyzwyczaił do porażek, że smutek z ich powodu to dla niego tylko formalność, i ruszyła do drzwiczek od strony pasażera. Wszystko wydawało się ją osaczać, jakby życie wysysało powietrze z płuc. Czeka ją kolejny rok bez żadnego miejsca, gdzie mogłaby pójść, poza czterema ścianami swojego pokoju. Idąc, drżała z zimna. Na nalanej twarzy ojca pojawił się ten szeroki cholerny uśmiech. Nacisnął pedał gazu. Klamka wysliznęła jej się z dłoni i zanim zrozumiała, co się stało, samochód już odjechał.

Patrzyła, jak toczy się po drodze. Z rury wydechowej leciały spaliny, a tylne światła nikły w oddali. Przez jakiś czas stała na środku szosy, czekając, aż ojciec zawróci i powie: „Tylko żartowałem, przepraszam, przesadziłem z tym żartem. Pewnie zmarzłaś”.

Ale on nie zawrócił. Zostawił ją tam samą. Trzymała się jeszcze jakieś dziesięć minut, a potem zaczęła płakać.

Szła dalej, szlochając i szczękając zębami. Po niecałych dwóch kilometrach minęła piwiarnię, pod którą stał saturn taty. Pomyślała, żeby go skopać, tak jak wcześniej rower, albo przejechać kluczem po tanim żółtym lakierze, jednak poszła dalej. Minęła kolejna godzina. Po jakimś czasie dostrzegła światła latarek błyskające w lesie. Kilka osób nawoływało Jamesa Walkera.

Skierowała się w stronę tych latarek. Może jest tam ktoś miły, kto ma zbędny sweter. W lesie było sucho, wszystko się kruszyło. Trzask, trzask, trzask, dochodziło spod jej butów. Ojciec zabawi w piwiarni do późna, jeśli więc teraz zawróci, to zanim on przyjdzie do domu, będzie już spała. Ale przecież i tak zobaczy się z nim jutro. Pomyślała o tym jego cholernym uśmieszku i znowu zaczęła płakać. Widziała po jego oczach, że tak naprawdę nie chciał odjeżdżać. Tak naprawdę chciał jej zrobić krzywdę. Nie, nie może iść do domu. Nie dziś. I już nigdy.

Właśnie wtedy usłyszała szelest. Brzmiało to, jakby ktoś grabił liście na wilgotnej trawie. Zatrzymała się. Nie było wiatru, ale gałęzie między dwoma dużymi sosnami drżały. Jakies zwierzę? - pomyślała i serce zabiło jej szybciej. Gałęzie były grube, więc to pewnie duże zwierzę.

Zaczęła się wycofywać. Powoli, krok po kroku. Przed niedźwiedziami nie wolno uciekać biegiem. Trzeba krzyczeć i dzwonić dzwoneczkami, żeby je odstraszyć, ale akurat teraz krzyczenie na niedźwiedzia wydawało się głupie. Gałęzie drżały coraz mocniej i nawet pnie zaczęły się chybotać. Niższe konary zataczały szerokie kręgi, a ona, nie wiedząc czemu, pomyślała o wiosłach jakiejś gigantycznej łodzi. To coś było bardzo silne.

Cofała się ostrożnie. Jeden krok, potem następny. Serce trochę zwolniło. Nie myślała już o tacie ani o tym, jak wszystkich nienawidzi. Wycofywała się krok po kroku.

To wyszło pomiędzy drzew. Mężczyzna. Bardzo wysoki. Miał co najmniej dwa metry wzrostu. Wyjąwszy rozpiętą szpitalną koszulę, był nagi. Starła się nie patrzeć na owłosienie u dołu, ale kątem oka dostrzegła linię szwów biegnącą poprzez brzuch. Niektóre się rozerwały i widziała różowe rany; nie krwawiły, tak jak sztuczne filmowe rany z farby i wosku. Kiedy się zbliżał, obwisła skóra przesuwająca się w górę i w dół po żebrach. Przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje, ale potem zrozumiała. Skóra podskakiwała, bo on biegł prosto w jej stronę!

Dystans się zmniejszał. Cztery metry, trzy, dwa. Jean owiał zagubiony wiatr, a w jej głowie wybuchały kolejne myśli, jakby odpalał się sznur fajerwerków. Ale on ma ciemne oczy, pomyślała, a potem: Lepiej to przełknij, kochanie. I: Naprzód, drużyno! Aż wreszcie: Biegnij, biegnij!

Pędziła, zanim jeszcze zdecydowała się, że to zrobi. Jej sukienka bez ramiączek zafurkotała. Patyki i ostre kamienie dźgały podeszwy stóp. Za nią trzęsa się ziemia, bo ścigał ją ten mężczyzna z lasu.

Nie oglądała się za siebie. W jej umyśle wciąż odpalały się kolejne myśli, ale teraz trudno było odnaleźć w nich sens (cholerny-uśmiech-czarnookiego-potwora!).

Nagle zrobiło się ciemno, a ona nie wiedziała, czy niebo właśnie teraz zaszło chmurami, czy cały czas takie było. Potknęła się o coś, co wyglądało jak kłoda, a jego stopy zatoneły w czymś wilgotnym i miękkim (Błocie? Krwi? Puszcze z budweiserem?). Upadła i przeszła kilka kroków na czworakach, zanim znowu dźwignęła się do pionu.

Za nią ziemia drżała z każdym krokiem tego człowieka. Ale czy to w ogóle był człowiek? Garbił się, tak jakby wolał biec na czworakach. Był coraz bliżej. Kiedy biegła, bolały ją podskakujące piersi i żałowała, że nie włożyła stanika. Znowu się potknęła, tym razem o jakiś kamień. Gdy próbowała wstać, dostrzegła, że ktoś przed nią stoi. Nie ten mężczyzna, tylko grupa ludzi. Niskich - a może niektórzy z nich się pochylali? Poszukiwacze!

„Ratunku!” - próbowała krzyknąć, ale wydała z siebie tylko niewyraźny szept.
- YYhhunku.

Zbliżyli się i wtedy zobaczyła, że blask księżyca odbija się od ich czarnych szalonych oczu. Czołgała się po pokrytej liśćmi ziemi, bo bała się wstać. Za nią był nagi mężczyzna, jednak ci tutaj okazali się gorsi.

Z cienia wyłoniło się ich jeszcze więcej. Nie wiedziała ilu. Za bardzo się bała, żeby liczyć. Ich boscie stopy pokrywała ziemia, tak jakby tutaj mieszkali. W większości dzieci mniej więcej w wieku Jamesa Walkera i kilkoro starszych. To byli ci, którzy z powodu choroby nie przyszli do szkoły. Choć teraz nie miało to znaczenia, nie mogła oprzeć się myśli: czy fajne dzieciaki przychodzą w jakieś nowe miejsce?

- Hej, Jeannie, zgubiłaś się? - zapytał Justin Ross.

Garbił się tak bardzo, że czubkami palców dotykał ziemi. Przez dziesięć lat siedział w ławce za nią. Przez dziesięć lat ją dręczył. Ale teraz był jakiś inny. Chudszy. Bledszy.

Wstała i skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby budowała barierę, która ją ochroni. Która uczyni ją niewidzialną, tak jak wtedy, kiedy oglądała z tatą telewizję. Sprawia, że oni zostawią ją w spokoju.

- Nie, ona po prostu szuka swojej mamy, tej, co uciekła - powiedziała Liesa Perry, która kupowała sobie niebieski cień do oczu Chanel za dwadzieścia trzy dolary.

Miała go teraz na powiekach, ale reszta jej twarzy była wychudzona i blada.

- Ukradłaś tę sukienkę, Jeannie? Pewnie tak. Twojemu tacie starcza forszy tylko na chłanie - powiedziała Jackie Wyatt, która w siódmej klasie napisała na tablicy „Jean Rizzo jest do niczego”.

Jackie straciła wszystkie włosy i Jean przemknęło przez myśl, że właśnie odkryła przypadkiem pewną straszliwą prawdę: znane i lubiane dzieciaki to potwory.

- Nie - wyszeptała.

Liesa miała czerwone usta, ale ich kolor nie pochodził od szminki. Jean jęknęła, a potem uderzyła o coś ciepłego i twardego. Odwróciła się. Mężczyzna klaskał i śmiał się, jakby bawili się w jakąś grę. Koszulę miał rozpiętą.

Rozejrzała się we wszystkie strony, ale nie było już gdzie uciekać. Czy powinna krzyczeć? Czy poszukiwacze ją usłyszą?

Nagle poczuła znajome szarpnięcie. Jeden ze stojących za nią dzieciaków skubał jej włosy, kosmyk po kosmyku. Wiedziała, że to Justin, bo dokuczał jej tak codziennie od dziesięciu lat. Usłyszała, jak szepce:

- Myślę, że ukradłaś tę tanią sukienkę. Myślę, że powinni cię ukarać.

Jej instynkt wziął górę. Zamachnęła się, trafiając w wilgotną dziurę w brzuchu nagiego mężczyzny. Dłoń jej poczerwieniała od krwi, a mężczyzna się zachwiał. Z ust popłynęła mu krew, upadł na kolana. Wykorzystała ten moment. Pobieгла.

Nie dotarła daleko. Justin dogonił ją i złapał za ramiona. Upadła do tyłu.

Szpilki i igły, igieł i szpilek skrzynka, zawsze się śmieje szczęśliwa dziewczynka, pomyślała. Naprzód, drużyno! Justin pociągnął ją po ziemi. Szarpała się, dopóki oni wszyscy, nawet ten nagi mężczyzna, jej nie przytrzymali.

- Uch - wykrztusiła, co równie dobrze mogło zmienić się w „cholera”, jak i prośbę, by choć raz dali jej spokój.

Leżąc, patrzyła na ich czarnookie twarze. Uśmiechali się szeroko, jakby to było zabawne. Zrozumiała, że mężczyzna zagonił ją tu specjalnie. To pułapka.

- Co ja wam zrobiłam? - wyszeptała.

Mieli cuchnące oddechy. Próbowwała się odczołgać, ale trzymali ją za ręce. Ktoś usiadł na jej nogach. Widziała swoje odbicie w ich czarnych oczach: tania kraciasta sukienka rozerwała się na szwie i piersi wystawały zza materiału. Próbowwała zakryć je dłońmi, ale ręce miała przygwożdżone. Oni zobaczyli jej tajemnice: znamię w kształcie motyla i proste czarne włosy okalające brodawki. Dlaczego mnie nie lubicie? - zastanawiała się. Taka jestem zła?

W tych dwudziestu czarnych kulach przypominających pajęczce oczy widziała samą siebie. Żyła w tym odbiciu, a ono żyło w niej. Nieżywa Jeannie i żywa Jeannie uśmiechały się i machały do siebie. Skamlała rozpaczliwie, lecz po chwili przestała skamleć i zatonąła w czerni.

Justin obnażył swoje idealnie proste zęby, a potem to samo zrobiły Liesa, Jackie oraz pozostali.

- Jedzenie - powiedział Justin, chociaż właściwie to nie brzmiało jak mowa.

Może wybelkotał „eeeanie” czy coś w tym rodzaju, tak że mogłaby sobie nawet wyobrazić, że mówi do niej „kochanie”.

Nie chciała, by widzieli jej łzy, ale miała odsłonięte piersi i tak bardzo się wstydziła. Starła się powstrzymać od zrozumienia tego, co oczywiste - że oni żywią się w tym lesie.

Ktoś, może Jackie, ugryzł pierwszy. Próbowwała to w sobie zdusić, jednak ból okazał się zbyt wielki. Wrzasnęła.

PODZIELONY DOM

- I to było najgorsze! - powiedziała Maddie Wintrob. - On zjadł to dziecko. On i Enrique właśnie wrócili na rowerach z komisariatu, gdzie zgłosili odnalezienie szkieletu dziecka, a także żywego Alberta Sanguine'a.

- To brzmi strasznie - rzekł Fenstad.

Cała czwórka siedziała w pokoju. Maddie i Enrique na jednej kanapie, a Fenstad i Meg na drugiej. Rok temu Maddie stuknęła tu w drewnianą podłogę w dziecięcych butach do stepowania, chociaż wcale nie stepowała; po prostu lubiła być głośna. No, może nie rok temu. „Tadam” - krzyczała, rozpościerając ramiona na koniec każdego koślawego występu.

Właśnie skończyła opowiadać o swojej wyprawie do lasu. Dlaczego znalazła się właśnie tam, a nie w szkole, pozostawało tajemnicą. Fenstad mógł się domyślać. Kiedy miał osiemnaście lat, robił to samo z niejaką Joanną „Giggles” Streibler. Ale gdy popatrzył na swoją córkę, tę psychodeliczną, nastroszoną gazelę o jaskrawych barwach, i zestawiał ją ze sklepikarzem z ledwo sypiącym się wąsikiem, wolał się nie domyślać.

- Ja się po prostu cieszę, że nic ci nie jest - stwierdziła Meg.

Fenstad pokiwał głową, lecz szczęki miał zaciśnięte, a krew się w nim gotowała. Patrzył przez wykuszowe okno, więc nie spostrzegli, jak bliski jest wybuchu. Skupiał się na świeżo skoszonym trawniku, na kwitnących dereniach, na samochodach przejeżdżających ulicą i na widoku rozciągającym się ze szczytu wzgórza. Ich dom w stylu wiktoriańskim był duży i imponujący. Świetnie się nadawał dla czteroosobowej rodziny. Czuł się dumny z tego, co zbudował, nawet jeśli cały świat uparł się, by teraz to rozebrać, deska po desce.

- Jesteście pewni, że to był Albert? - zapytała Meg.

Nogę miała opartą na stoliku stojącym między kanapami. Dzisiaj rano kochali się najpierw na tej sofie, na której właśnie siedzieli a potem na łóżku. Twarz wciąż jej jaśniała, a jedyną oznaką, że nie cieszy się, że padło imię Alberta, było drapanie fragmentu stopy wystającego spod gipsu. Miała długie paznokcie, więc dźwięk był głośny jak ćwierkanie świerszcza.

- Tak. Ale był jakiś dziwny. Nie chodził jak człowiek. - Enrique mówił bezbłędną angielszczyzną, lecz z wyraźnym obcym akcentem. - Kiedy nas zobaczył, uciekł. Skakał jak jakieś zwierzę. - Pokazał ten ruch, zakrzywiając palce w szpony i nachylając się. - To było nienaturalne. Na policji nam nie uwierzyli, ale to był Albert Sanguine.

Meg zeszywniała. Czy to możliwe? Czy Albert wyskoczył przez okno z pierwszego piętra, a teraz siedzi w lesie? Jak każdy paranoik miał różne urojenia, ale cechowało je coś rzadkiego - spójność. Przez sześć lat nigdy nie zmienił swojej opowieści: twierdził, że coś z lasu pod Bedford zagnieździło się w nim i go nie opuszcza.

Czy właśnie to coś go wzywało przez cały ten czas? - zastanawiał się Fenstad. Pokręcił głową. Nie, Albert Sanguine nie żył. Wkrótce ktoś poczuje odór jego gnijącego ciała w jakimś kącie szpitala, gdzie grzebał, szukając spirytusu. Dzieciaki coś zobaczyły i ogarnięte paniką, nadały temu twarz Alberta. To jedyne możliwe wytłumaczenie.

- Gdyby to naprawdę był on, i tak nie mógłby wam zrobić krzywdy. To, co widzieliście, byłoby przyływem adrenaliny u umierającego człowieka - oznajmił.

Meg nadal się drapała. Skóra jej się zaczerwieniła, położył więc dłoń na jej dłoni, chcąc ją uspokoić.

Maddie wzięła głęboki oddech.

- Tato, myślę, że on coś zrobił temu dziecku - powiedziała.
- Powiedziałaś, że to był jakiś szkielet - odparł. - Pewnie z Bedford, sprzed pożaru. Pewnie jakiś poroniony płód, który porzuciła tam matka.
- Na pewno nie - upierała się Maddie. - Całą skórę miał wyschniętą i połamane kości.

Widział, że coraz bardziej się złości.

Normalnie zaczęłyby uspokajać córkę, ale to Enrique Vargas przesuwiał teraz kciukiem tam, gdzie stykały się jej łopatki.

Od kiedy zgłosił się do wojska, zaczął spędzać więcej czasu w ich domu. Wieczorami przesiadywali z Maddie na ganku i szeptali do siebie. Nie było to jakieś bez troskie poszeptywanie. Było intensywne, poważne, pewnie zawierało płynące z głębi serca zapewnienia o wiecznej miłości. Fenstad pomyślał, że pierścionek zaręczynowy jest już w drodze. Coś taniego, od czego Maddie pozielenieje palec.

- Ono miało połamane kości! - powtórzyła. - To nie było naturalne!

- Kochanie - powiedziała Meg. - To mogło zrobić jakieś zwierzę.

Maddie wyduła wargi. Enrique odsunął się od niej, jakby wiedział, na co się zanosi. Przez sekundę czy dwie drżały jej usta. W trzeciej sekundzie wybuchła. Żyłki na szyi nabrzmiały jak postronki, zaczęła przyskać śliną.

- Ten facet miał zakrwawione wargi! Myślicie, że skąd była ta krew? Mamo, on coś jadł! On tam był i szedł po ciebie. Dlaczego mi nie wierzysz? Ty nigdy mnie nie słuchasz. On zjada dzieci!

Meg wytarła twarz dłońmi. Fenstad pomyślał o aspirynie w apteczce. A może tylenol zadziałałby szybciej? Nie, lepiej aspiryna, ją mógł rozgryźć.

Patrząc na Maddie, przypomniał sobie, jaki sam kiedyś był. Nasączony emocjami, jak reaktor atomowy bez wentyla bezpieczeństwa. Meg nie miała pojęcia, po kim jej córka odziedziczyła skłonność do hysterii, on jednak wiedział. Przypominali siebie bardziej, niż chciał przyznać, tyle że on nauczył się trzymać emocje za kolejnymi murami, a Maddie się w tych emocjach pławiła.

Dłoń Meg pod jego dłonią zacisnęła się w pięść.

- Madeline Wintrob. Przestań wygadywać bzdury - powiedziała surowo. - Albert Sanguine nie zjadł tamtego dziecka. Cieszymy się, że nic ci się nie stało. I rozumiemy, że to było coś poważnego. Ale nie przesadzaj.

Maddie zmrużyła powieki. Jej brwi zbiegły się w jedną linię, jak u Meg.

- Dlaczego ktokolwiek miałby zostawiać w lesie swoje dziecko? Nawet jeśli urodziło się martwe, dlaczego miałby je wyrzucać?

- Prawdopodobnie matka była nastolatką, bez męża - odparła Meg.

Maddie popatrzyła na ojca, a potem znowu na matkę.

- Och, daj spokój - burknęła.

- Domyślam się, że wyszłaś ze szkoły wcześniej? - spytała Meg.

- Przepraszam. To moja wina - odezwał się Enrique i delikatnie wyciągnął gałązkę z fioletowych włosów Maddie.

Kiedy spostrzegł, że Fenstad na niego patrzy, zarumienił się. Zamiast rzucić gałązkę na stolik, wepchnął ją do kieszeni džinsów, niczym wstydlivy sekret. Fenstad był już pewien, co jego jedyna córka robiła w lesie. Ten sklepikarz za dychę ma się stąd wynosić. Natychmiast, zanim on rozgryzie wargi do krwi.

- To nie jest wina Enrique. To był mój pomysł - oznajmiła Maddie.

W Fenstadzie wrzała krew. Chciał zabić tego kościstego gnojka. Meg chwyciła go za rękę i ścisnęła. Mocno.

- Tyle to sama się domyśliłam, ale dobrze, że nam to mówisz - powiedziała, a po chwili dodała: - Masz szlaban.

- Mamo! - zachnęła się Maddie. - Jestem w ostatniej klasie. Nawet nie muszę chodzić na te lekcje. Uczymy się tam, jak ugotować cheez whiz w mikrofalówce. Kompletna żenada.

- Na tydzień - nie ustępowała Meg. - Po szkole będziesz szła do biblioteki i tam odrobiła lekcje, dopóki po ciebie nie przyjadę. Robię to dla twojego dobra. Jeśli to, co powiedziałaś, jest prawdą, Albert wciąż tam może być. Dopóki policja go nie znajdzie, nie chcę, żebyś jeździła rowerem.

- Mówisz serio? - upewniała się Maddie.

Fenstad pojął, że jego żona to prawdziwy geniusz. Enrique za parę dni wyjeżdża na szkolenie, więc gdy szlaban Maddie się skończy, jego już nie będzie. Żadnej ucieczki kochanków, żadnego taniego pierścionka.

- Żadnych telefonów - ciągnęła Meg. - Żadnych wycieczek do lasu. Żadnych wizyt u Enrique w Puffin Stop.

- Nie ma mowy! - wrzasnęła Maddie. - Davidowi nigdy byś czegoś takiego nie zrobiła. Nawet za milion lat. Nigdy nie zrobiłam niczego złego, ale ty zawsze traktujesz mnie jak wariatkę! Nie potrzebuję ochrony. Potrafię sama o siebie zadbać.

- Kochanie - powiedziała Meg - poszłaś na wagary.

Szturchnęła łokciem Fenstada.

- To dla twojego dobra - dodał posłusznie.

Maddie spojrzała na ojca i przez chwilę wyglądała jak Meg podczas swoich najgorszych ataków złości.

- Zawsze bierzesz jej stronę. Ty w ogóle nie masz kręgosłupa. Myślisz, że nie wiem, o co chodzi, ale ja dobrze wiem. To wszystko dlatego, że on jest Meksykańcem! Enrique zeszywniał.

Maddie poderwała się z kanapy, lecz nigdzie nie poszła. Normalnie byłaby już w połowie drogi do swojego pokoju, ale przecież nie mogła zostawić Enrique.

Fenstad zmarszczył brwi.

- Maddie Bonelli Wintrob, nigdy nie używaj takich słów w tym domu.

- Przepraszam, tato.

Poczerwieniała, bo dotarło do niej, że mogła zranić uczucia swojego chłopaka. I rzeczywiście Enrique wyglądał na zdruzgotanego.

- Dziękuję za gościnę, pani Wintrob - powiedział, wstając.

- Wychodzisz? - spytała Maddie, wyraźnie zawstydzona.

- Tak - odparł.

Różnicy wieku i dojrzałości między nimi normalnie nie było widać, teraz jednak Fenstad ujrzał ją wyraźnie. Ten młody mężczyzna miał rodzinę na utrzymaniu, a Maddie chciała nauczać masy, jak ważny jest recykling. Enrique objął ją przelotnie i nim zdołała zaprotestować, ruszył do frontowych drzwi. Fenstad poczuł ucisk w dołku, kiedy dostrzegł łzy w jego oczach. Coś jakby współczucie.

Meg sięgnęła przez stół i złapała córkę za rękę.

- My po prostu sądzimy...

Maddie wyrwała dłoń i zacisnęła w pięść.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła.

Aż się trzęsła ze złości i Fenstad przez chwilę myślał, że uderzy matkę.

- Myślicie, że jesteście tacy mądrzy, ale tak naprawdę jesteście parą kretynów - rzuciła lodowato.

Poczuł się, jakby dostał cios w żołądek i uszło z niego powietrze. Maddie obserwowała ich reakcję. Cokolwiek zobaczyła, sprawiło, że skrzywiła się z odrazą. Poszła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Kilka sekund później muzyka zagrzmiała tak głośno, że aż czuł wibracje basów.

Spojrzeni po sobie z Meg i pokręcili głowami. Obojgu brakowało oddechu, jakby właśnie zakończyli jakiś wyścig. Miał ochotę pójść za Maddie na górę i wszystko odkręcić.

Zacznijmy jeszcze raz, od początku, chciał powiedzieć.

- Kiedy ostatni raz dostała szlaban? - spytał.

- Nigdy. - Meg uśmiechnęła się smutno. - A robiła przecież gorsze rzeczy niż zerwanie się z lekcji.

Fenstad pokręcił głową.

Przez jakiś czas milczeli.

Na górze łomotała muzyka. Położył dłoń na udzie Meg. Nie wzdrygnęła się, tylko przysunęła bliżej, a on przypomniał sobie, jak uprawiali seks tego ranka. Maddie w końcu minie ten szal, tak jak wszystkie humory. Minie jej nawet miłość do Enrique.

- Wkurzyła się - stwierdziła Meg.

- Przejdzie jej.

- Tak. Ale ja wcale nie miałam na myśli Alberta, kiedy dawałam jej ten szlaban.

- Trochę Alberta, trochę kogoś innego.

Znowu zaczęła drapać się po stopie. Zatrzymał jej rękę, złożył kartkę papieru i wsunął pod gips. Meg zamruczała z zadowoleniem i przymknęła oczy.

- Ona się nigdy nad niczym nie zastanawia - powiedziała. - Wyszłaby za niego, gdyby tylko ją o to poprosił, a wtedy można by zapomnieć o Uniwersytecie Browna. Jest taka rozpuszczona. Nie ma pojęcia o pracy i o pieniądzach. Enrique to miły dzieciak, ale zmarnowałby jej życie.

- No, to znacznie lepszy powód, żeby dać jej szlaban.

- To tylko... Po prostu widzę te wszystkie złe rzeczy, jakie mogą się jej przytrafić, i chcę ją chronić. Jest taka wrażliwa. Nie chcę, żeby to się zmieniło, ale Maddie jest już prawie dorosłą kobietą. Nie możemy nadal traktować jej jak dziecka, bo zmienimy ją w kalekę.

Na górze muzyka nadal dudniła, a teraz słyszeli jeszcze odgłosy walenia w ścianę różnymi przedmiotami. Książki? Lampa? Któż to wie?

- Poczekajmy - powiedział Fenstad. - Zaufaj mi. Ona się uspokoi.

Meg wzruszyła ramionami.

- Zmęczyłam się już zastanawianiem nad tym wszystkim. Potrzebuję aspiryny.

- Ja też - odparł.

GRUBE DZIECI KASZLĄ

Nadejście piątkowego poranka oznaczało, że James Walker pozostaje zaginiony już od trzech dni. Ostatniej nocy Fenstad nie spał dobrze. Około trzeciej Maddie włączyła *God Save The Queen* Sex Pistols tak głośno, że miał wrażenie, jakby od tego hałasu trzęsły mu się kości.

- To chyba jakieś żarty - zazgrzytał głos Meg w ciemnościach obok niego. - Czy Maddie jest teraz punkową?

Zaczął się podnosić, ale go powstrzymała.

- Tylko tego nam brakuje, żebyś wszedł do niej, kiedy jest naga. Zacznie krzyczeć o kazirodztwie.

Meg wyskoczyła z łóżka i bez kul pokuśtykała korytarzem. Fenstad usłyszał energiczne pukanie, a potem odgłos otwieranych drzwi.

- Dostyc, moja panno. Chyba zwariowałaś. Natychmiast wyłącz to cholerstwo!

Przy śniadaniu wszyscy troje wyglądali, jakby odwirowano ich w pralce. Kędzierzawe włosy Meg poskręcały się jak po trwałej ondulacji. Od środy miała na sobie tę samą koszulę nocną. Oczy Maddie były zaczerwienione i spuchnięte po płaczu. Kontuzja wyłączyła Meg z prac domowych, więc Fenstad musiał włożyć najmniej śmierdzące dżinsy spośród znalezionych w koszu na brudną bieliznę. Wszystko to razem sprawiło, że kłótnia stała się nieunikniona.

Meg wskazała sznurek podtrzymujący za duże spodnie córki w szkocką kratę.

- Po śniadaniu masz założyć pasek - oznajmiła.

Maddie rąbnęła widelcem o talerz tak mocno, że odłamek porcelany jak pocisk przeleciał jej koło nosa.

- Dlaczego nie dasz mi spokoju? - warknęła.

- Bo ubierasz się jak błazen - odparła Meg.

Maddie zanosła się płaczem.

- Chcesz, żebym wyglądała ładnie i była szczupła, ale nie była anorektyczką, żebym chodziła na randki z odpowiednimi ludźmi, takimi, którzy nie są Enrique. Ale ja jestem istotą ludzką, a ty o tym nawet nie pomyślisz.

Wtedy, oczywiście, zaczęły się wrzaski. Fenstad wyłączył się na chwilę. Rozmyślał o czarnym psie ze snu. Który z sąsiadów ma takiego owczarka niemieckiego? Nie pamiętał.

Gwałtownie wrócił do terażniejszości, gdy Maddie obwieściła:

- Jak wyjadę do college'u, to już nigdy nie wrócę! Wtedy będziecie mogli rozmyślać o własnym głupim życiu i o tym, jacy jesteście znudzeni, zamiast mi rozkazywać!

Głos miała przeszywający, pełny pasji.

- Czyżby? A kto wtedy będzie płacił za te twoje błazeńskie ubrania? - odparowała Meg.

No i zaczęło się na dobre. Fenstad starał się ignorować awanturę. Ilekroć dawał się wciągnąć, napięcie jeszcze rosło, w końcu więc opanował trudną sztukę trzymania języka za zębami. Wstał od stołu. Nawet tego nie zauważyły, pochłonięte bitwą na wściekłe spojrzenia. Żadna nie pożegnała się z nim, kiedy wychodził do pracy.

W szpitalu Val wręczyła mu plik małych żółtych karteczek z wiadomościami.

- Pięć z automatycznej sekretarki, a reszta z zeszłej godziny - powiedziała.

Wziął głęboki oddech. W jego głowie ujadał czarny owczarek niemiecki. Val jak zwykle związała włosy w kucyk. Na górnej wardze wyskoczyła jej opryszczka wielkości gałązki kalafiora. Była brzydka i w tej chwili jej za to nie cierpiał. Nie cierpiał bardziej od Alberta, od swojej samolubnej żony, pokręconej córki i zniewieściałego syna. Bardziej od swoich pacjentów i Enrique Vargasa. Złość w nim płonęła; pomyślał, że przydałaby mu się drzemka.

- Co się dzieje? - spytał.

- Dzisiaj rano wszyscy powariowali - odparła Val, kompletnie nieświadoma, że jej szef właśnie marzy, aby jakiś pociąg przebił się przez ścianę i ją zmiażdżył niczym Annę Kareninę. Postukała się flamastrem w czoło, zostawiając na nim czarną kropkę, a potem dodała: - Lila powiedziała, że jej dzieci są niegrzeczne. A potem coś o syropie na kaszel.

Spojrzała pytająco na Fenstada, a on skinął głową na znak, że wie, o co chodzi.

- W południe jesteś wolna, więc powiem jej, żeby przysłała z dziećmi. Jeśli nie może czekać tak długo, każę jej przyjść na ostry dyżur. Nie musisz do niej oddzwaniać. Co dalej?

- Jodi Larkin twierdzi, że jej córka jest chora. Rzęzący oddech czy coś takiego. Ale ona uważa, że to choroba psychiczna. Chce, żeby pan je odwiedził. Carl Fritz potrzebuje więcej ritalinu. Ten lekoman połknął już wszystko z ostatniej recepty.

Fenstad pokręcił głową. Fritz znowu zużył cały swój zapas. Dzwonił co najmniej dwa razy w miesiącu, próbując wyłudzić kolejne recepty.

- Ludzie z terapii grupowej dziwnie się zachowują - ciągnęła Val. - Sheila zamknęła się w swoim pokoju i nikogo nie wpuszcza. Mówi, że Albert to diabeł i idzie po nią... Diabeł albo szatan, nie pamiętam dokładnie. To jakaś różnica?

Nie była zbyt bystra. Mogłaby spędzić całe życie, rozmyślając nad głupotami i myląc je z głębią. Odchrząknął, a Val mówiła dalej.

- Dzwonił brat Brama, bo Bram złapał przeziębienie, a on myśli, że pan może mu coś zapisać. Powiedziałam, że pan nie może, a Bram musi iść do internisty.

Fenstad wziął głęboki oddech.

- Oni naprawdę powariowali.

Po dwóch odwołanych sesjach (obaj pacjenci dostali przeziębienia), około południa zjawiała się Lila z dwojgiem swoich dzieci, Alice i Aranem. Miała na sobie żółto-czarny dres, który skrywał wszystkie jej krągłości. W pierwszej chwili jej nie poznał, bo zawsze widywał ją w pełnym makijażu i na wysokich obcasach. Dzieci Lily przypominały słonie szukające schronienia pod palmą. Gestem wskazał kanapę, na której usiedli we trójkę.

Alice miała na sobie plastikowe sandały na obcasie, dzinsy biodrówki i obcisłą bluzkę bez ramiączek, spod której wylewał się brzuch z gołym pępkiem. Aran był w podkoszulku i dzinsach. Jego ciemne włosy lśniły od tłuszczu.

- Co się dzieje? - spytał Fenstad.

Opatrunek na nadgarstku Lili wystawał spod rękawa dresowej bluzy. Zakryła go nerwowym ruchem. Nie uśmiechała się ani nie starała się go kokietować. Nie był pewien, co to oznacza. Albo on włamał się do jej powszedniego dnia, albo ona się załamała.

- One nie są sobą - odparła. - Powinnam była to dostrzec. Próbowaliśmy mnie nabrać, udając miłe. Zazwyczaj mnie nienawidzą.

Dzieci miały tak bardzo podkrążone oczy, jakby obrysowały je sobie węglem. Duża nadwaga, blada skóra i ospałość stanowiły wyraźne oznaki niewłaściwego odżywiania.

- Moje oczy - powiedział Aran.

Zabrzmiało to jak rozkaz.

Lila wstała i podeszła do okna.

- Słońce je razi - wyjaśniła i zaciągnęła zasłony, tak że w pokoju zrobiło się ciemno,

Fenstad podeszedł do niej, żeby mogli porozmawiać na osobności. Nie zaskoczyło go, że jej oddech pachnie wiśniami.

- Piłaś robitussin - stwierdził.

- Nie o to chodzi - odparła.

Bez makijażu wyglądała młodziej i ładniej. Grzbiet jej nosa znaczyła linia piegów. Przypomnił sobie, że poślubiła znacznie starszego od niej Arana seniora, kiedy miała dziewiętnaście lat.

Lila złożyła dłonie w trąbkę wokół jego ucha.

- Weszło w nie coś złego - szepnęła. - Nie wiem, jak się tego z nich pozbyć.

Miała wręcz obezwładniający oddech. Fenstad pomyślał o zespole Munchhausena albo delirium wywołanym przez robitussin. Zastanawiał się też nad całkowitym załamaniem nerwowym. A te biedne dzieci na wszystko patrzyły. Przypomnił sobie matkę i jej spocone czarne kędziory na łóżku z baldachimem.

Najpierw zajął się dziewczynką. Miała zaledwie trzynaście lat, a ważyła chyba ponad sto kilo. Jeśli nie zmieni diety, około dwudziestki dostanie cukrzycy typu drugiego. Lila nie chciała przyznać, że jej córka jest grubym krówskiem. Ktoś w tym domu, ta sama osoba, która kupowała robitussin, kupowała też mnóstwo słodyczy i chipsów.

- Weź głęboki oddech - polecił Alice.

Spróbowała to zrobić, ale wyraźnie walczyła z wydzieliną w oskrzelach. Zarzęziła, potem się rozkaszała, jakby mogła napełnić powietrzem tylko połowę płuc. Ujął jej pulchny nadgarstek. Był chłodny i wilgotny. Serce biło w rytmie około pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Jak na dziewczynkę jej tuszy, pięćdziesiąt uderzeń to niebezpiecznie mało.

- Teraz ty - powiedział do chłopca.

Aran był prawie tak potężny, jak siostra, ale na szczęście miał na tyle duże mięśnie, że w szkole raczej mu nie dokuczano. Wyglądał na jakieś piętnaście lat; Fenstad przypomniał sobie, że jest rezerwowym w szkolnej drużynie zapaśniczej. Rzeźił jak Alice, niczym gruzlik. Oboje mieli czerwoną wysypkę na rękach i głowie.

- Alergia? - zapytał Fenstad.

- Nie, ale przez kilka ostatnich nocy zostawiałam otwarte, okno, żeby się wywietrzyło, więc może wleciały jakieś owady - odparła Lila.

Aran zakaszał. Nie zasłonił ust i drobina flegmy trafiła Fenstada w policzek. Przyłgnęła na kilka chwil, a potem spłynęła po brodzie. Wytarł twarz chusteczką.

- Aran! - krzyknęła Lila. - Natychmiast przeproś pana doktora!

Dzieciaki zaczęły się śmiać, a Fenstad zmrużył oczy. Przecież są już na tyle duże, by wiedzieć, że ich matka jest bardzo wrażliwa. Dlaczego ją drażnią?

- Powinieneś słuchać matki - skarcił chłopca.

Lila oplótła ramionami szczupłą talię. Uświadomił sobie, że już dawno powinien zlecić jej hospitalizację. Nieważne, jaki jest ojciec dzieci. One już były wrakami.

- Zabieram je na ostry dyżur - powiedział Fenstad. - To może być zapalenie płuc.

- Ja też na początku tak myślałam - odparta. - Ale one nie są chore. Są odmienione.

- Chodźcie - zwrócił się do dzieci i gestem dał im znak, aby wstały.

Aran to zrobił, ale Alice potrzebowała pomocy.

Gdy Fenstad wziął ją za ramiona, sadło pociągnęło ją do przodu i musiał ją łapać, żeby się nie przewróciła. Pochyliła się ku jego piersi i powąchała koszulę. To wcale nie

był miłe i na chwilę zapomniał, że to dziecko. Oddech Alice nappełnił go odrazą. Pachniał siarką i zgnilizną. Lila miała rację. Z tymi dziećmi jest coś nie tak.

- Chodźcie - powtórzył i zaprowadził je na ostry dyżur.

Izba przyjęć była zapełniona po brzegi. Zastał tam Brama, Sheilę i najmniej połowę z czterdziestu pacjentów, których widywał regularnie. Wszystkie łóżka były zajęte. Fenstad zmarszczył brwi. Przecież wrzesień to jeszcze nie sezon na grypę!

Pacjenci kasłali w każdym kącie. Wycierali flegmę wszystkim, co mieli pod ręką: papierowymi ręcznikami, chusteczkami, papierem kancelaryjnym, nawet rękawami koszul.

Fenstad czuł coraz większy niepokój. Czy to jakaś epidemia? Czy jakaś substancja drażniąca drogi oddechowe właśnie dostała się do powietrza? Czy Maddie i Meg też zostały wystawione na jej działanie?

Ze schowka wyturlał dwa rozkładane łóżka i kazał dzieciom się na nich położyć. Nie podobał mu się ich stan. Źrenice miały rozszerzone i rzęziły. Nadal się uśmiechały, ale mógł się założyć, że ich krew otrzymuje nie więcej niż siedemdziesiąt procent potrzebnego jej tlenu. Z czego więc, do diabła, tak się cieszą?

Ogarnął go strach. W powietrzu unosił się ten sam siarkowy zapach co w oddechu Alice, a to oznaczało, że choroba rozprzestrzenia się drogą kropelkową.

Odwrócił się do Lili.

- Dzwonię do twojego męża.

Widział, jak bardzo stara się opanować emocje, ale zdradzały ją drżące ręce i rozbiegane oczy.

- Nie - powiedziała.

Kąciki ust miała białe od zaschniętej śliny. Upiła się robitussinem. Pewnie rano wypiła całą butelkę, bo nie wiedziała, co robić, gdy sobie uświadomiła, że jej dzieci poważnie zachorowały. A potem wmówiła sobie, że to w porządku, że nie zabrała ich do szpitala, bo przecież to nie są jej rodzone dzieci.

Fenstad posadził ją na krześle.

- Weź głęboki oddech - polecił.

Posłusznie zaczerpnęła powietrza, ale potem wybuchła płaczem.

- Pan nie rozumie - wykrztusiła przez łzy.

- Podjęłaś słuszną decyzję, przychodząc tutaj. Dzieci są chore. A infekcja mogła zmienić ich osobowość, przynajmniej na jakiś czas. Ale ty też jesteś chora i musisz zostać tu na noc.

- Ja... ja wiedziałam! - zawołała.

- Co wiedziałaś?

Wytarła nos wierzchem dłoni.

- Od... początku... wiedziałam, że pan jest taki sam jak inni.

Posłała mu spojrzenie pełne złości.

- Pan myśli, że jestem za głupia, żeby wychowywać dzieci. Pan tylko udaje, że się o mnie troszczy, a tak naprawdę wcale się mną nie przejmuje, tak jak Aran senior. Moje dzieci się zmieniły, a pan nie chce tego powiedzieć, bo uważa mnie za złą matkę. A to on był zły, on był złym ojcem. Zniszczył je i potem zostawił. Myśli pan, że tak łatwo trzymać Alice z dala od jedzenia? Jak chowam chleb i masło, to ona wyjada cukier. Wczoraj w nocy oboje zjedli całe mięso, jakie było w domu. Na surowo! A kiedy chciałam ich tu przywieźć, Aran junior rozerwał mi opatrunek i - o Boże! - próbował zlizać krew. Mimo wszystko cały czas się staram. Ale ludzie tacy jak pan... nie chcą mi pozwolić.

Fenstad patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Decyzja była prosta, ale jej to niczego nie ułatwiało.

Znalazł sanitariusza i przekazał mu instrukcje.

- Te dzieci w żadnym wypadku nie mogą opuścić szpitala, dopóki nie zostaną zbadane przez lekarza i odebrane przez ojca - powiedział.

Potem kazał zamknąć Lilę w izolatce psychiatrycznej.

Gdy wychodził z izby przyjęć, krzyknęła za nim:

- Wiedziałam, że pan to zrobi! Pan zawsze jest taki zimny! Taki cholernie zimny!

Po powrocie do swojego gabinetu starał się nie myśleć o Lili. Zamiast tego myślał o czarnym psie ze swojego snu, o Enrique Vargasie i o Albercie Sanguinie. Myślał o Grahamie Nero i o swojej żonie w pokoju 69. Potem spojrzął na buty, by się upewnić, że dywan nie jest przesiąknięty krwią.

16.

NIENAWIDZĘ CIĘ!

W piątek rano Meg obudziła swędząca kostka. Drapiąc się, myślała, jak wczoraj kochali się z Fenstadem na kanapie. Napaleni jak para dzieciaków. Zabawne, jak takie napalenie może wszystko ułatwić. Dzięki niemu przypomniła sobie, co myślała o mężu tuż po ślubie. Wtedy nie istniał żaden problem, którego nie potrafiliby rozwiązać, żadne pytanie, na które błyskotliwy Fenstad Wintrob nie umiałby odpowiedzieć. Zawsze ją dziwiło, że jako specjalizację wybrał psychiatrię, bo był jedynym znanym jej mężczyzną, który nie smęcił bezustannie o swoich uczuciach. Ale on zawsze był spokojny i poukładany. W szkole stale trzymał się trochę z boku stronił nawet od innych lekarzy. Dopiero pomaganie ludziom z problemami zmieniało go z odludka w zaufanego przyjaciela.

Jadła śniadanie przy stole, a Maddie była właśnie w samym środku napadu złości. „Nigdy mnie nie słuchasz!” - krzyczała, odrywając kawałek grejpfruta. Jej palce były mokre od soku. Meg wyjrzała przez okno. Słońce jasno świeciło, trawnik był zielony, ale czegoś brakowało. Nie potrafiła określić czego. Miasto wyglądało ładniej niż obraz Normana Rockwella, a jednak... coś było nie tak.

- Szkoda, że Albert Sanguine nie uderzył cię mocniej! - krzyknęła Maddie i Meg ponownie skupiła uwagę na córce.

- Co powiedziałaś? - spytała.

Maddie spuściła wzrok i przełknęła ślinę. Jej fioletowe włosy opadały na oczy.

- Nieważne - wymamrotała.

Meg czekała, aż córką ją przeprosi. Trzy dni temu została napadnięta i miała złamaną nogę. W domu panował bałagan, bo ona nie mogła jeszcze sprzątać, a nikt w jej rodzinie nie wpadł na to, żeby choć trochę ogarnąć bałagan. Może właśnie dlatego przygryzała wargę, powstrzymując się od płaczu, ale chyba bardziej zabolęły ją słowa Maddie.

Spojrziała w stronę kuchni z nadzieją, że Fenstad przyjdzie jej na pomoc, ale już od kilku minut nie słyszała jego krzątania przy ekspresie do kawy. Jak przez mgłę przypomniła sobie odgłos silnika dobiegający z podjazdu. No tak. Wyszedł i nawet się nie pożegnał! To on zawsze był dobrym gliną, on był rodzicem, którego Maddie kochała bardziej. Nawet wczoraj zachowywał się, jakby zgodził się na szlaban tylko dla świętego spokoju.

Patrzyły na siebie.

Meg czekała na „przepraszam, mam, nie powinnam mówić, że się cieszę, że pobił cię jakiś wariat”.

Maddie odgarnęła z twarzy fioletowe włosy i obie kobiety zwały się w walce na spojrzenia.

Och, dziecko, pomyślała Meg. Masz już osiemnaście lat, a wciąż nie wiesz, na kogo się porywasz.

- Jedyna osoba, o którą się troszczysz, to David. Nie kochasz ani mnie, ani taty - oznajmiła Maddie.

Oczy Meg zwilgotniały. Pomyślała o ptaku, który umarł na jej rękach. Było jej głupio urządzać mu pogrzeb, więc wrzuciła go do śmietnika, na kupkę skoszzonej kawy. Teraz tego żałowała. Powinna była wykopać dla niego dołek za garażem, tam, gdzie spoczywały wszystkie domowe zwierzęta.

Gdzie podziewał się Fenstad w takich chwilach jak ta? Jak zwykle w pracy. A jeśli nawet nie był w pracy, to wędrował gdzieś w myślach. Czemu więc nie teraz? Po co czekać, aż córka pójdzie do college'u? Kiedy wręczy mu papiery rozwodowe, nawet nie będzie wiedział, co się dzieje. Wizja jego zszokowanej miny - Co za niespodzianka! Błyskotliwy Fenstad Wintrob pierwszy raz stracił rezon! - uspokoila ją na tyle, by zdołała stłumić łzy. Potem zastanowiła się: dlaczego zawsze myślę o takich strasznych rzeczach?

- Maddie, jak możesz mówić, że cię nie kocham - powiedziała, kiedy była już pewna, że głos jej nie zadrży.

Zielone oczy Maddie były zimne, a jej usta wykrzywione w gniewnym grymasie.

- Chciałabym, żebyś nie żyła - powiedziała.

Meg przestała się kontrolować. Uderzyła córkę w twarz. Mocniej niż powinna.

Maddie zatoczyła się, a Meg przez kilka długich chwil nie wiedziała, czy zrobiła córce krzywdę. Na twarzy dziewczyny pojawił się czerwony ślad. Cztery linie ciągnące się ukosem od ucha do kącika ust. Maddie nie krzyczała. Pewnie była za bardzo zszokowana.

- Jeśli chcesz, żeby traktować cię jak kobietę, przestań zachowywać się jak dziecko - powiedziała Meg.

Wiedziała, że powinno jej być przykro, że powinna przeprosić córkę, ale nie chciała tego robić.

Pierś Maddie zafalowała, co wyglądało na początek ataku hysterii. Meg spojrzała w stronę kuchni, jakby miała nadzieję, że jest tam Fenstad. Może tylko wyjechał załatwić jakieś sprawy i już wrócił. Nie zobaczyła męża, ale zobaczyła zegar - wskazywał dziesięć po dziewiątej. Maddie nie może spóźnić się do szkoły, bo na pierwszej lekcji ma sprawdzian z matematyki.

- Wsiadaj do samochodu. Podwożę cię - oznajmiła Meg.

Jechały w ciszy. Maddie przełykała łzy, co do niej nie pasowało i pewnie znaczyło, że są szczerze. Ślad po uderzeniu coraz bardziej czerwieniał. Dziewczyna pocierała policzki z przesadną delikatnością, jakby była z porcelany. Cudownie, pomyślała Meg. Wezwie mnie wychowawca i oskarży o znęcanie nad dzieckiem.

Ona i Maddie właśnie wkroczyły do krainy wzajemnego okrucieństwa. Meg chciała to wszystko cofnąć. Chciała, żeby się nie stało. Ale się stało i już nie odstanie.

- Maddie... - zaczęła, choć nie wiedziała, co powiedzieć dalej.

Ma się poddać i pozwolić córce widywać się z Enrique? O to zaczęła się cała kłótnia, prawda? A może od tego błazeńskiego pasa ze sznurka? Me potrafiła sobie przypomnieć.

Radio było nastawione na poranną audycję ogólnokrajowi stacji. Spiker właśnie oznajmił, że liczba Amerykanów zabitych w Iraku przekroczyła cztery tysiące. Meg jęknęła. Tylu chłopców. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co by zrobiła gdyby jednym z nich był David. Jakże to okropne stracić kogoś, kogo się kocha. Maddie pociągnęła nosem i otarła go grzbietem dłoni. Patrzyła przez okno na piękny bezchmurny dzień.

Nagle Meg przysłała do głowy pewna myśl. Dziwne, że wcześniej na to nie wpadła. Zjechała na pobocze i zwróciła się do córki.

- Enrique to mądry chłopak - powiedziała. - Nic mu nie będzie.

Maddie westchnęła, nie odwracając twarzy od okna.

- Skąd możesz to wiedzieć? - szepnęła.

Krew odpłynęła jej z twarzy, przez co ślad po uderzeniu stał się wyraźniejszy. Meg uświadomiła sobie, że uderzyła własne dziecko.

Często marzyła, żeby dostać choć jeszcze dodatkowy rok z Maddie i Davidem jako dziećmi, bo naprawdę dorastali za szybko. Nawet jeśli skupiała na nich całą uwagę, pojawiały się rzeczy, których nie dostrzegała albo nie była na tyle mądra, by je od razu zrozumieć. Kochała ich tak bardzo, że aż nie chciała o tym myśleć, bo to ją przerażało. Dla dzieci zrobiłaby wszystko nie tylko dlatego, że były krwią z jej krwi. Gdyby Maddie nie urodziła się jej córką i była kimś obcym, i tak by ją oczarowała. Co więc sprawiło, że czasem chciały się rozszarpać na kawałki?

- Nic mu nie będzie - powtórzyła Meg. - Wróci cały i zdrowy i pójdzie do college'u.

Maddie odgarnęła włosy z twarzy i Meg zobaczyła krwawy ślad po jej obrączce, która przecięła skórę. Zagryzła wargi, by powstrzymać łzy.

- Uciekłabym z nim, ale sądzę, że on tego nie chce - wyznała Maddie. - Kocham go bardziej niż on mnie.

Meg pojęła, że jej córka jest naprawdę dzielna. I mądra.

- Enrique jest mężczyzną - powiedziała. - Kocha cię, więc chce być pewien, że będzie mógł cię utrzymać.

Maddie skinęła głową.

Wiem, ale...

- Tak?

Maddie przesunęła dłonią po szybie, zostawiając na niej ślad. Przejeżdżające samochody zwalniały, bo kierowców dziwiło, że saab Wintrobów stoi na światłach awaryjnych, przy zakazie parkowania przed szpitalem,

- On nigdy nie miał czasu na rozrywki i dlatego tam jedzie. Chce pić piwo i spotykać się z dziewczynami. Robić wszystko, czego nie robił do tej pory, bo musiał się troszczyć o rodzinę.

Mówiąc to, Maddie nie patrzyła na matkę. Przyglądała się śladom pary, jakie zostawiała na szybie.

Meg zmarszczyła brwi. Enrique nie jest facetem, który od czegoś ucieka. I uwielbia jej córkę. Ale ma zaledwie dwadzieścia lat i całe życie pracował w sklepie. Może Maddie ma rację. Biedna mała. Jakby naciągnięcie się do wojska nie było wystarczająco okropne.

- Chodź tutaj - powiedziała do niej,

Maddie nie posłuchała. Zamiast tego potarła ślad na twarzy, jakby spodziewała się, że matka zostawi jej kolejny. Ten gest wcale nie był na pokaz, przez chwilę Meg ujrzała siebie oczyma córki: kapryśną tyrankę, której celem nie jest dobro dziecka, lecz jego posłuszeństwo. Kogoś takiego jak jej stary dobry tatuś.

- Nie chcę się kłócić - zapewniła Meg, a w odpowiedzi Maddie pociągnęła nosem. Ten odgłos zawstydził Meg, bo zrozumiała, że wzbudza w córce strach. - Powiem ci coś. Wciąż masz szlaban, ale jeśli Enrique dostanie rozkaz wyjazdu, możesz z nim spędzić dzień.

Maddie zalała się łzami.

- O co chodzi? Co ja zrobiłam nie tak? - zapytała Meg.

Maddie pokręciła głową, przysunęła się do matki i wpadła jej w ramiona.

- Dzięki, mamó - powiedziała.

Przyciskała jej chorą nogę, ale Meg nie chciała psuć chwili, więc zacisnąwszy z bólu zęby, pozwoliła córce płakać.

- Tak za nim szaleję - szlochała Maddie. - Przepraszam, że powiedziałam to wszystko. To jego nienawidzę. Tatuś nigdy by ci czegoś takiego nie zrobił. Nigdy by cię nie opuścił.

Meg ugryzła się w język, by nie powiedzieć: Czasem chcę, żeby mnie opuścił, i odparła:

- Nie wszyscy są tacy jak tata.

Maddie pokiwała głową, jakby uważała Fenstada za kogoś doskonałego, a Meg poczuła znajome ukłucie zazdrości. Ale tym razem spróbowała dać sobie z tym spokój. Wszystkie córki mają prawo uważać ojców za bogów, nawet jeśli przez to bywają niesprawiedliwe dla matek.

- Nie powinnam była cię uderzyć, Maddie. Przepraszam. Ale to co mi powiedziałaś... Nie możesz mówić takich rzeczy.

Dziewczyna spuściła głowę.

- Wiem - szepnęła. - Powiedziałam to w złości.

17.

DANDYS

Meg podrzuciła córkę na ostatni przystanek gimbusa (Maddie pobiegła rozradowana do głównego wejścia, całkiem zapominając o odcisku dłoni na twarzy) i pojechała otworzyć bibliotekę. Wolontariusze mieli własne klucze, ale parking przed budynkiem zastała pusty. Pewnie gdy nie zobaczyli jej za biurkiem, stwierdzili, że mają wolne, i poszli na kawę. Weszła do pustego gmachu, włączyła lampy i pokuśtykała po industrialnym niebieskim dywanie.

Od kiedy stąd wyszła wczoraj wczesnym popołudniem, nikt nie zostawił wiadomości telefonicznej i niczego nie włożył do skrzynki na zwracane książki. Zastanawiała się, czy to szalejąca w mieście grypa przykuła stałych czytelników do łóżek.

Biblioteka przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Wczoraj trochę tu posprzątała, ale niewiele to dało. Książki i papiery walały się po podłodze. Na klawiaturze maca, w którego uderzył Albert, zachowały się jego krwawe odciski. Pleksiglas był cały porysowany. Nie wiedziała, skąd te ślady, dopóki nie zobaczyła na podłodze popękanej tarczy złotego seiko. Kiedy Sanguine nią rzucił, czuła się, jakby się stała nieważka, jednak wciąż pamiętała, aby chronić twarz przed uderzeniem. Lecąc, słyszała tylko szum powietrza w uszach.

Podniosła klawiaturę, na której zaschły wielkie jak kiełbaski odciski palców Alberta. Poczowała ucisk w żołądku. Czy on naprawdę jest w lesie?

Wyjrzała przez okno i powróciło to nieprzyjemne uczucie, które męczyło ją przy śniadaniu. Coś związanego z trawnikiem i drzewami. Wiał lekki wiatr, a wszystko dopiero zaczynało usychać i więdnąć. Na ulicy stało kilka samochodów, jednak zdecydowanie mniej niż zwykle. Było za cicho. Wszystko przypominało rysunkową lamigłówkę dla dzieci z cyklu *Co tu nie pasuje*, w której ptaki lecą do tyłu, a ludzie nie mają ust albo oczu.

A co, jeśli Albert miał rację? Jeśli naprawdę coś mieszkało w lesie i jakoś w niego weszło? Wtedy to by miało sens. W środe w bibliotece tak naprawdę nie byłby Albertem Sanguine'em. Byłby... kimś innym.

Wiedziała, że powinna mu współczuć. Pewnie już nie żył. Ale teraz najbardziej przerażała ją to puste miejsce. Chciała wracać do domu.

Krwawa smuga na klawiszu „shift” była na tyle wyraźna, aby ukazać odcisk palca Alberta. Meg próbowała wyczyścić klawiaturę, żeby wyglądała jak nowa, lecz w końcu wrzuciła ją do kosza. Potem pokuśtykała do sali dziecięcej. Tęczowy dywan był ściągnięty pośrodku i pochłapany krwią Alberta. W promieniach słońca wpadających przez okna unosiły się drobiny kurzu. Stary zegar tykaniem odmierzał sekundy. Wybił wpół do jedenastej. A co, jeśli Albert będzie jej szukał i tutaj przyjdzie? Jeśli zechce dokończyć to, co zaczął, i skrócić jej kark?

Bolała ją złamana kostka. Meg oparła się o ścianę i zaczęła płakać. Kogo ona próbuje oszukać? To nie w oczy Alberta spoglądała trzy dni temu. To Frank Bonelli dosięgnął ją zza grobu. „Gdzie ja popełniłem błąd?” To zdanie ją prześladowało, ale przecież tak zawsze było.

Wytarła oczy. Kolejny dzień z zamkniętą biblioteką nie zabije bogatych miłośników Bames & Noble z Corpus Christi. Nikt nie wypożycza książek, jeśli je może kupić. Postanowiła wrócić do domu. Chwyciła kule i zaczęła wyłączać światła. Kiedy na parking wjechało czerwone porsche, puls jej przyspieszył. Och, nie!

Rozejrzała się w poszukiwaniu kryjówki. Biuro miało przezroczyście ściany, więc tu on ją od razu znajdzie. Damska toaleta? To dobry pomysł. Ale właściwie po co ma się chować. On pewnie zabłądził po drodze do country clubu i chce zapytać, którą ma teraz jechać. Wątpiła, by pamiętał, że ona tu pracuje.

I wtedy Graham Nero wszedł przez podwójne drzwi. Nie zatrzymał się przy recepcji, tylko przemknął w stronę gabinetu Meg. Nigdy wcześniej tu nie przychodził, dlatego zaskoczyło ją, że wie, gdzie jej szukać. Przytknął do oczu złożone dłonie i spojrzał przez pleksyglas, rozglądając się. Potem kaszlnął kilka razy. O plastik uderzyły kropelki śliny. Nie wytarł ich. Słońce zalewało bibliotekę jasnym blaskiem. Graham odwrócił się i zaciągnął zasłony.

Z trudem przełknęła ślinę. To był tylko Graham Nero, ale sprawił, że zrobiło się ciemno, a ona nagle zaczęła bardzo nie lubić ciemności. Pokuśtykała przez boczne drzwi i stuknęła go w ramię.

- Szukasz czegoś?

Odwrócił się w jej stronę. Unoszący się wokół niego zapach miętowych altoidów aż wyciskał łzy z oczu. Kaszlnął.

Tym razem zasłonił usta chusteczką z monogramem wyhaftowanym wielkimi złotymi literami. Włosy miał błyszczące od pomady. Pomyślała, że chyba nie były takie przeredzone, gdy ostatni raz się widzieli. Przyjrzała się uważniej - Graham nosił tupecik! Przewróciła oczyma. Ale z niego dandys.

- Caitlin powiedziała mi, co się stało. Chciałem przyjść do szpitala, ale...

Rozłożył ręce, jakby odpowiedź była oczywista. Potem uśmiechnął się ciepło. Można by pomyśleć, że łączy ich głęboka miłość.

- W porządku. Dziękuję, że pomyślałaś - odparła Meg.

Graham objął ją w talii. Jego delikatne dłonie nigdy nie trzymały grabi ani nie zmywały naczyń. Nawet podbródek miał delikatny. Śmieszne, że przez jakiś czas wyobrażała sobie, że z nim ucieka.

- Tak się o ciebie martwiłem. Uratowałaś moją rodzinę.

Głos miał wyprany z emocji, jakby czytał z kartki.

- Graham, zabieraj te ręce.

Pochylił głowę i uśmiechnął się szerzej.

- Jestem ci wdzięczny, ale nie powinienem się spodziewać niczego innego.

Był blady, a pod oczami miał sine kręgi. Brązowe spodnie były pogniecione, a na kieszeni koszuli widniała okrągła czerwona plama. Niechlujny strój jak na kogoś, kto co rano mizdrzy się przed lustrem.

Trzepnęła go po dłoniach. Ścisnęła ją mocniej, jakby ten gest stanowił tylko część gry wstępnej. Ręce miał suche i zimne.

- Wracaj do żony — powiedziała.

Graham zmarszczył brwi. Ale wcale nie wyglądał na zasmuconego. To było takie zalotne zmarszczenie brwi.

- Nie mogę - odparł. - Caitlin odeszła.

Meg znówu trzepnęła go po dłoniach i tym razem puścił. Niestety, okazało się, że ją podtrzymywał. Straciła równowagę i upadła.

Chwycił ją pod pachami, a kiedy podnosił, dotknął jej piersi.

- Dowiedziała się o tobie i odeszła. To ten atak ją zmienił - oznajmił.

Zapach miętusów w jego oddechu zastąpiło coś zjełczałego.

Meg poczuła na twarzy uderzenie gorąca, wszystko dokoła zawirowało. Rozbiła jego małżeństwo, a przynajmniej przyczyniła się do tego. Tymczasem ten palant ją obmacywał. Próbowwała się wyrwać, ale chwycił mocniej.

- Przykro mi to słyszeć - wykrztusiła.

Zrobił taką minę, jakby miał złamane serce.

- Nienawidzę być sam - wyznał. - Wciąż o tobie myślę. Caitlin o tym wiedziała.

Dlatego odeszła.

Meg osłupiała. W ciągu miesiąca, który spędzili ze sobą, nigdy nie posunął się dalej niż do bezosobowych uprzejmości, takich jak „proszę” i „dziękuję”. Nie wiedziała, czy Graham wierzy w Boga czy chodzi do kościoła po prostu z przyzwyczajenia. Nie wiedziała, jaką kawę pije. Nie wiedziała nawet, czy umie podnosić duże przedmioty palcami stóp.

- To miłe - powiedziała - ale bądźmy szczerzy. Nie jestem pierwszą kobietą, którą zabrałeś do jakiegoś obscurnego motelu.

Graham odwrócił głowę i zakaszał. Plwociny wylądowały na dywanie. Pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli dostrzegła wysypkę. Na gładkim, bezwłosym karku pojawiły się krwawe punkciki.

- Meg, chodźmy coś zjeść. Jestem taki głodny.

Przeszedł ją dreszcz. Pomyślała o sympatycznym Albercie Sanguinie i monstrum, które w nim mieszka. Co, jeśli to naprawdę istnieje i teraz zagnieździło się również w Grahamie? Wkrótce obrócą się przeciwko niej wszyscy mężczyźni, którzy pojawili się w jej życiu. Złamią w niej ducha, tak jak zawsze chciał zrobić tata. Czy to właśnie tata ją nawiedza?

- Graham, ja jestem w pracy i powiedziała. - Nie mogę wyjść z tobą, żeby coś zjeść.

Pociągnął ją za włosy, a ona uderzyła go po dłoni. Zmrużył oczy. Przez chwilę myślała, że chce jej oddać. Zadrżała, a Graham się uśmiechnął.

- Powinnaś być grzeczną dziewczynką i mnie nie denerwować - rzekł.

Meg cofnęła się pod plastikową ścianę. Co się, do cholery, dzieje? Graham Nero jest próżnym dandysem, nie jakimś brutalem. Nikim nie przejmował się na tyle, aby żywić względem niego silniejsze uczucia, czy wręcz wyznać miłość, no, chyba że jakaś kobieta okazała się bardzo ładna i skłonna iść z nim do łóżka.

- Jeden mały drink, Meg - nalegał. - Tylko ty i ja. Wynająłem ten sam pokój. Mam klucz.

Pokazał go.

Już samo patrzenie na ten klucz sprawiło, że się zarumieniała.

- Powinieneś już iść - powiedziała głosem nie zdradzającym emocji.

Gdyby jednak spojrzeć na jej dłonie, zobaczyłby, że się trzęsą.

Złapał ją za ramię. Próbowala się odwrócić, ale straciła równowagę. Tym razem jej nie złapał. Oparła się o ścianę i osunęła. Iskry bólu promieniowały od kostki ku pachwinie. Kostka bolała tak bardzo, że przez chwilę chciała odciąć stopę. Jęknęła i zaczęła płakać. Nie zdołała się powstrzymać. Nie zemdlala chyba tylko dlatego, że nie mogła zostawić tego szaleńca sam na sam ze swoim ciałem.

Początkowo ledwie dostrzegła, jak bardzo się zbliżył. Ledwie czuła jego gorący, zgniły oddech, dopóki po policzku nie spłynęła mu kropla potu. Oczy zrobiły mu się dziwne. Źrenice rozszerzyły się, tak że stały się prawie czarne. Błyszczały i ujrzała w nich swoje odbicie. Było coraz bliżej. Przerazona, otworzyła usta w niemym krzyku.

- Kocham cię - wyszeptał Nero.

Zacisnęła pięści i przypomniała sobie, co każda włoska matka mówi córce:
Najpierw celuj w jaja, potem w oczy.

- Wynoś się stąd. Natychmiast. I nie wracaj. Nie kocham cię. Nigdy nie kochałam. Nawet cię nie lubię.

Zapach był ohydny. To nie tylko oddech, uświadomiła sobie. Całe jego ciało gniło.

- Wynocha! - krzyknęła, a potem zadrżała, bo choć jej głos odbił się echem po bibliotece, nikt nie przybiegł.

Była tu sam na sam z tym szaleńcem i teraz on już o tym wiedział.

Próbował ją pocałować. Chciała zrobić unik, ale wykręciła jej się kostka.

- Ooooleeera - jęknęła przez zaciśnięte z bólu zęby.

Poczuła na policzku cuchnący oddech Grahama, a potem jakąś wilgoć. Nie, to nie może być prawda. Krew odpłynęła jej z twarzy i na krótką chwilę odraza stała się silniejsza od bólu.

Graham Nero przesunął językiem po jej czole, policzku i brodzie, aż po szyję. „Gdzie popełniłem błąd?” - spytał, ale nie brzmiał już jak on. Brzmiał jak jej ojciec.

Wstał, wygładził koszulę i założył ciemne okulary. Wyjął z kieszeni blaszane pudełeczko miętusów, otworzył i wsypał całą zawartość do ust.

- W lesie, Meggie. Dzisiaj wieczorem. To może być miłe albo może boleć. Nie zmuszaj mnie, żebym to zrobił brutalnie - zawołał przez ramię, wychodząc.

Patrzyła, jak wsiada do porsche i odjeżdża. Wreszcie uświadomiła sobie, co jest nie tak z widokiem za oknem. Nigdzie nie widziała ptaków.

18.

ZAKRWAWIONY DYWAN

Było późne popołudnie. Promienie słoneczne zaczynały robić się czerwone. Przenikały przez żółknące liście. Fenstad, pogrążony w rozmyślaniach, nie zauważał żadnej z tych rzeczy. Ani tego, że w pobliżu szpitala nie przejeżdżało żadne auto i mało kto wyszedł z domu, aby cieszyć się pięknym dniem.

Kilka minut temu wyjechał ze szpitala po rozmowie z Lili Schiffer, którą zdołał przekonać, żeby podpisała zgodę na leczenie psychiatryczne. Najpierw Albert, teraz Lila. Zaczynał podchodzić do tej sprawy osobiście. Poziom alkoholu w krwi Lili trzykrotnie przekraczał dopuszczalną normę. Na sesji terapeutycznej powiedziała mu, że pije robitussin nieregularnie i tylko późnym wieczorem. Wiedział, że kłamie. Piła cały czas, również przy dzieciach, niszcząc w ten sposób samą siebie i wszystkich dookoła. Powinien był bardziej się starać. Nie powinien był uciekać myślami do wspomnień o matce, bo ludzie, którzy przychodzili do jego gabinetu, mieli prawdziwe

problemy i potrzebowali pomocy. Może właśnie dlatego zgodził się pojechać do Lois Larkin, chociaż wizyty domowe znał tylko z *Doktora Kildare'a*. Nie chciał stracić kolejnego pacjenta. No i szpital był teraz wylegarnią zarazków, pełną tego tajemniczego kaszlu.

Pocztą pantoflową dowiedział się, że do miasta przyjechali federalni. Choroba musi się rozprzestrzeniać bardzo szybko, skoro szpitalny przedstawiciel publicznej służby zdrowia ich wezwał. Na razie nie ustalono, czy wywołują ją wirusy, bakterie czy środki chemiczne. Centrum Kontroli Chorób (CDC) i Agencja Ochrony Środowiska (EPA) rozpoczęły dochodzenia. Naukowcy z ich zespołów przepytывali pacjentów tłoczących się w izbie przyjęć, a także mierzyli poziom toksyczności wody i powietrza. Karetki zaczęto kierować do szpitali w sąsiednich miejscowościach. W Corpus Christi brakowało miejsc, a miasto wkrótce mogło zostać objęte kwarantanną.

Tylko dziś siedmiu pacjentów z izby przyjęć trafiło do kostnicy. Choroba postępowała błyskawicznie. Fenstad wciąż jeszcze nie ochłonął. Wszyscy zmarli udusili się własną flegmą. Widział chłopaka w wieku Maddie, o czarnych włosach i ostro zarysowanej szczęce, który w jednej chwili kaszlał, a w drugiej już nie żył. Umarł z uśmiechem na ustach, jakby chciał wszystkich uspokoić, że nic mu nie jest. Mamo, tato, proszę, nie martwcie się.

Coś w nim pękło, kiedy patrzył na tego uśmiechniętego trupa, którego ktoś kiedyś nazywał synem. Próbował sobie wyobrazić, co by czuł, gdyby to Maddie umarła. To byłoby, jakby huragan roztrzaskał dom budowany przez całe życie. Dotychczasowe problemy - napad na Meg, wstyd za syna geja, córka o fioletowych włosach czy nawet obawa o utratę pracy - były niczym w porównaniu z tą tajemniczą infekcją.

Zadzwoił do żony na komórkę. Gdy odebrała, powiedział:

- Zabierz Maddie ze szkoły, kup kilka litrów butelkowanej wody i filtr HEPA.

Muszę jeszcze zajrzeć do Lois Larkin, bo obawiam się, że może mieć myśli samobójcze, ale potem jadę prosto do domu.

Meg odparła, że miała pewne kłopoty w bibliotece, więc wróciła do domu i właśnie ogląda jakąś telenowelę. Kiedy usłyszała, ile osób zachorowało, pokuśtykała do saaba, by natychmiast ruszać po Maddie.

- Będziemy czekać - powiedziała. - Uważaj na siebie. Kocham cię.

Dziesięć minut później jechał do Lois. Na szczycie wzgórza, nieopodal lasu, parkowały policyjne radiowozy i rządowe sedany. Wciąż szukali Jamesa Walkera, a po szpitalnych korytarzach krążyły plotki, że zaginęło wiele innych osób.

Nie miał pojęcia, co się dzieje. Tajemnicza choroba powodowała duszności, nadwrażliwość na światło, wysypkę, cuchnący oddech, a jeśli wierzyć Lili, także zmiany osobowości. W ciągu niespełna dwóch dni zapadła na nią jedna czwarta mieszkańców miasta, co oznaczało, że albo przenosi się drogą kropelkową, albo zarazek dostał się do źródła wody pitnej. U nikogo nie nastąpiła poprawa, a zmarło już siedem osób. Nie wyglądało to jak typowa infekcja, bardziej przypominało reakcję systemu odpornościowego. Do organizmów chorych dostało się coś, w czym rozpoznały wroga, ale nie mogły tego zabić. W rezultacie dochodziło do zapalenia organów i tkanek. To z kolei powodowało wysypkę oraz pojawienie się płynu w płucach, podczas gdy sama infekcja pozostawiała nietkniętą. Identyczny mechanizm zadziałał podczas epidemii grypy w 1918 roku. Wtedy zmarły dwa miliony ludzi. Osoby młode, których metabolizm i system odpornościowy najsilniej reagowała na obcą inwazję, poddawały się pierwsze. Ogarnął go strach, bo przypomniał sobie, że w 1918 roku ludzie także znikali. Tyle że nie byli zaginieni. W ciągu jednej nocy w swoich domach umierały całe rodziny i znajdowano je dopiero po wygaśnięciu zarazy.

Przy odrobinie szczęścia już dziś wieczorem CDC będzie wiedziało coś więcej. Szpital, a może ktoś z władz, wyda oświadczenie dla prasy. Jeśli wieści okażą się złe, on i Meg będą musieli, się zastanowić nad wyjazdem z miasta.

Dotarł na Micmac Street i zaparkował swojego escalade pod drewnianym domem Larkinów. Trawnik przed domem wyglądał jakby ktoś go podpalił, a na ganku leżał martwy drozd. Brakowało mu głowy, ale skrzydła wciąż miał rozpostarte, jakby schwymano go w trakcie lotu.

Fenstad zadzwonił do drzwi. Usłyszał melodię *Michael Row the Boat Ashore* i nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Zadzwonił jeszcze dwa razy i Jodi Larkin w końcu otworzyła. Odsunęła się na bok bez słowa, więc wszedł. W środku było ciemno, zaciągnięto wszystkie zasłony. Wystrój - z połączanymi tapetami i wytartymi aksamitnymi kanapami - pochodził z lat osiemdziesiątych, jakby dom był świątynią lepszych czasów. A może po prostu wcześniejszych? Jodi, niska i chuda, o pooranej zmarszczkami twarzy, przypomniła mu zdjęcia kobiet, które przetrwały wielkie burze z czasów Wielkiego Kryzysu.

- Lois zaczęła nie cierpieć słońca - wymówiła szeptem, jakby córka mogła ją podsłuchiwać. - Proszę mnie nie pytać dlaczego. Zawsze wiedziałam, że te jej pobożne życzenia i wszystko, co robiła, nie ma sensu. No i proszę, jak skończyła po tym, co się stało w szkole?

- Gdzie ona jest? - spytał.

Jodi wskazała korytarz.

- Tam jest jej pokój. Błagała mnie, żebym zadzwoniła do pana, od kiedy zaginął ten dzieciak, więc pewnie się ucieszy, że pan przyjechał. Chociaż kto ją tam wie. Przez większość czasu nie jest sobą. Może da jej pan coś na uspokojenie.

Ruszyła korytarzem. Ciężar ciała opierała na lewej nodze, co przypomniło mu o Meg. Miał nadzieję, że jest już w domu razem z Maddie.

W pokoju Lois było ciemno i duszno. Drewniany parkiet skrzypiał, gdy po nim szedł. Kilku klepek brakowało. Fenstad podszedł do okna i podniósł żaluzje.

- Niech pań opuści żaluzje, doktorze Wintrob - powiedziała Lois i uniosła dłoń, by zasłonić oczy. - Słońce... To boli.

Na ścianie wisiały dwa plakaty z Bradem Pittem, a na biurku stały wypchane zwierzęta. Różowa tapeta łuszczyła się, a pościel z białego dziurkowanego materiału pożółkła ze starości. To był pokój nastolatki, a Lois mieszkała tu od siedmiu lat, od kiedy skończyła college.

Położył jej dłoń na szyi, gdzie węzły chłonne nabrzmiały jak wole. Temperaturę ciała miała obniżoną, a dłonie pokrywała charakterystyczna wysypka. Drapała się, jej palce krwawiły.

- Mamo, proszę - jęknęła. - Gdy jest jasno, boli.

Jodi zasunęła żaluzje i w pokoju znowu zrobiło się ciemno i duszno. Fenstad złapał, się na tym, że wstrzymuje oddech. Ten wirus mógł się stać prezentem, który przyniesie dzisiaj swojej rodzinie.

- Od kiedy źle się czujesz? - zapytał,

- Od kiedy poszłam do lasu - wykrztusiła z trudem.

Przysiadł na łóżku i zbadał jej puls. Przy każdym oddechu Lois czuł smród gnijącego mięsa. Co ona zjadła, że tak śmierdzi? Pomyślał o martwym ptaku na ganku.

Jodi poprawiła poduszkę pod głową córki, a potem dotknęła wargami jej czoła. Widywał już podobne sytuacje: opiekun i podopieczny zamieniali się miejscami. To wzmacniało wzajemne relacje i wiązało mocniej niż przysięga przypieczętowana krwią.

Po odejściu Ronniego Koehlera Lois zastanawiała się nad wyjazdami z miasta. Teraz spędzała czas, oglądając w łóżku popołudniowe teleturnieje. Albert, Lila, Lois i te dzieciaki w kostnicy. Tracił ich. Padali jedno po drugim, jak kaczki na strzelnicy. Pling, pling, pling.

- Pójdę po gazetę z programem - oznajmiła Jodi. - W tym tygodniu są premiery nowych sezonów seriali. Zaraz wracam.

Kiedy wyszła, Fenstad powiedział:

- Miałaś pecha.

- Tfact - przyznała.

Zaczęła kaszleć, więc podał jej opakowanie chusteczek Kleenex. Gdy po nie sięgała, odetchnęła głęboko. Jej oddech przyprawił go o mdłości. Przełknął szybko, by powstrzymać wymioty, i znowu pomyślał o tamtym ptaku.

- Zachorowało na to wiele osób, więc sędzę, że nie powinnaś iść do szpitala - powiedział. - Nie zapewnią ci tam właściwej opieki. Ale jeśli zaczniesz mieć jeszcze większe problemy z oddychaniem, nie mów o tym matce, tylko wezwij pogotowie.

Skinęła głową i wiedział, że posłucha jego rady. To rozsądna dziewczyna, wyjąwszy dobór towarzystwa. Wyciągnęła rękę i chwycił jej dłoń. Jakiś cichy wewnętrzny głos, przepełniony poczuciem winy, mówił mu, że powinien stąd wyjść - Lois jest zarażona, więc on też mógł się zarazić i przynieść chorobę do domu, do swoich kobiet. Uciszył ten głos. Nie płacili mu trzystu tysięcy dolarów rocznie za to, by porzucił ludzi, którzy potrzebowali go najbardziej.

Bardzo lubił Lois. Ilekroć przychodziła na terapię, miał nadzieję, że wreszcie uświadomi sobie coś, o czym wiedział od początku: że jest uroczą, wspaniałą kobietą.

- Potrzebuję pańskiej pomocy - szepnęła i jej oczy zwilgotniały - Tim Carroll mnie znalazł. W lesie. Powiedział komuś, co widział?

Fenstad pokręcił głową. Słyszał tylko, że Lois wpadła w histerię, nic poza tym.

Uśmiechnęła się krzywo. Nie spodobał mu się ten uśmiech. Wyglądał jak przyznanie się do porażki.

- Więc nikomu nie powiedział. Tfacti z niego dzentelmen. Zastanawiam się, jak oni mogli nie zauważyć tych zwierząt. Myślę, że nie chcieli ich widzieć... Jadłam tam ziemię. Była pełna krwi. Krwi Jamesa i jeszcze czegoś. Czegoś, co tferaz jest we mnie. Nocą nawet przestaję seplenić...

Mówiła beznamiętnie i coraz wyraźniej. Autohipnoza, pomyślał. Wskutek ekstremalnego stresu ludzie się rozpadają. Wałą się w gruzy jak domy podczas huraganu.

- Skąd wiesz, że to była krew? - zapytał.

Po jej twarzy spłynęła łza, ale nie wybuchła płaczem.

- Bo tak bardzo mi smakowała.

Fenstad westchnął. Z Lois działo się coś gorszego, niż przypuszczał. Wymagała hospitalizacji.

- Zjadłabym też palec od nogi. Właśnie dlatego krzyczałam. Bo miałam na niego ochotę.

- Jaki palec? - spytał, siląc się na spokój.

Lois nie była w stanie podnieść głowy z poduszki, ale spojrzenie jej wielkich ciemnych oczu skupiło się na jego twarzy.

- Jamesa Walkera. Chciałam zjeść jego palec od nogi. Jadłam też inne rzeczy. Głównie ptfaki... Nocą to się pogfarsza. To jest coś we mnie, coś z tych lasów.

Znowu zakasłała i wtarła flegmę we włosy. Fenstad uświadomił sobie, że jej włosy wyglądają jak przetłuszczone, bo używa ich jak chusteczki.

- Ostatniej nocy zamknęłam okno i zabiłam gwoździami, żeby nie móc wyjść. Dzięki temu jestem teraz bardziej sobą, niż byłam wczoraj. Próbuję to zagłodzić, żeby

zostawiło mnie w spokoju. Ale nie przetrwam kolejnej nocy bez... jedzenia. Chcę, żeby pan mnie zamknął.

Spojrzał na okno. Gwoździe wbite we framugę utworzyły nierówną linię biegnącą przez drewno. Zerknął na podłogę, zobaczył młotek na biurku i uświadomił sobie, że wyciągnęła te gwoździe z parkietu.

- Pomyliłem się - rzekł. - Musisz iść do szpitala, bo jest z tobą naprawdę źle.

Skinęła głową, a on mocniej ścisnął jej dłoń.

- Czuję, jak to coś patrzy przez moje oczy - powiedziała. - Problem polega na tym, że ja to lubię. I boję się, że jeśli pan mnie nie zamknie, to dziś w nocy rozbiję okno.

Fenstad studiował już przypadki pokonania przez wirusy granicy krwi i mózgu i wywoływania przez nie demencji, a nawet schizofrenii. Miał jednak nadzieję, że to nie wirus, tylko stres. Bo stres może nie pozostawić trwałego urazu.

- Chciałabym, żeby to był stres - powiedziała Lois, jakby czytając mu w myślach. Roześmiała się z goryczą. - Chciałabym nawet, żeby to był rak.

Pokiwał głową i powtórzył:

- Musisz iść do szpitala.

Spojrzała na niego.

- Czy pan wie, doktorze, że ja już nie odczuwam niczego w tfaki sposób, jak przywykłam? Dziecko w moim brzuchu jest za małe, żeby się poruszać, ale od wizyty w tym lesie kopie. Może też jest chore. Normalnie zadbałabym o własne dziecko, ale ja nie zadbałam. Sam pan widzi.

- Jesteś w ciąży?

Fenstad zastanawiał się, czy to nie ciąża urojona, wynikająca z hysterii. Lois potrzebowała jakiegoś powodu, aby dalej żyć. Gdyby ten trop okazał się właściwy, zagadka byłaby rozwiązana. Zmiany osobowości nie wywołał wirus, miała podłoże psychologiczne. Dziewczyna chciała odejść od najbliższych jej osób, ale nie miała odwagi, by to zrobić, więc rozwinęła nową osobowość, żeby ta wykonała za nią brudną robotę - poróżniła ją z bliskimi i uwolniła. Podświadomość pcha nas ku przetrwaniu, gdy dobre manery mogą zaprowadzić nas dwa metry pod ziemię.

Lois się uśmiechnęła.

- Wie pan, że niektóre kobiety wymyślają sobie ciążę? Rosną, a potem nagle puff i znowu są małe. Tak bardzo chcą zwrócić na siebie uwagę, że rosną im brzuchy, byle tylko ludzie je zauważyli.

- Wcale nie powiedziałem, że masz ciążę urojoną - zapewnił Fenstad.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Czyżby?

Pomyślał, że Lois wcale nie lubi swojej nowej osobowości. W jej czarnych oczach czaiła się przemoc. I szaleństwo.

- Pomogę ci - odparł. - Zawiozę cię do szpitala i zamknę tam na noc, a jutro postanowimy, co dalej.

- Czy jeśli kogoś nienawidzisz, to znaczy, że nigdy go nie kochałeś? - spytała.

- To zależy, dlaczego się nienawidzi - odpowiedział. - Mówisz o swojej matce czy o sobie?

Lois zachichotała.

- Myślę, że to znaczy, że nigdy się ich nie kochało...

Wróciła Jodi. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbiły się ukośnymi liniami na przeciwległej ścianie, przemknęły po rozszerzonych źrenicach Lois i zgasły. W pokoju zrobiło się całkiem ciemno. Oświetlały go tylko jej oczy i fosforyzujący zegarek Fenstada.

Lois zaniósła się kaszlem. Nie zasłoniła ust, więc zaśmierdziało czystą siarką. Jej oddech zarzęził i w końcu ustał. Zamknęła oczy. Fenstad nią potrząsnął.

- Lois! - wrzasnął

Za nim Jodi upuściła gazetę z programem telewizyjnym.

Głowa Lois opadła na bok. Fenstad położył jej rękę na piersi. Czuł pod dłonią bicie serca. Słabe, ale nie ustało. Po kilku sekundach otworzyła oczy.

- Fennie - powiedziała.

Fenstad spojrział na swoją dłoń, na jej piersi i szybko cofnął rękę.

- Doktorze Wintrob - poprawił.

- W porządku.

Uśmiechnęła się.

Jej źrenice zrobiły się tak wielkie, że brązowe tęczęwki całkiem zniknęły. Nagle pożałował, że przyszedł do tego chorego domu. Chciał teraz być z żoną i córką, tam, gdzie jego miejsce. Chciał znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj.

- Jestem głodna - oznajmiła Lois.

Jodi zaczęła się trząść, jakby miała późne stadium choroby Parkinsona.

- W środę w nocy, kiedy spałam, zjadła wszystkie steki - powiedziała drżącym głosem. - Nie sądzę, żeby je usmażyła. Wychodziła też w nocy, więc wczoraj wieczorem zamknęłam ją w pokoju. Nie chciałam, żeby wszyscy sąsiedzi oglądali ją w bieliźnie. I jest jeszcze coś... Nocami ktoś puka do okien. Może to jacyś jej nowi przyjaciele z baru. Drażnią mnie.

Jodi płakała. Podniosła gazetę i gładziła twarz Billa Paxtona na okładce, jakby to mogło dodać jej otuchy.

Fenstad poczuł ucisk w żołądku. Obie te kobiety mówiły zupełnie od rzeczy. Czy infekcja mogła wywołać jakiś rodzaj zbiorowej histerii? Czy miała jakieś efekty neurologiczne? Nie wiedział, ale ten pokój z poodrywanymi klepkami w podłodze, gdzie dorosła kobieta spędzała czas na oglądaniu telewizji, był ciemny i duszny.

- Ona musi iść do szpitala. Proszę mi pomóc zaprowadzić ją do samochodu.

- Nie chcę nigdzie iść - zaprotestowała Lois. - Dobrze mi tutaj, w moim pokoju.

Prawda, mammo?

Jodi przeniosła spojrzenie z Fenstada na córkę, ale nie odpowiedziała.

- Lois. Idziesz do szpitala - rzekł Wintrob stanowczo.

Lois się roześmiała. Rzęzenie trochę osłabło, ale wciąż było je słyhać.

- Zmieniłam zdanie - oznajmiła.

- Jesteś za bardzo chora, żeby samodzielnie podejmować decyzje - stwierdził.

Pokiwała głową.

- Oczywiście. Ale to jest decyzja mojej matki, a pan chyba nie chce mnie rozżościć, prawda? Bo wiem, gdzie mieszkasz, Jodi. Mieszkałam z tobą przez swoje całe cholerne życie.

Uśmiechnęła się. Zdumiał się, gdy zauważył, że jej przerwa między zębami zniknęła.

Jodi zasłoniła dłońmi twarz i zerknęła przez palce.

- Ależ Lois - powiedziała z udawaną troską. - Ja chcę tego, co dla ciebie najlepsze.

- Czyżby?

Dziewczyna znowu się roześmiała, jakby wszyscy troje znaleźli się w jakimś koszmarnym dowcipie.

Fenstad przenosił spojrzenie z jednej kobiety na drugą; pomyślał, że najgorszą częścią tej sceny wcale nie jest szaleństwo Lois, ale groteskowość ich wzajemnych stosunków. Przez prawie trzydzieści lat odgrywały role matki i córki. I może aż do tej chwili żadna z nich nie wiedziała, jak bardzo się nienawidzą.

- Lubię tu być - powiedziała Lois. - W telewizji jest mnóstwo cudownych teleturniejów.

Jej zęby zrobiły się równe jak u hollywoodzkiej gwiazdy. Wiedział, że autohipnoza pozwala nawet chodzić po rozżarzonych węglach. Ale zęby? Co się działo?

Jodi trzęsa się tak bardzo, że dygotała jej głowa.

- Tak, Lois, ty wiesz najlepiej - powiedziała.

Fenstad popatrzył na białą nocną koszulę Lois i na chwilę wrócił do Wilton, gdzie dywan był ciemnoniebieski, a w łóżku leżała jędra. „Fennie, myślisz, że to guz?”

Przypomniał sobie na wpół zjedzonego ptaka na ganku i nagle zastanowił się, czy Jamesa Walkera nie zabiło w lesie to jej alter ego.

- Czytałem w gazecie, że Ronnie i Noreen się zaręczyli - powiedział, chcąc ją skłonić do rozmowy.

- I co z tego? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Miller Walker na pewno nie jest zadowolony z tego, że jego syn zaginął na szkolnej wycieczce. Jeśli zostaniesz w mieście, sprawy nie przybiorą dla ciebie korzystnego obrotu. Pobyt w szpitalu dobrze ci zrobi.

Pokręciła głową.

- Co się wydarzyło w lesie? Opowiedz mi jeszcze raz.

- Sam zobaczysz, Fennie. Zobaczysz na pewno.

- Dla ciebie doktor Wintrob.

Zaśmiała się.

- Czy właśnie teraz to coś patrzy twoimi oczami? - spytał. - Mogę z tym rozmawiać?

- Czas minął, doktorze Wintrob - odparła. - Minęło pięćdziesiąt minut. Sesja skończona. Zauważyłam, że czasem kończył pan po czterdziestu pięciu albo nawet po czterdziestu. Czy ja jestem taka nudna?

Fenstad się nie ruszył.

- Ja nie wychodzę - rzekł. - Za bardzo cię lubię.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Myślę, że moje serce przestało bić.

Spojrzał na skrzypiącą podłogę. Gwoździe zniknęły, ale zamiast nich zobaczył pluszowy niebieski dywan z Wilton, nasiąknięty krwią.

- Przestań - powiedział.

Lois odpięła jeszcze jeden guzik koszuli, odsłaniając piersi.

- Dotknij - poleciła.

Chwyliła jego rękę i pociągnęła. Pomyślał o magazynach z nagimi dziewczynami, o sutku Lois Larkin pod swoją dłonią i poczuł, że mu staje.

- Chcesz mnie, prawda? - spytała.

Odsunął dłoń i pokręcił głową. W pokoju było ciemno, widział tylko skrawki białek jej oczu oraz jej doskonały uśmiech. „On nas wszystkich zostawi. Tatuś już mnie nie kocha, prawda?”

Po czole Fenstada spływał pot. Siarkowy zapach w powietrzu zgęstniał. Dlaczego włożył dżinsy? Nigdy nie wkładał dżinsów do pracy. One też śmierdziały, jakby znowu był w liceum i wyławiał ubranie do szkoły z kosza na brudne rzeczy, bo kiedy Sara Wintrob się na niego złościła, w ogóle nie tykała prania.

- Kochasz mnie? - zapytała kobieta na łóżku, a on odpowiedział jej tak, jak zawsze odpowiadał.

- Tak, mamó.

Na podłodze było pełno krwi, jego buty całkiem nią przesiąkły. Niczym głodne usta wsysała mu stopy, ciągnęła w dół. Topił się w niej. Ile miał lat? Czterdzieści sześć? Szesnaście? Nie potrafił sobie przypomnieć.

- Nie jestem chora - powiedziała.

Jej głos. Nienawidził go. Zaciśnął pięści. Uderzy swoją matkę, pobije ją do nieprzytomności, tak jak zawsze pragnął.

- Ty wiesz, że ja nigdy nie byłam chora, prawda? - spytała z uśmiechem.

Śmiała się z niego. Ale on zetrze ten uśmiech z jej twarzy. Zaciśnie dłonie wokół jej gardła i...

- Mów głośniej. Nie słyszę cię - zażądała.

- Dosyć! - krzyknęła Jodi, lecz jej głos zagłuszało ujadanie psa.

Jakiego psa? Czy on ma teraz psa?

Nie powstrzymało go, że była kobietą. Z całej siły uderzył ją w twarz. Coś poleciało na podłogę. Ząb? Usta zaczęły krwawić. Suka. Wreszcie jej pokazał. O, tak. Teraz wie, z kim ma do czynienia.

Nie płakała. W czarnych oczach nie było strachu, tylko satysfakcja. Śmiała się. Ale to nie była jego matka. To była jego pacjentka, Lois Larlcin. Uderzył własną pacjentkę. Z jej rozciętej wargi płynęła krew, a ona, patrząc na niego, złożyła dłonie pod brodą i zaczęła ją pić.

- Smaczna - stwierdziła.

- Dosyć! - zawyła Jodi.

Bolała go dłoń. Wiedział, że powinien zostać, nawet jeśli postąpił źle. Powinien naprawić to, co zepsuł. To była jego praca. To zawsze była jego praca. Jeśli ją straci, jego dom się zawali.

- Fennie? Czujesz to?- wyszeptała kobieta na łóżku, a on wybiegł z pokoju.

19.

ZAŁZAWIONE OCZY

Fenstad zaparkował swojego escalade na podjeździe przed domem, ale nie był jeszcze gotów wejść do środka. Poczekał, aż przestaną mu kapać łzy.

Maddie tańczyła przed lustrem na piętrze, a Meg czytała coś przy kuchennym stole. Patrzył to na córkę, która niezgrabnie kręciła biodrami (ta dziewczyna nie była Ginger Rogers), to na spokojną twarz żony, ale łzy nadal płynęły.

Co się wydarzyło w domu Lois Larkin? Nie był pewien, czy dobrze pamięta. Mówiła, że zjadła ptaka, a on jej uwierzył. Wyobrazil sobie, jak go łapie i wbija mu w pierś te swoje idealne zęby bez szpary. To jeszcze nie wszystko. Jego matka, Sara, też tam była. Ale jak to możliwe?

W radiu leciało *Feel Flows*. Stukał palcami w tablicę rozdzielczą, co go trochę uspokoiło, bo przynajmniej coś robił, a nie tylko siedział i płakał. Miał nadzieję, że za chwilę świat znowu nabierze sensu. Przecież grali Beach Boysi. Czy może być tak źle, skoro Brian Wilson wciąż śpiewa?

Miał za sobą koszmarny dzień. Nie aż tak koszmarny jak w pokoju 69, gdzie dywan był brązowy, a pościel brudnoszara. Ale wystarczająco niedobry. Pacjenci padający jak muchy, dzieciaki zapelniające łóżka i kostnicę. Zły dzień. Wystukiwał rytm palcami i nucił *Feel Flows*, aż wszystko, co pozostało, stało się jedną piosenką.

Z pustki zawołał ku niemu jakiś głos. Przypomniał sobie uśmiech Lois. I słowa: „Fennie, myślisz, że to guz?”

Kosz nad garażem zarzewiał, brakowało na nim siatki. Kiedyś podczas wakacji całymi dniami grał na podjeździe z synem. Pokonał Davida pięć razy pod rząd i już miał znowu wygrać, kiedy chłopiec pobiegł do domu, becząc jak dziewczynka. Schował się za spodniami Meg i łkał, że nie chce więcej grać w koszykówkę. I już

nigdy nie zagrał. Fenstad chciał mu powiedzieć o wygrywaniu i przegrywaniu, o tym, że aby stać się mężczyzną, trzeba umieć jedno i drugie, lecz powstrzymał go wściekły grymas na twarzy żony.

Właśnie to spotyka człowieka w nagrodę za jego starania. Całe życie robił coś dla innych. Wysłuchiwał opowieści o cudzych problemach. Analizował bezsensowne sny, trzymał za ręce, pocieszał. A teraz pacjenci jeden po drugim zwracali się przeciwko niemu: Albert, Lila, Lois. Jego dzieci były nie lepsze. Maddie i te jej wrzaski. David stracony już na dobre. Meg za bardzo kochała tego chłopca, za bardzo go osaczała. Zrobiła z niego ciotę, która bierze w dupę. No i sama Meg. Dziwka. Czarny pies z jego snu rozrywał ją na strzępy, a jego dom w stylu wiktoriańskim zaczynał się tlić, po czym stawał w płomieniach.

Fenstad zastanawiał się, czy jeśli nadejdzie koniec świata, ktokolwiek to zauważy. Brian Wilson śpiewał:

*Otoczony wieńcem snu
Pochłaniającym zmysły*

...Wiesz, że ja nigdy nie byłam chora, prawda?

Czy to matka mówiła do niego przez radio?

Nagle Sara Wintrob zapukała w szybę. Serce zaczęło mu bić szybciej, a wszystko wokół krzyżeć. Widział jej sylwetkę w ciemności. Szczupła i blada, uśmiechała się szeroko, pokazując zęby bez żadnej szczerby. Suka.

- Fennie, myślisz, że to guz? - zapytało radio.

Patrzyła na niego. Ale już nie była jego matką. Lois? Lila? Mógłby ją udusić i wrzucić do bagażnika. Nikt by się nie dowiedział, gdyby poczekał do późnego wieczora i spalił ciało w szpitalnym krematorium. A jeśli przyłapie go ta druga suka, która mieszka w tym domu? Wtedy ją też udusi.

Kobieta zapukała mocniej. Wypatroszy ją jak pstrąga. Jego załzawione oczy zaczynały już rdzewieć. Kobieta nadal pukała. Meg? Lois? Sara? Jedną z nich dzisiaj uderzył. Którą?

Czekał, aż odzyska ostrość widzenia. Myślał o Beach Boysach, chociaż w radiu leciała teraz piosenka *Wonderful Tonight*.

- Fennie, myślisz, że to guz? - pytało radio.

Myślał o bieganiu i zgniłej kapuście. O tym, co czuł, gdy pierwszy raz wsunął palec między nogi Joanne Streibler, o krwawym dywanie, brakujących gwoździach w podłodze u Lois i o tłustych dzieciach Lili Schiffer. A przede wszystkim o tym, że ciężko pracował przez całe życie tylko po to, by zobaczyć żonę pieprzącą się z jakimś japiszonem w pokoju 69.

Meg wykrzykiwała jego imię. Jasne, teraz to jego potrzebuje. Teraz, kiedy Nero zaraził ją wirusem i stała się przechodzonym towarem.

- Wpuść mnie! - wołała.

Wziął głęboki oddech i czekał, aż zacznie widzieć ostro. Postanowił nie wycierać oczu, tylko pozwolić im wyschnąć na powietrzu. Wreszcie opuścił szybę i uśmiechnął się wesoło.

- Tak?

Podskakiwała na jednej nodze. Nie wiedział, dlaczego tak się zachowuje, aż przypomniał sobie o jej złamanej kostce.

- Co ty robisz? - zapytała.

Głos miała łagodny, pełny troski. Wsunęła głowę do samochodu. Gdyby chciał, mógłby teraz roztrzaskać jej czaszkę o drzwiczki. Takie tragiczne w skutkach

omsknięcie dłoni: „Och, przepraszam, kochanie. A tak swoją drogą, to lustra w ramach z tombaku wcale nie są eleganckie, tylko tandetne”.

- Okropnie wyglądasz. Jesteś chory?

Cofnęła się, otworzyła drzwiczki i wsiadła do środka. Pachniała perfumami, włosy miała proste jak druty, a na nogach podniszczone kapcie mokasy.

- No powiedz coś - odezwała się.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. W jego głowie pojawiały się i znikwały kolejne kobiece twarze. Lois, Sara, Lila, Maddie, aż wreszcie ją rozpoznał - to Meg. Ujęta jego dłoń i ścisnęła.

Oddech miała przyspieszony, a czoło zroszone potem. Pewnie wzięła za mało kodeiny.

- Fenstad? - spytała. - Czy ty mnie słyszysz?

W muzycznym raju Erie Clapton opowiadał o swojej pięknej dziewczynie, podczas gdy na Wintroba patrzyła filigranowa Meg Bonelli, on zaś miał ochotę rozkwaśnić jej twarz.

- Fenstad? Słyszysz mnie? - powtórzyła Meg łamiącym się głosem.

Coś ścisnęło go w gardle, pomyślał, że znowu się rozplacze. Kiedy ją spotkał tysiąc lat temu, była na pierwszym roku prawa uniwersytetu w Bostonie. Umówił się z nią, gdy wpadli na siebie pod barem na Boylston Street, bo była ładna, a wtedy podobały mu się brunetki. Wkrótce zaczęło mu na niej zależeć. Sześć miesięcy później, zamiast jechać do Niemiec na praktyki, oświadczył się, a ona go przyjęła.

- Co się stało? - zapytała.

Poczuł, że cały się rozpada. Łzy wzbierały w nim jak fala. Chciał jej opowiedzieć o wszystkim. O Lois, o Sarze, o tym, że mógł zostać zainfekowany, i o tym, jak ją szpiegował w pokoju 69. Dlaczego wtedy oglądał wszystko zza motelowego okna i nie odezwał się nawet słowem? Dlaczego tak się dręczył? Nadszedł czas, aby jej powiedzieć. To będzie ogromna ulga. Meg wiedziała, że coś z nim nie tak. Może zawsze było.

- Co się stało? - powtórzyła.

- Nic odparł.

Wysiedli z auta. Fenstad objął ją w pasie i razem poszli do domu.

20.

SWĘDZENIE W JEJ KOŚCIACH

Meg drapała się po nodze drutem z rozgiętego wieszaka, a Fenstad kroił stek. Oczy miał zaczerwienione, jakby płakał, wiedziała jednak, że to niemożliwe, bo Fenstad Wintrób urodził się bez gruczołów łzowych.

Właśnie chciała zawiadomić policję o Grahamie Nero, kiedy zadzwonił i kazał jej zabrać Maddie ze szkoły. Początkowo sądziła, że przesadza - bo po co im kilka litrów butelkowanej wody i filtr powietrza? Jednak go posłuchała. A potem, kiedy razem z Maddie oglądały wieczorne wiadomości, okazało się, że miał rację. Jak zwykle. Według przeczucia Fenstada można było regulować zegarek. Ten mężczyzna był niezastąpiony.

O Corpus Christi mówiony nie tylko w lokalnym dzienniku. Nawet ogólnokrajowe stacje donosiły o chorobie, jaka dotknęła połowę mieszkańców małego bogatego miasteczka w stanie Maine. Do tej pory zmarło dziesięć osób, znacznie więcej pozostawało zaginionych, a jeszcze nikt nie wyzdrowiał. Ciarki ją przechodziły, gdy

patrzyła na Katie Couric obwieszczającą z uśmiechem, że władze stanu zalecają mieszkańcom środkowego Maine pozostanie w domach. EPA wykluczyła skażenie chemikaliami, a chociaż CDC nie wyizolowało jeszcze zarazka przenoszącego infekcję, podejrzewano, że to wirus. Około ósmej NBC podało, że gubernator Maine ogłosił stan wyjątkowy. Aby zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się infekcji, od jutra rana miały zostać pozamykane wszystkie sklepy i zakłady pracy.

Teraz rozumiała, dlaczego Graham Nero przyszedł do biblioteki. Ten człowiek był chory, na wpół oszalały, może nawet umierający. Gdy już przywiozła Maddie do domu, zadzwoniła na policję. Przez prawie godzinę słuchała piosenki Barry'ego Manilowa, zanim udręczona telefonistka wreszcie odebrała. Oznajmiła, że dzwoni teraz bardzo dużo ludzi, i przypadkowo - a może specjalnie - odłożyła słuchawkę. Meg dała za wygraną. Kostka naprawdę ją bolała, a sweter był mokry od potu. Ledwie zdołała dotrzeć do liceum; do sklepu wysłała Maddie już samą, z kartą kredytową i listą zakupów. Kiedy wróciły do domu, wzięła trzy tabletki kodeiny i wciąż jeszcze czuła się otepiała. Ale przynajmniej noga przestała boleć. Powinna wybrać się do lekarza, wątpiła jednak, by zdołała się dostać do jakiegokolwiek innego poza swoim mężem.

Teraz Fenstad popijał wódkę z tonikiem, a ona drapała się po nodze i myślała o Grahamie Nero. Ten kretyn ją polizał. Otarła twarz na samo wspomnienie. Potem spojrziała na męża, który gapił się na stek jak na górę, której nigdy nie zdoła zdobyć. Poczwała, że się czerwieni. A co, jeśli Graham zaraził ją wirusem? Co, jeśli przyniosła go do domu?

Fenstad zjadł niewielki kawałek, odłożył widelec i sięgnął po drinka. Był zbyt zmęczony, żeby jeść.

- Jak było w szpitalu? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Źle.

Pociągnął łyk. Chował swoje stresy tak głęboko, że kiedy miał trzydziestkę, dostał zapalenia woreczka żółciowego i trzeba go było usunąć chirurgicznie. Ale wciąż nie porzucił wódki z tonikiem i pił ją trzy razy w tygodniu, jakby lekarzy nie obowiązywały zasady zdrowego odżywiania. Pan Zimna Ryba. Cieszyła się jednak, że jest z nim tutaj. I że będzie z nim jutro. Czuła się bezpiecznie, gdy mąż mógł ją obronić. Po zdarzeniach z Albertem i z Grahamem wydawało jej się to bardzo ważne.

Znowu się podrapała. Noga tak ją swędziała, że czuła to swędzenie nie tylko na skórze, ale i w kościach. Fenstad skinieniem głowy wskazał tę nogę.

- Mówiłem ci, żebyś wzięła kodeinę.

Westchnęła i odłożyła wieszak na stół. Po powrocie do domu Fenstad się nie odzywał. Spytał tylko, czy Maddie wie, że nie może wychodzić, i czy filtr powietrza działa. Zanim usiadł do stołu, wziął kąpiel w gorącej wodzie z rozcieńczonym wybielaczem, na wypadek gdyby uległ skażeniu w szpitalu albo w domu Lois Larkin.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

Nie podniósł wzroku znad talerza.

- Czuję się świetnie. Dzięki.

Co z nim jest nie tak? Nawet na nią nie patrzył. Przez lata na jej nogi niczym bluszcz powypęły niebieskie żyły, a talia trochę się poszerzyła, jednak podziw Fenstada dla figury żony pozostawał niezmienny. Choćby w zeszłym miesiącu, kiedy miał zatrucie żołądkowe, przyłapała go, jak gapił się na jej tyłek, gdy opróżniała kubek stojący przy jego łóżku. Teraz był obojętny i zdystansowany. Wręcz nieprzyjazny.

Nagle zrozumiała. Ktoś musiał mu powiedzieć, że pod biblioteką widział porsche Grahama, i Fenstad wyciągnął błędne wnioski. Chciała mu tego oszczędzić (wstydziała się, że coś takiego w ogóle się stało), ale teraz musiała powiedzieć.

- Coś się stało - zaczęła.

Spojrzał na nią znad talerza. Aż się wystraszyła, tyle nienawiści było w jego twarzy. Ale po chwili zniknęła. Pewnie jej się tylko wydawało.

- Co tym razem? - spytał.

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Wyjrzała przez okno w ciemną noc. Ptak zniknął, wyrzuciła go... Ale gdzie jest reszta ptaków? I wiewiórki? I sarny?

- Dzisiaj do biblioteki przyszedł Graham Nero - odparła.

Fenstad nic nie powiedział, ale właśnie tego się spodziewał, ciągnęła więc:

- Zostawiła go żona. Zrobił scenę. Wygadywał okropne bzdury. Myślę, że to przez tego wirusa. Kazałam mu wyjść...

Fenstad spojrzał na swoje paznokcie i zaczął wydłubywać nich brud. Nawet u niego taka reakcja wydawała się dziwna.

- Czy on cię dotknął? - zapytał, nie patrząc na nią.

- Powiedziałam ci: kazałam mu wyjść. Nic się nie stało.

Wziął głęboki oddech przez nos. Pomyślała, że szuka zapachu Grahama Nero.

- Czy on cię dotknął? - powtórzył.

Zamknęła oczy.

- Tak... Przycisnął mnie do ściany i polizał po twarzy. Nie chciałam go...

Fenstad poderwał się gwałtownie, aż krzesło upadło na podłogę. Grzechotało, więc krzychał, aby być słyszonym.

- Nie zbliżaj się do Maddie! Możesz mieć wirusa!

Ruszył do drzwi.

- Gdzie idziesz? - zawołała za nim.

- Do marketu. Kupię rygiel i więcej wody. Gdybyś jeszcze nie zauważyła, to jesteśmy w samym centrum epidemii. Przez jakiś czas możemy być zamknięci w domu.

- Fenstad, to wariactwo. Do Targetu jest trzydzieści kilometrów, a ty nawet nie wiesz, jak założyć rygiel.

Odwrócił się i Meg uświadomiła sobie, że tamten wcześniejsza grymas wcale jej się nie przywidział. Teraz wrócił, tyle że Fenstad dodatkowo obnażył zęby.

- Wiesz, że cię kocham - powiedziała bez namysłu.

Patrzył na nią przez sekundę, potem kolejną i jeszcze jedną. Grymas zelżał.

- Tak... - wyszeptał. - Myślę, że powinienem jednak kupić ten zamek. Przyda się, jeśli ogłoszą kwarantannę i zabraknie policjantów do patrolowania ulic. Moglibyśmy wyjechać, ale jeśli jesteśmy zarażeni, roznosilibyśmy chorobę. Poza tym im mniej mamy kontaktu ze światem zewnętrznym, tym lepiej.

Odwrócił się i skierował do wyjścia.

Usłyszała, jak się o coś potyka w korytarzu i krzyczy „Cholera!”.

Pokuśtykała do holu. Świeży ból i ośpienie po kodeinie sprawiły, że przygryzła wargi. Znalazła go pod drzwiami, trzymał truchło jakiegoś dużego zwierzęcia. Czarne futro miało wilgotne od krwi. Zostały z niego tylko skóra i kości. Nawet oczy zniknęły.

- Co to jest? - wykrztusiła.

- Ty to zrobiłaś? - spytał szeptem. Odwrócił się i spojrzał na nią. - Jak mogłaś?

Była tak zaszokowana, że zdołała tylko pokręcić głową w niemym zaprzeczeniu.

Położył truchło na platformie półpiętra.

- To Kaufmann, owczarek niemiecki Fowlerów. Aż do teraz nie mogłem sobie przypomnieć, ale to jest pies Fowlerów... Skąd wiedziałaś o moim śnie?

Głos miał drżący, pełny emocji. Zupełnie inny niż Fenstad, którego znała. Przeszedł nad martwym psem i ruszył na podjazd. Nie widziała jego twarzy, ale mogłaby przysiąc, że kiedy wsiadał do samochodu, płakał.

ROMEO I JULIA

Końcówka marlboro lighta jaśniała żarem. Był późny sobotni wieczór, a Maddie wyglądała przez otwarte okno. Już trzydzieści godzin siedziała zamknięta w domu. Jakby nie dosyć było szlabanu, od dziś całe to cholerne miasto objęto kwarantanną. Enrique nie odbierał komórki (czasem pożyczał ją jego brat i zapominał o doładowaniu), więc nie rozmawiali, odkąd wyszedł od niej wtedy ciężko obrażony. Ostatni raz nie rozmawiała z nim tak długo, gdy wyjechała na wakacje do Gettysburga. Dzisiejszy dzień spędziła pomagając tacie w montowaniu rygli na drzwiach frontowych i kuchennych.

- Jeśli ktoś będzie chciał wejść i tak wejdzie - marudziła mama, ale ojciec nie zwracał na to uwagi.

Maddie podejrzewała, że miało to coś wspólnego z Albertem. Stosunki między nimi wróciły do normalności, co oznaczało, że nienawidzili się wzajemnie.

Chorowało coraz więcej osób, dzisiaj wieczorem słyszała w radiu, że wirus dotarł do New Hampshire i Massachusetts. Pojedyncze przypadki wykryto nawet w Hartford w stanie Connecticut.

Wysłannicy agencji rządowych, którzy przyjechali w tym tygodniu do Corpus Christi, zakończyli zbieranie próbek i wrócili do Waszyngtonu. CDC podało, że infekcja to efekt wzrostu poziomu siarki w lasach pod Bedford po pożarze. Siarka stanowi pożywkę dla wirusa, który atakuje ludzkie mózgi. Komunikat gubernatora odczytany w lokalnych wiadomościach zalecał mieszkańcom zachowanie spokoju i zapowiadał, że szczepionka pojawi się tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Tymczasem wszyscy mieszkańcy hrabstw Waldo, Kennebec, Knox, Lincoln, Androscoggin i Sagadahoc mieli pozostawać w domach. Podejrzewano, że wirus przenosi się przez ślinę i krew, a ryzyko zgonu zachodzi tylko u osób z obniżoną odpornością. Tak powiedziano oficjalnie, ale jakiś wewnętrzny dokument NIH, który przeciekł do Internetu na stronę Smoking Gun, poziom śmiertelności określał na około trzydziestu procent i stwierdzał, że wirus przenosi się drogą kropelkową. Nie ma na niego żadnej szczepionki i jeszcze żaden chory nie wyzdrowiał.

W piątek wieczorem CDC zastąpiła stanowa policja. Przewiozła chorych do szpitali w miejscowościach położonych dalej na południe, co wydawało się głupie, skoro chciano zatrzymać rozprzestrzenianie się choroby. Dziś po południu zamknęli trasę I-95 dla wszelkiego ruchu poza absolutnie koniecznym i pilnowali przestrzegania kwarantanny. Wieczorem miało zjawić się wojsko, ale z tego, co słyszała, nikt go jeszcze nie widział. Na razie Corpus Christi zostawiono same sobie.

Usłyszała od taty, który z kolei wiedział to od swojego szefa, że dzisiaj zmarło mnóstwo ludzi, a szpitalna kostnica jest przepelniona. Wszyscy umarli tak samo - z węzłami chłonnymi spuchniętymi tak, że wyglądały jak wole, i płucami pełnymi flegmy. Krótka mówiąc, totalna katastrofa.

Wiedziała, że powinna wpaść w histerię. Właściwie była chyba najbardziej nerwową dziewczyną w całym Corpus Christi. Ale nie wpadła. Od lat wykrzykiwała o Armagedonie, a teraz, gdy nadszedł, to jakby już się wyrzeszczała. Palila papierosa i patrzyła, jak się rozżarza, a potem przygasa. Myślała o Enrique, o tych wszystkich, którzy umarli, i o tym, że każda szczepionka działa tylko na ludzi, którzy nie są zarażeni. Chciała, żeby David był teraz w domu.

Skończyła papierosa i wrzuciła do pustej butelki po napoju Snapple, której używała jako popielniczki. Wtedy obok jej twarzy przeleciał kamyk rzucony z

podjazdu. Co to, do cholery? Nadleciał jeszcze jeden i uderzył ją prosto w nos. A potem ktoś zawołał jej imię teatralnym szeptem:

- Mad-e-line!

Rozpromieniła się. Enrique!

- Gdzie jesteś? - odpowiedziała identycznym szeptem.

Jak w *Romeo i Julii*. Zawsze chciała, żeby ukochany przyszedł pod jej okno. Niesamowite. Jej życie było jak jakiś zajebisty film!

- Tutaj! - zawołał Enrique.

Wychyliła się i zobaczyła, że stoi na ganku.

- Ty palancie! Uderzyłeś mnie! - zbesztła go ze śmiechem.

Zbiegła po schodach do drzwi, po kilku chwilach zmagania z nową zasuwą wypadła na dwór i rzuciła mu się w ramiona. Zachwiał się, ale zdołał zachować równowagę.

Uśmiechnęła się szeroko. To było po prostu super! Przytuliła się do niego. Przez nylonową kurtkę poczuła ciepłą skórę, żebra i bicie serca. Nagle zachciało jej się płakać, tak bardzo go kochała.

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale znowu zapomniałeś naładować komórkę - powiedziała. - Wciąż mam szlaban, ale mama powiedziała, że możemy się zobaczyć, jak już dostaniesz rozkaz wyjazdu.

Przez chwilę nic nie mówił, tylko wahał jej włosy, co było dziwaczne, ale typowe dla Enrique. Zawsze ją wahał.

- Dostałem rozkaz. Wysłali go, zanim pojawił się wirus. Jutro rano mam jechać do Camp Lejeune w Karolinie Północnej. Nie mogłem się do nikogo dodzwonić, więc nie wiem, czy kwarantanna coś tu zmienia. Ale muszę przynajmniej spróbować, inaczej mogą mnie aresztować.

Przytuliła się mocniej. Tak mocno, jakby chciała zatonać w jego piersi i już tam pozostać. Żyłaby w nim i sprawiła, że byłby z nią już na zawsze. Tak się jednak nie stało. Nie mogło się stać.

- Musiałem się z tobą zobaczyć.

Chciała powiedzieć coś mądrego. Coś, co mówią dziewczyny, kiedy ich chłopcy wyjeżdżają na wojnę. Żeby był dzielny i że go kocha. Ale teraz potrafiła myśleć tylko o jego kręconych czarnych włosach. Były długie jak na chłopaka, a w Karolinie Północnej mu je obetną do samej skóry.

- Wiesz, jesteś jedynym chłopakiem, którego kiedykolwiek lubiłam - wyznała.

- Wrócę za rok. Razem pójdziemy do college'u - powiedział.

Maddie jednak wiedziała, że to nieprawda. Enrique wyjeżdża, a kiedy wróci, ona będzie już na pierwszym roku studiów.

Na myśl o bliskim rozstaniu zaczęła płakać. Nie chciała obudzić rodziców, więc przycisnęła usta do jego ramienia, gdzie zostały wilgotny krąg.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała przez łzy.

- Musiałem - odparł.

Była ciepła noc, ale Maddie miała na sobie tylko bawełnianą piżamę i była boso, więc drżała z zimna.

- Zająłeś się sklepem, gdy twój tata zachorował. Dlaczego teraz to robisz? Chcesz ode mnie odejść?

- Nie - zapewnił. - Nigdy.

- Chodzi o twoją rodzinę?

- Może.

Rozpłakała się jeszcze bardziej, bo to było takie głupie.

- Wszystko popsuleś! - zawołała.

Przygarbił ramiona i rozpostarł przed nią dłonie.

- Przestań, Mad-e-line, nie chcę się z tobą kłócić.

- Nie obchodzi mnie, czego chcesz! - krzyknęła. Na szczęście okna sypialni jej rodziców były zamknięte. - Wszystko zepsułeś. Mogliśmy być szczęśliwi, ale ty wszystko sknociłeś. A teraz wyjeżdżasz. Nie jestem dla ciebie na tyle wyjątkowa, żebyś mnie rozdziewiczył. Wolałabym cię nigdy nie spotkać.

Pokręcił głową i wyznał:

- Boję się.

Miała ochotę skopać mu tyłek. Co za głupota zaciągać się do wojska tylko dlatego, że rodzina nie daje ci wystarczająco dużo luzu. A może Enrique uważa, że powinien ożenić się z dziewczyną, z którą prawie uprawiał seks, tak jak jego ojciec, ale nie jest jeszcze gotów, aby jedną odpowiedzialność zamieniać na drugą, więc postanowił jechać do Iraku. Naprawdę sprytne.

Uderzyła go w ramię. Było to bardzo słabe uderzenie, chociaż walnęła z całej siły. Bić się uczył ją starszy brat, a on był fajtłapą. Cholerny David! Uderzyła jeszcze raz.

- Powinieneś się bać. Będą do ciebie strzelać.

Pochylił się, jakby dźwigał wielki ciężar.

- Już za późno. Teraz nie mogę zmienić zdania. Jeśli nie pojedę, aresztuje mnie żandarmeria. - Zatopił twarz w jej włosach, żeby ukryć łzy. - Będę za tobą tęsknił. Ale zrozum... ja naprawdę muszę.

- Rozumiem.

Teraz oboje płakali. Może niektórzy uznaliby to za romantyczne, ale jej wydawało się po prostu głupie. Nagle przyszło jej do głowy pewne rozwiązanie i rozpromieniła się.

- W moim pokoju. Dzisiaj. Teraz.

Przez chwilę nic nie mówił, wreszcie zrozumiał. Skinęła głową, dając mu do zrozumienia, że mówi poważnie.

- Twoi rodzice się nie obudzą? - spytał.

Widziała, że spodobał mu się ten pomysł. Była też pewna, że właśnie ona stanowiła jedną z rzeczy, od których uciekał. Pragnął być z nią przez całą wieczność, nie chciał jednak, aby ta wieczność zaczęła się już teraz.

- Raczej nie - odparła. - A jeśli nawet, to co mogą ci zrobić, wysłać do Iraku?

Zanim rozsądek podniósł ohydny łeb, ruszyła w stronę domu. Nie miał innego wyjścia, musiał pójść za nią. Zdjął adidas, a Maddie pokazywała mu, gdzie stawiać kroki, żeby schody nie zaskrzypiały. Kiedy dotarli do jej pokoju, usiedli na łóżku. Zdjęła górę od piżamy, odsłaniając piersi. Enrique pochylił się i pocałował ją w usta.

Wkrótce oboje byli nadzy. Wsunął się na nią i podparł na łokciach. Wyglądał tak poważnie, że miała ochotę się roześmiać, lecz nie zrobiła tego. Rozerwał opakowanie z kondomem i rozwinął go. Widząc ulgę na jego twarzy, zrozumiała, co się stało tam w lesie. Uśmiechnęła się. Czyli jednak nie uważał jej za brzydką.

Okryli się kołdrą. Nie chciała, żeby patrzył na jej nagie ciało. Przyciągnęła go do siebie, tak żeby w nią wszedł. Poczuli się jakby porzucona, bo bolało, a on wydawał się tego nie dostrzegać. Lecz gdy na niego spojrzała, uśmiechnął się i już nie była samotna. Zdziwiła się, kiedy zsunął się z niej po wszystkim.

- Doszłaś? - zapytał.

- Może - odparła.

Spocił się i wyglądał, jakby był lekko pijany.

- Bolało? - zapytał.

- Nie, było dobrze... - Wyjeżdżał na rok, uznała więc, że może wyznać mu prawdę. - Ćwiczyłam palcem i dzięki temu bolało mniej. Czy to wariactwo?

Nic nie powiedział, tylko szeroko otworzył oczy. Pomyślała, że chyba posunęła się za daleko, ale wtedy Enrique zachichotał. Zasłoniła mu usta dłonią, żeby był cicho.

- Jak na ciebie to żadne wariactwo - szepnął, a po chwili dodał: - Kocham cię, Madeline.

- Ja ciebie też. Jesteś zły, że nazwałam cię Meksykaninem?

Minęła chwila, zanim odpowiedział.

- A ty jesteś zła, że nim jestem?

- Nie.

- No to ja też nie - stwierdził.

Ulżyło jej tak bardzo, że znowu zaczęła płakać i przytuliła się do niego.

Po jakimś czasie ły jej obeschły. Miała dziwnie obolałe nogi, a pot Enrique perlił się na jej skórze. Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i teraz widziała te reprodukcje w ramach, które mama przywiozła z muzeum w Portland (człowiek przy stacji benzynowej, czarnooka dziewczyna z kucykami w biurze szefa), a nawet swoje różowe kapcie w kształcie słoników, wystające spod łóżka.

Uprawiała seks z chłopakiem, za którego nie wyjdzie. Zakochała się w nim, wiedząc, że nic z tego nie będzie. Ale warto było, bo teraz leżała w jego ramionach.

Wkrótce zasnęła i śniło jej się, że pływa we wzburzonych falach oceanu. Obudził ją przenikliwy dźwięk.

- Ratunku! - krzyczał jakiś mężczyzna.

Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że wcale nie śni i naprawdę ktoś krzyczy.

Popędziła do okna. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność, a krzyk umilkł. Pod domem Walkerów stał radiowóz ze zgaszonymi światłami, a przy nim tłoczyli się ludzie. Pochylali się nad czymś. Ogarnęły ją złe przecucia, bo poruszali się dziwnie, jakby w zwolnionym tempie.

Poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Aż podskoczyła, ale to był tylko Enrique.

Wciągnął dzinsy i drapał się po płaskim brzuchu.

- Co się dzieje? - zapytała, wskazując tłum.

Pokręcił głową.

- Nie wiem, ale na pewno coś złego.

- Zadzwońmy na policję - powiedziała. - Po godzinie policyjnej nikogo nie powinno tam być. Mam dziwne wrażenie, że ten radiowóz jest pusty. Myślisz, że coś się stało policjantom, którzy w nim siedzieli?

Enrique nie stał już obok niej. Siedział na łóżku i sznurował adidasy. Usiadła koło niego i włożyła piżamę.

- On wzywał pomocy - powiedziała, sięgając po komórkę. Wybrała numer 911. Zajęty. Spróbowała ponownie. I jeszcze kilka razy.

Wreszcie zdołała się dodzwonić. Usłyszała nagraną wiadomość, że w związku z bardzo dużą liczbą połączeń czas oczekiwania na operatora wynosi do trzydziestu minut.

- Pół godziny! - prychnęła. - A co, jeśli ktoś tam właśnie umiera?

- Pójdę sprawdzić - zaproponował Enrique.

- Lepiej nie. To może być wirus. To przez niego ludzie wariują. A nawet jeśli nie wirus, to jakieś zamieszki. Musimy wezwać gliny.

Walnęła komórką o szafkę nocną i jeszcze raz wybrała numer.

- Dlaczego nikt nie odbiera?!

Enrique stał już w drzwiach.

- Musimy tam iść i zobaczyć - powiedział.

Skinęła głową, bo miał rację. Gdy ktoś wzywa pomocy, trzeba próbować mu pomóc. Ale wiedziała, że to zły pomysł. Mogą złapać wirusa, może się stać coś jeszcze gorszego. Morderstwo, pomyślała. Chociaż nie miała na to żadnych dowodów, czuła, że pod jej domem ktoś popełniał morderstwo.

- Powinniśmy obudzić mojego tatę. On będzie wiedział, co robić.

- Nie, najpierw ja popatrzę - zaproponował Enrique. - I tak muszę wyjść. Może to nic poważnego. Jeśli twoi rodzice nie dowiedzą się, że tu byłem, jutro rano spotkamy się na przystanku autobusowym, żeby się pożegnać. W przeciwnym razie już się nie zobaczymy przed moim wyjazdem.

Zabolały ją te słowa, ale wiedziała, że znowu miał rację.

- Dobrze - zgodziła się.

Ruszył po schodach, a ona za nim. Gdy znaleźli się na dole, otworzyła frontowe drzwi. Podest oświetlała pojedyncza lampa. Nikt nie stał na ganku ani na chodniku pod domem. Ulica była pusta, radiowóz też. Maddie nasłuchiwała. Wydawało jej się, że coś słyszy, ale może to był tylko wiatr.

- Gdzie oni są? - zapytała.

- Może po prostu odeszli.

W powietrzu unosił się dziwny zapach. Coś jak zgniłe jaja.

- Czujesz to? Czy ludzie z wirusem właśnie tak nie pachną?

Enrique położył dłoń jej na ramieniu.

- Znowu czytałaś Smoking Gun.

- I co z tego?

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- To, że muszę już iść.

Starła się nie płakać. Wiedziała, że musi być silna.

- Poczekaj, aż się zrobi jaśniej - poprosiła.

- Muszę się spakować. A gdybym został, obraziłbym twojego ojca.

- To nieważne. Nie powinieneś ryzykować.

Wziął ją w ramiona i przytulił.

- Zadzwoń do ciebie rano. Jeśli się uda, spotkamy się rano na przystanku.

Uśmiechnął się i ruszył przez trawnik, teraz wilgotny od rosy. Szedł pewnym, zdecydowanym krokiem. Jediną oznakę smutku stanowiły przygarbione ramiona. Maddie stała na ganku, pokrzepiając się myślą, że dopóki go widzi, jest bezpieczny. Ale w końcu minął lampę uliczną i zniknął w ciemności. Stała jeszcze chwilę, wsłuchana w ciszę ulicy. Dźwigała w sercu ogromny ciężar. Wiedziała, że da sobie radę, bo w głębi duszy była dziewczyną, która mogła dać sobie radę ze wszystkim. Ale teraz wcale nie chciała taka być.

Wreszcie odwróciła się i weszła z powrotem do domu.

Gdyby miała latarkę i oświetliła nią ulicę, zobaczyłaby ludzkie kości leżące obok radiowozu. Gdyby nie zamknęła okna po powrocie do sypialni, usłyszałaby krzyk Enrique Vargasa.

ZRUJNOWANY DOM

W sobotnią noc ktoś zastąpił chipsy Lay's, które Danny Walker najbardziej lubił, jakimś granitem nafaszerowanym butanem. Zapchały mu żołądek i miał wrażenie, że zaraz eksploduje. Wcale nie przesadzał z tym odorem. Serio. Gdyby ktoś teraz zapalił zapalną, cały ten cholerny pokój wyleciałby w powietrze. Chociaż z drugiej strony, ogień mógł zabić smród.

To rodzice mu to zrobili. Zmienili go we wściekający się pęcherz z gazem. Ręce piekły go po kopaniu dołu na wysypisku, a słone chipsy wcale tego nie polepszyły. W zwykłych okolicznościach nie rozsmarowałyby sobie soli na ranach, doszedł więc do wniosku, że właśnie przez rodziców kompletnie zgłupiał. Zaczął wygrzebywać brud, który utkwiał za paznokciami, i puścił kolejnego baka.

Ta sprawa z Lou McGuffinem zaczęła się nagle. Z samego rana Lou zaczął walić pięściami w drzwi. Danny nie chciał, żeby rodzice się obudzili, więc zbiegł po schodach i mu otworzył.

- Gdzie jest twój ojciec? - burknął Lou.

- Czego pan chce? - odparował Danny, bo w końcu miał już piętnaście lat i zasługiwał na trochę szacunku.

McGuffin trzymał papierową, sklepową torbę. Spód miała czerwony, jakby była pełna mięsa. Nagle papier się rozerwał i na podeście wylądowały różowe kłęбки wilgotnego futra.

Danny dostrzegł liczne pary uszu. Ze zwierząt zostały tylko głowy i skóry. Na szczycie tego stosu truchła zobaczył pyszczyk, z którego wysunął się różowy język.

- Gdzie jest Miller? - zapytał Lou.

Głos miał ochrypły.

Czy ten gość zwariował? Danny już chciał zatrzaskać drzwi i zamknąć je na klucz, lecz ułamek sekundy później wszystko zrozumiał. Mówił rodzicom, że zeszłej nocy znalazł w krzakach Jamesa i martwego królika, ale go nie słuchali. Nie chcieli słuchać. Teraz, patrząc na ganek, zrozumiał, że to jego młodszy brat zabił króliki McGuffina.

- Zawołam tatę - powiedział, ale ojciec już był za nim.

Miller odsunął syna i stanął twarzą w twarz z Lou McGuffinem. Wskazał kupkę martwych królików.

- Co to jest, do cholery? - spytał.

- Ty mi powiedz - odparł Lou.

Millerowi nabrzmiała żyła na szyi.

- Wynocha z mojego domu, bo inaczej tak cię kopnę, że polecisz stąd aż na Florydę! - wrzasnął.

Był zmęczony, inaczej nie straciłby zimnej krwi. „Niech wrogowie nawet nie wiedzą, że się zbliżasz” - brzmiało jego ulubione powiedzenie.

Lou ani drgnął.

- To twój syn - powiedział i spojrzał na Danny'ego.

Oczy miał pełne nienawiści.

Dla Danny'ego zawsze był miłym panem z sąsiedztwa. Uczył go łuskać kukurydzę, grać w karty i wiązać węzeł kotwiczny.

- Nie ten - syknął Lou, wciąż patrząc na chłopca. - To ten drugi był wczoraj w nocy u moich królików.

Miller zmarszczył brwi,

- Ty cholerny ćwoku - warknął. - Mój dzieciak zgubił się w lesie cztery dni temu i nadal go nie znaleziono. Moja żona od tamtej pory nie może spać.

McGuffin pokręcił głową.

- Kłamiesz. Widziałem go zeszłej nocy, jak włamywał się do zagrody. Widziałem, jak to robił. - Wskazał kupkę skór. - Chciałem go powstrzymać, ale zanim tam dotarłem, wszystkie już nie żyły. Wiem, że to był twój syn. Chciałem dać ci szansę, żebyś sam to załatwił, zanim pójde na policję.

Danny był zły na ojca. Przecież dobrze wiedział, że to James. Leżące na ganku resztki królików były wilgotne, ale nie ociekały posoką, tak jakby ktoś je wyssał. Od samego patrzenia na nie robiło mu się niedobrze.

- Panie McGuffin - zaczął, ale gdy ojciec zacisnął mu dłoń na ramieniu, umilkł.

- Mój syn zaginął - powiedział Miller - i może został zamordowany, a ty przynosisz mi to gównu. Masz szczęście, że cię nie zastrzeliłem.

Danny był zaskoczony, bo ojciec mówił całkiem poważnie, tak jakby całą noc martwił się o Jamesa.

- Widziałem go - powtórzył Lou, lecz już bez przekonania.

Najwyraźniej zaczęło w nim kiełkować ziarno wątpliwości. Nie wiedział, jak zresztą większość ludzi, że gdy ktoś jest wystarczająco rozeźlony i głośny, słabsi od niego kupią wszystko, cokolwiek im powie. Zwłaszcza jeśli on również wierzy w to kłamstwo.

Miller wypiął okazały brzuch, jakby chciał obalić Lou na kolana.

- Z tego, co wiem, tylko ty widywałeś się z moim synem i innymi zaginionymi dziećmi. Nigdy nie lubiłeś Jamesa.

Danny przyłapał się na tym, że kibicuje Lou. Chciał, żeby teraz on zaczął wrzeszczeć. McGuffin zamilkł na chwilę i chłopiec miał nadzieję, że właśnie zbiera się do nokautującego ciosu. Ale potem usta mu zadrżały i zaczął płakać. Danny był rozczarowany. Wbił wzrok w ziemię, żeby nie patrzeć na martwe króliki.

- To był twój syn - wyszeptał Lou.

- Wynocha z mojego domu, bo cię zabiję - odparował Miller.

Lou stał jeszcze chwilę, wreszcie odwrócił się i poszedł. Szedł szybko, z pochyloną głową, a po kilku krokach zaczął biec. Wypłowiełe spodnie w kolorze khaki łopotąły wokół jego chudych nóg. Danny ujrzał życie tego człowieka w innym świetle: samotny dziwak, który żywił się niskokalorycznymi mrożonkami, by nie przytyć, ale nie potrafił odbić piłki ani rozkazywać komuś w biurze. Słaby. Danny nienawidził i jego, i siebie, że tak o nim myśli, bo do tej pory bardzo szanował McGuffina. Lou był bowiem taki, jaki nigdy nie był jego ojciec - ludzki.

Kiedy Lou zniknął z pola widzenia, Miller wskazał synowi truchła.

- Posprzątaj to - polecił. - I wyszoruj cement, żeby nie było śladów krwi. Zrób to, zanim wyjdę do pracy, a potem mnie zawołaj.

Chłopiec pokręcił głową.

- Tamtej nocy, kiedy widziałem Jamesa... Myślę, że pan McGuffin ma rację...

- Zamknij się - przerwał mu ojciec. - I posprzątaj to gównu, zanim ten kretyń się nie zorientuje, że właśnie pozbył się dowodów.

Danny nie ruszał się, więc Miller złapał go za ramię i szarpnął.

- Jeśli twoja matka się o tym dowie, wróci do czubków. Już jest na skraju załamania. Chcesz ją zepchnąć w przepaść?

Danny zaczął płakać. Czuł się słaby jak Lou McGuffin.

- Nie chcesz. Tak właśnie myślałem - powiedział ojciec. - A teraz posprzątaj.

Danny przyniósł z kuchni plastikowy worek na śmieci i szuflę do śniegu zgarnął martwe ciała. Nie wydały żadnego dźwięku wpadając do środka. Ta cisza była okropna.

Potem wylał na podest ze dwa litry odplamiacza i splukał wszystko węzem ogrodowym. Dzięki temu nie musiał szorować schodów na kolanach. Gdy skończył po

godzinie, ojciec właśnie wychodził do pracy, a matka nadal leżała w łóżku. Danny nie był w szkole od środy. Najpierw został w domu, żeby opiekować się mamą, a potem szkołę zamknięto z powodu wirusa.

Ojciec rzucił mu kluczyki do benza żony.

- Weź łopatę z szopy i jedź na złomowisko - polecił. - Wykop głęboki dół. Nikt nie może cię zobaczyć.

Potem wyszedł, jakby Danny nie potrzebował dokładniejszych wyjaśnień. Rzeczywiście nie potrzebował. Miller i jego starszy syn nadawali na tych samych falach. Chłopak od razu się domyślił, że złomowisko będzie najlepszym miejscem na ukrycie truchła, bo w lesie roilo się od gliniarzy.

Danny często prowadził samochód, chociaż nie miał prawa jazdy. W sobotnie poranki złomowisko było zwykle pełne ludzi wyrzucających stare graty, ale dziś z powodu wirusa świeciło pustkami. Miał nadzieję, że ci wszyscy ludzie wyjechali z miasta albo siedzą w domach i oglądają wiadomości. Gdyby było inaczej, to by znaczyło, że wiele osób jest chorych. Może nawet już nie żyją.

Znalazł jakiś mocno zniszczony samochód, którego, jak sądził, przez dłuższy czas nikt nie ruszy, i wykopał pod nim półmetrowy dół. Pomyślał, że jeśli wysypie króliki z torby, prędzej się rozłożą i będą wyglądać naturalniej, gdyby ktoś je znalazł. Ale że nie chciał znowu oglądać ich ciałek, wrzucił je do dziury razem z torbą.

Zanim wrócił do domu, zatrzymał się pod szpitalem, by powiedzieć tacie, że wykonał zadanie. Na parkingu stało mnóstwo aut i wyglądały, jakby nie ruszono ich od kilku dni. Większość przedstawicieli CDC wróciła do Waszyngtonu, co, jak podejrzewał, stanowiło zły znak. Gdyby bowiem uważali, że mogą pomóc, zostaliby.

Funkcjonariusze stanowej policji patrolowali wejścia do szpitala. Wschodnie skrzydło, oddzielone plastikową ścianą, miało i osobne otwory wentylacyjne. Danny musiał się tłumaczyć przed trzema mężczyznami o bladych twarzach, zanim jeden z nich wpuścił go wreszcie do głównego holu.

W korytarzu unosiła się woń amoniaku. Ze wszystkich stron słyszał kaszlących ludzi: pacjentów, lekarzy, pielęgniarki, policjantów. Podłoga była brudna od błota i krwi.

Zawróciłby, gdyby gabinet taty nie mieścił się tak blisko.

- Zrobione - rzucił, wszedłszy do środka.

Ojciec poklepał go po plecach, co stanowiło substytut przytulenia.

- Dzięki, synu. Wiedziałem, że umiesz grać w drużynie.

Danny nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ojciec jest z niego dumny.

- Tato, czy my jesteśmy tu bezpieczni? Mama i ja? - zapytał.

Starał się panować nad głosem, co okazało się niełatwe.

Miller wzruszył ramionami.

- Bezpieczni od czego?

- Od wirusa. Słyszałem, że złapała go albo zaginęła ponad połowa uczniów liceum.

Czy oni są zaginieni dlatego, że wyjechali z miasta?

Miller lekceważąco machnął ręką.

- Właśnie rozmawiałem z akcjonariuszami. Powiedziałem im to samo co tobie.

Nie wpadamy w panikę. O to właśnie chodzi. Spanikujemy i będzie po nas. Racja?

- Racja, tato.

Miller zadzwonił do szefa policji, a Danny stał przy drzwiach i słuchał.

- Obawiam się, Tim, że to mogło być porwanie. Zaraz obok mieszka Lou McGuffin. Jest samotny, rozumiesz. Dzisiaj rano przyszedł do mnie i bełkotał coś o Jamesie. Zawsze był trochę świrnięty, ale myślę, że tym razem posunął się dalej...

Danny nie chciał dłużej tego słuchać. Wrócił do domu. Gdy tam dotarł, pod domem McGuffina stały już trzy radiowozy. Wkrótce potem Tim Carroll wprowadził

Lou zakutego w kajdanki. Danny widział to z okna. McGuffin popatrzył na niego i chłopiec chciał coś krzyknąć albo mu pomachać, ale tego nie zrobił. Chudy Lou w tanich spodniach khaki, wielkich jak żagle. Nie chciał tego oglądać, więc zasunął zasłony.

Mniej więcej po godzinie zadzwonił kolega Danny'ego, John. Chłopak nie odebrał telefonu, ale wysłuchał nagrania na automatycznej sekretarce.

- Heja, De-Em! - wrzasnął John, bo był idiotą. - Słyszałeś, co się stało z tym facetem, co mieszka obok ciebie? Gliny znalazły u niego w komputerze pornografię dziecięcą. A tak poza tym każdy, kogo znamy, jest chory albo zaginął. Cholera, to niesamowite! Stary! Dzwonź zaraz!

Danny nie zadzwonił. Nie chciał w to uwierzyć, ale wiedział, że to prawda. Jego ojciec wrobił Lou McGuffina. Przekupił jakiegoś gliniarza, żeby mu podrzucił pornografię, by ukryć, że James jest psychopata.

Ścisnęło go w dołku. To było ohydne. Ale co on mógł poradzić? Ludzie lubili go właśnie dlatego, bo jego ojciec miał pieniądze. Mógł jeździć bez prawa jazdy i pić piwo w lesie. Nie zwiewał przed glinami, bo wiedział, że dopóki ojciec płaci wszystkie mandaty, nigdy go nie aresztują. Dzięki pieniądзом Millera mama nigdy nie stanie się dla niego ciężarem. Ani James.

Jasne, to gównem z pornografią dziecięcą miało sens. Lou sobie na to zasłużył, bo oskarżył Jamesa o coś strasznego. James był psycholem, ale czy jakiś dzieciak zjadłby pół tuzina dorosłych królików? Może Lou McGuffin naprawdę lubił maślaki? Gdyby opowiedział o wszystkim glinom, ojciec by go zabił. Powiedziałby z uśmiechem: „Jestem z ciebie dumny, synu, powiedziałeś prawdę, tak jak uczyliśmy cię z mamą”, ale następna rzecz, jakiej by się dowiedział, to że dostanie celę obok Lou. Lepiej siedzieć cicho. Uganiać się za laskami i trochę więcej grać w golfa, pod warunkiem że nie złapie wirusa i dożyje następnego tygodnia. A teraz strzeli sobie piwko. Albo nawet kilka piw.

Danny poszedł do kuchni i wziął z lodówki shopyard. Ale gdy go otworzył, poczuł coś, co przypominało mieszankę piwa i gówna. Wylał wszystko do zlewu.

Było już po północy, a jego pokój śmierdział jak szambo. Z dołu dochodził zapach papierosów. Po pięciu latach abstynencji mama wróciła do krainy marlboro. Tata krzyczał do telefonu, bo mnóstwo ludzi umarło, komisja zdrowia publicznego chciała spalić ciała, ale prawnicy nalegali, żeby je trzymać w chłodni, więc nikt nic nie robił. Na komórce Danny'ego przez ostatnie dwa dni zostawiło wiadomości osiem osób. Jego dziewczyna Janice i koledzy z drużyny lacrosse'a. Mówili o wyjeździe z miasta, o tych, co zachorowali o tym, co widzieli w nocy, i o na wpół zjedzonych zwierzętach, tak jakby James nie był jedynym dzieciakiem w mieście rozmiłowanym w wiwisekcji.

Teraz jego brat może już nie żył, Lou McGuffin siedział w mamrze, a on walił konia, podczas gdy cztery dziwki rozmawiały, czy pójdą z facetem do łóżka na pierwszej randce (gdyby postawił kolację, odpowiedzią byłoby radosne „tak”). Zaczął płakać, bo chociaż wziął prysznic, ziemia, którą wykopał z tej jamy, tkwiła mu pod paznokciami, a przez słone chipsy piekły pęcherze. Płakał, bo w jego pokoju było ciemno, spod drzwi sączył się zapach marlboro mamy i, zamiast czuć się smutny, czuł się podły. Chciał znaleźć mamę i wykrzyknąć jej, że nic z tego wszystkiego by się nie wydarzyło, gdyby ona cały czas nie łykała tych swoich pigułek. Chciał skrzywdzić kogoś słabszego od siebie, jak jego stary dobry tatuś.

Otarł łzy i podjął decyzję. Nie będzie taki jak tata. Pójdzie na policję. Powie im o królikach. Może ojciec wyrzuci go za to, wykopie albo wyśle do szkoły wojskowej, czym zawsze groził. Tak czy siak, wreszcie opuści ten dom.

Włożył kurtkę, buty i wziął kluczyki do auta mamy. Cicho zszedł po schodach. Nie zauważają, że odjeżdża, dopóki nie usłyszą samochodu, a do tej pory już go tutaj nie

będzie. W kuchni radio grało jakieś klasyczne gówno. Wagnera. Cuchnęło prawie tak samo paskudnie jak w jego pokoju. Słyszał echo swoich kroków, co wydawało się złowrogie. Ojciec już nie wrzeszczał do słuchawki. Mama nie kartkowała *Bądź swoim najlepszym przyjacielem*.

Danny wiedział, że powinien iść dalej, jednak ta cisza go niepokoiła. Uchylił drzwi jadalni i zajrzał do środka. Znad popielniczki unosił się dym. Otworzył drzwi szerzej. Z krzesła zwisało ramię w niebieskim swetrze. Powoli zataczało kręgi. Mama, pomyślał, chociaż nie nazywał jej tak od czasu, kiedy trafiła do wariatkowa.

Otworzył drzwi na oścież. Siedziała na krześle w stylu Ludwika XIV z odsłoniętym gardłem, a na drewnianą podłogę skapywała krew. Kropla po kropli.

Serce podskoczyło mu w piersi, kiedy głowa mamy zwisała bezwładnie. Przypomniał sobie, jak razem karmili kaczki suchym chlebem i jak przecinała jabłka w poprzek, żeby mógł zobaczyć gwiazdkę powstałą z ogryzka.

Potem zobaczył coś gorszego niż cokolwiek, co sobie wyobrażał. Szyja matki była ogryziona, a głowa trzymała się tylko na jednym kawałku kości. I ta kość pękła z odgłosem przypominającym dźwięk wyłamywanego palca. Głowa spadła na dywan i potoczyła się w jego stronę. Pomyślał, że matka może jeszcze żyje. Może próbuje mu coś powiedzieć. Głowa zatrzymała się zaledwie kilka centymetrów od jego stóp. Usta były otwarte i przez chwilę myślał, że ta głowa przemówi.

Jęknął, a potem zakrył usta dłonią. Miał nadzieję, że tata tego nie słyszał. Bo on to zrobił. Jego ojciec jest potworem. Przypomniał sobie o bracie. James to zrobił... A może jednak tata?

Ruszył do kuchennych drzwi. Ostrożnie, żeby nie dotknąć tego, co leżało na podłodze. Serce miał w gardle, biło jak oszalałe.

- Bracie - powiedział jakiś głos.

Brzmiał chłodno i złowrogo.

Danny spojrział. To James. Tarasował drzwi. Miał całkiem czarne oczy, a palce u stóp chyba mu odrosły od ostatniej nocy. Te nowe były doskonałe. Nie zakrzywione, tak jak zwykle, tylko proste. James stracił wszystkie włosy, nawet brwi i rzęsy. Błada skóra stała się obwisła, wyglądał więc jak postarzały o sto lat.

Danny rzucił się do ucieczki. Biegnąc, kopnął głowę mamy, która zaczęła się toczyć. Oczy nie mrugały podczas kolejnych obrotów i zastanowił się, czy ją bolało. Serce miał już w gardle. Gryzł wargi, gdy biegł.

James skoczył i złapał go za nogi. Trzymał mocno, aż obaj upadli. Danny przekręcił się na bok i brat nagle znalazł się nad nim. Cuchnął zgnilizną. Danny się zakrztusił.

Nad sobą widział bezgłowe ciało matki; jej ramiona wciąż kiwały się tam i z powrotem, bardzo powoli.

- Tato - próbował krzyknąć, ale wydał z siebie tylko szept.

- Tato - przedrzeźniał go James. - Tatusiu! Tatusiu!

Kiedy nikt nie odpowiedział, Danny zrozumiał, że ich ojciec nie żyje. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl: Umarł król, niech żyje król.

Twarz Jamesa wykrzywiła się, stając się brzydka i pełna nienawiści.

Chorej, bezsensownej nienawiści, która pali tak bardzo, że człowiek sam się nią trawi, nim jej płomień dotknie celu. Nienawiści, która popycha dziecko do zabicia własnego zwierzątka. James obnażył zęby i zbliżył je do gardła brata.

Danny odbił się nogami tak mocno, jak tylko dał radę. James poleciał do tyłu, uderzył o ciało na krześle. Spadło na niego. Danny skrzywił się, widząc niebieskie skarpetki mamy. W jednej była dziura, wystawał przez nią duży palec u nogi.

Otworzył kredens i chwycił nóż do mięsa. Nie chciał tego robić, ale skierował go w stronę brata. James wygramolił się spod ciała Felice i obliznął czerwone wargi. Danny

starał się nie dopuścić tej myśli, ale jego umysł pracował szybciej, niżby chciał. Krew. Jego mały braciszek miał na ustach krew swoich rodziców.

Zrobił najgorszą rzecz, jaką mógł sobie wyobrazić (bardzo was przepraszam, mamo, tato i Boże) - machnął nożem pod ostrym kątem. Ostrze trafiło w pierś Jamesa. Chciał je wyciągnąć i pchnąć raz jeszcze, lecz stracił ducha i zostawił je tam. James zatoczył się do tyłu, ale nie upadł. Wyjął, wyciągnął nóż pomiędzy żeber, a ten z brzękiem upadł na podłogę.

Obnażył zęby, jednak Danny widział, że się wystraszył. Czegoś takiego się nie spodziewał.

- Już ja ci pokażę - oznajmił. - Do zobaczenia w lesie, Danny. Spotkamy się tam. Płakał, jakby znowu był małym dzieckiem, a brat za bardzo mu dokuczył.

Opadł na kolana i wyczołgał się przez kuchenne drzwi, ślad krwi ciągnął się za nim po ziemi niczym cień. Danny ruszył za bratem. Patrzył, jak James kuśtyka przez trawnik.

Danny oparł się o framugę. Chciał się podrapać po nosie, ale ręce pokrywała mu krew. Chciał wejść do środka, ale podłogę pokrywała krew. Patrzył, jak brat znika w ciemnościach. Chciał uratować ostatniego członka swojej rodziny, lecz zrozumiał, że na tę chorobę istnieje tylko jedno lekarstwo.

23.

KOŁO FORTUNY

To tu, gdzie właśnie żyję. Pod znakiem pustki.

To tu, gdzie się rozstajemy. Gdzie wszystko się kończy.

Ten ucisk w żołądku to nie złudzenie.

Tak właśnie mnie mordujesz.

Istota znana kiedyś jako Lois Larkin sięgnęła po kartkę z różowej papeterii. Na czerpanym papierze nabazgrołony był wiersz, który sama napisała. Przejmujący, znała go na pamięć. Ciągle powtarzała te wersy, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, co oznaczały. Jedyne, co wiedziała, to że jest głodna.

Była sobotnia noc. Leżała na łóżku wśród własnego brudu i smrodu. Swędzenie powróciło. Skradało się między fałdami pomarszczonej skóry, pod obwisłymi piersiami, a także wewnątrz niej. Jej organy, jej umierające mięśnie, jej grubiejące kości. Jak strupy na ranach, które nigdy się nie zagoją. Zmieniała się. Czarne włosy wypadały garściami. Już nie tylko światło słońca zmuszało ją do mrużenia oczu. Wystarczała żarówka na korytarzu, której blask dochodził spod drzwi. I światła samochodów jadących ulicą. Stawała się nie-Lois. Mocno ścisnęła kartkę i wyrecytowała wiersz niczym zaklęcie, próbując ożywić kobietę, którą kiedyś była.

Ale przecież nienawidziła tej niedołągi, prawda?

Istota, która w niej mieszkała, zamrugała. Czuła, jak prześlizguje się za jej oczy. „Słodka Lois - nuciła. - Twój ojciec jest tu z nami. Powiedział, że teraz może nas zostawić. Staralaś się ze wszystkich sił. Jest z ciebie taki dumny”.

Lois spojrzała na spękany sufit i starała się zmusić go myślami, aby się zawalił.

„Nakarm mnie, Lois” - zażądało to coś.

I tym razem już nie nuciło.

Zakryła uszy dłońmi. Z jej oczu ciekła woda. Nie wiedziała dlaczego. Czy to płacz? Czy ludzie płaczą? A jeśli tak, czy to znaczyło, że ona wciąż jest człowiekiem? Czuła jakieś trzepotanie w piersi, głębiej niż swędzenie, i nazwała je nadzieją.

„Wygrywasz, moja Lois. Zrozumiałaś. Musisz mnie nakarmić, albo ja w tobie umrę. Nakarm mnie teraz”.

- Tato? - wyszeptała, chociaż wiedziała, że to nie jest jej tata.

To było to coś zakopanego w ziemi. Znało jej myśli i mówiło to, co chciała usłyszeć. Ścisnęła kartkę, marząc, aby to wszystko tylko jej się śniło. Pragnęła znowu znaleźć się w lesie. Tym razem by uciekła. Tym razem dokonałaby lepszego wyboru. Ale podjęła już tyle złych decyzji, że złożyły się na skamienieliny jej historii i uwięziły w tym dziecięcym łóżku - ciało wewnątrz kości.

- Tato, proszę, powiedz mi, co mam robić - wyszeptała.

Głos miała płaski i nierozpoznawalny nawet dla niej samej.

„Cukiereczku, przestań walczyć” - odpowiedział głos. Tak bardzo przypominał głos jej ojca, że aż się uśmiechnęła. Jak zwykle, słowa uderzały o siebie nerwowo, niczym kostki domina. „Wiesz co masz robić - wyszeptał tata. - To jedyny sposób”. Nie, to nie mógł być jej ojciec. Jej ojciec nigdy by nie sugerował czegoś tak... ohydneho.

Lois czuła dobiegające z sąsiedniego pokoju wibracje oddechu Jodi, gdy matka wypowiadała na głos hasła, których domyślała się w Kole Fortuny „zu... zupa... Zuzanna!” Znowu swędziało. Podrapała się po brzuchu i odpadł jej ostatni paznokieć. Jej palce już nie wyglądały jak palce.

Przez pierwszych kilka nocy po zjedzeniu ziemi w lesie zjadała wszystko w zasięgu wzroku, bo pokarm w brzuchu łagodził swędzenie, tak jak zimna woda koi oparzoną skórę. Najpierw steki z zamrażarki. Potem zwierzęta. Wciąż pamiętała błyszczące oczy upalonego na śmieciach szopa i jego dziki wrzask, kiedy zębami łamała mu kark. Rankiem wmówiła sobie, że to wspomnienie pochodzi z jakiegoś koszmarnego snu, ale nawet wtedy znała prawdę.

Zdołała się domyślić czegoś, co wiązało się z tą rzeczą gnieźdzącą w jej ciele. Jak kolorowe kwiaty, które przyciągają pszczoły przelatujące w pobliżu, ta rzecz roznosiła w powietrzu siarkowy zapach i zarażała ludzkie umysły. Oszustwem nakłaniała do zjedzenia jej i zapewnienia jej domu. Teraz zagarniała ciało Lois, komórka po komórce. Przyspieszała jej metabolizm i czyniła ciągle głodną. Kształtowała na swoje podobieństwo. Czyniła ją nie-Lois.

Ale czego tu żałować? Przecież nienawidziła Lois, prawa?

Gdyby teraz nasłuchiwała, usłyszałaby zarażonych, jak wędrują po ulicach. Lubili noc, bo słońce raziło ich czarne oczy. Ostatniej nocy stukali do okien, a matka krzyczała. Dzisiaj wróca. Lois miała w sobie coś, co im się podobało.

Większość zarażonych zmieniała się w ciągu kilku chwil. Paru wytrzymało na tyle długo, by kaszłać, dowlec się do szpitala. Mnóstwo zmarło albo wirus uszkadzał im mózgi i stawali się mało skomplikowani, więc i taki stawał się wirus. Bo był on tylko tak sprytny, jak jego nosiciel. Dlatego zarażeni zrobili głupie błędy.

Pożarli wszystkie zwierzęta i teraz nie mieli innego wyboru, niż zwrócić się ku ludziom.

Lois różniła się od nich. Umysł wciąż miała jasny, mimo że zmieniony Zwykła chemia. Jedna osoba na milion może przenosić tyfus. To właśnie dlatego jej chcieli. Aby przetrwać, wirus szukał doskonałego nosiciela. Próbowwała go w sobie zagłodzić, ale było już późno, a włosy wypadały jej garściami.

„Lois, przestań walczyć - powiedział głos. Tym razem brzmiał jak głos doktora Wintroba. - Znasz prawdę. Przedtem byłaś nikim. Nawet Ronnie Koehler nie mógł cię kochać”.

Ścisnęła różową kartkę i wymamrotała:

„Tak właśnie mnie mordujesz”.

Te słowa ją uspokajały. Były ludzkie, w przeciwieństwie do tego, co w niej żyło. W przeciwieństwie do nie-Lois.

Czym ona się staje? :

„Nakarm mnie”.

Zaburczało jej w brzuchu. Trzy razy odmówiła dziś różaniec za swojego ojca w nadziei, że jego duch da jej jakiś znak, ale teraz nie miała paznokci, którymi mogłaby drapać się tam, gdzie ją swędziało.

„Nakarm mnie, Lois”.

Oblizwała wargi. Nawet dziecko w niej kopało. Czyje to dziecko? „Ronnie! Kochałaś go, pamiętasz?” - mówił głos. Nie, szczerze mówiąc, nie pamiętała. Nigdy go nie kochała. Nigdy nikogo nie kochała, prawda?

W drugim pokoju jej matka zachichotała. Vanna White jechała na rowerze z jednym kółkiem.

„Oni cię powstrzymywali. Pilnowali, żebyś była potulna”. Głos brzmiał jak głos jej ojca i doktora Wintroba, i jej pierwszego chłopaka, ale przede wszystkim brzmiał jak beznamienne, zimne coś, robak, który rozrastał się w jej umyśle. Słyszała go i próbowała utwardzić się jak stal, aby mu się oprzeć, lecz potem przestała próbować. Gdyby nie jej matka i Ronnie, byłaby już doktorem na Uniwersytecie Vermont. Miałaby męża, troje dzieci i psa. Ukradli jej życie. Jakie to paradoksalne, że właśnie nieludzka istota była jedyną, która ją rozumiała.

Zasługiwała na to, by wyrwać się z tej klatki, w której była zamknięta. Tego łóżka, tego domu, tego miasta, tej Lois Larkin. Czula głód, ale steki już się skończyły. Zostały jeszcze zwierzęta. Usłyszała, jak matka mamrocze:

- Kupuj samogłoskę, palancie.

Miała apetyt na coś ludzkiego.

Zarażeni gromadzili się pod jej oknem. Wirus zamigotał w jej wnętrzu. Czula jego desperację. Bez niej stanowił tylko instynkt i głód. Bez niej pożerałby wszystko, aż nic by nie zostało, i wtedy by umarł.

Wstała z łóżka i ominęła pułapki, które pozostawiała na sobie: dzwoneczki mające zaalarmować matkę, że wstała, brakujące klepki w podłodze, przez które, jak miała nadzieję stara Lois, nowa Lois mogłaby się przewrócić. Uśmiechali się, widząc, jak idzie, a to coś w głębi niej zachichotało. A może to nie było coś w głębi niej, może to ona sama chichotała.

Pomyślała, że rozczarowałyby tego Russella Larkina, którego znała. Ale on też ją rozczarował. Na tamtej zaśnieżonej drodze powinien był wzywać pomocy. Powinien był napisać do niej list. Powinien był wyczołgać się z tego samochodu, choćby po to, żeby się z nią pożegnać. Sięgnęła po różowy papier, na którym spisała wiersz, włożyła go do ust i zaczęła żuć. Pożerała dawną Lois Larkin. Była bez smaku.

Wyciągnęła gwoździe z miejsc, w które je wbiła. Pokaleczyła przy tym palce, ale szybko się zagoiły. Otworzyła okno, wyciągnęła blade ramiona i czekała na nich w swojej białej koszuli nocnej niczym panna młoda.

Przed nią stały wszystkie dzieci z czwartej klasy. George Sanford miał czerwone usta, ale tym razem nie od kredki. Caroline Fischer. Alex i Michael Fullbrightowie. Donna Dubois. Wędrując przez noc, czuły się zagubione. Chore wskutek przemiany, nie wiedziały, jak o siebie zadbać. Z ich instynktami było coś nie tak. „Lois, one potrzebują matki” - wyszeptała rzecz zagrzebana głęboko w niej i miała rację. Dzieci jej potrzebują. Biedna Caroline krwawiła. Tak zgłodniała, że żuła skórę na własnym kciuku.

Oczy Lois zaszyły łzami. Jej dzieci. Tak, mimo wszystko ona wciąż kochała. Kochała swoje dzieci.

Zobaczyła w lustrze bladą, obcą twarz. Miała zęby bez szpary i ciemne oczy. Była wychudzona jak ogolone z sierści zwierzę. Poruszała się, kiedy ona się poruszała. Lois spojrzała w dół na swoje dzieci, które nie były dziećmi. Oczy miały takie czarne, uśmiechy tak szerokie. Ścisnęło ją w gardle. W co one się zmieniają? Przestała się nad tym zastanawiać. Cokolwiek to było, podobało jej się, bo ona nie była już Lois Larkin.

James Walker syknął. Potrafiła czytać jego myśli. Dzisiaj wieczorem zamordował rodziców, ale wciąż czuł głód, bo nie wiedział, co dalej. Biedny malec. Wtulił się w nią, jakby tam było jego miejsce („To tu, gdzie się rozstajemy”).

- Kochany chłopiec - powiedziała.

Przypomniała sobie, jak sztywno z jej seplenienia, więc uszczypnęła go w policzek tak mocno, że aż pisnął. To coś zagrzebane w niej się uśmiechnęło.

- Teraz się wami zaopiekuję - oznajmiła.

Gdy ostatecznie się poddała, poczuła, jak to coś wewnątrz niej otwiera oczy, a jej oczy robią się czarne. Teraz już wszyscy mieli czarne oczy.

Wyszła z pokoju. Podążyła za głodem, a dzieci ruszyły za nią. Pod domem stało więcej zarazonych. Oni potrafili ją wyczuwać; nie tylko dzieci, ale całe Corpus Christi. Wirus przysłał ich do niej, do ich przywódczyni.

Kiedy zaczęła iść korytarzem, w przeciwną stronę ruszył jakiś cień. Miał jej kształt, tyle że pachniał ciasteczkami Nilla, a kroki stawiał ciężko, z rezygnacją. Wiedziała, że właśnie o to chodziło w wierszu. To właśnie było przesłanie płynące z jej duszy. „To tu, gdzie się rozstajemy. Pod znakiem pustki”. Cień przeszedł przez nią. „Tak właśnie mnie mordujesz” - wyszeptala dawna Lois Larkin do tej nowej, kiedy cień zapadł się pod drewnianą podłogę. Gdyby tylko mogła go złapać i pożreć, by przestała istnieć nawet pamięć o nim, zrobiłaby to. Tak bardzo nienawidziła Lois Larkin.

W kuchni siedziała kobieta, zgarbiona nad szklanką mleka. Oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki. Lois wypadły wszystkie włosy, a skóra zwisała fałdami. Była nie do poznania, jednak ta kobieta ją rozpoznała. Mieszkały razem prawie trzydzieści lat. Wygłodniałe dzieci czekały w ciszy. W ciemnościach widać było tylko kontury ich bladych twarzy.

Jodi odskoczyła od stołu i cisnęła szklanką. Lois uchyliła się i mleko rozbryznęło się na podłodze. Dzieci pisnęły unisono: „Oooohhh”.

- Proszę! - krzyczała Jodi, - Proszę! O Boże, nie!

- On zabił się przez ciebie - powiedziała Lois.

Przerażenie Jodi było słabe, jakby oszczędne. Wiedziała, że nie wygra tej walki. Wiedziała, że nie ocaleje.

- On nigdy cię nie kochał. Ani ja - oznajmiła.

Lois uśmiechnęła się szeroko. Nie marnowała czasu, nie była delikatna. Wbiła zęby w szyję matki. Kiedy Jodi zadygotała, istota znana kiedyś jako Lois przepęzła obok i pokazała swoim dzieciom, jak oddzielać mięso od kości.

CZEŚĆ IV

Choroba

24.

KWARANTANNA

Niedzielnny poranek w Corpus Christi był leniwy. Ptaki nie świergotały. Żaden opos nie udawał martwego. Sarny nie wędrowały po lasach, węsząc za śmieciami i na wpół zjedzonymi jabłkami. Nie przyszyżono trawników. Nawet słońce było jakieś nieśmiałe, chowało się za chmurami.

Wojsko przybyło przed świtem, zanim słońce zaczęło wspinać się po niebie. Po Micmac Street przejechał konwój siedmiu humvee i trzech dżipów. Żołnierzy było mniej, niż spodziewali się mieszkańcy Corpus Christi. Nie przynieśli odpowiedzi, zbawienia ani nawet żywności. Choć Tim Carroll błagał o to dowódcę, nie ufortyfikowali ratusza i nie poradzili zdrowym, aby przemieścili się tam, gdzie można by ich chronić. Zamiast tego patrolowali wjazdy na I-95. Broń wymierzyli nie w ziemię czy niebo, lecz prosto przed siebie. Powiedziano im, że miasto zostało opanowane przez wirusa i nikt żywy nie może go opuścić.

Podczas krótkiego pobytu w Corpus Christi wysłannicy CDC zebrali mnóstwo informacji, jednak żadna z nich się nie przydała. Zorganizowali badania zwierząt i dokładnie monitorowali postępy, jakie choroba czyniła u ludzi.

U niższych gatunków wirus połączony z bakterią siarkową przenosił się za pośrednictwem powietrza. Przedostawał się do organu powonienia, a następnie przekraczał barierę krwi i mózgu. Trafiając do błony jądrowej, niszczył komórki ośrodków pamięci i instynktów kory mózgowej, gdzie replikowało się jego DNA.

Zwierzęta emitowały wirusa w trakcie oddychania razem z przenoszącą go bakterią siarkową, co wyjaśniało cuchnący oddech zarażonych. Wszystkie badane zwierzęta umarły w ciągu kilku godzin. Zapominały, jak się lata, troszczy o młode, a czasem nawet jak oddycha.

U ludzi rozprzestrzenianie się choroby było bardziej skomplikowane. Rozwinięty system immunologiczny człowieka i wąskie połączenia międzykomórkowe powstrzymywały wirusa przed penetrowaniem komórek mózgowych. Tylko wtedy, gdy ktoś został ukąszony i wystawiony na działanie dużego stężenia wirusa, na przykład w zainfekowanej krwi czy ślinie, jego metabolizm słabł i następowało zarażenie. Rozwój infekcji był różny u poszczególnych osób. Niektórzy mieli pierwsze objawy już po kilku chwilach. Inni nie mieli żadnych symptomów przez kilka dni. Objawami tymi były: zakłócona chemia mózgu, wrażliwość na światło, szybsza przemiana materii, zmiany morfologiczne w systemie mięśniowo-szkieletowym oraz różnorodne stany demencji.

Wirus szukał ludzkich nosicieli zdolnych go podtrzymywać, wydawał się też zdolny do komunikacji z nosicielem, spekulowano więc, że albo dysponuje własnymi zmysłami, albo staje się taki po przejściu połączeń nerwowych zainfekowanego.

Zebrawszy te informacje, CDC zdecydowało się chronić swój personel i kontynuować prace w Waszyngtonie. Oficjalnie zaleciło spokój oraz czekanie na szczepionkę. W poufnym raporcie dla Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego sugerowało kwarantannę, wymuszoną przy użyciu wszelkich niezbędnych środków. Kiedy więc CDC odeszło, zjawilo się wojsko.

W niedzielny poranek w Corpus Christi liczba zarażonych przewyższała już liczbę zdrowych. Nocą splądrowano sklepy wzdłuż Micmac Street. Wybite szyby w witrynie Stop & Shop sterczały jak błyszczące zęby. Chłodnie opróżniono z mięsa. Rozmrażająca się wołowa mielonka i jagnięce podudzia wleczone po ulicach pozostawiały krwawe smugi. Zarażonych przyciągały ciemne, chłodne miejsca. Umierali, żując zamrożone mięso, z grymasem ekstazy na ustach.

Po raz pierwszy od ponad stu lat nie ukazało się weekendowe wydanie „Corpus Christi Sentinel”. Naczelnik gazety zaginął, razem z połową redakcji. O dziewiątej rano w KATV pojawiły się zakłócenia. Wkrótce podobny los spotkał miejscowe stacje telewizji kablowej. Pozostała tylko telewizja krajowa. Tych, którzy przetrwali noc, nie uspokajała już uśmiechnięta Linda Lopez, według której główną sensacją dnia był szokujący wzrost liczby nastolatków uprawiających miłość francuską. Nie ogłoszono stanu wyjątkowego, a prezydent nie wrócił z wyjazdu na golfa, by przygotować się do przedsięwzięcia jakichś nadzwyczajnych działań. Wirusowi poświęcono tylko drobną wzmiankę, a Linda powiedziała, że zasięg jego występowania ograniczono do środkowego Maine. Z tego co wiedzieli mieszkańcy Corpus Christi, programy emitowane przez telewizję nagrywano wcześniej, więc uznali, że albo cały kraj legł już w gruzach, albo - co gorsza - cały kraj czuł się wyśmianym, a o nich zapomniano.

Nie zapomniano. Kiedy jednak zostali odizolowani, władze utajniły wszelkie informacje na temat epidemii. Jakaś bezimienna rada ustaliła, że Corpus Christi będzie objęte kwarantanną na czas nieokreślony z przyczyn, których nie podano do wiadomości publicznej. Tajny sąd, działający dosłownie w podziemiu, zawiesił prawo niepozwalające aresztować bez wyroku i poinstruował wojsko, by strzelało do zarażonych bez ostrzeżenia. Jednak mimo kwarantanny i przekazywanych przez Lindę Lopez zapewnień Centralnego Biura Bezpieczeństwa wirus nadal się rozprzestrzeniał.

W Corpus Christi zamilkły linie telefoniczne, a po nich Internet. Ale przez CB i radio do miasta dotarła wiadomość, że śmiertelna choroba jest już w Portland, Bostonie, Amherst, Rochester i Buffalo. Ci, którym udało się ocaleć, donosili, że członkowie rodzin gryźli ich w nocy, więc teraz oni także mogą nosić w sobie wirusa, a jakiś anonimowy wojskowy przekazał, że prezydent wcale nie gra w golfa, tylko schował się prawie dwa kilometry pod ziemią w bazie sił powietrznych w Offutt.

Żołnierze z Zielonych Beretów zastrzelili trzy osoby na drodze I-95. Pierwsze dwie były zainfekowane. Gdy komandosi strzegący południowych peryferii zauważyli w podczerwieni ludzi o czarnych oczach, nakazali im stanąć. Ci jednak nie podnieśli rąk i się nie poddali. Nie wyjaśnili też, dlaczego na czworakach biegną w stronę Hanka Johnsona, który jeszcze nigdy nie strzelił do człowieka i nie był na tyle dorosły, by zamówić piwo. I może by nie strzelił, gdyby nie spostrzegł szarpającego się ptaka między zębami jednej z tych osób. Wycelował w bark mężczyzny, chcąc oswobodzić ptaka. Ale trafił go w głowę, więc i mężczyzna, i ptak upadli na ziemię. Huknęły inne karabiny. Nie brzmiało to dobrze. Hank nigdy by nie pomyślał, że strzeli do kogoś we własnym kraju.

Trzecią osobą zabita na skraju I-95 była piętnastoletnia dziewczyna. Tym razem Hank i jego koledzy, zszokowani poprzednim incydentem, nie oddali strzału ostrzegawczego ani nie wezwali jej przez megafon, by się zatrzymała. Okazało się, że nie była zarażona.

- Nie ma tego diabelskiego nasienia! - zawołała pół godziny przed śmiercią do swojej najlepszej przyjaciółki.

Potem zjadła dwa kawałki czekolady i uznała, że jest zbyt szczęśliwa, by siedzieć w domu. Poszła na spacer.

Jej mocz zachował się porządnie i nie dał wyniku pozytywnego. Życie jest piękne, a ona już nigdy więcej nie zaryzykuje, że je sknoci. Zawędrowała na południowy skraj miasta, w pobliże autostrady. Zapomniała o kwarantannie. Zapomniała o wszystkim poza tym, że jest zdrowa i całe życie przed nią. Zapadł zmrok, trawa zrobiła się wilgotna. Zaczęła po niej biec, bo czuła się taka szczęśliwa. Pocisk trafił ją między oczy. Kiedy upadała, nadal się uśmiechała. Zginęła na miejscu.

Ci, którzy ocaleli, po obudzeniu się w niedzielny ranek ujrzeli miasto odmienione.

Matka Enrique Vargasa siedziała z mężem w kuchni. Ich najstarszy syn nie wrócił wczoraj do domu. Najpierw wojsko, a teraz to. Gdyby wiedzieli, że ich życie stanie na głowie, pewnie zostaliby w Meksyku. Matka Enrique Vargasa ukryła twarz w dłoniach.

Nieco dalej przy tej samej ulicy Ronnie Koehler po raz siedemdziesiąty wdusił przycisk drzemki na swoim budziku, co oznaczało, że już o ponad godzinę spóźnia się na śniadanie u rodziców. To dobrze, że tata wkrótce idzie na emeryturę; może wtedy przestanie zrywać go o świcie. Chociaż właściwie to też będzie źle, bo pewnie w końcu go wyleją za spóźnienia. Budzik znowu się rozdzwonił, a Ronnie przypomniał sobie, że śniadanie zostało odwołane, bo rodzice się rozchorowali. Leżącej obok Noreen nie chciało się ani cisnąć mu w głowę budzikiem Sam's Club Timex w kolorze indygo, ani nawet nazwać go matosem. Czoło miała chłodne, lecz oddychała miarowo. Wczoraj wieczorem jakiś pacjent ugryzł ją w rękę i złapała wirusa. Przekasłała pół nocy, ale wreszcie udało jej się zasnąć.

Wypalił fajeczkę i otworzył frontowe drzwi, ale na podeście zamiast niedzielnej gazety zobaczył brązową papierową torbę. Zajrzał do niej i oblał się potem. W środku był koński ogon! Ktoś tu się bawi w cholernego Vita Corleone! Ogon był czarny i gruby. Trzymał go kilka chwil, zanim sobie uświadomił, co to jest. Włosy Lois Larkin.

Kiedy słońce wychynęło za horyzontu, Lila Schiffer leżała na szpitalnym łóżku z otwartymi oczami. Była jedyną pacjentką na oddziale psychiatrycznym i personel szpitala o niej zapomniał. Nie jadła od ponad doby, a chociaż często udawała brak apetytu, teraz była wściekle głodna. Wczoraj wieczorem, tuż po zmroku, zaczęły się hałasy. Ktoś na korytarzu, może ta miła pielęgniarka, która przyniosła jej magazyn „O”, krzyczała: „Jezu!” Potem rozległo się skrzypienie sportowych butów na posadzce, uderzenie (wózek do przewożenia chorych?) i inne, jeszcze gorsze dźwięki. Jacyś ludzie błagali o litość. Nie wiedziała, ilu ich jest, ale wszyscy mówili to samo: „Proszę, nie! Przestań! O Boże!” Ich jęklive prośby zagłuszał najpierw krzyk, a potem mlaskanie i zgrzytanie. Lila skuliła się na łóżku i zacisnęła powieki, ale gdy głosy nabrały niższej barwy, rozpoznała je. Pod drzwiami jej sali Aran i Alice śmiali się z umierających pielęgniarek.

Ci, którzy w niedzielę rano przyszli do pracy, zrobili to, bo potrzebowali bezpieczeństwa niesionego przez rutynę. Bankowcy zasiedli do komputerów i wysłali e-maile, zapewniając klientów, że nic im nie grozi. Zanim zanikł sygnał Time-Warnera, Donald Leavitt z Banku Stanleya napisał: „Wieści, jakie Państwo słyszeli, są przesadzone. Zapewniam, że obecna sytuacja w Corpus Christi w żaden sposób nie upośledza mojej zdolności do obsługi klientów. Proszę skontaktować się ze mną, jeśli cokolwiek wzbudza Państwa obawy. Chcąc w obecnej sytuacji lepiej Państwa obsłużyć, przedłużam godziny pracy do dwudziestej”.

Wylogował się i próbował obudzić żonę, która dzisiaj rano przestała kaszleć i zrobiła się chłodna, chociaż nadal oddychała. Przewrócił ją na plecy. Z włosami ściętymi na pazia wyglądała jak lesbijka. Od dawna starał się przekonać żonę, aby zapuściła je ponownie. Położył się obok niej i szepnął:

- Nie opuszczaj mnie.

Potem kaszlnął.

Maddie Wintrob patrzyła na wschód słońca, paląc papierosa. Nie chodziła do kościoła, od kiedy skończyła dwanaście lat, ale teraz zmówiła pacierz w intencji bezpiecznego powrotu Enrique do domu.

Meg Wintrob spała twardo. Jej mąż nie.

Danny Walker siedział w domu, który skrywał szczątki jego matki. Po raz pierwszy w życiu był całkiem sam. Płakał.

Albert sięgnął pod łóżko i znalazł tam ostatnią porcję chlebowego puddingu. Wypił go, aby uciszyć siedzącego w środku wirusa, i zastanawiał się, czy samobójstwo byłoby aktem odwagi, czy tchórzostwa.

Gdy żyjący wstali, aby mierzyć się z kolejnym dniem, zarażeni udali się na spoczynek. Spali pod kamieniami i w swoich łóżkach, spali na szpitalnych wózkach, w lasach, w stosach odpadów przygotowanych do wrzucenia do szpitalnej spalarni i w wilgotnych piwnicach. Skórę mieli chłodną, lecz ci, którzy ich kochali, nie wazyli się ich pochować. Widzieli lekkie poruszenia klatki piersiowej, napinanie mięśni palców. Czekali w złowroziej ciszy na nieuchronny koniec.

Kiedy świt zmienił się w dzień, istota znana kiedyś jako Lois Larkin leżała na leśnej polanie otoczona dwoma tysiącami zainfekowanych stworzeń nocy.

25.

MOŻNA JEŚĆ RYBY, BO ONE NIE MAJA ŻADNYCH UCZUĆ

Fenstad zatrzymał się na szpitalnym parkingu. Dochodziła dziewiąta, ale na drodze nie było ani jednego auta. Światła, o ile w ogóle się paliły, połyskiwały żółtym blaskiem ostrzeżenia. W całym mieście rozbrzmiewały alarmy samochodowe i przeciwwłamaniowe, jednak policja się nie zjawiała. Liście na drzewach żółkły. One także umierały, razem z trawnikami, chwastami i jesiennymi pnączami pomidorów. Fenstad tego nie dostrzegał. Myślał o Meg.

Połowę wczorajszego dnia spędził na oczyszczaniu trawnika z kości. Znalazł tam puste w środku kości ptaków i szkielet lisa wyspany ze szpiku. Martwy owczarek był za duży, by zmieścić się do kosza, więc Fenstad deptał mu kręgosłup, dopóki nie upchnął psa w torbie. A potem, gdy wymiotował żółcią na marniejące krzaki azalii przed domem, doznał objawienia. Na jego trawniku leżało więcej kości niż przed jakimkolwiek innym na tej ulicy. To oznaczało, że albo niebiosy naznaczyły właśnie jego rodzinę, albo ktoś próbował go złamać. Uświadomił sobie, że Meg słyszała, jak narzekał na psa ze swojego snu, i skrywszy się za krokodylimi łzami, uknuła plan. Namówiła Grahama Nero, by zabił Kaufmanna i zarzucił trawnik resztkami od rzeźnika, i przekupiła Lois Larkin, żeby zabawiła się w tę grę z cyckami. Wszystko po to, aby okrzyknąć go wariatem i bez problemu dostać rozwód.

Stał na trawniku z wielką torbą pełną suchych kości i patrzył na Meg przez spaczone okno sypialni na piętrze. Jego dom, jego piękny, solidny dom w stylu wiktoriańskim, o oryginalnym kształcie i wbudowanych regałach na książki. Perski dywan w salonie wart siedem patyków. Ona chce to zniszczyć, kompletnie zrujnować. Trzeba ją powstrzymać.

W nocy nie dawały mu spać jęki dochodzące zza okna. Myślał, że je sobie wyobraził, tak jak wyobraził sobie matkę leżącą w łóżku zamiast Lois Larkin. No bo czym innym mogły być, jeśli nie wytworami jego umysłu? To na pewno nie były krzyki.

Obok spała Meg. Zdrową nogę wsunęła między jego uda. Uświadomił sobie, że ma już wszystkie dowody jej niewierności, jakich potrzebował. Przecież normalnie wygryzałaby sobie dziurę w policzku. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w związku z wirusem, już dawno schodziłaby cały dywan. Dlaczego więc śpi? Bo wie coś, o czym on nie wie. Nie ma żadnego wirusa. To ona i Graham Nero podrzucili kości.

Sięgnął nad jej nieruchomym ciałem, tuż nad ustami i nosem. Cień jego dłoni sprawił, że jej brwi wyglądały jak nastroszone. Postanowił, że jeśli Meg się obudzi, to ją udusi, a jeżeli będzie dalej spała, pozwoli jej żyć. Zawahał się, jakby balansował na ostrzu brzytwy. Z której strony ostrza spadnie?

Meg drgnęła i mocno zacisnęła powieki, jak gdyby w swoim śnie płakała. Wiedział, że powinien jej współczuć. To przecież jego żona. Wiedział, że dopada go stres pourazowy, bo to wycie zza okna brzmiało koszmarnie. Nadal jednak chciał udusić tę sukę.

Po twarzy spłynęła jej łza. Chwilę później Meg odwróciła się do męża i wciąż śpiąc, pocałowała jego obnażoną pierś. Usta miała ciepłe i wilgotne. Odwrócił się od niej. Nie udało się. Nie potrafił jej skrzywdzić. Zdecydowanie za bardzo ją kochał.

Słońce wstało, lecz dzień nie zajaśniał. Zaczęło padać. Przed szóstą nocne odgłosy (krzyki!) ucichły. Nastął niedzielny poranek. Fenstad westchnął. Kiedy ostatni raz był w pracy? W czwartek? Czy go wyrzucą za złamanie zasad kontraktu? Przypomniawsobie o wirusie. A potem o Lili Schiffer. Przebywa na oddziale zamkniętym już od paru dni. Czy w tym chaosie ktoś zatroszczył się, by ją wypuścić? Czy ktoś ją karmi? Pomyślał, że jeśli zawiedzie kolejnego pacjenta, naprawdę zwariuje. Wskoczył z łóżka, zgarnął ciuchy, jakie miał pod ręką, zostawił kartkę Meg i pojechał do szpitala, aby odnaleźć Lilę.

Na ulicy było gęsto od porannej mgły, nie zauważył więc porzuconego radiowozu. W nocy bliźniacy Simpsona dostali zadanie sprawdzenia domu Walkerów. Jeden z braci został ukąszony i zwrócił się przeciwko drugiemu. To jego błaganie o pomoc obudziło Maddie, a teraz jego kości leżały porozrzucane na jezdni. Escalade Fenstada przetoczył się po nich i zmiażdżył na proszek. W lusterku wstecznym zobaczył coś, co przypominało kredę.

Włączył radio. W krajowej stacji informacyjnej Corpus Christi poświęcono tylko krótką wzmiankę. Zamiast czytać biuletyn z wiadomościami, prezenter odbierał telefony od słuchaczy. Jakaś kobieta z Austin mówiła, że wezwała pogotowie do chorego męża, który kasłał cały dzień, ale zamiast karetki przyjechała wojskowa ciężarówka. Jej męża zamknęli z tyłu z resztą zarażonych, niektórzy z nich już nie żyli. Nie wiedziała, gdzie teraz przebywa. Było więcej podobnych telefonów. Fenstad wyłączył radio i opuścił szyby, tak aby deszcz zmoczył mu twarz. Chcąc uspokoić nerwy, pogwizdywał *I Just Wasn't Made for These Times Beach Boysów*. Nie wiedział, czy jego reakcja to świadectwo zdrowia psychicznego, czy szaleństwa.

Parking przed szpitalem był prawie pusty. Nieliczne samochody, które zobaczył, stały tam już od kilku dni. W czwartek wieczorem główne wejście zablokował personel CDC, ale teraz CDC odeszło i gmach wydawał się opuszczony. Nie było nawet wojska. Automatyczne drzwi izby przyjęć otwierały się i zamykały na przemian, jakby czekając na spóźnionego gościa. Nadal padało.

Podjechał pod wejście i zostawił samochód na jałowym biegu. Budynek szpitala przypominał zbiór prostokątów, zwieńczonych stożkiem. Było cicho jak w mauzoleum i Fenstad zastanawiał się, ile osób w środku jest chorych albo martwych.

- Nie chcę tam wchodzić - mamrotał, a wycieraczki szurały po szybie.

Przypomniawsobie piegi na nosie Lili Schiffer i jej smutną minę, kiedy zabierał jej dzieci.

Wysiadł z samochodu i ruszył do automatycznych drzwi. Akurat się otworzyły, jakby cały czas czekały, żeby go połknąć.

Uderzyła go fala smrodu i z trudem opanował mdłości. Korytarz pulsował od światła, generator buczał. Nie było sanitariuszy ani pielęgniarek. Nie dzwoniły telefony. Żaden lekarz nie pobierał krwi ani nie pił kawy. Nawet nikt nie kasłał. Fenstad słyszał tylko te zamykające się i otwierające drzwi i wiatr, który przez nie wpadał, sprawiając, że karty pacjentów mknęły po posadzce niczym liście.

Minął izbę przyjęć i ruszył do swojego gabinetu. Wątpił, aby winda działała, więc skierował się ku schodom. Na skrzyżowaniu korytarzy między izbą przyjęć a oddziałem intensywnej terapii dostrzegł ślady krwi na białych kafelkach. Wyglądały jak rdza i prowadziły w stronę piwnicy.

Lepiej stąd wiej, pomyślał. Przypomniał sobie rozpiętą koszulę nocną Lois Larkin i swoją rękę na jej piersi. Czy ją uderzył? Wybił jej ząb? Chyba tak, bo na grzbiecie prawej dłoni miał pokaźnego siniaka.

Na schodach było pusto, jeśli nie liczyć zakrwawionego kitla. Ominął go szerokim łukiem. Szedł ostrożnie, żeby jego kroków nie było słychać. Wyczuwał obecność czegoś inteligentnego, czegoś, co nie jest człowiekiem.

Drzwi gabinetu były szeroko otwarte. Papiery na biurku były porozrzucane, na podłodze wałały się otwarte teczki. Reprodukcję obrazu Dalego rzucono na kanapę, a na ścianie, gdzie wisiały roztapiające się zegary, pozostał biały prostokąt.

- Doktor Wintrob? - usłyszał czyjś głos.

Odwrócił się z zaciśniętymi pięściami i niemal uderzył swoją sekretarkę. Wziął głęboki oddech i sprawdził, czy wciąż ma na ustach maseczkę chirurgiczną.

- Tak, Val - odpowiedział, siląc się na spokój.

Jej włosy, zwykle związane w kucyk, zwisały luźno po obu stronach twarzy.

- Przyszłam się pożegnać - wyjaśniła. - Dzwoniłam do pańskiej żony i powiedziała mi, że tu pana znajdę. Był pan moim szefem przez siedemnaście lat.

Rozpostarła ramiona, jakby chciała go objąć, ale nie podszedł do niej. Zamiast spodni khaki miała na sobie seksowne obcisłe dżinsy. Kiedy ginie jakaś cywilizacja, pierwsze zawsze upadają dobre obyczaje. Mężczyźni przestają nosić garnitury, a kobiety zaczynają pokazywać brzuchy. Wokół Fenstada chwiały się mury, a w głowie słyszał, jak jego wiktoriański dom jęczy gdzieś w środku. Val wskazała teczki rzucone na podłogę.

- W piątek w nocy zabrali dokumentację Alberta. Nie mogłam ich powstrzymać. Mówili, że są z CDC, ale kilku wyglądało, jakby byli z regularnej armii. Mój kuzyn jest sierżantem, to wiem

- Po co im była dokumentacja Alberta?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - odparła. - Chcę jechać do Kanady. Mam tam rodzinę. Na Puffin Stop nie ma benzyny, ale jak będzie trzeba, chyba dam radę trochę wypompować. To nie będzie trudne, prawda?

- W Kanadzie jest lepiej? - spytał.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem wybuchnęła płaczem. Wziął ją w ramiona. Zareagował odruchowo, z tym gestem nie wiązały się żadne uczucia. Teraz Val szlochała na jego piersi, a on w głowie słyszał jakąś melodię. Wydawała się znajoma i uspokajała go. Zrozumiał, że żona i córka wcale nie zwróciły się przeciwko niemu. One go kochają. I co ważniejsze, potrzebują go. Ale to nie zmieniało faktu, że wirus rozprzestrzenił się jak trujące pnącze. To nie osuszy tej cholernej krwi na dywanie, który zasysał mu buty.

- Zabiłam go wczoraj w nocy - wymamrotała Val.

W pierwszej chwili Fenstad pomyślał, że to Meg. Zabiła go we śnie i teraz nie żył. Mógł przestać się martwić.

Val się odsunęła.

- Musi pan wiedzieć - powiedziała. - To ten ohydny smród, który się czuje, kiedy są zarażeni. Tak wirus czyta nasze umysły. Jak... sonda. Próbuje określić, czy chce w tobie żyć, czy cię pożreć.

Made for These Times dźwięczała w jego umyśle. „Mówią, że mam rozum, ale nic dobrego mi nie dali. Chciałbym, żeby mogli...”

Val była zapłakana i zasmarkana. Dwie z jego najmniej lubianych funkcji organizmu. Miała na sobie to samo ubranie co wczoraj, przedwczoraj i jeszcze dzień wcześniej. Śmierć pachniała tu inaczej niż w hrabstwie Boston, gdzie pojechał kiedyś na wymianę. Miała metaliczną woń, bogatą w miedź. Nagle uświadomił sobie, skąd ta różnica. Przerażony ludzki organizm wytwarza adrenalinę. A gdy ciało zostaje rozcięte, jej zapach się uwalnia. Pomyślał o zaschniętej krwi na korytarzu i zrozumiał, że cuchnie tu morderstwem.

- Jeremy był dobrym dzieckiem, prawda? Tak bardzo go kochałam - mówiła Val.

Poklepał ją po plecach i wyobraził sobie setki zarażonych w tym budynku, patroszących jego kolegów jak ryby.

- Kiedy wczoraj wieczorem wrócił do domu - ciągnęła Val - miał czarne oczy. Powiedział mi, że mnie nienawidzi, ale to nie on mówił. To był ten wirus. Musiałam go z niego usunąć.

Fenstad zamrugał i pomyślał o Meg, o Madeline, wreszcie o Davidzie. Odmówił za nich cichą modlitwę: Nigdy wam tego nie zrobię. Nigdy. Wszystko-będzie-dobrze-dobrze-tak-bardzo-was-kocham-dobrze.

- Musiałam to zrobić, prawda? - zapytała Val.

Przytaknął, bo z wyrazu jej twarzy odczytał, że potrzebowała rozgrzeszenia kogoś, kto ma władzę i autorytet. Nagle uświadomił sobie, że Val zamordowała własnego syna. Myślał o tym, gdy mówiła mu „do widzenia”.

- Uważaj na siebie - powiedział. - Dotrzyj bezpiecznie do Kanady.

Odeszła, a on usiadł na kanapie pierwszy raz, od kiedy ją kupił. Spojrzał na biurko, na swoje dyplomy w ramkach i na obraz Winsłowa Homera przedstawiający spokojne morze. Serce łomotało mu w piersi, a krew wydawała się chłodna, jakby płynęła na wierzchu, bo zdarto z niego skórę.

Myślał o Meg i o sposobach, w jakie mógłby ją zamordować. Te myśli uspokajały go, niczym leniwa masturbacja. Jego żona nie zrobiła nic złego. To nie Meg Wintrob stanowiła problem. Cierpiał na ostre zaburzenia dysocjacyjne wywołane tymi strugami krwi, które wsysały mu buty. Ale miło było wyobrazić sobie, jak zaciska palce na szyi Meg. Z wiekiem jej skóra stawała się coraz cieńsza i coraz bardziej miękka.

Kiedy wróci do domu, opowie żonie o tym, co się działo w szpitalu i w jego umyśle. Meg, dla własnego bezpieczeństwa, musi się dowiedzieć, że on się rozpada. Wyobraził sobie, że mówi to wszystko, a Meg unosi brwi, jakby oznajmił, że jego prawdziwe imię brzmi Dzwoneczek.

Spojrzał na zegarek. Było już po dziesiątej. Siedział tak długo, że zdrętwiały mu nogi. Przez chwilę myślał, że dywan wciągnął je w podłogę, razem z butami. Ale to byłoby już wariactwo, prawda? Roześmiał się. Jego śmiech rozbrzmiał echem w pustym pokoju, jakby śmiał się jakiś upiór. W tym szpitalu musi być ich pełno. Czy on też nie żyje?

Wyszedł z gabinetu i odnalazł schowek na końcu korytarza. Wyjął z niego buteleczkę opiatowego oxycodonu, otworzył i rozgryzł jedną tabletkę. Gdy przełknął, po chwili poczuł ciepło w żołądku.

Ruszył schodami w dół.

- Chcę wrócić do domu - szeptał.

Drzwi były zamknięte od zewnątrz, a korytarz czerwony od zaschniętej krwi. Nigdzie nie widział ciała. Ciekawe, gdzie są ciała?

Siedziała na łóżku ubrana i umalowana, jakby na niego czekała. Nawet nie spojrzała w jego stronę, gdy otworzył drzwi,

- Doktor Wintrob - powiedziała.

- Lilo. - Uśmiechnął się szeroko, choć cały przętyk miał odrętwiały. To było lepsze od kokainy. Wrzucił do ust jeszcze jedną tabletkę. - Jak się dzisiaj czuje moja ulubiona pacjentka?

- Świetnie - odparła. Opatrunek na nadgarstku był rozerwany i rana znowu krwawiła. Lila zlizwała krew i wyjaśniła: - Nie chcę, żeby poczuli zapach.

To miało sens, więc skinął głową. Przypomniał sobie kości na trawniku przed domem, zapach morderstwa i sekretarce, która przyznała się, że zabiła własnego syna. („Fennie, oni robią się głodni, jak zachorują. Piją syrop na kaszel, jedzą kości i ryby”). Ale zastanowi się nad tym później. Oszaleje, jeśli zacznie myśleć o tym teraz. Sam nie wiedział, czy i on nie płacze. Może Lila tylko przez grzeczność nie wspomina o jego łzach.

- Pójdziemy poszukać twoich dzieci? - spytał.

Pokręciła głową.

- One już nie są moje.

- Cały czas są twoje - przekonywał - niezależnie od tego, czy masz prawa rodzicielskie, czy nie.

- Nie, są zmienione.

Głos miała beznamiętny, taki jak zarażeni.

Miała rację, więc nie protestował.

- Przepraszam cię, że nie byłem lepszym psychiatrą - powiedział. - Powiniennem być pozwolić ci odejść. Teraz nie ma nikogo, kto mógłby cię nakarmić. Wszyscy, którzy tu zostali, są zarażeni i obawiam się, że gdy się ściemni, po prostu cię zjedzą.

Patrzyła na niego w milczeniu, ciągnął więc:

- Nigdy tego nie mówiłem, bo wydanie takiej opinii byłoby łamaniem zasad, ale powinnaś wiedzieć, że twój były mąż to kawał skurczybyka. Za to z tobą jest wszystko w porządku, kiedy tylko nikogo nie udajesz. Chciałbym, żebyś nad tym popracowała.

Odwrócił się i wyszedł, ale drzwi zostawił otwarte. Jeśli zechce, znajdzie drogę na zewnątrz. To ważne, by dawać ludziom wybór.

Nie podobał mu się ten wirus. Ludzie racjonalni nie natykają się na takie rzeczy. Ciekawe, co by zrobił Freud? A może trzeba by zapytać Junga? Sięgnął po kolejną tabletkę oxycontin. Trzy to maksimum. Po czwartej można dostać ataku serca. Pastylka rozpuściła mu się na języku i wszystko stało się zeszywniałe i wilgotne. Pływał głęboko pod wodą, niczym ryba pozbawiona uczuć;

Wybór tylnego wyjścia okazał się złym pomysłem. Nie patrzył uważnie, gdzie idzie, i trafił o jedną kondygnację za nisko. Otworzył drzwi do piwnicy i zobaczył wysoki stos kości obok spalarni. Przypominał mur z klocków. Nie wrócił do nich spojrzeniem. Jeden raz wystarczył. Dzikie zwierzęta robią podobne rzeczy, by oznaczyć swoje terytorium. Nawet domowe psy i koty przechowały ją pamiętki po swoich zabójstwach. Pomyślał o Meg i o Maddie. Musi je ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie nikt nie będzie mógł ich tknąć.

Za stosem kości znajdowało się obszerne pomieszczenie w którym miało swoją bazę operacyjną CDC. Przedzielono je siatkową przegrodą, a powietrze pompowano wzdłuż sufitu przez sieć plastikowych tub. Domyślił się, że wciąż zasila je szpitalny generator, bo słyszał charakterystyczny szum. Za przegrodą stały rzędy szpitalnych

łóżek Mniej więcej połowa była zajęta przez chorych albo martwych pacjentów. Dostrzegł jakiś ruch i serce załomotało mu w piersi. Między łózkami przemykały dwa duchy. Trzepotały niczym miodne pszczoły, zbierając oddechy zakażonych, jeden po drugim.

Jęknął i duchy spojrzały na niego. Wzrok miały mętne. Jeden duch był niski, drugi wysoki. Ruszyły w jego stronę, kołysząc się jak pijani. Uświadomił sobie, że to nie duchy, tylko kobiety w laboratoryjnych fartuchach.

Powstrzymała je siatkowa przegroda. Przesunęły palcami po plastiku, jakby jego dotyk sprawiał im przyjemność. Wyższa z kobiet trzymała coś, co przypominało kurze udko. Odgryzła mięso od kości i zaczęła przeżuwać. Mlask, mlask, mlask. Fenstad miał nadzieję, że to tylko udko.

Rozejrzał się w poszukiwaniu broni. W pobliżu nie było żadnych skalpeli. Chciał uciekać, ale bał się odwrócić od tych kobiet plecami.

Uśmiechnęły się, odsłaniając zęby. Fenstad przypomniał sobie złowieszczy uśmiech Lois.

- Jesteście z CDC? - spytał.

Jeśli im o tym przypomni, może będą zachowały się jak kobiety, którymi kiedyś były.

Wyższa ciągle żuła.

- Tak - potwierdziła niższa.

- To dobrze. Jestem oficerem i przysłano mnie, żebym sprawdził, jak wygląda sytuacja.

Czepek chirurgiczny wyższej zsunął się, odsłaniając bezwłose sklepienie czaszki. Ssała kość.

- Początkowo śmiertelność wynosiła trzydzieści procent, ale w ciągu trzech dni wzrosła do pięćdziesięciu. Pozostali chorzy śpią - powiedziała niższa.

Miała dwadzieścia kilka lat i błękitną stokrotkę wytatuowaną na przedramieniu.

- Pochodzenie wirusa? - spytał Fenstad.

- Lasy pod Bedford - odparła wyższa, przełknąwszy resztki mięsa.

Ogryzioną kość rzuciła na podłogę.

Fenstad miał nadzieję, że to kurczak, naprawdę miał taką nadzieję.

Kobieta kopnęła kość w jego stronę. Prześliznęła się pod plastikiem, uderzyła w czubek jego buta i zawirowała kilka razy, chrobocząc o granitową podłogę. Spojrzał na nią i odetchnął z ulgą. To była kość z kurzego udka.

- Są jacyś odporni? - spytał.

Obie kobiety pokręciły głowami. Fenstad miał ochotę krzyknąć ze strachu, ale był nafaszerowany lekami, więc zdołał się powstrzymać.

- Dlaczego was tu zostawili? - zapytał spokojnie.

- Eksperyment.

Wyczuł nutkę bólu w głosie niższej dziewczyny.

- Jaki eksperyment?

Wyższa kobieta odwróciła się ku rzeżącym pacjentom i przyłożyła ucho do piersi starego mężczyzny. Oblizwała wargi, jakby była głodna, a Fenstad pomyślał, że temu człowiekowi zostało już niewiele czasu na tym świecie.

Chwilę później zorientował się, że wytatuowana dziewczyna znalazła przejście pod siatkową przegroda i teraz stoją twarzą w twarz. Próbował odskoczyć, ale po oxycotynie miał spowolnione ruchy. Jej cuchnący oddech omiół mu czoło. W pobliżu łokcia, gdzie znajdowała się łodyżka, dostrzegł grubą, bliznowatą tkankę. Uświadomił sobie, że dziewczyna próbowała pozbyć się rysunku, trąc go papierem ściernym.

Odsunął się, a ona ruszyła za nim. Kiedy szła, coś zagrzechotało. Zobaczył, że nogę ma skutą łańcuchem przytwierdzonym do przeciwległej ściany. Nie zauważył go

wcześniej, ale teraz widział, że łańcuch daje jej wystarczająco dużo swobody, by mogła opiekować się pacjentami, ale nie tyle, żeby mogła wyjść. O co tu, do cholery, chodzi? - zastanawiał się Fenstad.

- Proszę - powiedziała piskliwym i niepokojąco ludzkim głosem. - Rozmawiał pan z majorem Dwigthem? Chcę już wracać do domu.

- Skłamałem - odparł Fenstad. - Nie jestem z wojska.

- Niech mnie pan wypuści - błagała.

Kiedyś mogła być piękna, ale teraz zostały jej tylko resztki włosów, a skóra obwisła.

- Zachorowałaś - powiedział Fenstad - więc zostawili cię tutaj, żebyś monitorowała pozostałych. Ciebie i twoją koleżankę.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Zostałyśmy na ochotnika - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Potem zachorowałyśmy - odezwała się ta druga z innego kąca pomieszczenia.

- Więc zrobiłyśmy sobie łańcuchy - dodała niższa.

- Bo nie chciałyśmy nikogo skrzywdzić - dokończyła wyższa.

- Jesteśmy zarażone...

- Ale nie całkiem...

- Kiedy to się stanie, będziemy chodzić na czworakach, tak jak człowiek powinien zaczynać, nie kończyć.

- Nigdy już nie będziemy takie same.

Kobiety mówiły, jakby były jedną osobą. Jakby były wirusem. Biedne monstra.

Niższa przekręciła kostkę w metalowej obręczy, tak że stopa zaczęła krwawić.

Dopiero po chwili zrozumiał, że dziewczyna próbuje oderwać sobie stopę, chcąc się uwolnić.

- Nie rób tego - powiedział, a miał na myśli: Lepiej pogrzeb wytrychem, inaczej możesz stracić całą nogę. Myślał również: Nie rób tego. To mnie boli.

Wprostowała kostkę i wrzasnęła:

- Ja chcę do domu!

Jej głos odbił się echem po pustym szpitalu i Fenstad przestraszył się, że obudzi zarażonych. A może tylko duchy? Buczała pompa powietrza. To mechaniczne urządzenie uspokajało. Nie miało duszy.

Wyższa z kobiet ruszyła w jego stronę na czworakach. Szła niepewnie, bo nie miała wystarczająco długich rąk ani odpowiednio szczupłej sylwetki. Efekt był żalony. Dwa razy upadła. Dotarła na odległość kilku centymetrów od Fenstada, kiedy łańcuch szarpnął ją do tyłu.

Znowu znalazły się jedna obok drugiej. Patrzył w ich czarne oczy. Pomyślał, że czuje kobiety w sobie. Zjadały jego duszę, bo straciły własne i były głodne. Smród ich oddechów docierał za jego maskę.

- Fennie, czujesz to? - zapytały chórem. - Myślisz, że to guz?

Odsunął się o krok. Jeden, potem drugi. Kobiety pochylły głowy. Nogi miał odrętwiałe. Pokuśtykał do schodów i nie odwracając się, zaczął się wspinać. Jeden stopień, dwa, trzy... Dotarł do poziomu niebieskiego.

Szczyt schodów był czerwony jak krew, ale to była tylko kolorowa taśma. Nadal się czołgał. Poziom czerwony, potem żółty. Zmierzał w stronę światła, gdzie otwierały się i zamykały drzwi. Na Boga, powinni byli go ostrzec. Powinni mu powiedzieć, że to miejsce jest przeznaczone dla przeklętych.

Na korytarzu, na prawo od wyjścia, zobaczył Lilę Schiffer. Wytoczyła łóżka dla chorych z jednej z sal. Najpierw nie wiedział, co robi, ale gdy się zbliżył, wszystko stało się jasne. Łzy płynęły jej po twarzy, jednak usta miała zaciśnięte. Narobiła

sporego bałaganu. Skalpel nie jest odpowiednim narzędziem do otwierania klatki piersiowej stukilogramowego zapaśnika.

Aran junior leżał na stole, a Lila skalpelem grzebała w jego wnętrznościach. Gdy Fenstad zatrzymał się przed łóżkiem, podniosła wzrok. Ręce miała we krwi aż po łokcie.

- Jestem ich matką - powiedziała. - Muszę. To moje zadanie.

Spojrzała na drugie łóżko, a Fenstad podążył za jej spojrzeniem.

Alice Schiffer poddano mniej przypadkowym eksperymentom niż jej brata. Głowa dziewczynki leżała na podłodze, oczy miała otwarte. Lila odcięła ją tępym skalpelem. Żeby zrobić coś takiego, trzeba mieć dużo siły i determinacji. Trzeba się nieźle przyłożyć.

Fenstad znowu płakał, ale tym razem nie starał się tego kryć. Był cały odrętwiały i nie wiedział dlaczego. Pomyślał, że to jemu Lila grzebie skalpelem w brzuchu. To on leży na tym łóżku, to jego wnętrzności wypełzły. Poczłogał się w stronę automatycznych drzwi. Bolały go kolana, bo ludzie nie są stworzeni do tego, aby pełzać.

- Musiałam się upewnić, że pozostaną martwe - wyjaśniła Lila za jego plecami. - Za szybko zdrowieją, żeby wykrwawić się na śmierć.

Drzwi były blisko. Już czuł świeże powietrze. Przeczłogał się przez te drzwi, na deszcz. Wtedy zaczął ujadać pies. Ten cholerny pies. Nie, to nie był pies, to był on. To on tak skowyczał. Znalazł się na zewnątrz. Dzięki Bogu, jest już na zewnątrz. Płakał z ulgi.

Stał tam jego samochód. Z trudem wpełzł do środka. W kieszeni zadzwoniły mu kluczyka. Wyciągnął je i wetknął do stacyjki. Uruchomił silnik.

Ruszył. Ale tak jak żona Lota, nie potrafił się oprzeć ciekawości. Odwrócił się tylko raz i zerknął. Drzwi otworzyły się, ukazując wypiełgnowane dłonie Lili Schiffer. Unosiła w nich skalpel, na którego czubku tkwiło serce Arana juniora.

26.

JULIA, TANCERKA BRZUCHA

Maddie miała zapuchnięte oczy. Całą noc nawet ich nie zmrużyła. Chciała spotkać się z Enrique na przystanku, ale nie wiedziała, o której wyjeżdża z Corpus Christi, a nie odbierał komórki. Czekala do dziewiątej rano, potem zadzwoniła do jego rodziców. Też nikt nie odebrał. Dlaczego wypuściła go zeszłej nocy? Powinna była przemówić mu do rozumu: przecież armia nie będzie go chciała właśnie teraz, kiedy był wystawiony na działanie wirusa! A co, jeśli stało się coś złego?

Chciałaby cofnąć czas i odpowiednio przygotować swoją sypialnię na jego wizytę. Zastawić stolik świecami, a łóżko zasypać płatkami róż. Gdyby tak zrobiła, nigdy by od niej nie wyszedł. Uciekłyby z nią do Kanady, gdzie mógłby pisać poezje, a ona... pracować jako tancerka brzucha.

Zaciągnęła się głęboko i spojrzała na swoją komórkę. Nie było informacji o nieodebranych połączeniach. Zegar na wyświetlaczu wskazywał dziesiątą. Czy Enrique za bardzo się zląkł, żeby się pożegnać? Miała ochotę płakać, ale płakała już i tak za dużo. Chciała odzyskać swoje życie z czasów, zanim Enrique zaciągnął się do wojska, a David wyjechał do college'u, cofnąć się do okresu przed zimnej wojny jej rodziców, przez którą chciało się jej rzygać, gdy siedziała z nimi przy śniadaniu. Wirus zmienił jej miasto w straszne miejsce. Poczula, że musi zwierzyć się matce.

Meg siedziała przy stole w kuchni, pijąc czarną kawę z gigantycznego zielonego kubka. Bawiła się kluczami do nowych zamków w drzwiach i słuchała studenckiego radia WMHB, w którym teraz, zamiast grać muzykę, ciągle tylko gadali. Było coś o wodzie butelkowanej i wodzie z kranu, i o tym, że oczy zarażonych hipnotyzują.

Maddie klapnęła obok Meg.

- Nie mogę znaleźć Enrique. Nienawidzę mojego życia - poskarżyła się tonem obrażonego dziecka. Potem spojrzała matce w twarz i zobaczyła, że tusz do rzęs spływa jej brudnymi strugami po policzkach. - O co chodzi? - zapytała.

Meg wytarła oczy. Nie regulowała brwi już od ponad tygodnia i zaczynały jej odrastać.

- Nie martw się - odparła. - Wszystko jest w porządku.

- Nie, wcale nie jest. Co się stało?

Meg pokręciła głową.

- Nic, Maddie.

Dziewczyna wstała.

- Ktoś zrobił ci krzywdę?

Meg bawiła się kluczami. Fenstad większość soboty spędził z wiertarką, montując zamki. Potem sprzątnął z trawnika zwierzęce kości, nawet się przy tym nie krzywiąc. Przez cały dzień patrzyła, jak dusi w sobie złość, i zastanawiała się, dwadzieścia lat po fakcie: W co ja się, do cholery, wpakowałam?

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie dała rady.

- Słuchałaś wiadomości w radio?

- Od wczoraj po południu nie.

Meg ścisnęła klucz, pozwoliła, aby jego kształt odbił się we wnętrzu jej dłoni. Zwykle w niedzielne poranki przyrządzała obfite śniadanie, ale dzisiaj o tym zapomniała. Tak naprawdę przez kilka ostatnich wieczorów zapomniała też o kolacji.

- Usiądźmy - zaproponowała.

Maddie przez kilka chwil patrzyła na matkę, ale o nic nie zapytała. Usiadła.

- Wczoraj w nocy doszło do kilku morderstw - powiedziała Meg.

- Enrique! - jęknęła Maddie.

- Nie on, to wiem. Ale na naszej ulicy też.

Dzwonili do niej znajomi i wolontariusze z biblioteki. Ludzie chcieli się wydostać z miasta, lecz zablokowano trasę I-95. Krążyły plotki, że każdy, kto próbuje wyjechać główną drogą albo uciec przez las, zostaje zastrzelony na miejscu. Wymieniała kolejnych zabitych, cały czas patrząc na córkę.

- Bliźniaki Simpsonów. Miller i Felice Walker. Carl Fritz. Molly Popek. I wielu innych... Musimy zachować spokój. Musimy pomagać sobie nawzajem.

Maddie skinęła głową, ale nie odzywała się, więc Meg nie była pewna, czy to oznaka mocnego przekonania, czy szoku.

- To wirus - ciągnęła. - Może nie zauważyłaś, ale wszystkie zwierzęta zniknęły.

- Zauważyłam - powiedziała Maddie. - Nie wspominałam o tym, bo nie chciałam cię martwić.

Meg uśmiechnęła się, a potem westchnęła, bo to, co miała teraz powiedzieć, nie było miłe.

- Na razie to tylko plotka, ale... ale uważam, że jest prawdziwa. Za dnia oni podobno śpią, ale wieczorem robią się głodni. Jedzą wszystko, co tylko znajdą. Zwierzęta i... Maddie, ci ludzie, którzy zmarli... nie zawsze wszyscy mieli wirusa. Wielu zostało zagryzionych.

Maddie zbladła gwałtownie.

- Gdzie jest tatuś?

- Jedna z jego pacjentek utknęła w szpitalu. Pojechał po nią. Ale niedługo wróci. Gdy tu przyjedzie, zaproponuję mu, żebyśmy opuścili miasto, Musimy się wymknąć po kryjomu. Zatrzymamy się u rodziców taty w Connecticut.

Maddie miała oczy mokre od łez.

- Enrique zaginął - powiedziała cicho. - Przyszedł tu wczoraj wieczorem, żeby mi powiedzieć, że dziś rano wyjeżdża. Uprawialiśmy seks.

- Uprawialiście seks, bo powiedział ci, że wyjeżdża?! - zawołała Meg. - Maddie, to najstarsza sztuczka na świecie!

Dziewczyna spuściła głowę.

- Nie... to ja chciałam. Ale potem on się bał, że tata go znajdzie, więc poszedł do domu, po nocy. Wiedziałam, że powinnam go zatrzymać. - Spojrzała gniewnie na matkę. - Widzisz! Przecież wam mówiłam, że ten Albert je dzieci!

Na czole Meg pojawiła się głęboka zmarszczka. Nagłe uświadomiła sobie, że lubiła Enrique. On naprawdę kochał Maddie.

- Od wczorajszego wieczoru nie miałaś od Enrique żadnej wiadomości?

Maddie pokręciła głową.

- Mamo, muszę go odszukać - powiedziała. - Pojadę na rowerze.

Meg objęła córkę. Znowu rozboleła ją kostka, ale postanowiła nie brać kodeiny. Wczoraj wieczorem połknęła za dużo i po prostu urwał jej się film. Rano obudziła się z bólem głowy i okropną świadomością, że życie, jakie znała, się skończyło.

- Nie powinnaś wychodzić sama. Jego rodzina na pewno już go szuka. Zresztą może to tylko telefony nie działają, a Enrique nic nie jest.

- Ja go kocham - upierała się Maddie. - A jeśli kogoś kochasz, musisz mu pomóc.

Meg pomyślała o swoim mężu.

- Zaufaj mi. Jeśli Enrique jest teraz w szpitalu, ojciec go znajdzie, a jeśli nie ma go ani tam, ani w domu... wahała się, czy to powiedzieć, w końcu uznała, że chronienie córki przed prawdą równa się przyzwoleniu, by ją zabito - ...to pewnie nie żyje.

Maddie ukryła twarz w dłoniach.

- Nie - jęknęła rozpaczliwie.

Meg wzięła ją w ramiona i uściśniły się, dwie kobiety o chłodnych dłoniach i gorących sercach. Teraz już obie płakały.

Gdy Meg trochę ochłonęła, wypuściła córkę z objęć i spytała:

- Więc uprawiałaś z nim seks?

- Tak.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Później... A co, jeśli on mnie potrzebuje?

Meg spojrzała na córkę.

- Kocham cię - powiedziała. - I dobrze wiem, co mówię. Zaufaj mi.

Maddie skinęła głową.

- Ufam ci, mamo - odparła.

SPRAWA LOU MCGUFFINA

Danny Walker miał ochotę głośno płakać, ale bał się, że obudzi zmarłych. Zakrył więc twarz dłonią i łapczywie połykał łyżę, jakby je zjadał. Siedział pod zimną wilgotną ścianą w swojej piwnicy. Przez małe okienko wpadało niewiele światła, bo dzień był deszczowy i pochmurny.

Burczało mu w brzuchu i przez chwilę zastanawiał się, czy nie jest zarażony. Potem pomyślał o Felice, u której ataki najgorszej depresji przychodziły wraz ze wschodem słońca, jakby przerażała ją perspektywa każdego nowego dnia. Teraz to rozumiał. Czy teraz, kiedy już nie żyje, nadal jest jej smutno?

Wziął pistolet z kolan i przesunął palcem po komorze nabojojowej. Gdy ubiegłego wieczoru uciekł z domu, pojechał na komisariat, ale nikogo tam nie zastał. Tylko Lou McGuffin leżał twarzą do ziemi na podłodze celi. Niebieska koszula wysunęła się ze spodni, a w rękę ścisnął plastikową szczoteczkę do zębów o naostrzonej końcówce. Majcher.

- Panie McGuffin - odezwał się Danny, chociaż bał się, że Lou wstanie i powie: „Zrujnowałeś mi życie, wredny bachorze”.

Zdusił jęk, bo nie chciał słuchać echa własnego głosu w tym opustoszałym miejscu. Jeszcze tydzień temu śmiał się przy steku w klubie golfowym razem z Millerem Walkerem, księciem Kupy Gówna. Z kranu przy pryczy Lou ciekło. Podłoga, pościel i szczoteczka do zębów były wysmarowane krwią. Danny'emu zajęło chwilę poskładanie wszystkiego do kupy.

- Przykro mi - powiedział szczerze.

Było mu przykro, że jego tata zginął, mama leżała w kawałkach, a młodszy brat nawet bez wirusa lubił zabijać różne stworzenia. Żałował, że wyżywał się na słabszych, a nigdy nie postawił się tym, którzy coś znaczyli. Żałował też, że przyszedł do komisariatu, gdzie znalazł tylko tego głupka, który zabił się zaostrzoną szczoteczką do zębów. Po bliższym przyjrzeniu się widać było, że McGuffinowi coś nie wyszło i minęło kilka godzin, zanim umarł.

Danny wyszedł z komisariatu i spróbował szczęścia w szpitalu. Ale panował tam kompletny chaos. Lekarze i pielęgniarki pędzili we wszystkich kierunkach, a kiedy chwycił ich za białe kitle, umazane krwią niczym rzeźnicze fartuchy, nie zatrzymywali się, aby go wysłuchać. Nie był sam. Izbę przyjęć wypełniał tłum rozhisteryzowanych ludzi o dzikich oczach. Każdego lekarza, jaki się pojawiał, wypytywali uporczywie:

- Moja siostra... moja matka... mój brat... mój ojciec... mój przyjaciel... nie żyją... są zarażeni... Co się dzieje?

Wreszcie w bufecie, w którym skończyło się jedzenie i podawano tylko kawę, odnalazł Tima Carrolla.

- Moi rodzice nie żyją - oznajmił mu.

Tim mocno uściskał chłopca.

- To straszna tragedia, mały.

- Może pan mi pomóc?

Policjant patrzył na niego przez chwilę, a potem westchnął głęboko.

- Nie. Nie damy rady wszystkim pomóc.

Danny spojrzał na swoje dłonie, wciąż czerwone od kopania na wysypisku mogiły dla królików.

- Lou McGuffin się zabił. Mój tata zrobił go w pornografię dziecięcą, bo mój brat pozabijał jego króliki - wyrzucił z siebie.

Podniósł wzrok na Tima, a on popatrzył na chłopca ze szczerym współczuciem i rzekł:

- Wiem, jak postępował czasami twój tata. Sprawa by przyschła. To, że Lou się zabił, było jego wyborem.

- To jest też moja wina - powiedział Danny.

Tim pokręcił głową.

- Niektórym ludziom brakuje rozsądku - tłumaczył chłopcu.

- Są jak rozgwiazdy, które wywracają się na nice tylko po to, żeby odstraszyć drapieżniki. Za każdym razem je to boli, a i tak są pożerane. Instykt je zawodzi i nic się na to nie poradzi. Lepiej znaleźć sobie jakąś kryjówkę i tam pozostać.

Zabrał swoją kawę i wyszedł z bufetu.

Danny też wyszedł. Ten szpital nie był bezpieczny. Za dużo w nim chorych ludzi. Jeśli cały problem z Jamesem zaczął się od tego, że się zaraził, to zanosilo się na znacznie więcej problemów.

Szedł wzdłuż żółtej linii, więc zaczął myśleć o żółtej ścieżce, a to z kolei przypominało mu, jak uczył Jamesa, co zrobić, żeby jasnozielone dropsy Life Saver świeciły w ciemnościach. Nawet teraz jakaś część Danny'ego wciąż bała się tamtego dziecka.

Linia z żółtej zmieniła się w niebieską, z niebieskiej w zieloną, a z zielonej w czerwoną. Dostrzegł tabliczkę z napisem „Kaplica św. Łucji” i zajrzał do środka. Krewni chorych tłoczyli się na ławkach. Niektórzy trzymali różańce, kilku kasłało, a wielu po prostu płakało.

Szpital był pełen zarażonych, a w bufecie skończyło się jedzenie. Pomyślał o tych królikach, które pożarł James, i o kościach, które widział rano na trawnikach w całym Corpus Christi. Wpadł mu do głowy pewien pomysł, ale jeszcze nie chciał o nim myśleć, myślał więc o dziecięcej rymowance, której mama nauczyła go w lepszych czasach.

Przedzszkolakom bluszcz, by obrośli w tłuszcz.

Minął kaplicę i poszedł dalej. Czerwona linia zmieniła się w czarną. Myślał o uśmiechu mamy, który sprawiał, że każdy, kogo nim obdarzyła, czuł się najważniejszy na świecie. Jak wyglądała jej twarz, kiedy chwilę przed śmiercią uświadomiła sobie, czym stał się jej młodszy syn?

Ale James zrobił coś jeszcze gorszego. Kiedy Danny biegł do komisariatu policji, zobaczył ciało wbite na szpikulce żelaznego ogrodzenia domu. Nogi majtały na wietrze i przez chwilę myślał, że ten człowiek wciąż żyje.

Zanim zobaczył tego trupa, wciąż miał nadzieję, że w Jamesie zostało coś wartego ocalenia. Jasne, kłócili się, ale zawsze wierzył, że jeśli nadejdzie jakiś kataklizm, to będą się wspierać. Dopiero w tamtej chwili pojął, że James to potwór. Na szpikulce było nadziane ciało Millera Walkera.

Z jednej z sal przy korytarzu z czerwoną linią dobiegł gardłowy krzyk. Po chwili się urwał i nastąpiła cisza. Danny zawrócił.

Wiedział, że musi iść, ale nie wiedział dlaczego („Oni są głodni, pamiętasz? Wynoś się stąd, Danny, póki jeszcze możesz!”). Cofał się - czerwień zmieniła się w zielen. Pacjenci za zieloną taśmą na intensywnej terapii już nie kasłali, wielu gramoliło się z łóżek. Tylko kilku wyglądało na silnych, reszta była powolna. Nie dawali rady iść, ale nie mogli się też czołgać. Tak jakby siedzący w nich wirus dobrze się nie dopasował. Danny postanowił wyobrazić sobie, że wciąż jest w domu i ogląda *Elimirandkę*. W ten sposób czuje się bezpieczny.

Przywarł do jasnoniebieskiej ściany próbując być niewidoczny. Oni wciąż byli w swoich salach, żaden nie wyszedł na korytarz? Może go nie zauważą? Może nie zrobią tego, co zrobił James?

Nagle zrobiło się cicho, jakby burza, którą wyczuwał Danny, wreszcie uderzyła. Na korytarzach już nikogo nie było, zostali tylko chorzy w łózkach. Nikt nie jęczał o swoim martwym przyjacielu, rodzicu czy kocie. Nikt się nie modlił, nikt nie kasłał. Pielęgniarki i sanitariusze zniknęli. Dokąd oni poszli? - zastanawiał się Danny. Pomyślał, że zna odpowiedź, a to było okropne. Coś klapnęło na podłogę za nim. Odwrócił się. Miało rozmiary dziecka i nie poruszało się wystarczająco szybko, żeby go złapać. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to jest dziecko. Niemowlę. Oczy miało czarne.

Zaczął biec.

Zielony przeszedł w niebieski. Niebieska linia doprowadziła go do dużej sali, od której zaczął. Izba przyjęć. Kilka metrów przed nim było wyjście, a za ladą recepcji stał lekarz w różowym kitlu, z tabliczką z nazwiskiem „ROSSOFF” wypisanym drukowanymi literami. Ręce miał uniesione w uniwersalnym geście poddania się, po czym Danny poznał, że wciąż jest człowiekiem. Poruszał ustami, szepcząc bezgłośnie coś, co wydawało się słowem „litości”.

Wszystkie łóżka były teraz puste, a Rossoffa otaczali pacjenci, którzy dopiero co na nich leżeli. Danny patrzył na tę scenę, chociaż wiedział, że powinien czym prędzej biec do automatycznych drzwi. Coś w nich uwieźło, więc na zmianę otwierały się i zamykały. Samotność to straszna rzecz. Nie chciał, żeby ostatnie chwile tego mężczyzny były samotne. A może to on czuł się samotny?

Jakaś tęga dziewczyna - znał ją, to była Alice Schiffer - chwyciła Rossoffa za rękę, jakby chciała go wyprowadzić i ocalić. Danny dostrzegł ulgę na jego twarzy. On też poczuł ulgę. Dzięki Ci, Boże, pomyślał. A potem Alice rzuciła się na lekarza.

Rossoff krzyknął przeraźliwie i wyszarpnął zakrwawioną rękę z ust dziewczynki. Wargi Alice zrobiły się czerwone. Zbliżyli się pozostali i po chwili Danny już nie widział lekarza, słyszał tylko jego krzyki.

Rozbolało go gardło i uświadomił sobie, że to nie doktor krzyczy, ale on sam.

Kilku zarażonych ruszyło w jego stronę. Czołgali się, a nawet mięśnie napinały się pod ich bladą skórą, cienką jak papier. Pomyślał, że to technicy laboratoryjni. Białe fartuchy i niebieskie kitle, jak na obrazkach w książce. Nie chciał patrzeć w ich czarne oczy, ale i tak rozpoznał Arana Schiffera, sanitariuszy, których niedawno prosił o pomoc i Frannie Saulnier, pierwszą dziewczynę, z jaką się całował. Była najładniejsza z jego dziewczyn i właśnie dlatego ją rzucił. Chciał, żeby spotkała kogoś lepszego.

- Danny, tak długo czekałam - powiedziała Frannie.

Zawsze łatwo się wzruszała i kładła rękę na sercu, widząc ludzi, których kochała, tak jakby nie żyli tylko na świecie, ale również w niej. Teraz też dotknęła serca, lecz w jej głosie nie było emocji.

Wybiegł przez drzwi w noc. Ruszyli za nim do mercedesa jego mamy. Zdążył wsiąść, zamknąć drzwi, a potem - łup! - uniosły się dwa koła. Danny poczuł się jak na karuzeli, która odpadła od podstawy. Walnął o drzwi kierowcy. Samochód opadł, podskoczył raz czy dwa i znowu spoczął w poziomie.

Co się działo? Wyjrzał przez szybę i zobaczył jaśniejsze czarne oczy. Dziesięć? Pięćdziesiąt? Nie potrafił powiedzieć ile. Ten wielki Aran z drużyny zapaśniczej próbował wywrócić auto. Mercedes był ciężki jak niemiecki czołg, tyle że nieruchawy. Aran cofnął się czekając na posiłki. W stronę auta pełzło dwóch innych zarażonych. Danny sięgnął do schowka na rękawiczki po kluczyki. Uruchomił silnik dokładnie w chwili, kiedy cała trójka zaczęła walić w drzwiczki. Samochód ruszył na dwóch kołach i o mało się nie wywrócił.

- Cholera! - wrzeszczał Danny. - Cholera! Zabierz-mnie-stąd-zabierz-mnie-stąd!

Wcisnął gaz do dechy. Wóz szarpnął do przodu z piskiem opon. Otarł się o czyjś SUV-a i - łup-łup-łup - walnął kilku zarażonych.

- Stać-stać-stać! - wrzeszczał Danny, a przez głośniki mercedesa jakiś rozhisteryzowany dzieciak ze studenckiego radia krzyczał:

- Jeśli ta choroba rozprzestrzeniła się poza Maine, to może być koniec świata!

Danny widział w lusterku, jak te błyszczące oczy się oddalają, więc nie zdjął nogi z gazu i nie zaczął płakać, kiedy w radiu jakiś inny dzieciak oznajmił:

- Dziękuję za telefon. To kolejna rzecz, o której nie chcę myśleć. A teraz, jeśli ktoś zna moją mamę, która mieszka przy Tempie Street 16 w Portland, to czy mógłby tam się zatrzymać i zobaczyć, co z nią?

Bum! Samochód uderzył w coś dużego i zaczął to wlec. Zwłoki? Ludzkie zwłoki. Czy sprawa niecierpiąca zwłoki? Danny zachichotał. Mercedes zwolnił i w tylnym lusterku zobaczył, że błyszczące czarne oczy się zbliżają.

- Mam was gdzieś, palanty! - krzyknął.

- Nazywa się Eunice Hilledebrandt i jeśli ktoś do niej zajrzy, poczęstuje go obiadem.

Dzieciak w radiu starał się być na luzie, jakby zapomniał, że szaleje epidemia.

- Ona nie żyje, ty palancie - mruknął Danny. - A kto się zatrzyma, też umrze.

Nacisnął gaz i to coś przyczepionego do podwozia w końcu się oderwało. Popędził do przodu, a oczy znowu się oddaliły.

Danny przypomniał sobie, że wciąż żyje i wyrwał się ze szpitala. Po drodze potrafił kilka przedmiotów. Miał nadzieję, że żadnym z nich nie była głowa jego matki. Gdy wjechał na podjazd pod domem rodziców - gdzie indziej mógł pojechać? - ciało zniknęło z ogrodu. Zastanawiał się chwilę, kto mógł je zabrać. To bez znaczenia, uznał wreszcie.

Wpadł do domu i zaczął szukać tego, czego potrzebował. Nie pamiętał nazwy tej rzeczy, ale widział ją w swoim umyśle. Znalazł ją w skrytce na korytarzu, za raketami do squasha i tenisa, nartami, sprzętem wędkarskim, kijami do golfa i kalendarzami „Playboya” owiniętymi w folię niczym jakaś kolekcja. To było ciężkie i schowane w pudełku po butach. Naboje włożył do kieszeni, ale kilka mu upadło. Potoczyły się po podłodze.

Wszedł do piwnicy i zamknął się w niej. Przez godzinę celował pistoletem w drzwi, zanim przypomniał sobie, że trzeba go załadować. Jakiś czas później - nie wiedział jaki, bo jego komórka nie działała, a nie miał zegarka - ktoś wybił szybę w oknie. Potem coś zaszleściło, a drewniana podłoga zaskrzypiała.

Odgłos przypominał szuranie. Wyobraził sobie ciała, które z mozołem pełzną po podłodze. Chorzy, niemogący poruszać się normalnie. Śledził oczami trasę, jaką przemierzali. Znaleźli się w holu, potem w kuchni, wreszcie w jadalni. Jęknął. Teraz są z jego matką. Powinien był ją pogrzebać. Sprawić, by mogła spoczywać w pokoju.

Wkrótce wszystko ucichło. Poczul ulgę, ale tylko na chwilę. W piwnicy było ciemno, bo bał się zapalić światło. Myślał o oczach swoich rodziców. Widział zarysy ich twarzy jak negatywy fotografii, blade i pozbawione emocji. Teraz są martwi, są odmienieni. Winią go za to, co zrobił James.

Powinien był ich pogrzebać jak tamte króliki. Przez całe życie nie zrobił jeszcze ani jednej dobrej rzeczy, a teraz nadszedł koniec świata i wszystkie szanse na to prysły.

Całe ciało miał nabrzmiące, jakby jego organy nasiąkły smutkiem. Rosły i za chwilę wybuchną, a wtedy on umrze.

Mamo, tato, proszę, zostańcie nieżywi. Nie chcę was więcej widzieć - wyszeptał. Widział ich twarze tak bardzo rozczarowane. Patrzyli na niego całą noc.

Wreszcie wyczerpany zasnął.

A kiedy się obudził w niedzielne popołudnie, odkrył, że choć nastał nowy dzień, nocny koszmar trwa. Wyobraził sobie, że duchy Felice i Millera patrzą na niego, wycelował pistolet w swoją pierś i pociągnął za spust.

28.

WIEDŹMA

Gdy Fenstad wyszedł ze szpitala, nie wrócił od razu do domu. Zaparkował u podnóża pagórka i czekał, aż serce przestanie mu łomotać. Wyjawszy WBAI z Colby College, miejscowe rozgłoszenie zmieniły się w satelity krajowych stacji. Emitowały nagrane wcześniej audycje albo przekazywały komunikaty zalecające mieszkańcom Nowej Anglii pozamykać drzwi i czekać na pomoc, która jest już w drodze.

W umyśle Fenstada wirowały obrazy. Czuł się, jakby był w akwarium z rekinami i próbował zostać po bezpiecznej stronie szkła. W myślach widział odciętą głowę Alice i przypomniał sobie żartobliwe powiedzonko nauczyciela z piątej klasy; „Potoczą się głowy!” Widział tatuaż w kształcie stokrotki na nodze niższej kobiety w podziemiach szpitala i kość kurczaka wirującą w stronę jego buta. „Lepiej stąd wuj, Fennie”. Miał zdrętwiałe usta i zastanawiał się, czy dostaje ataku serca. Nie, łyknął oxycontin. Pomacał się po kieszeni na piersi, aby się upewnić, że ma tam więcej tabletek. Wysiadł z samochodu i spojrzął w dół na miasto. Nad dzielnicą biznesową unosiły się kłęby dymu (pożar? wybuch?), ale wszędzie indziej było spokojnie.

Zastanawiał się, ilu ludzi zostało. Na zielonych trawnikach widniały jasne plamki: kości. Na ulicy kilka metrów od niego leżała ludzka czaszka, oskubana do czysta. Zniknęły nawet włosy. Ale miasto nie było całkiem puste. Po ulicy toczył się radiowóz. Tim Carroll uczciwie zarabiał na swoją pensję.

Poranny deszczyk przeszedł w ulewę. Pierwszy raz, od kiedy to wszystko się zaczęło, Fenstad poczuł przerażenie.

Nie lubił słowa „zło”. Było takie nieprecyzyjne. Leczył wystarczająco dużo udreńczonych schizofreników, aby to rozumieć: Ale teraz zmienił zdanie. Zło istnieje i jest obecne właśnie tutaj, w Corpus Christi.

Wrócił do samochodu i włączył radio. „Fennie, lepiej stąd wuj”. Serce biło mu bardzo wolno - wziął za dużo tabletek. Zaciskał zdrętwiałe dłonie tak długo, aż powróciło w nich krążenie. „Fennie, myślisz, że to guz?” Spojrzął na swoje stopy i upewnił się, że nie ma pod nimi zakrwawionego dywanu. Przypomniał sobie, że czarny pies nie może już ujadać. Ten pies nie żył. Pomyślał o Meg, która trzy razy w tym tygodniu powiedziała mu, że go kocha. Pomyślał o fioletowych włosach swojej córki i o uśmiechniętych twarzach, które rysowała w notatnikach (Maddie Bonelli Wintrob Vargas, niesamowite!). Te dwie kobiety są całym jego światem. Najwyższy czas, by wziął się w garść i przestał się rozpadać. Kobiety jego życia potrzebują go.

Policzył do trzech, potem do dziesięciu i znowu do trzech. Zrobił wszystko, co mógł. Odsunął od problemu, a teraz patrzył na niego jak na preparat pod szkłem mikroskopu, próbując znaleźć rozwiązanie.

Wirus wywołuje u swoich nosicieli stan agresywnej schizofrenii. Może czyta myśli, a może tylko powoduje halucynacje, które czynią zakażonego przewrażliwionym. Tak czy inaczej, on jest przecież psychiatrą, więc powinien wiedzieć, jak leczyć zaburzenia psychiczne. Czy zarażonych uspokoiłyby potężne dawki litu? Czy ktoś z CDC tego spróbował? Pokręcił głową. Nie. Ten wirus zmienia ludzi w potwory.

Czy istnieje jakieś lekarstwo? Czy jest jakiś sposób uchronienia mózgu przed infekcją albo metabolizowaniem wirusa, kiedy ten dostanie się do organizmu? Większość ludzi nie wie, że DNA człowieka składa się z wirusów. Każdy potomek osoby, która przetrwała jakąkolwiek infekcję - od ospy po grypę - ma zapisany w materiale genetycznym kod tych samych zarazków. Jeżeli więc ten wirus jest stary, może niektórzy są na niego odporni i w swoich genach noszą szczepionkę? A może zarazeni czują odrazę do takich rzeczy, jak ogień, zapach metanu i chlorowanej wody, i to one powstrzymują ich przed atakiem?

Kobiety w szpitalnej piwnicy twierdziły, że infekcja przyszła z Bedford. Jeszcze kilka tygodni temu mieszkali tam w przyczepach jacyś ludzie, to zaś oznaczało, że wirus dopiero niedawno stał się groźny - inaczej pozabijałby ich już dawno. Jeżeli ktokolwiek tam został, mógł znać odpowiedź.

Trzeba to sprawdzić, pomyślał Fenstad. Sięgnął do kieszeni po oxycontin i połknął kolejną tabletkę.

Przygryzł wargę, ale ponieważ mu zdrętwiała, nie poczuł, że krwawi. Padało coraz mocniej. Nie ma sensu szukać czegokolwiek w Corpus Christi, pomyślał. Powinien raczej zabrać Meg i Maddie w jakieś bezpieczne miejsce. Nawet jeśli pilnują granicy miasta, na pewno zdołają się wymknąć i dotrzeć do New Hampshire. Tak jak Val mógł wypompowywać paliwo z innych samochodów, kiedy jego bak będzie pusty. Tyle że Meg przez tę swoją złamaną nogę nie da rady przejść więcej niż kilka metrów. To byłby problem, gdyby z powodu korka na autostradzie musieli wyjść z auta i przejść pieszo ponad dwieście kilometrów do granicy stanu. Mógł ją nieść, ale tylko kawałek, nie przez cały czas.

Nie, to bez sensu, uznał. Zabarykadują się w domu. A skoro zostają w mieście, może sprawdzić, jakie odpowiedzi znajdzie w Bedford.

Wyjechał na drogę i skierował się na północ. Wkrótce dotarł do tylnego zjazdu, nieopodal lasu. Drogę łączącą oba miasta blokowało dwóch żandarmów. Kiedy zwolnił i pokazał im licencję, machnęli żeby jechał dalej. Obaj byli starsi, siwowłosi i z mnóstwem gwiazdek na pagonach. Bez wątplenia oficerowie. Dlaczego oficerowie pilnują drogi? - zastanawiał się Fenstad. Odpowiedź, która przyszła mu do głowy, nie napawała optymizmem. Oficerowie musieli zastąpić swoich podwładnych, bo ci albo opuścili posterunki, albo już nie żyli.

W Bedford było równie cicho jak w Corpus Christi. Domy już dawno zostały opuszczone, ale w dolinie znalazł parking z przyczepami samochodowymi, w których mieszkali ostatni ocalali. Niedawno zalała go woda, więc niektóre z przyczep były umazane błotem aż po dachy.

Zatrzymał się pod ogrodzeniem parkingu i wysiadł. Przez strugi ulewnego deszczu zobaczył idącą w jego stronę przysadzistą kobietę. Miała na sobie żółty nieprzemakalny płaszcz, sztruksowe spodnie i niebieski sweter. Zamachała do niego przyjaźnie.

- Mieszka pani tutaj? - spytał.

- Tak - odparta. - Od dwudziestu lat miałam dom w Bedford, ale zawałił się podczas pożaru.

- Czy mieszka tu jeszcze ktoś?

- Kiedyś tak - odparta - ale złapali tę chorobę. Przychodzą tylko w nocy.

Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby. Nie były żółte, jakby ich nie myła, tylko czarne, jakby warstwy brudu okryły gnijącą kość.

- Tutaj też są zarazeni? - spytał Fenstad.

Uniosła dłoń nad głowę, aby chronić włosy od deszczu.

- Możesz ich tak nazywać, ale są zdrowi jak byki.

Palcem wskazującym poruszyła swoim przednim zębem, a do Fenstada wróciło mgliste wspomnienie Lois Larkin, którą uderzył. Gwałtownie przyspieszył mu puls, ale, niczym wrak na rzece, pamięć szybko zatonała.

- Gdzie pani śpi? - podniósł głos, by usłyszała go mimo deszczu.

Odpowiedziała, cały czas ruszając zębem, przez co trudno było ją zrozumieć.

- Miałam dwie córki, ale one już odeszły. Mąż też.

Chciał zawrócić, ale uznał jednak, że może ona coś wie. Stracił pół dnia, więc chciał przynieść do domu jakieś informacje.

- Mogę pani zadać kilka pytań?

Przytaknęła.

- W środku. Nawet przed powodzią nie cierpiałam deszczu.

Ruszyła w stronę przyczep.

Ta, przy której się zatrzymała, była najgorsza ze wszystkich. Nie miała nawet kół. Jeszcze bardziej niepokojące były kukły z wypchanego bawełną nylonu, naturalnych rozmiarów, ubrane w dziecięce stroje. Wisiały na stryczkach przy wyłożonej drewnem ścianie, na każdej przyczepiono metalową tabliczkę drogową z wysprejowanymi literami, które układały się w napis: „Ona zawsze jest głodna. Ona nigdy się nie nasyca”.

Kobieta wskazała kukły.

- To nie jest mój dom, ale starałam się go ozdobić najlepiej, jak umiałam.

Potem spojrzała na Fenstada i uśmiechnęła się.

- Ha! - zawołała.

Podskoczył.

- Mam cię! - krzyknęła i zaczęła chichotać. - To już było, kiedy tutaj przyszedłem.

Weszła po trzech schodkach do cuchnącej przyczepy i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Po kilku sekundach i mnóstwie hałasu wróciła. Skinęła na niego, zapraszając do środka. Uznał, że albo sprzątała, albo schowała coś, czego nie chciała mu pokazywać. Dyszała ciężko i uświadomił sobie, że jest chora. Nie zarazona wirusem, ale zwyczajnie chora. Zbyt łatwo traciła oddech jak na kogoś w jej wieku oraz jej postury. Nie było mu jej żal. Wręcz przeciwnie, słabość czyniła ją mniej niebezpieczną.

Wsadził rękę do kieszeni i wymacał buteleczkę oxycontin, co dodało mu otuchy. Pomieszczenie było niewielkie. Składaną pryzcę i stolik kuchenny wciśnięto w kąt, aby dało się przejść.

Podłoga była wypastowana i błyszcząca. W koszu na śmieci koło drzwi leżały pomięte opakowania po mallomarach, hershey's kisses i twinkies. Wyglądały, jakby wrzucono je tam niedawno i ubito obutą stopą. Kobieta podążyła za jego spojrzeniem i pokiwała głową.

- W większości miasta nie ma prądu i żadnych czynnych sklepów, więc po prostu biorę te rzeczy które się nie psują i których nie chcą ludzie nocy. Myślę, że dzięki temu dadzą mi spokój. To głównie słodycze.

Na stole stało zdjęcie dwóch dziewczynek: blondynki o jasnej cerze i smagłej brunetki. Żadna nie uśmiechała się do obiektywu.

- Herbaty? - zapytała. - Mam tylko liptona. Jako samotna kobieta nie mogę sobie pozwolić na wiele więcej. Moja żyjąca córką ma stypendium z chemii, ale nigdy nie dostałam od niej ani centa. Żyje w grzechu ze swoim chłopakiem... No cóż. To jak, napije się pan herbaty?

Nie miał ochoty na herbatę, ale jako psychiatra zastanawiał się, czy ona w ogóle wie, jak ją się parzy.

- Tak, poproszę.

Ku jego zaskoczeniu miała już przygotowany imbryk i naląła z niego do filiżanki stojącej na wyszczerbionym spodku.

- Spodziewałam się wizyty. Przykładałam ucho do ziemi... Tak naprawdę, to do papierni. Przykładałam ucho do starej papierni, jeśli robi się to wystarczająco długo, to słyszy się wszystko. - Puściła do niego oko.

Gdy podniósł filiżankę do ust, zobaczył, że na powierzchni unosi się coś zielonego (resztką zupy w proszku?). Udał, że pije, i odstawił filiżankę na stół, obok zdjęcia Susan i Elizabeth Marley.

- Kiedy ludzie zaczęli tutaj chorować? - spytał.

Uśmiechnęła się. Potem splunęła. Żołądek podszedł mu do gardła, bo na jej rękę wypadł ząb. Schowała go w dłoni jak małą chrząstkę, której nie umiała się kulturalnie pozbyć. Pomyślał o Lois. On uderzył kobietę. Ale może nie było tak źle. Może on był zwykłym człowiekiem, a to czasy były niezwykłe.

- Zaczęło się na długo przed pożarem, ale ludzie i zwierzęta, które to łapały, umierały, zanim zdążyły kogoś zarazić. Potem zjawiała się siarka i to nakarmiła, więc zrobiło się silniejsze. - Pochyliła się do przodu. - Dlaczego nie zadasz prawdziwego pytania? - zapytała, lekko sepleniąc.

Myślni był w szpitalu, dlatego odparł jak psychiatrę.

- A jakie jest prawdziwe pytanie?

- Dobrze - powiedziała. - Nie obchodzi się, jak to się zaczęło. Chcesz wiedzieć, jak to zatrzymać. Ale ty nie możesz tego powstrzymać.

Dotknął językiem policzka. Był odrętwiały. Chciałby, żeby cała reszta też zrobiła się odrętwiała.

- Przyszedł ten chłopak, James Walker. Znalazł kości ostatniego człowieka, który to miał, i wysłał je do sucha. A w nim to się rozprzestrzeniło.

- Skąd pani to wie? - zapytał.

Uśmiechnęła się szeroko. Nie krwawiła z ust, pomyślał więc, że ząb wypadł już wcześniej i jak ludzie uzależnieni od metamfetaminy, chorujący na szkorbut, próbowała go przykleić polidentem.

- To miejsce jest nawiedzone - odparła.

- Nie bardzo rozumiem...

- Oczywiście, że nie - syknęła.

Sięgnęła po twinkie i rozdarła opakowanie zębami. Co dziwne, jej siekacze pozostały na miejscu.

- Co się zdarzyło w Bedford?

Pochyliła się nad stołem.

- Idź do domu i zbij swoją żonę, czy co tam wy mężczyźni robicie.

Zdumiał się. Ona wiedziała o Lois? O Kaufmannie?

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Trafiłam w czuły punkt, co?

Już miał wstać, ale złapała go za ramię. Palce miała lepkie.

- Powiem ci.

Usiadł. Musiał wiedzieć. Uśmiechnęła się tak szeroko, jakby nie posiadała się z radości, że wreszcie objawi swoje rewelacje.

- Przyszła tu taka dziewczyna i ocaliła to miejsce Połknęła nasze koszmary jak cukierek.

Przerwała i wolną ręką wsunęła twinkie do ust. Gdy mówiła dalej, wilgotne okruchy spadały jej na brodę.

- Ja też połknęłam cukierek. Połknęłam go dla niej, więc ona wie, że nigdy nie zapomnę. Połknęłam go, żeby być bliżej niej.

Kobieta wzięła swój ząb i wetknęła z powrotem w dziąsło.

Fenstad wiedział już wystarczająco dużo. Uwolnił nadgarstek i ruszył do drzwi.

- Nie dasz rady połknąć wszystkich koszmarów! - zawołała za nim. - Nie w takim nawiedzonym miejscu jak to. Ty ofermo. To miejsce tworzy koszmary.

Fenstad otworzył drzwi. Cieszył się, że deszcz zmyje z jego ubrania smród tamtej kobiety. Cuchnęła siarką.

- To już wcześniej było żywe, ale teraz jest inne. Tym razem jest sprytne. Zaczęło jak James Walker, głupie i złośliwe. Ale teraz ma nowego przywódcę. Nie domyślasz się, kto to jest? Od tego zależy twoje życie.

Fenstad odwrócił się ku niej. Chciał wierzyć, że jest szalona, ale wiedział, że nie jest. Kobieta się uśmiechnęła.

- Wiesz, dlaczego mnie nie zjedli? - Wycelowwała mu w czoło palcem wskazującym, jakby mierzyła z pistoletu. Potem nacisnęła spust. - Rak - powiedziała. - Nie lubią jego smaku.

Był już w drzwiach, gdy zauważył, co przed nim ukryła. Jakąś bryłkę pod stołem, owiniętą w białe płótno.

Podążyła za jego spojrzeniem

- Naprawdę porządnie to ugotowałam. Wypaliłam całego wirusa - oznajmiła.

Spod płótna wystawał dziecięcy palec. Fenstad przełknął ślinę, ale żółć nie chciała pozostać w żołądku. Otworzył szerzej drzwi i zwymiotował.

- Ja jem tylko nieżywych, szanowny panie!

Zbiegł po schodkach. Słońce zachodziło. Deszcz był dobry. Taki dobry, że aż chciało mu się płakać. Nawet ciemność była lepsza od tego monstrum, które miała za plecami. Nawet wirus. Pobiegnął do auta.

- Jeszcze zobaczysz! Też tak będziesz robił! - krzyczała, kiedy odjeżdżał.

29.

STRÓŻ BRATA SWEGO

Danny wycofał się w bezpieczne miejsce. Przynajmniej miał nadzieję, że jest bezpieczne. Metal był ciepły, bo trzymał go całą noc. Gryzł go. Trząsał się, więc zęby szczękały o stal. Myślał już, że to był zły pomysł. Ale zaczął liczyć. Na trzy naciśnie spust. Tym razem niczego nie schrzani. Powinien jakoś lepiej pochować te króliki, powinien być lepszym bratem. W ogóle nie powinien zakopywać tych królików.

- Rłaz - powiedział z ustami pełnymi naoliwionego metalu.

Duchy rodziców patrzyły na niego z kąta. Fotograficzne negatywy pozbawione barw, ciemne tam, gdzie powinny być jasne. Żadne się nie uśmiechało. Żyły na szyi Millera były nabrzmiałe, jakby zaraz miały pęknąć. Felice trzymała go za rękę, niczym mała dziewczynka uczepona taty. Mieli na sobie eleganckie stroje. Jej futro uszyto z króliczych truchełek.

Wyjął pistolet z ust. Nie chciał, żeby rodzice na to patrzyli. Uświadomił sobie, że nie próbował ich bronić. On ich po prostu nie lubił.

- Wynocha stąd - powiedział. - Wy już nie żyjecie.

Napotkał spojrzenie ojca. Miller patrzył gniewnie, jakby chciał, żeby Danny się wzdrygnął. Nacisnął spust. Odrzut pchnął go na mur obok schodów, gdzie przesiedział całą noc, pilnując drzwi.

- Uff - powiedział.

Uniósł wzrok ku ścianie. Duchy jego rodziców zniknęły. Została tylko dziura po źle wymierzonym pocisku, około metra nad ziemią. Danny uśmiechnął się po raz pierwszy od paru dni, zadowolony, że ta dziura jest w ścianie, a nie w jego głowie.

Wstał, odsunął zasuwę i otworzył drzwi przed miękkim światłem poranka, niczym kret unoszący się ku słońcu.

Godzinę później zmieszał to, co zdołał odnaleźć w kuchni i zrobił naleśniki ze słodkim cytrynowym sokiem Rose's Lime, aby uciszyć burczenie w brzuchu. Potem zebrał się na odwagę i ruszył do jadalni, żeby pogrzebać szczątki matki.

Ale w pokoju było pusto, zostało tylko trochę krwi na podłodze. Zabrali ją w nocy, pomyślał. Czuł wściekłość. Lecz także ulgę.

Wyjrzał przez okno. Na jego podwórku panowała cisza, podobnie na sąsiednich. Ruszył podjazdem na podwórze od frontu. Ciało ojca też zniknęło. Miller pewnie się spodziewał, że dożyje setki. Że na jego pogrzebie trzy razy wypalą z dział, jego imieniem nazwą college, a w klubie urządują przyjęcie koktajlowe z darmowymi drinkami. A teraz, po tym całym gównie, jakie zrobił, po tych wszystkich układach z podłymi ludźmi, już nie żyje, tak samo jak wszyscy inni. Smak na języku Danny'ego był gorzki jak popiół. Uronił kilka łez.

W mieście płonęły domy. Zapewne większość z nich podpalono w nocy, bo teraz już się dopalały. Dolina tliła się wśród popołudniowej mgły. Wrócił na podjazd. Czas ruszać.

Wyjawszy wgniecenie w drzwiczkach od strony pasażera, które zrobił Aran, samochód matki był w dobrym stanie. Danny wsiadł i uruchomił silnik. Zostało już niewiele benzyny. Musiał jakąś znaleźć. Wciąż burczało mu w brzuchu. On też potrzebował paliwa.

Jechał powoli, rozglądając się za oznakami życia. Żadnych nie dostrzegł. Sklepy przy Micmac Street były puste, a witryny porozbijane. W supermarkecie zniknęło całe jedzenie. Mięso, warzywa, owoce. Nawet zamrażarkę opróżniono z lodów. Danny wziął sobie trochę gumy do żucia Bubble Yum. Mogą mu później wystawić rachunek. W ciągu ostatniego miesiąca urósł ponad dwa centymetry i od tego nagłego wystrzelenia w górę tak bardzo dokuczały mu kolana, że bolało samo chodzenie. Wiedział, że teraz powinien rozpaczać, ale myślał o bekonie i o jajkach.

Na żadnej z trzech stacji benzynowych nie znalazł paliwa. Włamano się nawet do zbiornika diesla i to, co zostało, parowało teraz na asfalcie. Postanowił zaryzykować i spróbować wjazdu na I-95. Drogę blokował jakiś humvee. Kiedy się do niego zbliżył, żołnierz na miejscu pasażera odsunął szybę.

- Zawracaj albo będziemy strzelać! - krzyknął przez megafon.

Danny zwolnił, ale się nie zatrzymał. Miasto było w ruinie, ten facet się spodziewał, że gdzie on pojedzie?

Wtedy otworzyło się tylne okno i Danny zobaczył wycelowany w siebie karabin maszynowy.

- Natychmiast zawracaj! - krzyknął żołnierz.

Danny wrzucił wsteczny, ale najwyraźniej to było za mało. Pac-pac-pac! - zabrzmiało mu w uszach. Wcisnął pedał gazu i jechał do tyłu, aż skręcił z rampy i znalazł się z powrotem na Micmac Street. Gdzieś zniknęło boczne lustro i dopiero po chwili uświadomił sobie, że je odstrzelono. Oni nie strzelali w powietrze, oni strzelali do niego!

Jedyna inna droga na zewnątrz prowadziła przez Bedford. Skręcił na jakąś bezimienną trasę łączącą oba miasta. Tam również zastał żołnierzy. Zatrzymał się nieopodal miejsca, gdzie parkowała ich ciężarówka, i opuścił szybę. W jego stronę szło dwóch mężczyzn w zielonych pelerynach. Trzymali wymierzone w niego karabiny maszynowe. W myślach odmawiał cichą modlitwę składającą się z dwóch słów: „Nie strzelajcie”, Jeden z wojskowych spojrzał mu w oczy i gestem ręki kazał jechać dalej.

Popędził drogą. Z obu stron ciągnęły się drzewa. „Spotkamy się w lesie” - powiedział James. Czy on wciąż tam jest? Czy to właśnie tam chowała się reszta z nich? Wjechał do opuszczonego Bedford. Oczywiście duszy widział swoich rodziców. Stali na zakrętach, potrząsając głowami nad wszystkim, co zrobił źle.

Na głównej ulicy było pusto. Witryny sklepowe rozbito. Przypominało to Corpus Christi i nagle przyszło mu do głowy, że niezależnie gdzie pojedzie, wszystko będzie wyglądało jak Corpus Christi. Teraz cały świat stał się nawiedzony. Martwi, zarażeni, żywi - wszyscy dzielili to samo miejsce.

Danny wytarł oczy i pociągnął nosem. Patrzyły na niego duchy rodziców. Jego niewinny brat (ale czy on naprawdę był niewinny?) również nie żył. Zastąpił go potwór.

Istniał tylko jeden sposób na to, aby uciszyć duchy, i tylko jedno lekarstwo dla jego małego braciszka.

„Spotkamy się w lesie”.

Zjechał z głównej ulicy i zaparkował na polu piknikowym nieopodal lasu. Dochodziła czwarta po południu. Dni były teraz krótsze, do zachodu słońca zostało już niewiele czasu. Wziął głęboki oddech, dotknął pistoletu w kieszeni i ruszył na łowy.

Im głębiej wchodził w las, tym więcej adrenaliny krążyło w jego żyłach. Czuł się zmęczony, ale nie marszem, tylko gotowością do biegu przez tak długi czas.

Słońce zniżało się coraz bardziej. Wszędzie leżały powalone drzewa. Instynkt nakazywał mu zawrócić i uciekać, ale nie porzucił brata. James był teraz całkiem sam i po raz pierwszy Danny mógł zrobić dla niego coś tak, jak należy.

Ścieżka doprowadziła go do polany. Wzdłuż jej krawędzi leżały martwe zwierzęta. Zobaczył szkielety królików i saren, a nawet wielkie rogi łosia. Zwymiotował gwałtownie, a potem zaczął stąpać po tych szczątkach, kierując się na sam środek. Był tak napompowany adrenaliną, że mógłby przebiec maraton.

Pochylił się i dotknął ziemi. Była czarna, zimna i wilgotna. Dotarł na środek polany. Z dystansu wszystkie truchła wyglądały jak jedna wielka masa, ale gdy się zbliżył, zobaczył, że są ich setki, może nawet tysiące i leżą jedne na drugich. Cuchnęły jak śmietnik.

Sprężyna przerażenia rozwinęła mu się w brzuchu i powykrcęcała. Drżał. Nie tylko dłonie, lecz całe ciało. Jego matka, Miller, Lou McGuffin, lekarz ze szpitala. Oni wszyscy nie żyli. Setki. Tysiące. Może miliony nieżywych.

Niektóre ciała leżały twarzami do ziemi, jakby we śnie starały się zlizać z niej krew. Zaciśnął doń w pięść, wsunął do ust i zagryzł tak mocno, aż zaboląły go zęby. To trochę pomogło. Dało siłę, aby podejść bliżej.

Bardzo chciało mu się sikać, ale nie chciał rozпинаć rozporaka przy tych wszystkich trupach. Dżinsy zrobiły mu się gorące. Ledwo to poczuł.

Na samym środku leżała jego dawna nauczycielka Lois Larkin. Wypadły jej włosy, a wszystkie krągłości stały się ostrymi kątami.

Pozostałe ciała były zwrócone w jej kierunku, tak jakby ją chroniły.

To ona stała na ich czele. Jako syn Millera Walkera potrafił od razu rozpoznać przywódcę.

Ciągnęło go do niej. Też chciał ją chronić. W jego umyśle otworzyło się jakieś oko i poczuł, że mu się przygląda. Szedł w stronę Lois. Pomyślał, żeby położyć się obok niej i czekać na zmierzch.

„Właśnie tak, Danny - wyszeptwała słodkim głosem. - Zaopiekuję się tobą”.

Kiedy brnął po zwałach ciał, potknął się o coś. Zobaczył Ryana Simpsona, gliniarza, który kiedyś chciał go zwinąć za prowadzenie samochodu w zbyt młodym wieku. Pistolet zatknęty za pasek wypalił. Danny podskoczył. Pocisk przeleciał, muskając krawędź jego buta, i trafił Ryana w głowę. Danny zaczął krwawić, chyba z

małego palca u nogi. Przestraszył się, że zapach krwi ich obudzi. Pistolet był taki gorący, że parzył w biodro, ale nie zawracał sobie głowy przekładaniem go. Zamiast tego znowu wsunął dłoń do ust i zagryzł z całej siły.

Jego mama i tata, Lou McGuffin, błagający o litość doktor Rossoff ze szpitala, oni wszyscy nie żyli. Ale może właśnie mieli szczęście.

„Danny, szeroko otwórz usta - rozkazała, tyle że nie miała już kobiecego głosu. - Naciśnij spust”.

Danny się cofnął.

- Nie - wybełkotał.

Zaczął ssać palce, jakby chciał połknąć sam siebie. W ten sposób zdołałby się ukryć we własnym żołądku.

„Naciśnij spust!” - ryknęła chrapliwie.

- Nie - powiedział, choć zdawał sobie sprawę, że jeśli zacznie z tym dyskutować, to coś wygra, tak jak wygrywał Miller.

Nigdy nie spieraj się z wariatem.

Obce oko zamrugało mu w głowie, a potem wszystko zaczęło go swędzieć. Uszy, skóra, wnętrzności. Swędziało w takich miejscach, gdzie nie mógł sięgnąć. Ale i tak próbował. Wyjął dłoń z ust i drapał się wewnątrz uszu tak mocno, że aż go rozboleło. Znowu płakał, ale już nic nie mówił. Cofał się.

Wtedy zauważył tego chłopca, bezwłosego cherubina skulonego w ramionach Lois Larkin. Wydawał się spokojny i niewinny jakby wszystko, co dręczyło jego zepsuły mózg, zostało uleczone. Wyglądał na szczęśliwego.

Danny wymacał pistolet na biodrze. Pochylił się nad zwałem ciało. Przypomniał sobie ciało Millera na żerdzi ogrodzenia (Umarł król, niech żyje król!), oczy Felice szeroko otwarte z przerażenia, i króliki, które kiedyś były białe. Musiał to zrobić. Był to winien pamięci chłopca, którym kiedyś był James. Duchy jego rodziców nigdy nie znajdą spokoju, jeśli tego nie zrobi. Poczłogał się przez ciała. Uniósł broń.

Danny, wpakuj sobie kulę w pierś. Zasługujesz na długi odpoczynek.

To coś krzyczało tak głośno, że aż puchła głowa.

Oddychając przez usta, by nie czuć zapachu tego czegoś, wspinał się po ramionach, nogach i nabrzmiąłych szyjach. Te na wpół uformowane trzaskały, gdy pękały ich kruche kości. Były jak węże zrzucające skórę. Zmieniające się w... w co?

Zatrzymał się tylko raz, żeby zwymiotować. Oni są lasem, powiedział sobie. Miękką ściółką. Nagle to coś się wtrąciło.

Kiedy zabierali ją do wariatkowa, widziała, że do niej machasz. Wiedziała, że to ty, ale nie chciała już być twoją matką.

- Przestań - wyszeptał Danny i pochylił się nad ciałem brata.

Nie chciał na to patrzeć, ale musiał. Odsunął lodowatą dłoń Jamesa od płaskiej piersi Lois i przewrócił go na plecy. Ciała (drewno!), na których klęczał, nie były stabilne, więc trochę się obsunął. Musiał wdrapać się na górę, aby odzyskać równowagę.

Brwi Jamesa zniknęły. Zastąpiła je przejrzysta skóra i zgrubiałe kości. Ranny bark wygoił się, był jak nowy,

- Nie jesteś moim bratem - wyszeptał Danny, mierząc z pistoletu w czoło Jamesa.

Tak, jego prawdziwy brat jednak był słodkim dzieckiem. Niezrozumianym, ale słodkim. Takim dzieciakiem, który zmienia się na lepsze, jeśli ktoś poświęci mu odrobinę uwagi, już miał nacisnąć spust, kiedy to coś wrzasnęło na niego:

- Tylko spróbuj, a owinę samochód twoimi flakami, jakby to były bożonarodzeniowe światełka. I pozwolę twojemu bratu zjeść twoje słodkie mięsko!

Danny oparł się na ramieniu Lois. Chrupnęło i chyba pękło, a on, zachichotał, co - jak dobrze wiedział - oznaczało, że traci zmysły.

- Twoją krwią wypiszę napis na tablicy przy wjeździe do Corpus Christi.

Danny nie zwracał już uwagi na swędzenie. Nie dbał o stos ciał, na którego szczyt się wdrapywał. Wściekł się na tyle, aby się zastanowić, czy jeśli zabije przywódcę, to reszta stanie się wolna.

Podniósł pistolet i wymierzył w twarz Lois Larkin. Jego piersią targały spazmy. Jednocześnie płakał i chichotał. Oczy tego czegoś otworzyły się wewnątrz niego i pokazały mu wszystko, co to coś zrobiło. Obalone cywilizacje. Głód każący się wciąż nasycić, aż w końcu zarażeni pęcznieli jak kleszcze, a ocaleli patrzyli, jak ich skóra zmienia się w kości. Wreszcie wszyscy umrą, bo nie zostanie już nic do pożarcia.

Danny się śmiał. Nie mógł się powstrzymać. Zwrócił pistolet w swoją stronę. Lou McGuffin. On jest twardszy niż Lou. Pokaże mamie, jaki potrafi być twardy. Ma gdzieś szczoteczkę do zębów w sercu. Strzeli sobie w głowę! Wciąż się śmiał. Śmiał się tak bardzo, że aż zapomniał o oddychaniu przez usta. Poczł zapach zgnilizny i przestał się śmiać.

Odczołgał się, kolano za kolaniem, po miękkim drewnie, aż znowu znalazł się przy Jamesie. Wymierzył i nacisnął spust, raz, drugi, trzeci. To działo się tak szybko, że nie widział pocisków siekających pierś brata. Zobaczył tylko, jak chłopiec odbija się, jak gdyby ktoś go uderzył.

Mamo i tato, i Boże, i Jamesie, wybaczcie mi, modlił się cicho. Nagle James otworzył oczy i warknął, a Danny pojął kłamstwo, jakie sam sobie wmówił. Wirus czy nie wirus, brat go nienawidził. Zawsze go nienawidził. Serce Danny'ego pękło, gdy to sobie uświadomił.

- To coś mi powiedziało, że ja będę twoim królem, a ty moim błaznem. To coś uczyni cię na wpół obłąkanym, takim, jak ja byłem - wyszeptał James.

Danny pokręcił głową. Czy jako syn Millera nie powinien się domyślić, że taka obietnica to kłamstwo?

James zamknął oczy. Danny pomacał mu przegub. Jego puls zwolnił, a potem się zatrzymał. Nie otworzył już powiek. Danny podniósł go i zabrał z dala od reszty ciał. Wilgotna ziemia była miękka. Rękami wykopał płytką mogiłę. Pogrzebał w niej swojego brata.

Kiedy skończył, słońce wisiało nisko nad horyzontem. Wiedział, że musi dzisiaj wieczorem wrócić do Corpus Christi. Znajdzie sobie na noc jakieś schronienie, a jutro rano wyjedzie. Jeszcze raz spojrzał na Lois Larkin. W pistolecie zostały mu dwie kule. Mógł powiedzieć żołnierzom, co znalazł, ale nie sądził, żeby mu uwierzyli.

Wycelował w jej głowę. Strzelił raz. Chybił. Znowu strzelił. Jeszcze raz spudłował. Opróżnił magazynek. Lois Larkin wydała ogłuszający wrzask dokładnie w chwili, gdy słońce schowało się za horyzontem. Ciała zaczęły drżeć.

Pobiegl. Niczym gwiazda bieżni pędził w stronę samochodu. Jeżeli przetrwa noc, opuści Corpus Christi. Nic go tutaj nie trzyma. Nigdy nie trzymało.

ŻYCIE ZE ŚMIERCI

Po horyzoncie pełzły ostatnie promienie słońca. Były żółte, potem czerwone i purpurowe, wreszcie znikły. Lois nie widziała już kolorów, tylko cienie i kształty. Świat składał się z odcieni szarości. Jej myśli też były szare. Chciała tylko przetrwać, jeść, znaleźć jakieś ciemne miejsce do spania. Tak żyło się łatwiej, więc nie tęskniła za tym, jak żyła kiedyś. Nie tęskniła również za matką, której serce, o dziwo, okazało się wcale nie takie gorzkie.

W niedzielny wieczór obudziła się na polanie. Słońce nie raziło jej pobratymców, powodowało jednak, że kładli się pokotem, niczym lalki. Oczy mieli zamknięte. Nie śnili ani nie wspominali minionego dnia. Spali głęboko, a podczas snu zmieniały się ich ciała. Lois różniła się od nich. Potrafiła wyczuwać otaczające ją rzeczy, nawet gdy słońce jasno świeciło.

Kiedy Danny Walker połamał jej kości, przez chwilę się bała. Ale Danny odszedł, a wraz z nim zagrożenie. Od dziś będzie spać w jakimś osłoniętym miejscu.

Jej ciało się zmieniło. Tułów się wydłużył, a kolana i łokcie zgrubiały. Bolało ją, gdy stała, wołała chodzić na czworakach. Stawała się taka sama jak wirus, który w niej żył. Włosy, brwi i rzęsy wypadły i pragnęła tylko jednego: krwi Ronniego i Noreen.

Wokół leżały ciała. Tysiąc, dwa tysiące, może nawet pięć. Więcej niż mogła zliczyć. Kiedy obudziła się w niedzielny wieczór, kości znowu miała całe. Tutaj, goiły się wszystkie urazy i rany. Wszystko było wiecznie tymczasowe.

We śnie jej dusza mieszkała pod ziemią, oddzielona od niej. Robaki, zamiast pożywiać się jej ciałem, zjadały jej duszę. To nie wirus powodował głód, tylko jej ciało, tęskniące za swoim oblubieńcem. Zawarła układ ze swoim kochankiem, który nawet nie był człowiekiem.

Ale niczego nie żałowała.

Wstała, a dzieci wokół niej uklęknęły. Wirus był instynktem, a ona nadawała mu kierunek. Razem byli lepsi niż osobno. Miała pewien plan. Pożywiali się za szybko i nierozsądnie. Teraz zaczną bardziej wybiórczo rozprzestrzeniać wirusa i zjadać swoje plony.

Dotknęła brzucha. To coś, co w nim rosnęło, nie przystosowało się do zmiany i kiedy spała, umarło. Nie poczuła żadnego bólu żadnych skurczów. Trup pozostał, wpasowany w nią niczym skamielina ze skóry.

Dawna Lois Larkin krzyknęła do niej spod ziemi, a ona ucieszyła się, że ją tam zakopała. Nienawidziła tej kobiety niemal równie mocno, jak nienawidziła samej siebie.

Kiedy Danny Walker uciekał z lasu, ona i jej dzieci obudzili się, a potem zaczęli pełznąć przez deszczową noc.

BRYŁA W ŁÓŻKU

Graham Nero obudził się w niedzielny wieczór. Czuł się lepiej niż kiedykolwiek od lat. Silny, pełny energii, cholerny nadczłowiek. W pokoju było ciemno, ale widział kwiecistą pościel i żółtą tapetę, nawet drobiny kurzu na grubym niebieskim dywanie. Słyszał cichy szum swojej krwi.

Obok niego leżała jakaś bryła. Ona zawsze była bryłą. Bezużyteczną, bezwładną masą. Zaszła w ciążę tydzień po ślubie. Powiedziała mu, że pigułki nie dają stuprocentowej pewności, ale przecież miał swój rozum. Zadzwoił do apteki. Nie realizowała recept już od kilku miesięcy!

Rzuciła pracę asystentki dyrektora w jego firmie, żeby zająć się wychowywaniem dziecka, i w ten sposób całkiem sam musiał spłacać dom, który kupili, kiedy nieruchomości były najdroższe. Osiemset tysięcy dolarów to równowartość wielu steków, zwłaszcza gdy twój partner w zbrodni nie ma nawet tyle pieniędzy, żeby opłacić składkę w country clubie. Kiedy ją poznał, wydawała się kobietą, która potrafi sama o siebie zadbać. Sprawnie załatwiała telefony, pisała czterdzieści słów na minutę i nosiła ciuchy z tańszych sklepów, które nie były ostatnim krzykiem mody, ale pasowały do jej krągłości. Nigdy by się nie domyślił, co kryje się w środku.

Teraz pracowała na ćwierć etatu w dziale, dystrybucji „Corpus Christi Sentinel”. Co parę miesięcy rzucali jej jakiś ochłap, pozwalając napisać poruszający serce artykuł o zakładzie opieki społecznej albo o dzieciakach uzależnionych od metamfetaminy. Przez całe życie chciała pisać. Co najmniej raz w tygodniu dziękowała mu, że ją w tym wspiera, jakby miał jakiś wybór. Gdy zaszła w ciążę, bank kazał jej zabierać manatki, chyba że wróci na pełny etat. I właśnie to podobało mu się w Meg Wintrob - że pracowała na swoje utrzymanie, żeby postawić na swoim, nie dąsała się, tylko krzyczała. Chciałby, żeby poszła z nim do pokoju 69. Musiał jednak zadowolić się jakąś małąłatą z baru. Smakowała młodością, a w jego ulubionym motelowym pokoju panował totalny bałagan.

Graham czuł zapach swojego oddechu, który wcale nie był przyjemny. Wyjął z kieszeni marynarki blaszane pudełko miętówek (ukradł cały ich karton z Puffin Stop) i rozgryzł ze dwadzieścia naraz. Piekło, ale żuł dalej. Przełknął i zaczął się zastanawiać, dlaczego położył się do łóżka w garniturze.

Na korytarzu zapłakał jego pomiot. Pewnie chce jeść. Albo się wystraszyła, albo jest głupia. Isabelle przypominała mu Caitlin. Kobiety jego życia są jak kamienie przywiązane do nóg w sadzawce głębokiej na trzy metry.

Spojrzał na łóżko. Pomiot nie przestawał ryczeć, a ta jego bryła nie wstawała. Postawił stopy na zimnej posadzce. Spóźni się do pracy. Ta suka zapomniała go obudzić i zrobić mu kawę. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież jest wieczór, w dodatku niedzielny. Czy on normalnie śpi za dnia?

W lustrze nie zobaczył odbicia swojej twarzy, tylko jakąś sylwetkę. Zniknęła wysypka na szyi i piersi. Ustał też kaszel. Jak on złapał tego wirusa? Ach tak, ta dziewczyna z liceum, którą spotkał w barze kilka dni temu, nachyliła się, niby żeby go pocałować, ale zamiast tego go ugryzła! Nie pamiętał, co wydarzyło się potem. Jedynie to, że czuł głód.

Ale nic z tego i tak nie miało znaczenia. Ważna była tylko jego starannie ogolona twarz i dołek w brodzie, po którym kobiety lubiły wodzić smukłymi palcami. Nawet ta dziewczyna z pokoju 69. Jak ona miała na imię? Sheila? Laura? Dora? Flora? Nie potrafił sobie przypomnieć. Była jego pierwszym łupem.

Wziął łyk płynu do płukania ust Listerine. Wypluł i powąchał swój oddech - cuchnął. Otworzył kolejne pudełko miętówek.

Wejrzał przez okno. Ulice były puste. Nie paliły się nawet latarnie, co go ucieszyło, bo nienawidził światła. Radio grało łagodnie Strawińskiego. Muzykę jego żony. Zmienił stację. Trafił na wiadomości lokalne. Prezenter nawoływał: „Zamykajcie drzwi i okna. Nie wychodźcie nocą”.

Graham znowu spojrzął w lustro. Jego tupecik leżał na umywalce i postanowił, że już tam zostanie. Podobał mu się ten nowy wygląd. Z łysiną był bardziej elegancki. Zwykle spędzał w łazience całe godziny i nawet gdy Caitlin pukała, bo musiała się wysikać, nie otwierał drzwi, dopóki nie skończył. Kiedyś przyłapał tę idiotkę, jak robi kupę do słoika, bo toaleta na dole nie działała, a ona nie mogła już wytrzymać. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Potem otworzył drzwi. Czuł głód.

Bryła pod pościelą przypomniała mu o Meg Wintrob. To, że go odrzuciła, było jak drzazga pod paznokciem. Nieważne, dopóki nie zwróci się na to uwagi, a potem już niedające spokoju. Gdyby z nim poszła, nie musiałby znosić tego nerwowego chichotu dziewczicy. Gdyby z nim poszła, może zjedliby razem.

Zadzwoiła do niego jakieś pół roku temu i oznajmiła, że wszystko skończone. Tak jakby on sam nie zainteresował się już striptizerką z baru Lueifer's Delight Meg miała niezłe ciało i podobała mu się, ale była przechodzona. Za rok albo dwa obwisną jej cycki, a krocze zacznie śmierdzieć. Widywał coś takiego w swoim biurze u kobiet, które ociążały się z zamążpójściem. Zostawały humorzastymi wiceprezeskami, umawiały się na randki z facetami poznanymi przez Internet, a gdy kończyły czterdzieści pięć lat, zaczynały śmierdzieć.

Meg rzuciła go, a on tylko się uśmiechał i powiedział „Jasne, skarbie”, chociaż miał ochotę pociąć ją na kawałeczki. Czy ta suka nie zdawała sobie sprawy, że on robi jej łaskę? Udawał, że jest seksowna, chociaż miał w domu żonę z biustem rozmiaru 2D i promiennym uśmiechem.

Myślał o niej jeszcze długo. A gdy złapał infekcję, myślał jeszcze intensywniej. Miał dziwne wrażenie, że pstryknięto w nim jakiś włącznik i już nie mógł kazać jej odejść. Kiedy zamykał oczy, stała ze skrzyżowanymi ramionami, tak jakby nic, co mógł jej zrobić, żadna sztuczka z językiem, nie było dla niej wystarczająco dobre.

Kiedy kilka dni temu Caiffin, trzymając w jednej ręce dłoń Isabele, a w drugiej jabłko, które właśnie jadła, zaproponowała, że wymasuje mu plecy, coś w nim pękło. Już wtedy był chory, ale jeszcze nie został całkiem zainfekowany. Miał tylko kaszel, wysypkę i wypadło mu kilka kępek włosów. Jego ręce znalazły się w powietrzu, a potem na jej ciele. Kąsał raz za razem, aż się zmęczył. Potem mył dłonie i płukał usta perfumowanym mydłem, dopóki woda nie przestała barwić się na różowo. Następny przystanek stanowiła biblioteka. Wykorzystał cały swój urok. Ten szturm powinien być nie do odparcia. Tymczasem Meg Wintrob powiedziała „nie”.

Graham ruszył korytarzem. Bryła pod kołdrą zaczynała śmierdzieć, więc niech lepiej tam zostanie. Była czerwona i wciąż trochę wilgotna. Leniwa dziwka nawet tego nie posprzątała. Przeszedł obok pokoju Isabelle. Siedziała w łóżeczku, usta miała sine, twarz białą jak śnieg, oczy czarne. Czuła głód, ale nie wiedziała, jak go nasycić. To dziecko jest równie bezużyteczne, jak jego matka.

Zszedł po schodach, otworzył frontowe drzwi i wyjrzał w noc. W ciemnościach byli jeszcze inni. Ciała mieli długie i szczupłe, pełne wdzięku. Połyskiwali w promieniach księżyca. Węszyli od domu do domu, szukając ochłapów, które jeszcze pozostały. Graham, pamiętając o Meg Wintrob, wyszedł z domu na dwóch nogach, ale potem pobiegł na czworakach.

TO BYŁO PRZEDE WSZYSTKIM SMUTNE

Ronnie obudził się z drzemki. Był niedzielny wieczór, a on i Noreen siedzieli na kanapie. Przeszedł mu kaszel, jej też. Czuł się dobrze, chociaż nie do końca. Miał wrażenie, że jest najsilniejszy od czasów, kiedy w liceum był przechwytyjącym o najdłuższych rękach. Ale jednocześnie coś rozdzierało go w środku. Winił o to swoją dziewczynę. To ta dziwka mu to zrobiła. Miał ochotę rozszarpać jej gardło, a przynajmniej trochę nadgryźć.

W ciepłym domowym ognisku Ronniego i Noreen sprawy miały się tak jak zwykle. Oglądali powtórkę *Kocham kłopoty*, bo to ona trzymała pilota. W lodówce nie było jedzenia, w każdym razie niczego, co warto zjeść. Skończyło się mięso, więc on i Noreen podzielili się szczurem.

Ronniemu robiło się niedobrze na widok tego szczura, ale wciąż go jadł.

Teraz ciągle był głodny, niezależnie od tego, jak często jadł. Zapas trawki już się skończył, a marycha stanowiła jedyną rzecz, jaką cenił w tym swoim zasranym życiu. Co gorsza, jego dilerzy nie żyli, co oznaczało, że więcej trawy nie będzie.

Zmiana nastąpiła tego ranka. Oczy zrobiły mu się czarne. Pamiętał, jak dyszał i modlił się o coś, ale nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów. To miało coś wspólnego ze spokojem. Chyba prosił o spokój. A potem nie pamiętał już niczego, oprócz przebudzenia się na kanapie obok Noreen oglądającej *Kocham kłopoty*.

Noreen roześmiała się, bo starsza z dziewczyn Gilmore'a właśnie rzuciła jakąś dowcipną uwagę.

- Jesteście parą psich mordek - powiedział do ekranu, a te słowa zupełnie do niego nie pasowały.

Przed chorobą nigdy by nie powiedział czegoś tak głupiego.

Noreen odwróciła się i splunęła mu w twarz. Ślina wylądowała na jego ustach i spłynęła w dół. Nie zastanawiał się, po prostu działał. Zaczął ją dusić. Początkowo walczyła. Rzuciła się na plamoodpornej wersalce Jennifer Corwertible, ale potem jej twarz z białej stała się sina. Całe ciało zadygotało, jakby umierała, a Ronnie czuł, że jej nienawidzi. Że nienawidzi sam siebie, tego, czym się stał. Ale był taki głodny.

Puścił. Kiedy tylko złapała oddech, próbowała go uderzyć. Pulchna rączka zaciśnięta w piąstkę. Złapał ją za przedramię i ścisnął, aż pękło. Ale ona szybko zdrowiała. Nie mógł zrobić Noreen krzywdy, choćby nie wiem jak bardzo próbował, no, chyba żeby ją zabił.

- Jestem głodny. Nie chcę szczura - powiedział.

Pokiwiała głową.

- Pójdziemy do Kropli Rosy.

Wyszli z mieszkania. Ruszył do samochodu, ale Noreen nie poszła za nim.

- Niepotrzebny nam samochód - oznajmiła.

I miała rację.

Opadł na czworaki. Ciało trzymał nisko na ziemi, co było wygodne. W ten sposób łatwiej się łapie różne pełzające stworzenia. Głównie pająki. Wolał pająki od tego, na co miała apetyt Noreen.

Ruszył za nią szybko jak sarna. Ciemność była dobra. W ciemności jego oczy widziały najlepiej. Ze szczytu wzgórza sięgał wzrokiem aż do autostrady zatarasowanej samochodami.auta się nie poruszały. Jedne zjechały na pobocze, w innych skończyła się benzyna. Kierowcy zginęli tam, gdzie siedzieli. Czuł zapach ich ciała. Ktoś był bardzo leniwy i zostawił mnóstwo chrząstek.

Przez chwilę zastanawiał się, czy jest przeklęty.

Dotarli do Kropli Rosy. Drzwi zabito deskami, ale Ronnie widział światło sączące się przez szczeliny. Podważył gwoździe palcami. Drewno odeszło wraz z częścią jego skóry. Jednak zagoiła się, nim zaczął krwawić. Otworzył drzwi. T.J. Wainright siedział za barem całkiem sam. Pachniał słodko niczym pieczone prosię i był na haju. Kiedy Ronnie dostrzegł chemiczną czerwień w jego oczach, jęknął. Tak bardzo chciał zapalić trawkę. Ruszył do ataku, ale T.J. wyjął zza kontuaru spluwę i wycelował mu między oczy.

Ronnie szedł dalej. Chciał, żeby T.J. go zastrzelił. Już nie mógł znieść tego ciągłego głodu. Niech to się wreszcie skończy, dopóki jakaś jego część wciąż pozostaje człowiekiem.

- T.J., wpuść mnie, dobrze? - Głos Noreen rozbrzmiał echem a Ronnie usłyszał je nie tylko w uszach, ale i w myślach.

Barman podniósł wzrok i przez kilka sekund patrzył na spluwę, jakby wiedział, że robi coś głupiego, lecz nie potrafił się powstrzymać. Wreszcie odłożył broń na kontuar.

- W porządku, T.J. - powiedziała Noreen.

Ronniemu kręciło się w głowie już na sam dźwięk jej głosu. Nagle uświadomił sobie, że wirus w niej jest silniejszy niż w nim. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, jakby też zdała sobie z tego sprawę.

- Wszyscy musimy się napić. T.J., przepraszam za swojego chłopaka. Rozumiemy, że musisz tak robić. Naprawdę rozumiemy - powiedziała, a barman pokiwał głową.

Rzuciła się do przodu i Ronnie poczuł zapach strachu. Wainright nie walczył, nawet nie krzyknął. Noreen przesunęła się, robiąc miejsce dla Ronniego, żeby i on coś skubnął. Wyobraził sobie, że to kolejne pająki albo wiewiórka, i zaczął jeść. Kiedy skończyli, wydawało się, że T.J. Wainright nigdy nie istniał. Został tylko skalp i kilka kawałków kości.

Wkrótce stanę się taki sam jak Noreen, pomyślał Ronnie. Paznokcie mi odpadną, a skóra zgrubieje. Przestanę być Ronniem Koehlerem. Może nawet już nim nie jestem. Myślał o tym i znowu zapragnął nie żyć. Ale cholernie chciało mu się jeść.

Właśnie wtedy do baru weszła ona. Przerwa między zębami zniknęła, podobnie jak włosy. Przypomnił sobie prezent, który znalazł na wycieraczkę. Zostawił go tam, bo bał się, że Lois przyjdzie go szukać.

Widział niebieskie żyłki pod jej skórą. Urosła kilka centymetrów i chociaż nie chodziła już na dwóch nogach, wystawała ponad innych. W niej wirus był najsilniejszy, co wydawało się w pewien sposób zabawne, ale przede wszystkim smutne. Nie chciał jej takiej oglądać. Uświadomił sobie, że ją lubił. To też było smutne.

Za Lois stała ich co najmniej setka. Pewnie więcej.

Noreen podeszła do Lois na czworakach i ucałowała jej dłoń.

Przepraszam, Lois, powiedział Ronnie w myślach. Rozejrzał się po tłumie przybyłych, mając nadzieję, że dostrzeże jakąś przyjazną twarz. Ale w nich siedziało coś nikczemnego, coś, co zmieniało nawet sposób, w jaki patrzyli. Też to w sobie miał i chciało mu się płakać.

Lois podeszła do niego. Palec, na którym nosi się pierścionek, zniknął. Ronnie zastanowił się, ile razy musiała zjadać kikut, aby powstrzymać odrastanie.

Zaryzykował. Pocałował kikut.

Odsunęła się i rozpostarła ramiona. Wszyscy umilkli, ciekawi, co powie.

- Jest nas zbyt wielu - oznajmiła... - Nie ma już zwierząt ani ludzi. Wkrótce zabraknie nam jedzenia. Tych dwoje pożywiało się nierozsądnie, więc musimy uczynić z nich przykład.

To stało się bardzo szybko. Ronnie i Noreen trzymali się za ręce. Próbował uciekać, ale Noreen nie puściła jego dłoni. Otoczyli go. Żałował, że Lois nie zabiła go wcześniej, zanim stał się tym czymś i zamordował człowieka. Podłoga zaskrzypiała i pękła pod ciężarem atakujących.

Ronnie i Noreen wpadli do piwnicy. Spoglądało na nich morze bladych twarzy. Zarażeni zeskakiwali jeden po drugim i zaczęli jeść. Gdy umierał, znowu pożałował, że Lois nie zabiła go wcześniej. Teraz nie miał już duszy, która mogłaby ujść z ciała. W chwili, gdy wydawał ostatnie tchnienie, Noreen puściła jego dłoń.

33.

DOM W STYLU WIKTORIAŃSKIM

Kiedy Fenstad dotarł do domu i wysiadł z samochodu, Maddie podbiegła do niego, wołając:

- Tatusiu, tak się cieszę, że nic ci nie jest. Czy widziałeś Enrique? - zapytała.

Wpatrywała się w niego z nadzieją.

- Nie, nie widziałem go - odparł i uściśnął ją sztywno.

Meg pokuśtykała przez kuchnię. Zauważył, że teraz chodzi gorzej niż tuż po założeniu gipsu. Kostka się nie zrastała, bo Meg nie używała kul. Jeśli chce jeszcze kiedyś chodzić i nie kuleć, kość trzeba ponownie złamać i jeszcze raz złożyć. Ale poza nim w okolicy nie było nikogo, kto mógłby to zrobić. Skrzywił się na myśl o czymś podobnym. Albo o powrocie do szpitala po gips.

- Nie mogę się dodzwonić do Davida, żeby mu o tym powiedzieć, ale musimy się stąd wydostać - oznajmiła Meg.

Fenstad nie odpowiedział. Przyszła Maddie i cała trójka utworzyła teraz krąg. Nocną ciemność rozdarł przenikliwy dźwięk. Meg słyszała go już i nie podobał się jej. Zwierzęta zniknęły, więc co to za wycie dochodzi zza okna?

- Spakowałam nasze rzeczy. Pojedziemy do twoich rodziców, do Connecticut.

- Nie mamy benzyny - stwierdził Fenstad.

Meg przeglądała szuflady w kuchni. Cały dzień nie brała kodeiny, więc kostka bardzo jej dokuczała. Ból promieniował aż do pachwiny. Napęliła wodą kilka dzbanków i zaczęła wyciągać pojemniki ze spiżarki. Zupę z kukurydzy, ananas w plastrach, tuńczyk. W razie potrzeby można z tego przyrządzić smaczny posiłek.

- Przynies tę torbę, którą spakowałeś - zwróciła się do córki.

Maddie skinęła głową i wyszła z kuchni. Wyglądała, jakby od dzisiejszego ranka postarzała się o dziesięć lat. Meg bardzo jej współczuła, ale nie mogła się zgodzić, by jednak poszła szukać Enrique. Była pewna, że nawet jeśli chłopak jeszcze żyje, to jest zarażony.

Fenstad nie pomagał przy gromadzeniu zapasów. Jęknął, jakby miał się rozpłakać, co nie wróżyło niczego dobrego.

- Te rygle to był dobry pomysł - powiedziała.

Nawet nie pokiwał głową.

- Co się stało? Zabrałeś Lilę ze szpitala? Czy ona nie powinna jechać z nami?

- Nic się nie stało - odparł. - Wszystko w porządku.

- Wątpię... Tak czy owak, czas się zbierać.

- Nie możemy wyjechać - oznajmił.

- Chryste, Fenstad, rozejrzyj się! Musimy się stąd wydostać! - krzyknęła.

Coś uwięzło jej w gardle, starała się nie rozpłakać.

- Nie mogę tutaj zostać - dodała ciszej.
- Ten wirus, Meg, jest wszędzie. Wyjazd nic nie da.

Oparła się o marmurowy blat, aby odciążyć nogę.

- Być może, ale wszystko zaczęło się tutaj. Będziemy bezpieczniejsi, jak się stąd wydostaniemy.

- Nie histeryzuj - odparł. - Powinnaś się uspokoić. Najgorsze, co możemy teraz zrobić, to zdenerwować Maddie i wyjechać tak, jak stoimy, bez żadnego planu.

Zauważyła, że Fenstad mówi jakoś dziwnie. Każde słowo wymawiał bardzo wyraźnie i jakby z emfazą.

- Co z tobą nie tak? - spytała.

Patrzył na nią przez chwilę, wreszcie skrzywił się ze złością.

- Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że nie zdołamy przed nimi uciec? Kiedy tylko stąd wyjdziemy, zwłaszcza nocą, oni... oni nas pożrą.

Do tej pory miała nadzieję, że te wszystkie plotki okażą się fałszywe. Że Fenstad powie jej, że to wszystko da się racjonalnie wytłumaczyć. Teraz zrozumiała, że tak się nie stanie.

Fenstad zaczął się śmiać. To był pusty śmiech, jakby prawdziwy Fenstad już nie istniał.

- Nie mamy benzyny - powtórzył. - Myślisz, że dojdiesz do ...Connecticut z tą złamaną kostką? A może weźmiemy kilka spływów z komisariatu? Gliniarze nie będą ich potrzebować, bo wszyscy nie żyją. Potem pójdziemy do Connecticut, a jeśli się okaże, że moi rodzice są zarażeni, to ich zastrzelimy! Świetny plan! Meg, jesteś po prostu genialna!

Co za świr, pomyślała w pierwszej chwili. Ale potem uznała, że Fenstad ma rację. Podczas próby ucieczki mogli zostać zabici albo, co gorsza, zarażeni. Kiedy dziś rano powiedziała Maddie, że wyjeżdżają, uznała, że Fenstad się o wszystko zatroszczy. Ona wyda polecenia, a mąż je wykona. Wsadzi ich do samochodu i dowiezie bezpiecznie do domu swoich rodziców tylko dzięki sile woli i sprytowi. Ale nic takiego nie miało się wydarzyć.

Pokuśtykała w stronę męża, ślizgając się na brudnej podłodze. Nie sprzątała tu od poniedziałku i kuchnia powoli zmieniała się w chlew.

- To co mamy zrobić? - spytała.
- Czy chociaż raz mogłabyś użyć tych cholernych kul? - warknął.
- Następnym razem je wezmę - powiedziała, nie przestając kuśtykać.

Poczuła ostry zapach jego potu. Lubiła go, ale uświadomiła sobie, że Fenstad od czterech dni nosi tę samą koszulę. Dziwne, bo zawsze pamiętała, żeby na półkach w komodzie kłaść tylko czyste rzeczy.

- I weź kodeinę - dodał. - Nie mogę patrzeć, jak się pocisz.
- Wezmę - obiecała i oparła mu głowę na ramieniu.

Zesztywniał na chwilę, a potem ją objął. Oczy zaszyły jej łzami.

- Boję się - wyznała, tuląc się do niego.

Oparł brodę na szczycie jej głowy i zaczerpnął powietrza. Stali tak dłuższą chwilę. Meg zdawała sobie sprawę, że Fenstad nie zachowywał się jak mężczyzna, którego poślubiła. Mężczyzna, którego poślubiła, nigdy nie powiedziałby choćby słowa w złości. Nie powiedziałby nawet słowa pełnego złości. Ale tak dobrze było spoczywać w jego ramionach. Wreszcie trochę odpocząć.

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła - powiedziała, odsuwając się i patrząc mu w oczy.

Były zaczerwienione. Pokiwał głową, a ona zastanowiła się, dlaczego przez ostatnie lata dryfowali tak daleko od siebie, skoro wciąż bardzo się kochają.

- Powiedz mi, co się stało w szpitalu. Powiedz mi, co widziałeś.

Próbowała do niego dotrzeć, rozbić jego skorupę. To było straszne, bo wcale nie miała pewności, czy chce ją rozbić. Czy chce wiedzieć, jak wygląda Fenstad po obaleniu wszystkich swoich murów.

- Powiedz mi - powtórzyła.

Po policzku spłynęła mu łza i właśnie ta łza sprawiła, że całe ciało Meg zaczęło wibrować. Musiało być bardzo źle, pomyślała.

- Ten wirus przenika w głąb umysłu. Wie o wszystkim, co czyni cię słabym. Wie o twoim ojcu. O mnie. Meg, ja uderzyłem kobietę. Uderzyłem swoją pacjentkę. Myślę, że... że mam załamanie ner...

Przerwał mu głośny huk w holu.

Meg zanosła się płaczem. Nie mogła się powstrzymać. Słyszała, że nocami po mieście krążą szabrownicy. Coś gorszego od szabrowników... Te kości na trawniku.

Wyszli do holu. Ktoś rozbił witrażowe okno. Na perskim dywanie leżał spory kawałek dachówki. Fenstad pochylił się i przyglądał mu się dłuższą chwilę.

- Co się stało? - zawołała Maddie, zbiegając po schodach.

- Nie wiemy - odparła Meg. - Wracaj na górę. Zamknij okna i zaciągnij zasłony - poleciła.

- Mogę jakoś pomóc? - spytała Maddie.

- Tak, wracając do swojego pokoju.

Maddie skrzywiła się, ale nie protestowała.

- Będę tam, gdybyście mnie potrzebowali - oznajmiła i zaczęła się wspinać po schodach.

Fenstad nie podnosił wzroku znad dachówki.

- Skąd oni wiedzieli o tym owczarku niemieckim? - zapytał. - Powiedziałaś im?

- O owczarku niemieckim? - Meg przełknęła ślinę i nagle uświadomiła sobie, co jej mąż zamierzał powiedzieć: Mam załamanie nerwowe.

Zanim zdołała uporać się z tą myślą, zabrzmiał dzwonek do drzwi. Fenstad odwrócił się niczym robot.

- Nie! - krzyknęła, ale jej nie posłuchał.

Otworzył.

Graham Nero uśmiechał się szeroko, oczy miał czarne. Nawet z daleka widziała w nich swoje odbicie.

- Mogę wejść? - zapytał grzecznie, chociaż stał na czworakach, jak pies.

- Dobry Boże - wyszeptała Meg.

Fenstad przeniósł spojrzenie z niej na Grahama. Cokolwiek pomyślał, nie chciała o tym wiedzieć. Potem zrobił coś głupiego. Z dachówką w dłoni wyszedł mu naprzeciw.

- Czego chcesz? - spytał.

Graham wyszczerzył zęby. Ślinił się i tylko jego twarz dawało się jeszcze rozpoznać. Reszta była blada i bezwłosa.

- Twoja żona zaprosiła mnie tutaj. Powiedziała mi, żebym zabił tamtego psa. Uciekniemy razem.

Fenstad rzucił się do ataku. Coś błysnęło tak szybko, że ledwie to dostrzegła. Dopiero po chwili domyśliła się, co to było. Odłamek dachówki. Fenstad zaskoczył Grahama i wbił mu go w pierś. Nero wrzasnął, a Fenstad przekreślił dachówkę, wciskając ją głębiej. Meg chciała zamknąć oczy, ale wiedziała, że musi na to patrzeć: Fenstad uśmiechał się szeroko, a Graham pełznął z trudem przez trawnik. Fenstad wyjął dachówkę z jego piersi i wbił w szyję. Potem wycofał, znowu wbił i uderzał tak raz za razem.

Meg nie zamykała oczu. To był jej mąż, musiała patrzeć.

- Przestań - powiedziała wreszcie.

Nie przejmowała się Grahamem ani nawet ich bezpieczeństwem. Chciała tylko, żeby Fenstad przestał. Żeby ten jego uśmiech zniknął. Ale Fenstad nadal dźgał, aż twarz Grahama stała się krwawą miazgą.

- Przestań - szeptała Meg. - Proszę, przestań wreszcie.

Poczuła, że ktoś chwyta ją za rękę. Dłoń była znajoma, więc ścisnęła ją odruchowo. Maddie. Płakała, chociaż chciała być silna dla swojej córki. Jeszcze nigdy nie czuła się taka smutna. Nigdy nie sądziła, że w jej mężu kryje się tyle agresji i że dopuści się przemocy z taką radością.

Fenstad nie przestawał uderzać. Gdy dachówka rozpadła się na kawałki, bił pięściami. Kiedy wreszcie przestał, koszulę i twarz miał całe czerwone od krwi.

Podszedł do Meg i pchnął ją. Tak mocno, że upadła na dywan. Trzasnęła jej kostka. Ból był tak silny, że na chwilę straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, Fenstad stał przy jej stopach, a Maddie trzymała ją za rękę i ciągnęła w stronę schodów.

Fenstad podszedł do drzwi, zamknął je i zasunął zasuwę, zamykając wszystkich w środku.

34.

POKÓJ 69

Maddie ciągnęła matkę za ramiona, a z każdym pociągnięciem Meg jęczała z bólu.

- Przestań! - zawołała wreszcie.

Dziewczyna puściła i przykucnęła obok niej.

Fenstad wyjął z kieszeni buteleczkę, otworzył i wrzucił do ust kilka tabletek. Meg patrzyła na niego.

- W porządku - wymamrotał i ruszył do kuchni.

Meg podniosła wzrok na córkę.

- Uciekaj! - wyszeptała, ale Maddie pokręciła głową.

- Nie, mam. Nie zostawię cię.

Fenstad wrócił z butelką wódki Grey Goose. Polał sobie ręce i twarz, a resztą ochlapał żonę i córkę.

- Tato, przestań! - krzyknęła Maddie, ale on nie reagował.

Słodki Jezu, chce nas podpalić, pomyślała Meg.

Rzucił butelkę i wyciągnął z kieszeni odłamek dachówki. Zbliżył go do niej i Meg pomyślała: Więc o to ci chodzi.

- Madeline, do pokoju, szybko! - krzyknęła.

Maddie zasłoniła matkę.

- Nie, tato! Nie rób tego! On nie żyje! To już koniec! Nie!

Fenstad się zawahał. Twarz miał czerwoną z wysiłku i ciężko dyszał. Uniósł rękę, w której trzymał dachówkę.

- Nie! - wrzasnęła Maddie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w córkę. Meg czuła przejmujący ból w miejscu, w którym Maddie żyła przez dziewięć miesięcy: w swojej macicy. Uciekaj, Maddie, uciekaj! - pomyślała, ale nie chciała tego mówić, Nie chciała sprowokować go dźwiękiem swojego głosu.

Coś się zmieniło, tak jakby trochę się rozluźnił. Upuścił dachówkę.

- Alkohol to pewnie zabije - powiedział i zawrócił do kuchni.

Maddie płakała, a Meg głaskała ją po włosach.

- Szybko, kochanie, pomóż mi wejść po schodach - wyszeptała.

Dziewczyna skinęła głową. Razem, krok po kroku, dotarły na piętro. Meg się nie podparła, córka praktycznie ją niosła.

- Do mojego pokoju - poleciła.

Nie wiedziała, dlaczego tak robi, ale wydawało się to równie dobrym pomysłem, jak każdy inny.

- W łazience jest zestaw do pierwszej pomocy. Druga szuflada, za ręcznikami.

Maddie ruszyła do łazienki, a Meg otworzyła torbę, którą spakowała i opróżniła zawartość bocznej kieszeni. Kolczyki, kilka naszyjników, diamentowe spinki. O Boże, nigdy nie zatroszczyli się o kupno jakiejś kasetki - a to wszystko razem było warte jakieś dwadzieścia tysięcy. Wsunęła biżuterię do jednej z pasiastych podkolanówek.

- Podejdz tu - powiedziała, kiedy Maddie wróciła z zestawem.

Dziewczyna podeszła.

- Bardzo cię boli? - spytała.

- Nie - odparła Meg, chociaż czuła, że kość w stopie nie jest już połączona z resztą nogi.

Pociągnęła za dekolt koszulki córki i wcisnęła za bawełniany stanik skarpetkę wypchaną kosztownościami.

- Nie - wyszeptała Maddie.

W jej oczach pojawiły się łzy i zaczęła się trząść. Na dole Fenstad łomotał w drzwi.

Co on, do cholery, robi?

- Tak - powiedziała Meg - Chcę, żebyś jutro rano... O cholera, ty nie umiesz prowadzić. Trudno. Chcę, żebyś pojechała na rowerze i złapała jakiegoś stopa do domu swoich dziadków w Wilton. Ja zostanę z ojcem, a kiedy będzie już mógł podróżować, dołączymy do ciebie.

Maddie stała sztywno, jakby skarpeta, którą dała jej matka, stanowiła brzemię.

- Ja tego nie chcę - wyszeptała. - To jest twoje!

Meg chwyciła ją za ramiona.

- Może będziesz musiała to sprzedać. Nie przejmuj się. Ja tego nie potrzebuję.

Maddie szlochała. To był cichy szloch pozbawiony nadziei. Meg ujęła jej podbródek i spojrzała na córkę.

- Masz tylko jedno zadanie, słyszysz? Powiedz, że mnie słuchasz.

Dziewczyna skinęła głową.

- Powiedz to.

- Słucham cię - wyszeptała Maddie.

- Masz przeżyć, nieważne w jaki sposób. Niezależnie od tego, co się stanie ze mną albo tatą, ty musisz przeżyć. Słyszysz mnie?

Maddie przytaknęła.

- Powtórz to.

Maddie odetchnęła gwałtownie.

- Mamo - błagała.

- Powtórz - naciskała Meg.

- Muszę przeżyć.

Meg pocałowała ją w czoło.

- Grzeczna dziewczynka. Teraz się upewnij, że masz wszystko, czego ci trzeba. Nie pakuj dużo rzeczy. Weź ciepłą kurtkę i zapasowe buty. I nie rozmawiaj z obcymi. Wiem, jak to lubisz robić. Nawet jeśli wyglądają na miłych, to im nie ufaj. A jeżeli ktoś będzie chciał uprawiać z tobą seks, nie wahaj się go kopnąć poniżej pasa. Mężczyźni właśnie po to mają te rzeczy, żebyśmy my miały jakąś szansę w walce.

Maddie się nie poruszyła.

- Idź - powiedziała Meg. - Już.

Dziewczyna pochyliła się i przycisnęła czoło do piersi matki.

- Nie bój się - szeptła Meg.

Starła się nie myśleć o swojej roześmianej Maddie, całkiem samej na ciemnej drodze pełnej kości. Starła się nie myśleć o tej słodkiej, chowanej pod kloszem dziewczynie która nigdzie nie czuła się swojsko, wyjąwszy ten jeden raz na letniej wycieczce do Paryża z grupą bogatych dzieciaków.

- Nic ci nie będzie. Obiecuję. A teraz się pakuj.

Maddie wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale gdy dostrzegła, że matka jest wycieńczona, tylko pokiwała głową.

- Kocham cię, mamo.

Meg pocałowała ją w kącik oka.

- Wiem. Ja ciebie też. A teraz się pośpiesz.

Kiedy tylko Maddie wyszła, oparła się o łóżko. Fenstad złamał jej kostkę. Znowu się pocila. Całe plecy koszuli miała mokre. Zaciśnęła powieki, starając się nie płakać. I właśnie wtedy usłyszała wrzask. Krzyczała Maddie, a dźwięk mroził krew w żyłach. Pokuśtykała tak szybko, jak mogła, nie zważając na przeszywający ból. Z biurka zabrała nożyczki, na wypadek gdyby musiała ich użyć przeciwko jakiemuś intruzowi albo własnemu mężowi.

To, co zobaczyła, oszołomiło ją na moment. Maddie szarpała się na łóżku, a Fenstad ją trzymał. Przeguby przywiązał do wezglowia poszewkami od poduszek. Meg ogarnęła taka furia, że oczy przysłoniła jej czerwona mgła.

- To dla jej dobra - wyjaśnił.

Trzęsła się ze złości, ale starała się mówić spokojnie.

- Fenstad, właśnie przywiązałeś swoją osiemnastoletnią córkę do łóżka.

Twarz miał bez wyrazu. To było gorsze od największego chłodu, jaki kiedykolwiek na niej widziała. Wyglądał prawie tak, jakby nie żył.

- Jeśli tu zostaniemy, będziemy bezpieczni - mówił. - A ja ją znam. Ona chce uciec i zobaczyć się ze swoim chłopakiem.

Przecisnął się obok żony i ruszył korytarzem. Meg uśmiechnęła się do Maddie, by jej dodać otuchy, a potem ruszyła za mężem do sypialni.

- Ty chyba oszalałeś - powiedziała.

Chwycił ją w pasie. Nie szarpała się. Za bardzo bolała ją kostka. Upuściła nożyczki. Nawet teraz nie była gotowa ich użyć. Pchnął ją na łóżko. Łupnęła głową o ramę. Przygwoździł ją do materaca i przywiązał obie ręce do ramy, używając kawałków podartego prześcieradła. Zaciągnął węzły tak mocno, że nie mogła nawet zaciśnąć pięści.

- Fenstad, przestań - mówiła. - Musimy się stąd wydostać.

Milczał. Sprawdzał, czy więzy na nadgarstkach dobrze trzymają, i przywiązał do łóżka jej prawą kostkę. Przynajmniej nie tę złamaną. Wiedziała, że powinna czuć przerażenie, ale przede wszystkim była wściekła.

- Ty kretynie! Puść mnie!

Pochylił głowę. Krew na jego twarzy i włosach zaczynała już schnąć.

- Pokój 69. Mogę się założyć, że uważałeś, że to było zabawne - powiedział, a jej serce zatrzepotało. - Wiesz, jak się dowiedziałem, prawda? Poszedłem za tobą. Patrzyłem.

Wychodząc, zamknął drzwi i wszystko ogarnęła ciemność.

PIWNICA

Danny jechał z Bedford w stronę Corpus Christi. Było już za późno, żeby opuszczać miasto, a on musiał znaleźć schronienie. Słyszał wycie i wiedział, że to nie wiatr. Deszcz padał tak gęsto, że widoczność nie przekraczała kilku metrów. Upewnił się, że wszystkie drzwiczki ma pozamykane.

Zaparkował pod domem. Teraz, kiedy już poznał ich kryjówkę, będą chcieli go dopaść. Nadchodzili, czuł to. Ciekło mu z nosa przez ten cały płacz, ale się nie przejmował. Nie został już nikt żywy, kto mógłby to zobaczyć.

Wtedy w świetle reflektorów zobaczył Fenstada Wintroba. Stał po drugiej stronie ulicy i przybijał do wykuszowego okna swojego domu blat kuchennego stołu. Danny aż krzyknął z radości. Nie było czasu bawić się w uprzejmości, wjechał prosto na trawnik Wintrobów i opuścił szybę.

- Hej! - krzyknął.

Fenstad się odwrócił. Twarz miał zakrwawioną, trzymał w zębach kilka długich gwoździ, a wiertarkę skierował w niebo, jak pistolet. Nie wyglądał na zaskoczonego ani nawet zdziwionego.

Wszędzie leżały zwierzęce kości. Więcej niż na jakimkolwiek innym trawniku w mieście. Ale może to dlatego, że Fenstad znalazł Lois Larkin i ona go do czegoś wyznaczyła.

- Nic panu nie jest? - zapytał Danny.

Fenstad wzruszył ramionami. Nie miał butów. Chłopiec przyjrzał mu się uważniej i uznał, że nie jest chory ani odmieniony. Wciąż widział białka jego oczu.

- Jutro wyjeżdżam z miasta! - zawołał, przekrzykując deszcz.

Miał nadzieję, że Fenstad wypluje gwoździe i powie: „Super, ja też. Wejź, pogadaj z moją stukniętą córką i zjedz domową lasagne. Adoptuję cię. Rano wszyscy wyjeżdżamy”.

Nie powiedział tego jednak. Podeszedł do samochodu i uśmiechnął się, jakby trwał całkiem zwyczajny dzień.

- My zostajemy - powiedział. A Moja żona i córka są chore, więc muszę pobawić się w doktora. Może następnym razem!

Danny patrzył na niego dłuższą chwilę, dopóki nie nabrał pewności. Fenstad Wintrob zwariował.

Nie kłopotał się mówieniem „do widzenia”. Wrzucił wsteczny i zaparkował pod swoim garażem. Nie chciał tego, ale żadne inne miejsce nie było bezpieczne. Wszedł do środka i zamknął drzwi na zasuwę, chociaż ten dom był grobowcem.

Wziął resztę nabojów, załadował pistolet, a potem zszedł do piwnicy. Tam czekał na to, co nieuniknione. Cekał, aż nadejdą zarażeni.

36.

PRZYSPIESZENIE

Istota znana kiedyś jako Lois Larkin stanęła nad dziurą w podłodze Kropli Rosy i spojrzała na szczątki Ronniego i Noreen. Dzisiaj nauczyła wirusa czegoś nowego.

W jego obecności upadały cywilizacje: Nowa Gwinea, Sumer, Akad, gdzie ostatni ludzie biczowali się z głodu, aż wreszcie zaczęli jeść ciała zmarłych i pić wodę z oceanu. Nie rozumiał jednak, że wraz ze śmiercią człowieka ginął też on sam. Musieli więc utrzymywać równowagę. Zbudują twierdze na wybrzeżach, a wewnątrz kraju pozostawią ludziom, jak zwierzętom pasącym się w klatkach. Ci, którzy bezprawnie przekroczą granicę albo zjedzą więcej, niż im się należy, zostaną powieszani w blasku słońca i pozostawieni na zatracenie.

W całym kraju upadały kolejne miasta. Widziała je w umyśle: Nowy Jork, Boston, Austin, Sioux City, Salt Lake City. Potrafiła zobaczyć każdą myśl, każde ostatnie westchnienie, każdy histeryczny chichot, każdy zachód słońca z ostatnich dziesięciu tysięcy lat. Wkrótce zrobi to, o czym marzyła przez całe życie. Opuści Corpus Christi i uda się na zachód. Ale najpierw musi dopaść ludzi ze swojego miasta, aż nikt, kto znał dawną Lois Larkin, nie zostanie i przestanie istnieć nawet sama pamięć o niej.

Wskazała szczątki Ronniego i Noreen.

- One też - rozkazała, a zarazeni posłuchali.

Wkrótce zniknęły nawet skalpy.

37.

MAD-E-LINE!

Maddie leżała na łóżku. Minęło już kilka godzin, odkąd ojciec ją tutaj zostawił. Najpierw wyplakiwała oczy, a potem, gdy zabrakło jej łez, zwyczajnie się wściekła. Przywiązana do łóżka! Jak ma się bronić, bronić mamy albo odnaleźć Enrique, skoro jest przywiązana do tego głupiego łóżka? Skąd ojciec wziął taki pomysł? Z filmu porno?

Większość ludzi, nawet jej brat David, zdumiałaby się tym, co zrobił, ale ona nie. Zawsze wiedziała, że ojciec to czubek.

Nie krzyczała tak jak matka („Fenstad! Wracaj! Daj mi wyjaśnić! Co ty WYRABIASZ?”), kiedy na dole wbijał gwoździe w ściany. Krzyk tylko go denerwował, a kiedy się denerwował, robił się dziwny. Śmieszne, że przez te wszystkie lata mama tego nie zauważyła.

Maddie próbowała się uwolnić. Może wyłamie sobie kciuki, tak jak Houdini. Mocno pociągnęła z lewej strony, usiłując przeciągnąć dłoń przez pętlę, ale zawiązano ją za ciasno. Nawet gdyby udało jej się złamać kość, i tak nie dałaby rady wyciągnąć dłoni.

Wtedy zobaczyła twarz w oknie. Tata pozabijał deskami wszystkie okna na parterze, ale zapomniał, że jeżeli ktoś chciał wejść do środka, mógł się wspinać po ganku i włamać do sypialni na piętrze. Było ciemno, widziała tylko jego zmienione czarne oczy. Przesuwał dłonią po szybie, jakby próbował ją przez nią dotknąć. Oczy Madeline zaszyły łzami. Enrique. Nie wyglądał jak chłopiec, którego kochała, bo gdy na nią patrzył, nie uśmiechał się.

- Mad-e-line - wyszeptał, jakby nie chciał, żeby słyszeli go jej rodzice.

Podniósł okno i wszedł do środka. Chciała krzyknąć, ale bała się o niego. Widziała, co jej tata zrobił z Grahamem Nero. Co gorsza, gdyby krzyknęła, ojciec mógłby się zdenerwować.

- Mad-e-line, tęskniłem za tobą - powiedział Enrique, ale wiedziała, że to nieprawda.

Miał ściągnięte brwi, jakby był zły. Poruszał się niczym pająk, zwinnie, lecz zarazem obrzydliwie.

- Odejdź - odparła. - Już nie jesteś taki sam.

Wystarczyło spojrzeć, aby dostrzec, że chłopiec, którego kochała, odszedł. Coś, co zajęło jego miejsce, stanowiło obelgę dla pamięci o nim. Nienawidziła tego czegoś.

- Ciii - szepnęła.

W jego czarnych oczach widziała własne odbicie. Łzy spływały jej po policzkach, jakby się w nich topiła. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle.

- Mad-e-line - powtórzył.

Czuła go w swoim umyśle. Uśmiechnął się, jakby ją kochał, wiedziała jednak, że to nie jest prawda. Może nigdy nie była.

Próbowała oderwać spojrzenie, ale nie potrafiła. Nie było ucieczki od jego oczu. Widziała go w swoim łóżku, jak mocno ją tuli. Tylko tego chciał. Chciał trzymać ją w objęciach ostatni raz. Mogłaby mu na to pozwolić. Też tego pragnęła.

- Przestań, proszę - zdołała wyszeptać.

Głos miała ochryply, ledwie go słyszała.

- Już nigdy cię nie opuszczę - powiedział Enrique, zasłaniając jej usta, żeby nie mogła krzyknąć. Miał zimną dłoń i przycisnął ją tak mocno, że aż zębami pokaleczyła sobie wargi, - Możemy być razem. Możesz żyć we mnie, a ja cię w sobie poniosę.

Za nim wisiała reprodukcja obrazu Rockwella *Wolność od strachu*. Dwoje rodziców całowało dwoje swoich dzieci na dobranoc. Maddie tonęła i również chciała pocałunku na dobranoc. Chciała go od Enrique.

Przebył całą tę drogę, aby ją odnaleźć, mimo że się odmienił. Uczynił tak, bo nie chciał się z nią rozstawać. Za bardzo ją kochał.

Chciała w to wierzyć, ale знаła prawdę. Został zainfekowany i nie kochał nikogo; to coś, co ich ze sobą związało, nie miało nic wspólnego z porwysem serca. To był instynkt i głos.

Do pokoju wśliznęło się jeszcze jedno małe ciało. Jego młodszy brat Thomas. Poruszał się jak robak.

Jej odbicie utonęło w oczach Enrique. Zamiast niekończącego się żalu widziała tam wieczny spokój. Zamiast miłości był tam głód.

Polizał jej usta chłodnym językiem i nic już nie miało znaczenia. Nie przejmowała się rodzicami, którzy, gdyby nie ona, rozszarpałiby się na strzępy. Nie przejmowała się Davidem, którego pierwszy chłopak, jeszcze w szkole, okazał się podły, a on nikomu prócz Maddie nie potrafił się zalić, bo wstydził się, że ludzie, których kocha, nie są kobietami. Nie przejmowała się końcem świata ani nawet sobą.

Enrique położył dłoń na jej piersi. Wydawało się nie w porządku, że ta cuchnąca istota ma twarz Enrique, chociaż teraz Maddie nie potrafiła sobie przypomnieć dlaczego.

- Mad-e-line - powiedział. - Jest nas zbyt wielu i nie możemy już uczynić nikogo nowego.

Zadrzała, bo uświadomiła sobie, że on zamierza ją zabić. Nie lubił jej nawet na tyle, aby ją przemienić. Nagle wpadła we wściekłość. Wypchnęła nogi, kopiąc go z całej siły.

- Tato! - wrzasnęła. - Ratunku!

Enrique się zachwiał.

- Ty rozwydrzona suko - syknął i pochylił się.

Przez ułamek sekundy myślała, że chce ją pocałować, ale jego zęby zatoneły w jej barku. Ból był okropny, poczuła też chłód. Coś czarnego i bardzo starego wpełzło do rany niczym smoła i podążyło z krwią w głąb ciała. Czuła, jak dociera do klatki piersiowej, serca, płuc, wątroby. Czuła to w nogach, ramionach, uszach, aż wreszcie wszystkim, co pozostało z Maddie Wintrob, była mała iskierka wyglądająca zza oczu potwora.

Drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie i ojciec wpadł do środka. Najpierw zobaczył Thomasa, który czołgał się po podłodze. Walnął go w tył głowy, uniósł zakrwawiony młotek i ruszył na Enrique. Uśmiechnęła się, bo jej maleńka cząsteczka krzyczała. Została uwięziona w kłębie głodnego mięsa, a to też wydawało się zabawne.

Zanim ojciec dopadł Enrique, ten uciekł przez okno. Maddie potrafiła teraz czytać jego myśli i wiedziała, że wróci. Zaznaczył swoje terytorium. Skoro umarł jego brat, ona miała żyć.

Fenstad ścisnął lepkie ramię córki, wylał na ranę coś, co syczało, a potem owinął ślad po ugryzieniu gazą i zalepił plastrem. Maddie chciała zerwać opatrunek, żeby krew mogła wypłynąć z ciała, a wraz z nią wirus.

Wyobraziła sobie, że wyskakuje przez okno. Wtedy albo jakimś cudem by pofrunęła, albo spadła na ziemię. Próbowwała się podnieść. ale ojciec ją przytrzymywał.

- Nie żyję - powiedziała, co oznaczało: Osoba, którą jestem, umiera.

- To on nie będzie żył - odparł ojciec. - Nie pozwolę mu cię skrzywdzić.

Wszystko, czym się przejmowała, umykało. Ludzie, których kochała, świat, w którym mieszkała, teraźniejszość i przyszłość. Wyślizgiwało jej się przez palce do głębokiego jeziora. Zabierało ze sobą Maddie Wintrob, a ona tonęła. Patrzyła na to z więzienia swoich oczu, a podła istota w niej zachłysnęła się, zamrugła i wreszcie wychynęła pa powierzchnię.

Uśmiechała się do mężczyzny, który przywiązał ją do łóżka.

- Kochanie? - pytał. - Słyszysz mnie?

Trzymał córkę w ramionach i czuła bicie jego serca,

- Jestem głodna - oznajmiła.

Ramię przestało krwawić, on zaś przytrzymywał opatrunek. Dobrze było to leczenie.

- Możesz potrzebować transfuzji - powiedział. - Oddam ci swoją krew i zobaczymy, czy to pomoże.

Wyjrzała z klatki i poczuła się bardzo smutna, ale już nie wiedziała dlaczego.

- Czujesz to, Fennie? - zapytała. - Myślisz, że to guz, czy po prostu cieszysz się na mój widok?

MOJE SERCE PRZESTAŁO BICĆ,
LECZ JA WCIAŻ TU JESTEM

Fenstad odpiłował nogi od nocnego stolika i białym zabił okno sypialni Maddie.

- Nie skrzywdziłbyś swojej kochanej chorej matki, prawda, Fennie? - spytała.

Chwycił leżący na podłodze zwitek bawełny, który okazał się majtkami Maddie, i wepchnął jej do ust. Obwiązał knebel czerwoną bandaną. Nastąpiła błoga cisza.

Przysunął sobie krzesło i usiadł. Poklepywał wnętrze dłoni obuchem młotka, a Maddie na niego patrzyła. Jego córka została zarażona. Żona też. Był ostatnim zdrowym człowiekiem na Ziemi.

Jasne, ci pozostali mówili, że nie są zarażeni, ale on wiedział lepiej. Na przykład Danny Walker. Dzisiaj, gdy tylko zaszło słońce, wjechał na jego piękny zielony trawnik, udając rozpacz zagubionego szczeniaczka. Fenstad prawie dał się nabrać. Zrobiło mu się żal chłopca, całkiem samego, i przez chwilę wyobrażał sobie, że jego nadejście to największe szczęście, o jakim mógł marzyć, bo we dwóch dadzą radę przenieść Meg przez zablokowane drogi i zdołają uciec. Uświadomił sobie jednak, że pomiot Millera Walkera nie umiałby ronić prawdziwych łez.

Uśmiechał się do Danny'ego, ale trzymał wiertarkę w pogotowiu. Chłopiec jest zarażony. Tylko czekał, żeby zniszczyć jego wiktoriański dom. Fenstad uniósł wiertarkę, gdy tylko dzieciak wrzucił wsteczny bieg.

Krew Thomasa Vargasa na podłodze cuchnęła. Fenstad podrapał się po głowie, bo swędziało go od samego patrzenia na ten bałagan.

Wydusił tabletkę oxycontin i zmiażdżył w zębach. Przy takim tempie lek skończy mu się do wschodu słońca i będzie musiał znowu zajrzeć do szpitala. Pewnie przez ten oxycontin nie myślał' całkiem jasno. Inaczej pamiętałby o zablokowaniu okna w pokoju córki. Ale i tak czuł satysfakcję. W okolicznościach, jakie nastąpiły, całkiem nieźle sobie radził.

Maddie wierzgnęła na łóżku. Martwy chłopiec na podłodze wyglądał jak zgnieciony robak. A co, jeśli on nie jest martwy? Co, jeśli jego krwawiący mózg ozdrowieje, a gdy Fenstad odwróci się plecami, szczeniak wstanie i zaatakuje jego córkę?

- Fenstad - zawołała Meg z korytarza.

Przestała wrzeszczeć, teraz jej głos brzmiał wręcz pokornie.

Miał ochotę na kawę, ale nie wiedział, jak ją zrobić. Zresztą i tak miał zdrętwiałe dziąsła. Podobnie język i gardło. Zaczął nucić *God Only Knows*, bo to była jedyna piosenka, jaką potrafił sobie przypomnieć.

- Co się dzieje? Maddie, nic ci nie jest? Fenstad, proszę, odpowiedz - wołała Meg, dopóki nie ochrypla.

Zaraz zaśnie. Uznał, że tak będzie najlepiej. Nie chciał jej martwić wieścią, że Maddie została ukąszona. Zawsze dźwigała za dużo na swoich barkach, a kiedy nie mogła już podtrzymać bliskich, wszyscy upadli.

Co gorsza, zdradziła go. Kiedy proponowała, żeby opuścili Corpus Christi, musiała wiedzieć, że on nigdy nie spałby pod dachem Sary Wintrob. To był tylko pretekst, żeby uciec z Grahamem Nero. Bo co innego mogło przywieść Nero pod ich drzwi, jeśli nie pragnienie, aby ją zabrać?

Ale on nawet teraz będzie przy niej trwał, będzie ją chronił, popełniła błąd, to prawda, jednak on też popełniał błędy.

Wyjrzał przez kilkucentymetrową szparę w oknie i aż zapało mu dech w piersiach. Po ulicy pędziło stado białych istot. Skakały zwinnie niczym gazy. Były

piękne. Chciałby stać się jedną z nich. Zamiast tego był jucznym mułem swoich kobiet. Może David miał rację, że wołał chłopców?

Przeniósł spojrzenie na ciało młodego Vargasa. Właśnie zabił dzieciaka. Ale cóż, czasem zwykłym ludziom przytrafiają się niezwykle rzeczy.

„Fennie, jestem taka samotna. Zostawiłeś mnie całkiem samą” - ktoś szeptał mu do ucha. Wyjrzał przez szparę w oknie i zamiast biegnących zarażonych ujrzał odbicie Sary Wintrob. Miała na sobie białą koszulę nocną. Trzy górne guziki były rozpięte. Widział jej pępek, taki głęboki. Spuścił wzrok i oblał się rumieńcem. Właśnie zabił chłopca. Zamordował go.

Fenstad, wpuść mnie - powiedział głos. - Tak tu zimno”.

Kopnął ciało Thomasa. I jeszcze raz. I znowu, Nie swoją córkę, tego by nigdy nie zrobił. Wołał kopać chłopca na podłodze. Nagle zakrwawione ciało się poruszyło. Głęboka rana na czaszce zaczęła się goić.

Spojrzał na młotek. Prymitywne narzędzie, ale innego nie miał.

Nie mógł wyjść z tego pokoju, nie mógł zostawić córki samej. Przypomniał sobie o pile stojącej w kącie. Użył jej, aby odciąć nogi nocnego stolika. Pracował szybko, na wypadek gdyby chłopiec wciąż miał jakieś uczucia, na wypadek gdyby go bolało. Piłował i piłował, aż głowa odpadła od tułowia i podłogę sypialni załała krew. Martwe oczy Thomasa Vargasa patrzyły na niego, lecz nawet nie mrugnęły.

Fenstad odwrócił wzrok i pomyślał, że przydałby mu się mop. Narobił straszno bałaganu! Nie wiedział jednak, gdzie Meg trzyma mopa, a nie mógł zostawić Maddie samej.

„Fennie, moje serce przestało bić, ale ja wciąż tu jestem” - wyszeptał ktoś. Brzmiał jak Sara Wintrob, ale wiedział, że to Thomas Vargas.

Zdjął z łóżka prześcieradło i okrył szczątki chłopca. Spod białej płachty wystawała ręka.

„Fennie, na zewnątrz jest tak smutno. Otwórz frontowe drzwi. Jesteśmy bardzo głodni, a ty wiesz, że to musi się zakończyć właśnie w taki sposób. Jeśli coś kochasz, uwolnij to”.

Pomyślał, że wrócił do rodzinnego domu w Wilton w Connecticut. Dywan był przesiąknięty krwią. Przyszło mu do głowy, że może już nie żyje i dowiaduje się o tym ostatni.

Piła łańcuchowa sprawiłaby się lepiej. Zwykła piła była prymitywna. Po dłuższej chwili ręką odpadła, ale spod prześcieradła wychynęła stopa, więc ją także odciął.

Potem coś klapnęło i Fenstad odpiłował nogi od korpusu, jak w starej dobrej szkole medycznej. Gdy skończył, piła była całkiem tępa.

Nie starczyło pościeli, by przykryć te wszystkie krwawe szczątki, więc wziął swetry córki. Maddie już nie jęczała. Oczy miała zimne. Patrzyła. Nie chciał, żeby to oglądała. Chciałby móc ją uchronić przed tak strasznymi rzeczami. Chociaż na swój sposób tak też było dobrze. Czuł się zmęczony tym, jak ona chłonie każde jego słowo. Niełatwo być bohaterem, kiedy nogi ma się jak z waty. Ale przynajmniej teraz ona już wie - jej ojciec jest bałaganiarzem.

Ubranie mu się lepiło. Było brudne jak w Wilton, kiedy matka wściekała się na niego i pozwalała, by z jego kosza na brudne rzeczy aż się wysypywało. Nie mógł używać pralki, więc gdy chciał włożyć coś czystego, prał to ręcznie w umywalce.

Ułożył prześcieradło wokół krwi i szczątków, jakby ścielił łóżko. Miał nadzieję, że matka nie dowie się o tym bałaganie. Leżała na łóżku. Wdziąka, co zrobił, mimo iż pragnął ją chronić. Już nie potrafił powstrzymać płaczu, czegoś takiego nigdy sobie nie wyobrażał. Że po tylu latach dywan naprawdę przesiąknie krwią.

„Fennie, czujesz to?”

Pochylił się nad łóżkiem. Ta kobieta na niego patrzyła. Uniósł piłę. Chciał ją uciszyć. Chciał, żeby przestała na niego patrzeć. Ale potem dostrzegł fioletowe włosy. Czy Sara ma fioletowe włosy?

To jakiś podstęp!

Popędził korytarzem i gwałtownie otworzył drzwi. Oczy miała szeroko otwarte, pełne poczucia winy. Żmija. Zrobiłaby wszystko, byle tylko zburzyć jego dom.

- Fen - odezwała się, ale nie zdążyła dokończyć.

- Skończ te swoje gierki - powiedział i zatrzasnął drzwi.

Wrócił do pokoju Maddie i usiadł na krześle. Chronił swoje kobiety jako ostatni człowiek na Ziemi.

39.

CISZA

Słońce było jedną z niewielu rzeczy, które tego poniedziałkowego ranka wstały w Corpus Christi. Na ulicach nie było żadnych samochodów. Żadna telewizja nie emitowała spektrum kolorów, w którym Regis i Kelly obrzucali się wyzwiskami. Z żadnego tostera nie wyskoczyły grzanki. Na żadnej patelni nie zasyczał tłuszcz. Nigdzie nie smażyono jajek. Żadne dziecko nie kaszało, nie płakało, nie śmiało się ani nawet nie wrzeszczało.

Zarażeni spali. Córka Grahama Nero, Isabelle, nocą wypełzła z kołyski i teraz spała obok matki, gdzie znalazła pokarm. Inni spali w swoich domach, pod ziemią, na ruchomych łóżkach obok lekarzy którymi się żywili, i w swoich samochodach tarasujących autostradę.

Istota znana kiedyś jako Lois Larkin leżała w swoim łóżku, gdzie nigdy nie znajdą jej szpiegujące oczy. Inni wciąż spali, lecz ona rozpoczęła poszukiwania. Przejrzała umysły zarażonych. Łatwiej się z nich czytało, kiedy spali. Sprawdziała, kto jest chory, kto pożarty, kto zaginiony. Znalazła ich przyjaciół, ich gazeciarzy, kolegów, którzy ich podwozili, i wreszcie sporządziła listę tych, którzy pozostali i pamiętali imię Lois Larkin.

Na Micmac Street samochodowe alarmy wyły przez wiele godzin, aż wyczerpały się akumulatory i zapanowała cisza, niczym nowa forma entropii. W Corpus Christi zostało siedem zdrowych osób, a żadna z nich nie odważyła się choćby pisnąć.

CYJANEK

Kiedy tylko światło dnia przefiltrowało się przez jej czoło, Lila Shiffer wzięła z garażu rower syna i ruszyła w stronę szpitala. Uznała, że lepiej nie brać samochodu. Ponoć za dnia oni śpią, wołała jednak nie ryzykować. W nocy zarażeni wtargnęli do jej domu, ale schowała się do piwnicy, gdzie nie szukali. To wtedy zauważyła, że nadgarstek zaczął jej ropicć. Sinoczerwone pręgi wokół rany wyglądały jak szprychy rowerowego koła. Maść doktora Wintroba nie zadziałała. Potrzebowała penicyliny. Wiedziała, że w okolicy nie ma nikogo, kto by się nią zajął, musiała więc sama to załatwić.

Na ulicach było pusto, ale domyślała się, że kilka osób wciąż żyje, tylko się chowa. Skoro infekcja zaczęła się w Corpus Christi, to ona musi się stąd wydostać. Najlepsza byłaby jakaś wyspa z dala od wybrzeża, ale nie miała łódki.

Alice, Aran, powtarzała w myślach ich imiona niczym mantrę. Nie potrafiła sobie wyobrazić ich twarzy ani przywołać żadnych wspomnień o nich. Nie pamiętała ich pierwszych kroków, pierwszych słów, pierwszych ząbków. Odeszły za wcześnie. To ona powinna odejść pierwsza. Dobre matki zawsze znajdują jakiś sposób, aby umrzeć przed swoimi dziećmi, prawda? Z kierownicy roweru Arana odchodziła taśma, a hamulce piszczały. Było jej wstyd, że chłopiec o niego nie dbał, bo to oznaczało, że nikt nie nauczył go szacunku.

Szpitalne korytarze były puste i ciche. Tu i ówdzie widziała trupa z wolem na szyi albo śpiącego zarażonego. Leżeli na podłodze i na ruchomych łózkach. Minęła główną bramę i weszła przez izbę przyjęć. Nie chciała patrzeć na szczątki swoich dzieci. Ledwie przypominała sobie, co zrobiła. Wiedziała jednak, że musiała to zrobić, aby ich dusze mogły odejść w spokoju.

Jej matka pracowała na pół etatu i tylko gotowała obiady dwa razy w tygodniu. Ale Aran senior twierdził, że jeśli chce się, aby dzieci stały się materiałem na członków Ligi Bluszczowej, trzeba je wozić na treningi piłki nożnej i lekcje gry na pianinie i dbać, żeby nigdy nie miały pomiętych czy choćby niemodnych ubrań. Latem wysłała się je do Europy, a zamiast narzucać im zasady, trzeba z nimi negocjować. To brzmiało całkiem rozsądnie, lecz pewnego dnia uświadomiła sobie, że opuściła przyczepę tylko po to, by zostać służącą u jakiegoś bogacza.

Generator już nie buczał, a na korytarzach panował półmrok. Szła, szukając apteki, ale nigdzie nie mogła jej znaleźć. Nagle usłyszała ptasi gwizd. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Właśnie tutaj, ze wszystkich możliwych miejsc, wciąż mieszkał jakiś ptak. Dźwięk stał się głośniejszy i uśmiech Lili zniknął. To nie był ptak. Dźwięk odbił się echem i zastanowiła się, czy to dusze jej dzieci powróciły.

Spojrzała w głąb ciemnego korytarza i zobaczyła zbliżającą się postać. Melodia była znajoma, stara piosenka Beach Boysów. Pamiętała, jak kiedyś nucił ją doktor Wintrob. Czy to on jest w tym korytarzu? Postać była wysoka i szła na dwóch nogach. Lila skoczyła w pierwsze drzwi, jakie dostrzegła. W pomieszczeniu panował bałagan, na podłodze leżały odłamki szkła i porozrzucane papiery. Kiedy dostrzegła obraz Dalego z roztopiającymi się zegarami, westchnęła ciężko. O nie! Weszła do jego gabinetu.

Było za późno na odwrót. Chciała schować się w szafie, ale Wintrob był już przy drzwiach. Przycupnęła za skórzaną kanapą. Wszedł do środka. Nie widziała jego twarzy, ale był dzień, on nie kasłał, więc pewnie nie jest chory. Ubranie miał pokryte krwią, lecz przecież ona też. Serce zadudniło jej w piersi i przypomniała sobie, że w przeciwieństwie do wielu serc, jej serce wciąż bije.

Aran! Alice! - krzyczała w myślach.

Kiedy Wintrob sięgał do szuflady biurka, trąciła kolanem stół na kawę. Odwrócił się błyskawicznie i wyciągnął coś zza pasa.

Młotek. Lila wstrzymała oddech. Doktor zajrzał pod rozbity blat stolika. Już chciała krzyknąć „Nie bij!”, ale jej nie zauważył. Odwrócił się do biurka, otworzył szufladę, wyjął pęk brzęczących kluczy i wyszedł z gabinetu. Pogwizdywał tę samą piosenkę i teraz Lila przypomniała sobie tytuł: *Feel Flows*. Wśród tej ciszy melodia brzmiała upiornie, niczym requiem dla szpitala.

Wstała i wyjrzała na korytarz. Wintrob ruszył w stronę izby przyjęć. Wiedziała, że powinna iść w przeciwnym kierunku, bo doktor najwyraźniej oszalał. Poruszał się bardzo ostrożnie, jakby nie uświadamiał sobie, że cały świat legł w gruzach. Ale przecież nie został zarażony. Poza tym jest bogatym lekarzem. Może mieć łódź. Ruszyła za nim. Na korytarzu było ciemno, więc szurła stopami, zamiast je unosić, by nie potknąć się o jakieś szczątki (Aran! Alice!) leżące na podłodze.

Dziwne, ale zmarli z powodu infekcji nie zostali zjedzeni. Wszystkie trupy miały nabrzmiałe szyje i krwawą wysypkę. Może zarażonym nie smakują pobratymcy? Wśród leżących na podłodze Lila dostrzegła Val, sekretarkę doktora Wintroba. Poznała ją po końskim ogonie. Nie była martwa, tylko zarażona. Oddychała miarowo, a usta miała czerwone. Dziwne, że właśnie to miejsce wybrała sobie na sen. Może tutaj czuła się najbezpieczniej albo - tak jak Lila - jakaś jej część wypatrywała doktora Wintroba w nadziei, że powie jej, co robić, i przebaczy to, co już zrobiła.

Aran! Alice! - krzyczał jakiś głos w jej wnętrzu. Chciałaby móc sięgnąć w głąb siebie i wcisnąć jakiś wyłącznik, bo zaczynała sobie przypominać ich twarze.

Doktor Wintrob przestał gwizdać i pochylił się nad ciałem Val. Przyłożył jej do czoła obuch młotka i uderzył. Raz, bardzo lekko. Zabrzmiało to jak kłaśnięcie.

- Tylko żartowałem - powiedział. - Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził. Domyślam się, że Kanada nie była dobrym pomysłem,

Wyprostował się i ruszył przed siebie.

Na izbie przyjęć kluczykiem zabranym z biurka otworzył szafkę. Wyciągnął kilka buteleczek i zamknął ją z powrotem. Zaskoczyło ją, że zrobił coś takiego, zamiast po prostu rozbić szkło i wziąć sobie, co chce. To oznaczało, że w przeciwieństwie do wszystkich innych nadal przestrzega zasad.

Doktor Wintrob odwrócił się i ją zobaczył. W ciemnym korytarzu było tylko ich dwoje. Lila w pierwszej chwili chciała uciekać, pomyślała jednak, że może mieć łódź. A jeszcze lepiej, może chwycić ją za rękę i powiedzieć, że to wszystko było tylko złym snem. „Alice! Aran!” Kiedy wczoraj ich zostawiła, zapomniała im zamknąć oczy.

- Przykro mi - powiedziała, bo nic więcej nie potrafiła powiedzieć.

- Dobrze się pani czuje, pani Schiffer? - spytał.

Chociaż miała na sobie ciepły dres zdrzżała z zimna. Skinęła głową, zbyt przerażona, aby się odezwać.

- Miło to słyszeć - rzekł i wyjął zza paska młotek. Do zaostrzonego końca przyłgął kawałek skóry z włosami. - Ciemno tu. Lubi pani słońce, prawda?

Przytaknęła. Podszedł bliżej z młotkiem w dłoni. Trzymał go mocno, jakby chciał jej zrobić krzywdę.

- Przyszłam tu po penicylinę. - Podwinęła rękaw i pokazała zainfekowaną ranę.

Chciał jej dotknąć, ale pod paznokciami miał zaschniętą krew. Odruchowo, cofnęła rękę.

- Ma pani ładne ciało, pani Schiffer - stwierdził Wintrob.

- Wiem - odparła.

Stali w korytarzu, a wokół nich leżało co najmniej dwadzieścia trupów. Odłamki kości zaścielały cały szpital. I jej trawnik. I Micmac Street. Zarażeni bawili się jak w starej wylizance o psie i kościach.

- Czego pani chce? - zapytał Wintrob.

Normalnie uśmiechnęłyby się uwodzicielsko i zawołała: „Rety, doktorze Wintrob, ależ pan dzielny!” Zamiast tego wskazała palcem Val i pozostałych zarażonych.

- Domyślam się, że pan zna większość tych ludzi.

Przestał się uśmiechać. Podszedł do szafki, otworzył ją, wyjął kilka buteleczek i podał jej. Włożyła je do torebki, nawet na nie nie patrząc.

- Niech pani się gdzieś zamknie, aż to minie - powiedział.

- A to minie? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Na pewno - odparł, sięgając do kieszeni.

Potem wrzucił sobie tabletkę do ust, rozgryzł ją i aż jęknął z rozkoszy.

Uświadomiła sobie, że jest uzależniony.

Wyciągnął rękę, jakby chciał poklepać Lilę po ramieniu, ale potem cofnął i poklepał młotek za paskiem.

- Przykro mi z powodu twoich dzieci...

Potrwało chwilę, zanim sobie przypomniała, o czym on mówi „Aran! Alice!” Teraz już wiedziała, dlaczego ma zainfekowany nadgarstek. Kiedy odcinała skalpelem głowę Alice, niechcący otworzyła sobie ranę.

- Moje dziecko też jest chore - powiedział Wintrob.

Jego głos stał się szorstki.

- Przykro mi - odparła, chociaż wcale nie było jej przykro. Nie obchodziło ją jego dziecko ani nawet on sam. Obchodzili ją tylko Aran i Alice, którzy już nie żyli. Oboje nie żyli, i to ona ich zamordowała.

Doktor Wintrob ruszył do wyjścia. Patrzyła, jak wychodzi z budynku. Poszłaby za nim, ale on oszalał, więc skierowała się w przeciwną stronę.

Szła najpierw wzdłuż czerwonej taśmy, potem wzdłuż do niebieskiej i wreszcie żółtej. Dotarła do głównego wyjścia i wtedy uświadomiła sobie, że są tu Alice i Aran. Zmusiła się, aby na nich spojrzeć. To już nie były jej dzieci. Wzięła jakieś prześcieradło i zakryła nim szczątki. Dźwięk rozpościerającej się płachty przypominał łopotanie skrzydeł. Miała nadzieję, że to ich uwolnione dusze.

Wyszła ze szpitala. Jasne światło słońca oślepiło ją, więc zmrużyła oczy.

Zostawiła rower Arana i ruszyła pieszo Micmac Street. Witryny sklepów były porozbijane, a drzwi roztrzaskane i otwarte na oścież. Wchodziła do środka i brała wszystko, czego potrzebowała: alkohol do odkażenia rany, tic-taki i piankę do golenia; mosiężną kołatkę w kształcie lwiej głowy, złoty papier do pakowania prezentów i kokardy, bo przecież zawsze ktoś ma urodziny; naszyjnik dla Alice i bejsbolową rękawicę dla Arana.

Aran! Alice! - krzyczała w duchu. Gdyby nie ona, nadal by żyli. Byliby z ojcem, który pewnie już jest na wyspie, gdzie zwykle spędzali wakacje. Jedli tam świeże jagody i przeczesywali plażę w poszukiwaniu muszli.

Ale skoro tak bardzo kochał dzieci, czemu po nie nie przyjechał? Bo nie żyje albo jeszcze gorzej: porzucił je. Może on wcale nie był dobrym ojcem.

Bolał ją nadgarstek, więc sięgnęła do torebki, otworzyła jedną z buteleczek i wyjęła pigułkę. Dopiero gdy ją połknęła, spojrzała na etykietę: penicylina. Wyjęła drugą buteleczkę i aż jęknęła, widząc napis na etykiecie: cyjanek.

„A to minie?”

„Na pewno”.

Rzuciła buteleczkę na ziemię i kopnęła ją, a potem przydeptała, miażdżąc pigułki na proszek. Uświadomiła sobie, że chociaż nie ma już jej dzieci, ona chce żyć.

41.

DŁAWIENIE

Gdzie popełniłem błąd?

W poniedziałkowy ranek Meg usłyszała, jak samochód Fenstada rusza z podjazdu. Maddie milczała od wielu godzin, co było bardzo złym znakiem. Nie chciała myśleć o najgorszym. Gdyby jej córce stała się krzywda, wyczułaby to. Problem polegał na tym, że intuicja coś jej mówiła. Bała się, że Maddie już nie żyje.

Od długiego czasu leżała w tej samej pozycji. Ramiona miała zdrętwiałe, nie mogła ruszać palcami i dawno zaprzestała prób uwolnienia się z więzów. A z Maddie było coś nie tak. Jeśli jeszcze żyje, to ona po prostu musi się stąd wydostać, zanim Fenstad wróci i zabije je obie.

Zakneblował ją czymś zwiniętym w rulon. Chociaż tego nie widziała, była pewna, że to jedna z jego brudnych skarpet. Okropnie cuchnęła, a teraz, nasiąknięta śliną, zaczynała ją dusić. Meg straciła czucie w rękach i nie mogła nimi ruszać, więc nachyliła się do przodu w nadziei, że dodatkowy ciężar rozedrze prześcieradła i pozwoli jej się uwolnić.

Pomyślała o swoim ojcu i o tym, co zrobił w dniu jej ślubu. Miał być jej świadkiem, ale w ostatniej chwili odmówił zawiezienia jej do urzędu. Nie zjawiała się też reszta rodziny, bo bali się mu sprzeciwić.

- Oni nigdy cię nie zaakceptują - powiedział na wieść o jej zaręczynach. - Mogą być mili, ale tylko na pokaz. Zapłacą za ślub i wesele, ale tylko taki porządny, w kościele. Uwierz mi, Meg. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek innego i wiem, co jest dla ciebie najlepsze. Zerwij te zaręczyny.

Nie uwierzyła mu. W eleganckiej białej sukni sama pojechała do urzędu, a ojciec już nigdy się do niej nie odezwał. Teraz, dwadzieścia lat później, leżała przywiązana do łóżka i zastanawia się, czy starczy jej sił, by zaatakować męża, a jeśli tak, to jakiej broni - nożyc krawieckich czy czegoś tępego - powinna użyć.

„Gdzie popełniłem błąd?” - spytało wspomnienie jej ojca, a Meg wzruszyła ramionami i zastanowiła się nad tym samym.

Wtedy zobaczyła Alberta Sanguine'a, Pięścią rozbił okno i wczołgał się do środka. Rozpięty fartuch ukazywał ciało tak blade, że aż sine. Albert był roslym mężczyzną, więc z każdym krokiem, jaki robił w jej stronę, wydawał się coraz większy. Gdy wreszcie stanął przy łóżku Meg, wyglądał jak olbrzym.

Chciała krzyknąć, ale tylko zakrztusiła się brudną skarpetą. Albert pochylił się i przypomniała sobie, jak rzucił ją o plastikową ścianę. Przypomniała sobie dźwięk, jaki wydała przegroda, i trzask pękającej kostki.

Dłonie miał delikatne, ale nie miłe. Nie widziała, co robi, dopóki nie zobaczyła w jego ręku krawata utrzymującego skarpetę w ustach. Wciąż jednak nie miała pewności. Dyszała, lecz nic się nie działo, a im bardziej starała się odetchnąć, tym głębiej wsuwała się skarpetą. Nagle poczuła ciężar na biodrach. Oczy miała zamknięte, ale nawet gdyby je otworzyła, byłaby zbyt spanikowana, by uwiadomić sobie, że Albert siedzi na niej i ją przytrzymuje.

Ścisnął szczękę Meg, tak że ją rozwarła, i wsadził jej dłoń do ust. Próbowwała go ugryźć. Nie mogła oddychać! Jedną dłonią trzymał za podbródek, a mięsiste palce

drugiej wetknął do gardła. Miały słony smak. Pot. Zwymiotowała, wypadło z niej coś długiego i wilgotnego. Zakrztusiła się, ale tym razem została pobłogosławiona powietrzem. Wpadło jej do płuc i je napełniło. Albert rzucił przed nią skarpetkę, aby mogła ją sobie obejrzeć. Przez długą noc ślina zmieniała ją w węża długości ponad trzydziestu centymetrów.

- Niech się pani nie rzuca! - syknął.

Zaniósł się mokrym kaszlem i zaczął rozplątywać supeł na lewym nadgarstku. Robił to powoli, ale pewnie. Stał się inny. Zniknął zespół Tourette'a, oczy miał czarne. Oczywiście został zarażony, lecz przecież trwał dzień. Dlaczego nie jest wrażliwy na słońce jak pozostali?

- Oni śpią, ale ona wie, że ja tu jestem. Patrzy przez moje oczy. Czuję to - powiedział.

Odwrócił głowę i kaszlnął. Kawalek flegmy plasnął na prześcieradło.

- Ona szuka ocalałych. Przyjdzie dzisiaj po panią.

Nadgarstek Meg został uwolniony. Zdrętwiała ręka zsunęła się z łóżka. Próbowала ją unieść i położyć na kolanach, lecz nie mogła nawet ruszać palcami. Dłoń była purpurowa i spuchnięta, jakby długo leżała pod wodą.

Albert, niczym dżentelmen, wskazał prawy nadgarstek. Pokiwała głową i zaczął rozwiązywać supeł. Tak jak pozostali cuchnął zgnilizną.

- Kim jesteś? - spytała ochryple.

Przestał zajmować się jej nadgarstkiem. Zastanawiała się, czy popełniła jakiś błąd. Czy powiedziała jakieś niewłaściwe słowo, coś w nim uruchomiła i teraz on uderzy jak Fenstad? Wzdrygnęła się, bo przypomniała sobie, że została pobita przez męża.

- Jak byłem mały, słyszałem to w lesie - odparł. - Mój mózg, sposób, w jaki działa, i sposób, w jaki działa wirus, pasowały do siebie. Bardziej niż u Lois albo u kogokolwiek innego. Więc mnie wezwał. Słyszałem go, chociaż nikt inny nie słyszał. Wzmocnił się, kiedy siarka nakarmiła go po pożarze papierni. Chciał, żebym go odkopał, lecz nie zrobiłem tego. Ale potem znalazł go jakiś chłopiec i sprowadził na nowo.

Spojrzał na Meg, a ona pokiwała głową. Gardło za bardzo ją bolało, by mogła coś powiedzieć.

- Zapilem to. Zalałem chlebowym puddingiem te przestrzenie umysłu, w których chciał żyć, tak że nie mógł mnie mieć, przynajmniej nie do końca. To mnie uleczyło - wskazał ranę, która, choć otwarta, nie krwawiła - ale tylko trochę. Za dużo piję, żeby mógł mnie przemienić. Ciągle jestem głodny. To czeka na mnie, aż się zmęczone walką.

Uśmiechnął się jak Albert, jakiego kiedyś znała.

- Teraz to jest najsilniejsze w Lois Larkin. Ona używa tego, żeby wszystkich krzywdzić, bo jest wściekła. Pomogę jej, nawet jeśli tego nie chce. Nie mogę jej tak wypuścić.

Nadgarstek Meg w końcu opadł. Albert uniósł go i zaczął rozcierać masywnymi dłońmi. Nic nie czuła, tylko to widziała.

- Nigdy nie jem zabitych. Tylko szczury - powiedział.

Przytaknęła, jakby robiło to wielką różnicę. Może i robiło.

- Czy są inni tacy jak ty? Częściowo odporni? - zapytała.

Do rąk z wolna wracało jej czucie. Najpierw ukłucia szpileczek i igiełek, potem palący ból, aż wreszcie mogła poruszać palcami. Uśmiechnęła się.

Albert pokręcił głową.

- Może. Ale kto by chciał? Mój umysł i moje ciało żyją wspólnie i nienawidzą się wzajemnie.

- Och, Albercie - szepnęła ze współczuciem.

Chciała mu powiedzieć, że jej go żal, ale nie wiedziała, jak zacząć. Borykał się ze znacznie gorszym problemem, niż kiedykolwiek myślała, a mimo to dawał radę. Może jej rodzina też da sobie radę.

Chyba to rozumiał, bo pokiwał głową.

- Musi pani opuścić miasto przed zmierzchem. Przyszedłem, żeby to pani powiedzieć.

Meg próbowała podnieść ręce, ale ciągle były za słabe, więc usiadła na łóżku i czekała, aż wróca jej siły.

- Dlaczego to robisz? - spytała.

Uśmiechnął się, jakby odpowiedź była oczywista.

- Bo była pani dla mnie miła.

- Dziękuję... - urwała, bo nie chciała przy nim płakać, a wiedziała, że jeśli mu podziękuję, zacznie szlochać. - Co się stanie, kiedy ona się dowie, że tu przyszedłeś?

Uśmiechnął się z goryczą i Meg przez chwilę zobaczyła w nim człowieka, którym mógł się stać.

- Zabije mnie. Ale ja tego chcę.

- Chodź z nami, wyjedziemy stąd razem.

Albert pokręcił głową.

- Muszę już iść - powiedział. - To nigdy nie ustaje, jeśli zostanę, zrobię wam krzywdę.

Wiedziała, że to bez sensu, ale nagle zrobiło jej się wstyd, że ma w sobie hardość, która mężczyzn jej życia pcha ku przemocy.

Rozłożył ramiona i fartuch rozpostarł się szeroko. Może nie pamiętał, że pod spodem jest nagi.

- Niech pani już idzie, ucieka jak najdalej stąd. Moje życie okaże się coś warte, jeśli się pani wydostanie - powiedział, ale nawet gdy mówił, widziała jakieś zło wewnątrz niego.

Krzywił górną wargę, w czarnych oczach dostrzegła swoje odbicie. Pomyślała, że tak wygląda pająk, kiedy zbliża się do ofiary.

- Ucieknę - obiecała,

Zanim wyszedł z pokoju, jeszcze raz się uklonił. Kiedy schodził na dół, schody skrzypiały. Wtedy zrozumiała, jak to jest stać jedną nogą w piekle.

42.

UCIECZKA

Nieuchronne nie nastąpiło. Zarażeni nie przyszli. Gdy tylko wstało słońce, Danny Walker spakował torbę. Później wspominał tamto pakowanie i żałował, że nie zabrał lepszych butów albo cieplej kurtki, a zamiast tego włożył do czerwonej sportowej torby tytoń do zucia i stos skarpet. Nie zabrał żadnych zdjęć ani jedzenia, chciał jednak, by została mu jakaś pamiątka, więc zdjął z lodówki listę rzeczy do zrobienia i wsadził do kieszeni. Ktoś zapisał na niej: „Kupić lody”.

Wsiadł do samochodu Felice. Teraz już jego samochodu. Zostało mu ćwierć baku paliwa. Wystarczy do Portland. Włączył silnik i poszukał jakiejś stacji radiowej. Nie popiskiwał nawet system awaryjnego nadawania. Na wszystkich częstotliwościach panowała martwa cisza.

Pochylił się nad kierownicą, wziął głęboki oddech i już wiedział, co ma robić. Może oni wszyscy nie żyją. Może cały świat się skończył, a on był jedynym

dzieciakiem, który ocalał. Ale nawet jeśli tak, musiał opuścić to miejsce. Musiał przynajmniej spróbować. Chciał tylko, żeby ktoś z nim był. Nie chciał być sam i nie chciał, żeby z tylnego siedzenia martwymi oczyma spoglądali na niego Felice, Miller i James.

Zjechał z podjazdu. W domu po drugiej stronie ulicy dostrzegł jakiś ruch za zasłonami. Ktoś żył! Ktoś nadal żył! Rozwydrzona Maddie Wintrob. Obcałuje jej stopy, jeśli wsiądzie z nim do samochodu. Ale potem przypomniał sobie wczorajszy wieczór. Nie chciał dzwonić do drzwi doktora Wintroba. Temu facetowi odbiło. Zresztą mówił, że jego żona i córka zostały zarażone, a to mogła być prawda.

Wyjechał na ulicę i ruszył w stronę Bedford, gdzie mógł dotrzeć na I-95 w miejscu, którego, jak miał nadzieję, nikt nie pilnował. Szyby w mercedesie były podniesione, więc nie słyszał ochryplego krzyku Meg Wintrob:

- Stój!

43.

SKURCZE GŁODOWE

- Stój! - krzyknęła Meg z okna swojej sypialni, ale mercedes Danny'ego Walkera powoli skręcił za róg, a potem ruszył w górę wzgórza. Wychyliła się i chociaż wiedziała, że on nie może jej usłyszeć, krzyczała nadal: - Wracaj! Proszę! Wracaj!

Od dawna nic nie jadła. Czowała się osłabiona i aż mdliło ją z głodu. Z rękami było trochę lepiej, ale przeguby wciąż miała odrętwiałe. Stojąc przy oknie balansowała na jednej nodze, bo druga nie mogła udźwignąć żadnego ciężaru.

Próbowała wyjść na korytarz, jednak kostka za bardzo bolała, więc opadła na kolana. Gdy pełzała do pokoju Maddie, w głowie zaświtał jej pewien pomysł i po krótkim namyśle uznała, że mogłoby się to udać. Rozwiąże córkę, zanim Fenstad wróci do domu, i ukryje ją w samochodzie. Potem uderzy męża w tył głowy, zwiąże i oboje wywiezie z miasta.

Czy jeśli ona i Fenstad to przetrwają, będą się kiedyś z tego śmiać? Wspominać czasy, kiedy musiała czołgać się, aby ratować córkę? Czasy, kiedy brudna skarpeta wetknięta do gardła o mało jej nie zabiła? Wspominać, jak wszystko, w co wierzyli w swoim małżeństwie, okazało się kłamstwem? Czy to nie zabawne?

Pełzała. Jeszcze kilka metrów. Już niedługo będzie razem z Maddie. Córka stanie się jej nogami i razem zrobią łupki. Maddie pomoże jej ugotować obiad, aby ten ból w żołądku minął.

Sięgnęła do góry i przekręciła klamkę. Smród był obezwładniający. Wydała z siebie okrzyk ulgi, widząc Maddie śpiącą na swoim łóżku i jakieś ciało na podłodze, okryte zakrwawionymi prześcieradłami i stosem wełnianych swetrów. Dziś w nocy doszło tu do walki. Fenstad, niech Bóg go błogosławi, wygrał.

Na bladą twarz Maddie padało światło. Chrapała głośno. Meg milczała dłuższą chwilę, wpatrzona w swojego śpiącego aniołka o fioletowych włosach. Wyobraziła sobie, że kładzie się obok niej i przytula. Leczy siłą woli i miłości.

- Maddie? - wyszeptwała.

Dziewczyna otworzyła piękne zielone oczy. Usta miała zawiązane czerwoną bandaną. Meg podpełzała do jej łóżka. Maddie nie podniosła głowy ani nie odsunęła nóg, by pomóc jej usiąść. Tylko patrzyła i właśnie to upewniło Meg. Wciąż jednak miała nadzieję.

Rozwiązała bandanę. Miała podwójny supeł i zakrywała nie tylko usta, ale także nos. Skłęła za to Fenstada. Mógł sobie przechodzić załamanie nerwowe, lecz przypadkowe uduszenie żony i córki byłoby zwyczajnie głupie. W usta wcisnęła jej białe majteczki. Przynajmniej czyste. Maddie pokiwała głową i czekała. Za bardzo się bała, aby mówić.

Ramię dziewczyny zakrywał opatrunek z gazy. Skóra wokół jego krawędzi wyglądała na poparzoną, jakby Fenstad próbował wypalić ranę. Meg wpadła we wściekłość, ale potem zrozumieli. On starał się wypalić iniekcję. Maddie została zarażona.

Oczy zaszyły jej łzami. Dotknęła czoła córki. Było chłodne.

- Kto ci to zrobił? - zapytała.

- Nie domyślasz się - Maddie się uśmiechnęła.

- Enrique - jęknęła Meg.

- Mamo, on po mnie wróci. Oni wszyscy wrócą. A potem stąd odejdziemy. Oni zabiorą mnie ze sobą. Czy ty ich nie czujesz?

Meg spojrzała na stopy córki. Dziesięć małych paluszków, wszystkie doskonale uformowane. Maddie uśmiechnęła się szeroko.

- Gdzie on jest? - zapytała Meg.

Pląkała, a dziewczynie wyraźnie się to podobało.

- Wszędzie. My mieszkamy wszędzie. Mamo, jestem taka głodna. Nie masz pojęcia, jaka jestem głodna.

- Oni mieszkają w lesie? - spytała Meg.

Pójdzie do lasu z Fenstadem, zanim się ściemni. Znajdą wszystkich zarażonych i potną na kawałki, żeby Maddie była bezpieczna.

- Niektórzy - odparła dziewczyna. - Ale niektórzy śpią tam, gdzie kiedyś mieszkali. Lubią swoje stare łóżka.

Pochyliła głowę i nagle przez jej twarz przemknął grymas zrozumienia. Maddie była przecież dziewczyną praktyczną.

- Tato! - wrzasnęła. - Tato, ona się uwolniła.

- Jego tu nie ma - powiedziała Meg.

Maddie uśmiechnęła się, ale w tym uśmiechu był strach i Meg zrozumiała, że trafiła w czuły punkt. Oni wciąż są wrażliwi na ciosy. Gdyby przed zmierzchem dotarła do Enrique albo nawet Lois, mogłoby zmienić przebieg infekcji.

- Wiem, co robiłaś w pokoju 69, ty dziwko - wyszeptała Maddie.

Meg spróbowała wstać, ale kostka bardzo bolała, a nie chciała, żeby córka patrzyła, jak pełza na rękach i kolanach.

- Przestań - powiedziała..

- Nic ci się nie udawało, od kiedy się urodziłaś! - krzyczała Maddie.

Meg usiłowała dokuśtykać do drzwi. Upadła jednak i zaczęła się czołgać, a za nią Maddie syczała:

- Wyszłaś za psychola i udawałaś, że nic nie widzisz, bo podoba ci się twój śliczny domek.

Meg dalej się czołgała.

- Ciiii, ciiii - szeptała, przesuwając kolano za kolanem, i nie była pewna, czy przemawia do swojej córki, czy do własnych skołatanych nerwów: - Ciii. Proszę, och, proszę.

Na dole trzasnęły drzwi. Wrócił Fenstad. Próbowała czołgać się szybciej, ale nie zdążyła. Po chwili stanął w drzwiach pokoju Maddie.

Meg spojrzała na jego twarz i zrozumiała, że już po niej. Noga za bardzo ją bolała. Była całkiem sama. Gdyby choć David mógł pomóc.

Gdy Fenstad się pochylił, nawet nie próbowała walczyć. Uniósł żonę w ramionach. Twarz miał nieruchomą jak maska. Nie krzyczała. Nie próbowała niczego tłumaczyć.

Zaniósł ją do sypialni. Nie przestawała płakać. Gdy ją kładł, kostka się wykręciła. Meg zaskowyczała z bólu.

- Proszę - powiedziała przez łzy. - Tak cię proszę. Po prostu przestań.

Wyszedł z pokoju, a kiedy wrócił, trzymał w ręku nóż Ginsu, który parę lat temu zamówiła przez telefon dla żartu. „Przetniesz nim nawet puszkę!” - mówiła ze śmiechem.

- Nie rób tego! - krzyknęła, gdy pochylił się i zaczął ciąć.

Gips odpadł. Nogę miała tak spuchniętą, że nie widziała kostki, tylko nabrzmiałą fioletową skórę. Fenstad położył jej dłoń na ramieniu i niespodziewanie nacisnął nogę. Jeden szybki ruch. Coś trzasnęło. Meg zobaczyła gwiazdy wirujące po pokoju, a potem zemdląca.

Kiedy się ocknęła, nogę miała w łupkach zrobionych z nóg mebli. Gdzieś znalazł gips i założył na chorą nogę, a teraz delikatnie ochlapował żonie twarz zimną wodą. Znowu zaczęła płakać. Poczucie straty przyszło szybciej niż wspomnienia. A potem sobie przypominała.

- Maddie jest chora - powiedziała.

Nie odpowiedział. Pochylił się nad stolikiem nocnym i wciągnął biały proszek.

- To pokruszony oxycontin. Dzięki niemu robi się trochę lżej - wyjaśnił. - Maddie mówi, że nie jestem jej ojcem. Powiedziała, że jest nim Graham Nero.

Meg przełknęła ślinę.

- Fenstad. To niemożliwe.

Pokiwał głową, ale widziała, że nie jest przekonany. Cóż, jego problem.

- Oni są w lesie - powiedziała. - Enrique i pozostali. Tak twierdzi Maddie.

Możemy podpalić las, a potem chodzić od domu do domu i wszystkich spalić.

- Nie - zaprotestował. - Musimy to przeczekać. Będziemy trzymać ją przywiązaną do łóżka, dopóki nie wyzdrowieje. Ciebie też.

- Ja nie jestem zarażona.

Wzruszył ramionami. Biały proszek miał na całym nosie. W ciągu niespełna tygodnia z dobrego męża, który zawsze był rozsądny i panował nad sobą, zmienił się w bijącego-żonę-uzależnionego-od-prochów-wariata. Tak czy owak burczało jej w brzuchu i nie mogła tego dłużej ignorować.

- Możesz zanieść mnie na dół? Od wczoraj nic nie jadłam.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Fen, wiem, że masz nade mną przewagę - przekonywała.

Wziął ją na ręce i poniósł korytarzem. Ruchy miał sztywne, a twarz pozbawioną emocji, ale pomyślała, że może wciąż jest w stanie do niego dotrzeć. Przecież złożył jej kostkę.

Gdy znaleźli się przy schodach, zobaczyła, co zrobił z domem. Meble poszły w drzazgi. Pourywał nogi wszystkim stołom i krzesłom, a okna pozabijał deskami, tak że było ciemno nawet w słoneczny dzień.

- Nieźle się bawiłeś - stwierdziła.

Nie odpowiedział. Brakowało krzesel, na których mogliby usiąść, więc posadził ją na kuchennym blacie.

- Możesz odgrzać nadziewaną paprykę, to zjemy razem - zaproponowała.

Zastanawiał się chwilę, a potem posłusznie wsadził resztki papryki do mikrofalówki.

- Co ty sobie myślisz? - spytała. - Że próbuję cię zabić, a ten dupek Graham Nero jest moim sekretnym kochankiem?

Nadal się nie odzywał.

- Nie próbuję, cię zabić - ciągnęła. - Po pierwsze, bez ciebie nie zdołamy się stąd wydostać. A po drugie, zanim złamałeś mi kostkę, byłam całkiem pewna, że cię kocham.

Wreszcie przerwał milczenie.

- Ktoś się włamał, kiedy mnie nie było. To był Nero?

Mikrofalówka zapiszczała. Fenstad patrzył na kuchenkę przez dłuższą chwilę, jakby zapomniał, co właściwie robi.

- Weź dwa widelce - poleciała. - Podzielimy się.

Wziął sztućce i postawił papryki na blacie.

Papryki były cztery i żadne z nich nie przerywało jedzenia, dopóki pierwsze dwie nie zniknęły. Już po kilku kęsach Meg poczuła się lepiej. Z pełnym żołądkiem wszystko staje się łatwiejsze, pomyślała.

- Dziękuję - zwróciła się do męża.

Pokiwał głową.

- Czegoś brakuje - stwierdził. - Chyba soli.

Patrzyła na niego przez moment, a potem zaczęła się śmiać. Nie miała pojęcia, z czego właściwie się śmieje. Nie miała powodów do radości.

- Żartujesz sobie ze mnie - powiedziała.

Objął ją za biodra. Po policzku spłynęła mu łza. Otarła ją, wciąż się śmiejąc, i on też zachichotał.

- Przydałaby się sól - oznajmił.

Zaczęła się śmiać jeszcze głośniejsze. Uniósł jej dłoń, żeby pocałować, i zobaczył, że palce ma wciąż obrzmiałe, a wokół nadgarstka czerwoną pręgę. Westchnął. Meg przestała się śmiać.

- Źle się czuję - rzekł.

Pokiwała głową.

- Wiem - szepnęła ochryple.

- Meg, tak bardzo cię kocham.

Nie mówił jej tego od ponad dziesięciu lat, dlatego zaskoczyło ją, że powiedział to właśnie teraz.

- Gdybyś mnie nie uderzył, też bym cię kochała.

- Nie mogę iść do lasu. Nie mogę jeszcze kogoś zabić. Może masz rację, że to pomoże Maddie, ale ja po prostu nie mogę. Po tym wszystkim, co widziałem w szpitalu... Człowiek nie powinien oglądać takich rzeczy.

Postanowiła nie mówić mu o Albercie. Fenstad by tego nie zniósł.

- To co mamy robić? - spytała. - Oni po nas przyjdą.

Pokręcił bezradnie głową.

- Meg, ja naprawdę nie mogę.

- Prześpijmy się z tym - zaproponowała po chwili namysłu. - Jeśli przetrwamy noc, porozmawiamy o tym rano.

Łzy napłynęły mu do oczu.

- Martwię się o ciebie - szepnęła. - Myślę, że powinnaś iść. Ja zostanę z Maddie. Jeśli będziesz mogła, sprowadzisz pomoc.

Westchnęła.

- Zapominasz, że sama nie dam rady. Poza tym nigdy was nie zostawię. Wiesz o tym.

Spuścił wzrok.

- Tak, wiem. Zostaniemy razem.

Ujął jej dłonie. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Do zmroku zostało jeszcze parę godzin, ale przez zabite deskami okna nie widzieli słońca.

- Oni niedługo przyjdą - powiedział.
 - Będziemy gotowi - odparła.
- Z góry dobiegł głośny śmiech Maddie.

44.

ROZDZIELENIE

Kiedy słońce skryło się za horyzontem, ich liczba się podwoiła. Wkrótce wyruszą, aby zawładnąć oboma wybrzeżami. Lois Larkin czuła, że teraz są jednością. Jednym umysłem. Wzrosła w niej w siłę i teraz wiedziała wszystko. Szukała tylko tego jednego, który ją zdradził. Oczami duszy widziała, jak kuli się w swojej norze, pijąc sfermentowane drożdże.

Biegli tam tak szybko, że wiatr smagał jej skórę niczym bat.

- Proszę - błagał, gdy wpadli do środka.

Słyszała już to słowo milion razy w tysiącach języków.

Myślał, że go zabiją, ale istota znana kiedyś jako Lois Larkin miała lepszy pomysł. To zabolę go bardziej, chociaż on jeszcze tego nie wiedział. Nie ma wszak większej kary niż rozdzielenie z tymi, których się kocha.

Wirus w nim uwiądnął. Wypłynął z oczu jak łzy. Zakończył w nim swoją bitwę. Albertowi wypadły zęby, jeden po drugim. Rana na brzuchu otworzyła się i zaczęła krwawić. Szlochał, a potem skulił się, zbyt słaby nawet na płacz. Zostawili go, żeby chleptał swój chlebowy pudding i skonał powolną śmiercią, całkiem sam.

Potem ruszyli na poszukiwanie ostatnich, którzy uchronili się przed zarazą z Corpus Christi.

45.

DYLEMAT KRÓLA SALOMONA

Enrique Vargas wsunął ręce przez otwór w oknie Madeline Wintrob, oderwał zasłaniający je blat i wszedł do środka. Miał zabłocone buty, a długie włosy zaczynały mu wypadać. Podkrał się do łóżka, na którym leżała związana i zakneblowana Maddie. Czerwona bandana była rozciągnięta na jej twarzy niczym uśmiech. Dotknął stopy dziewczyny gestem, który Meg wydał się prawie czuły. Maddie kopała i szarpała się, co pewnie wziął za strach. A to było ostrzeżenie. Fenstad stanął za nim i dźgnął chłopaka nożem Ginsu.

Meg się wzdrygnęła. Nie miała tyle siły, aby użyć noża, dał jej więc młotek, na którym wciąż były ślady krwi. Krzesło ustawiła za łóżkiem, bo nie mogła stać. Bardziej przeszkadzała, niż pomagała, ale Fenstad jej potrzebował. Bez niej straciłbym właściwy kierunek, uznał.

Enrique zachwiał się, ale nie upadł. Ostrze minęło serce o kilka centymetrów. Pochylił się, rozdarł prześcieradła krępujące ręce Maddie i zerwał czerwoną bandanę.

Dziewczyna usiadła i chwyciła go za rękę. Nie wyszli. Zostali w pokoju. Wyglądali na głodnych. Meg była już całkiem pewna, że jej córka odeszła. Próbowwała krzyknąć, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Maddie i Enrique podeszli do Fenstada, a Meg nie zrobiła nic, aby ich powstrzymać. Enrique przewrócił Fenstada, a gdy ten dźgnął go w pierś, Vargas na chwilę znieruchomiał. Znowu wyglądał jak chłopiec. Meg nie chciała na niego patrzeć. Nie chciała patrzeć na te jego piękne brązowe oczy. Czy oboje oni nie byli ładni, kiedy skóra lśniła im w świetle księżyca? Chyba też zaczynała powoli wariować.

Fenstad ruszył na Maddie. Przygwoździł ją do ziemi, a ona kłapała zębami, chcąc sięgnąć jego palców.

- Przestań! Puść ją! - zawołała Meg, ale nie posłuchał.

Pokuśtykała bliżej.

- Przestań! - zawołała ponownie.

Fenstad miał twarz pozbawioną wyrazu. Znowu gdzieś odszedł, a nie było czasu, by sprowadzić go z powrotem. Gdyby to wszystko działo się wolniej, gdyby mieli miesiąc czy choćby tydzień, wiedziałyby, że on do niej wróci, silniejszy niż kiedykolwiek. Był lepszym człowiekiem, niż myślał, a ona kochała go bardziej, niż kiedykolwiek sądziła.

Ale nie było czasu.

Meg pokuśtykała, z młotkiem w dłoni. Nóż Fenstada zbliżył się do szyi córki. Pochyliła się, przenosząc spojrzenie z jednej swojej miłości na drugą. Wreszcie uniosła młotek i uderzyła w głowę męża. Zakołysał się i uśmiechnął do niej jak pijany. Znaleźli się znowu pod tamtym barem na Boylston Street i już miał wyznać, że podobały mu się brunetki. Potem nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na ziemię. Zobaczyła krew tryskającą mu na plecy i już wiedziała, że ten cios był śmiertelny.

Ale jeszcze zanim uderzył o podłogę, zrozumiała, że popełniła błąd.

Maddie wstała i spojrzała na ciała obu mężczyzn. Przez okno sięgało więcej bladych rąk - zarażeni szukający posiłku. Meg upuściła młotek. Już niczego nie chciała. Już niczym się nie przejmowała. Gdy Maddie skoczyła na nią, zamknęła oczy. Dobrze, pomyślała. Przynajmniej w ten sposób będą jakąś częścią niej.

Maddie przesunęła dłonią najpierw po ramieniu matki, a potem po chorej nodze. Jej zielone oczy stały się czarne. Nachyliła się i polizała policzek Meg.

- Ta jest moja - zawołała.

Istota znana kiedyś jako Lois Larkin nie odpowiedziała. Jej usta nie miały już kształtu, który pozwalał wypowiadać słowa. Ale wydostawał się z nich jakiś dźwięk. Coś jak radiowe zakłócenia podczas burzy.

- Ta jest moja - powtórzyła Maddie.

Lois zeszała po treliazu. Pozostali, w tym Maddie, ruszyli za nią. Popędzili ulicą przez miasto, a potem przez Maine i Nową Anglię aż do wybrzeża Pacyfiku i dalej.

Meg Wintrob została sama. Ostatnia żywą kobietą w Corpus Christi.

SZCZĘŚCIE CZY OPATRZNOŚĆ

Na drodze do Bedford Danny dostrzegł jakąś kobietę. Szła powoli, z przygarbionymi ramionami. Gdyby nie czuł się taki samotny byłby bardziej ostrożny. Nie zatrzymałby się i nie odsunął szyby. Kobieta spojrzała na niego. Nie nie mówiła. Nie uśmiechała się. Widział, że nie jest chora.

- Podrzucić panią? - spytał.

Zawahała się. Spojrzała na tylne siedzenie, potem na fotel obok kierowcy, wreszcie na niego. Przypatrywała mu się długo.

- Dokąd?

- Nie wiem. Po prostu stąd wyjechać.

- Moje dzieci nie żyją - powiedziała i uniosła ręce, jakby były narzędziami do zabijania. Długie paznokcie miała pomalowane na czerwono.

- Zamordowałem własnego brata - odparł i rozplakał się. - Teraz jestem sam, nie mam nikogo.

Drzwiczki od strony pasażera były wgniecione, więc podeszła do drzwi od strony kierowcy i otworzyła je. Danny przesunął się, robiąc jej miejsce.

Wsiadła i wyłączyła radio, z którego dobiegały tylko głośnie szумы.

Przed sobą mieli las, a potem autostradę. Corpus Christi zostało za nimi.

Kobieta wciąż milczała i Danny'emu przyszło do głowy, że może jest duchem. Wytarł oczy i spojrzał na nią. Proszę, dotknij mnie, chciał powiedzieć, ale się bał.

Wcisnęła pedał gazu i ruszyli. Czuł na sobie jej spojrzenie. W jej oczach nie było współczucia. Ale dzięki Bogu były niebieskie.

- Zadbamy o siebie nawzajem - powiedziała.

Słyszając to, odetchnął z ulgą. Już nie był sam.

Dotarli do zjazdu na autostradę, który opuścili strażnicy. W New Hampshire zobaczyli zatarasowane ulice i puste samochody, więc ruszyli objazdem przez małe miasteczka, aż dotarli do trasy 88 i skierowali się na zachód. Za sprawą szczęścia albo opatrności nikt ich nie zatrzymał.

EPILOG

Minęły już dwa miesiące, a ja czekam na wieści. Za dnia ulice są puste, jeśli nie liczyć Tima Carrolla, który oszalał i ciągle wędruje po Corpus Christi, szukając zaginionych.

Moja świeczka prawie całkiem się wypaliła. Miałam czas, aby rozmyślać o tygodniu, który zakończył świat. Więcej czasu niż ktokolwiek powinien mieć. Tęsknię za mężem i tęsknię za córką. Noga już prawie wydobrzała, ale kość źle się zrosła, więc utykam. Schowałam męża do chłodnej piwnicy, żeby nie pożarły go te dzikusy. Czekam tam na porządny pogrzeb.

Zdobyłam radio, które odbiera z całego kraju, i wiem, że na Środkowym Zachodzie wciąż trzyma się kilka miast. Ale z tą nogą jestem uziemiona. Nie ma już nic do jedzenia, nawet mąki ani cukru na półkach w sklepach. Wszystkie okna na piętrze pozabijałam deskami. Nocą ich słyszę, ale nigdy nie przychodzą. Ci, którzy przetrwali zmianę, nie przypominają już ludzi. Może to Maddie mnie chroni. Nocami nie wędruje z resztą i często widuję ją samą pod drzwiami. Chcę ją wpuścić.

Myślę o Kanadzie. Ten wirus nie może trwać wiecznie. Ale w Kalifornii jest David i wyobrażam sobie, że jedzie przez cały kraj, aby nas odnaleźć. Zmierza do domu. Czekam na niego.

Bracia, siostry, matki, ojcowie. Z każdym dniem tracimy ich coraz więcej. To nie może trwać wiecznie. To coś, co dręczy nasz kraj, ta krwawa wojna domowa, musi się wreszcie skończyć.

Na razie czekam i palę świeczki, a za dnia przetrząsam wszystko, szukając jedzenia. Jestem taka głodna, że paznokcie mam połamane, a włosy mi wypadają. Ciało mojego męża leży zakonserwowane w piwnicy. O nim też myślę.

Podziękowania

Dziękuję moim agentom Joemu Veltre i Sarah Self, którzy niesłabnącym wsparciem zasłużyli na medale. Dziękuję także moim redaktorom, Sarah Durand i Piersowi Blofeldowi za ich rady, szlachetność i... cierpliwość, a także Pam Spengler-Jaffee za jej wytrwałość.

Jestem dłużniczką (prawdopodobnie w sensie dosłownym) ludzi z NYU Environmental Health Science Program, a zwłaszcza Becky Gluskin za wsparcie, Judy Zelikoff za lekcje toksykologii systemów organicznych, George'a Thurstona, którego zajęcia z meteorologii zainspirowały Maddie, i Gerry'ego Solomona za pozwolenie na uczestnictwo w jego programie.

Podziękowania otrzymują też członkowie mojej grupy literackiej Who Wants Cake: Dan Braum, K.Z. Perry, Stefan Petruca, Lee Thomas i kapitan Nicholas Kaufmann. Jestem wdzięczna także Ramseyowi Campbellowi, Rayowi Gartonowi, Jackowi Ketchumowi, Timowi Lebbonowi, Kelly Link, Peterowi Straubowi i Douglasowi E. Winterowi.

Na wyrazy wdzięczności zasłużyli ponadto: Milda Devoe, Jon Evans, Michelle i Erik Gustavsonowie, Marybeth Brennan Magee i jej rodzina. Debbie Marcus, Laura i James Mastersonowie, Marianna McGillicuddy, Kate Quinn i mój osobisty bohater Artie Schupbach, Lori i Ryan Stattenfieldowie, Arlaina Tibensky, J.T. Petty, rodzice, którzy pozwolili mi wykorzystać swój dom jako pisarską przystań, Chris, Michael oraz Langanowie z Wirginii, Massachusetts, Dystryktu Kolumbii, Syracuse i Amityville. Jestem ogromnie wdzięczna, że po przeczytaniu tej książki żadne z Was nie zażądało, abym poszła do psychiatry. Proszę, powstrzymajcie się od tego również w Święto Dziękczynienia.